4453
II 1 P

Georges prof. = 2.2.29. / I.

1897. V. 37.

d Lipda
1–50 x6.

W ALPACH I ZA ALPAMI.

W AEPAEH I ZA AEPAEH.

H. Bibby, pinx.

A.B. Payne, sc.

Genua

W ALPACH

i

ZA ALPAMI

PRZEZ

L. z G. Ro.

z Gottschalkowskich Rautenstrauch

BIBLIOTHECA ... ORAGOVIENSIS

TOM I.

WARSZAWA,
NAKŁADEM FRANCISZKA SPIESS I SPÓŁKI.

1847.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby Eksemplarzy.

w Warszawie d. 25 Września (7 Paźdz. 1846 r.)

CENZOR
NIEZABITOWSKI.

BIBLIOTHECA VNIV. IAGELL. CRACOVIENSIS

4453 II

Dig. 000715

W DRUKARNI KOMMISSYI RZĄDOWEJ SPRAWIEDLIWOŚCI.

I.

ALPY. — PUSTYNIA. — Ś. BRUNON. — KARTUZI.

A więc chcesz, Antosiu, najprzód się wstrzymać na chwilę przed temi Alpami, godnemi także spojrzenia naszego. Niechże się według woli twéj stanie.

Każdy wie iż Alpy należą do najgłówniéjszych łańcuchów gór jakiemi się nasza stara opasała Europa, a położeniem swém jeograficznem Alpy w najdawniéjszych jak i najszczytniejszych jéj dziejach miały odgłos, poniekąd udział w jéj sławie.

Główny ich węzeł, tworzy jak wiadomo wszystkie dziwaczne a pyszne piękności Szwajcaryi i Sabaudyi. Z tego zaś węzła, długie pasma ciągną się na północ przez część Francyi, Niemiec, Węgier, na południe do Włoch, Grecyi, Turcyi, coraz odmienną, a zawsze piękną krajom po których się snują nadają postać.

Grzbiety ich nigdy, przed najskwarniéjszém nawet południa słońcem, śnieżnych swych nie zdejmują płaszczów; a jak uczeni dowodzą, od blasku tegoż dziewiczego śniegu swe wzięły nazwanie. W celtyckiéj bowiem mowie, *Alp* czyli *Alb* znaczy białość; *pe* albo *pie* stopę, wysokość. Z tąd zrodziło się u greków słowo Alpeis, które nic innego nie oznacza jak wzniosłości białe.

Starożytni aż dziewięć dawali im podziałów, każden odmiennym darząc przymiotnikiem (1). Tegocześni na trzy je tylko główne części dzielą, które zowią najwyższemi, średniemi, i niskiemi, dzieląc je jeszcze na drobniejsze gałęzie.

Jedną z tych gałęzi, która się w Austryi oniemal u bram Wiednia zaczyna i ku Lombardyi przez Tyrol wyciąga, przed kilką poznałam laty (2). Teraz drugi z podziału Alp najwyższych odszczep w południowéj Francyi spotkałam.

Tam, niedaleko Grenobli, jest miejsce dzikie, *pustynią (le désert)* nazwane; jest ono teraz wielu podróżujących celem. Tam bowiem przed laty, człowiek szlachetnéj duszy a wyższych zdolności, nie mogąc znieść zawistnego uczucia jakie ta ostatnia własność zwykła rodzić w świecie, skrył się przed światem i zawiścią jego; wyrzekając się dostatków, zaszczytów, dostojeństw, uciekł od ludzi by im za nienawiść nieodpłacić nienawiścią, by sam na sam z Bogiem miłosierdzia nauczyć się od niego zapominać i przebaczać.... Teraz tego człowieka czczą między Świętemi.

Niegdyś — gdy jeszcze ostatnie tchnienia trubadorowo-romantycznych czasów w powietrzu woniały, każdy zbliżając się do Prowancyi, biegł do Vaukluzy składać hołdy Petrarce. Teraz inny nastał wiek, inne wyobrażenia. Umysł i dusza czego innego niż jęków miłosnych szukają. Vaukluza zestarzała, uroki jéj zwiędły; każdy, co jeszcze dawną wiedziony rutyną zajrzał teraz do niéj, żałuje swéj podróży; dziś wszyscy śpieszą do klasztoru Kartuzów by unosić się nad pięknością dzikiéj pustyni Swiętego Brunona.

I ja téż od téj świętobliwéj pielgrzymki moją południową zaczęłam podróż.

Kto zwiedzał paryzkie muzeum w Luwrze, musi umieć na pamięć życie Świętego Brunona, pędzlem Lessnera uwiecznione.

Urodzony w Kolonji, ze znakomitego szczepu, w Paryżu i Reims pobierał nauki a w nich się odznaczał. Osiągłszy późniéj wysokie kościoła dostojeństwa, otoczony znaczenia blaskiem, tyle w pośród niego nawet doznał od świata dotkliwych dla duszy boleści, iż zarzekając się na zawsze wszelkich zaszczytów, skrył się przed niemi i ich hałwochwalczemi czcicielami.

Lecz nie tak to łatwo, jak się zdaje, skryć się przed ścigającą zawiścią: Brunon już obnażon z dostatków i przepychów świata, miał jeszcze bogatszą duszę, wyższy od innych umysł i pojęcie.

(1) Alpes Maritimae—Alpes Cottiae—Alpes Grajae—Alpes Penninae—Alpes Leptinae—Alpes Raeticae—Alpes Carnicae—Alpes Juliae.— Alpes Noricae.

(2) Ob. Miasta, Góry i Doliny, Tom II. Str. 119.

Schroniony w wiejskiém ustroniu w okolicy *Langres*, przekonał się niebawnie, iż nie dość jeszcze daleko, nie dość głęboko te swéj natury przywary zagrzebał. Przywary czy skarby, któreby rad był zapewne razem z innemi dostatkami swemi przekazać tym, co mu je z zazdrości goryczą okupywać zmuszali.

Dowiedziawszy się iż w okolicach Grenobli, Alpy kryją w swém łonie miejsce dzikie i puste, gdzie przez skały, urwiska i łomy żadna jeszcze stopa ludzka przejść nie zdołała, poprosił właściciela o pozwolenie zaniesienia tam swéj wzdętéj duszy, swego obolałego serca.

Właścicielem tym był Hugo biskup grenoblski, niegdyś uczeń Brunona.

Hugo uśmiechnął się na to dość na pozór dziwaczne żądanie, a przekonany iż ta pustynia nie może ani jemu ani nikomu żadnéj przynosić korzyści, darował mu ją na zawsze.

Tam, w środku na sterczącéj opoki ramieniu, z kąd oko w głęboką sięga przepaść, pokazują kaplicę dotąd Świętego Brunona noszącą imie. Tam pierwotnie stał i szałas jego, ten szałas na który złociste zamienił pałace. Lecz gdy późniéj rozgłos tego świętego schronienia, tego dobrowolnego ex-kanclerza Kapituły reimskiéj wygnania, sprowadził mu kilku naśladowców, a ci oświadczyli szczerą chęć podzielenia jego samotności, jego dumającego i bogobojnego życia, powstała nieco poniżéj mała osada, która naturalnie przybrała od razu jakąś zakonną cechę.

Zakonnicy ci, bez żadnéj jeszcze reguły, niemogli wszakże saméj się wyłącznie poświęcać modlitwie. Acz w najskromniejszych wymiarach określając życia swego potrzeby, musieli wszelako przemyślać o sposobie zaspokojenia ich, a zerwawszy zupełnie ze światem, ze swéj dzikiéj zmuszeni byli wydobywać je pustyni. Zaczęto od trzebienia, kopania, budowania; wkrótce przemysł i praca potrzebą wywołana, kilku fabrykom początek dały.

Lecz gdy następnie zgromadzenie to ludzi zniechęconych światem coraz się zwiększało, gdy razem z niemi przybywały dary, zapisy i większe dostatki, a zimy jednéj sroższéj od innych, śnieg wszystkie pierwotnych zakonników lepianki od razu zasypał, Święty Brunon postanowił, nie opuszczając swéj pustyni, założyć wpośród niéj dużą budowę, bezpieczną przeciw podobnym zimy kaprysom, lecz ze wszystkiemi srogiego zakonu warunkami.

Tak w roku 1084 wzniósł się dotąd stojący klasztor kartuzów, i nazwany został *la Grande Chartreuse.*

Zakon ten bardzo zrazu kwitnący, uległ następnie rozmaitym nieszczęścia kolejom. Wygnany podczas rewolucyi 1789 roku, wrócił późniéj

do gniazda swego, lecz już na zawsze większą część dochodów postradał. Przełożony jego pozostał jednak przy swym przywileju zwierzchnictwa nad wszystkiemi kartuzów zakonami, w jakim bądź znajdujących się kraju.

Kto chce to miejsce, ten klasztor zwiedzać, musi o trzy godzin drogi, w wiosce zwanéj *Saint Laurent du pont*, rozstać się z powozem a opatrzyć się w muły.

Ze wszystkich sposobów podróżowania, mułowa jazda jest bez wątpienia najnieprzyjemniejsza. Szczęściem iż niebawnie uwaga czém inném zajęta o niewygodach podróży zapomnieć pozwala.

Zaledwo się bowiem opuściło bramy *Saint Laurent du pont*, zaledwo się zaczęło wyrzekać na twardy chód leniwego muła, gdy szum spadającego hucznie potoku wszelkie głuszy skargi. Jest to potok *Le Guiers* zwany. Spada z wysokiéj skały, obok jakiejś zbutwiałéj budowy. Ta budowa niegdyś żelazna fabryka, swą starością teraz piękna, ma u stóp trzy także dość stare mosty. Z nich dwa za wodociągi potokowi służą. Po nich to pieniąc się i szumiąc, *Le Guiers* w głęboką wpada przepaść i wkrótce już tylko jakby gęsty dym z rozbitych o skaliste boki wód po sobie zostawia.

Piérwszy to obraz malowniczy i okazały.

Daléj, droga, czyli raczéj ścieżka, ciągle nad tym głębokim wąwozem zawieszona, z przeciwnéj strony o wysoką opiera się opokę, a przed sobą jeszcze ma skały i wąwozy. Oko się jakiś czas bawi mierząc wzniosłość skalistéj ściany, to znów szukając na dnie przepaści pienistych fal co je tak szumnie zrazu powitały. Ale skał wymiary nieraz pod gęstemi kryją się krzewy, a bystry potok, w skromny już zmieniony strumyk, uciszoném mruczeniem, raczéj do miłego dumania niż do podziwu zniewala.

Natura ta, dość piękna i dzika, niema wszakże jeszcze kolosalnych zarysów Alp Szwajcarskich, ani téż obudza tych wielkich wrażeń co duszą wstrząsają, serce przenikają dreszczem. Wiedząc że się w alpejskie panowanie wkroczyło, czegoś wspanialszego się oczekiwało. Trzeba do tego dodać wszystkie płomieniste uniesienia nad szczytnością téj niezrównanéj przyrody, jakie nieraz od francuzów słyszałam, gdy mi kraju swego wyliczali piękności, oraz samą nazwę *pustyni* która już jakiejś wielkości wyobrażenie rodzi, by ocenić zawodu mego uczucie.

Lecz *zawód* nie jest dla mnie nowością — są może szczęśliwi, których on zadziwia lub gniewa — w życiu mojém stał się rzeczą codzienną, jakby do warunków jego należącą; tak, iż niegdyś wyrzekłam, że ży

cie jest tylko zawodów pasmem, i dotąd nieodwołuję bynajmniej zdania tego.

Tu mię zaś czekała rzecz daleko dla mnie rzadsza, bo przyjemność a do tego *niespodziewana*.

Gdy się ku końcowi września wybierałam do *Grande Chartreuse*, straszono mię tam zimném, śniegiem, lawinami, całą srogością zwykle wczesnéj w górach a tak niemiłéj pory roku. Tymczasem znalazłam tam ciepłe słońce i najpiękniejszą wiosnę; a zamiast śniegu, pełno majowych kwiatów. Drzewa ani jednego nie były straciły liścia, a mech i trawa najświéższą swą miały zieloność.

Ale ta zieloność, te majowe szaty pozbawiały do reszty ową pustynię tego charakteru dzikiéj surowości, jakiego jéj właśnie brakło.

Podstawą piękności jest harmonja. Do rysów wyrazu strój i barwy muszą iść w pomoc, inaczéj im szkodzą.

Znałam niegdyś w Paryżu zawołaną włoską piękność. Była wysoka, chuda, śniada i blada; rysy miała ściągłe i wydatne; włosy jak węgiel czarne, oczy duże, bystre i mocno roztwarte. Zwykle albo zupełnie w bieli lub całkiem czarno się ubierała, ze srebrną gierlandą we włosach. Gdy weszła, wszystkie oczy na nią się zwróciły; nikt piękności jéj nie przeczył, lecz dziwiono się zwykle doborowi tych grobowych kolorów. Ja zaś pewna jestem, iż gdyby w róże i niezapominajki jak pasterka się ustroiła, raczéjby się śmieszną niż piękną wydawała. Niktby może na nią nie spójrzał, ani się domyślił że może słynąć pięknością.

Otóż i dla wyrazu téj zbyt wówczas kwiecistéj pustyni, chciałabym zimowego całunu powłoki, lub przynajmniéj niechby się martwym jesieni liściem przyćmiła; zamiast lubego ptaszków gwaru, niechbym wycie wichrów w jéj usłyszała jaskiniach, a wówczasby może sprawiła wrażenie jakiego wjeżdżając do pustyni spodziewać się należy, jakiego w miejscu dzikiém i odludném dusza pragnie i szuka.

Tak to, rzekłam sobie, te niespodzianéj wiosny roskosze pomnażają przykrości pierwotnego zawodu mego!.... a rzuciwszy w wąwoz akwilegie i kampanule chciwie zrazu zerwane, zaczęłam znów na muła mego wyrzekać, gdy jakaś ruina na poprzek drogi rzucona, myśli me w inną zwróciła stronę.

Była to ogromna jakby skały bryła, a w niéj wydrążony otwór; były to reszty jakby warownéj bramy, niegdyś ostatni zakonnego obwodu kraniec. Widać tam jeszcze zabytki mieszkania stróżów; widać iż brama miała żelazne podwoje, łańcuchy i rygle.

Teraz to wszystko stoi otworem i pustką!.. Lecz któż pod tém starém przejedzie sklepieniem nie wspomniawszy, iż są tacy co raz pod niém

przeszedłszy już nie wrócą nigdy.... iż te sklepienia słyszą ich ostatnie pożegnania ze światem i wszystkiemi ułudami jego.... iż tam wspomnienie nawet jego uroczych dla wielu ponęt winni zostawiać....

Czy każdy z nich tam je zostawił?.....

Lubo kartuzi już stróżów tam nie mają, a czas i rewolucye obaliły ich bramę, nie zwolniło to wszakże ich ostréj reguły; owszem, w ciasnych klasztoru murach kroki ich zamknęło.

Kartuzów reguła przed trapistami tylko w swéj ustępuje srogości. Przyjmując ją, nietylko nazwiska familji, przyjaciół, wszystkiego słowem co serce zwilża zarzec się muszą, ale nawet mowa, ta wierna przyjaciółka, ta powiernica myśli, mowa nawet jest im wzbroniona.

Najściślejszéj oddani samotności, w dni tylko uroczyste wolno im do wspólnego gromadzić się stołu, a w tych rzadkich dniach bywa czasem godzina w któréj im mówić wolno. Inaczéj każdy w swéj celi chudą swą odbiera całodniową porcyą (z któréj w dni postne mleczywo nawet odjęte). Rozmyślanie i modlitwa jedyném zajęciem, jedyną ich rozrywką, jak prywacye roskoszą.

Gdy kto dla zwiedzania klasztoru przybywa, przełożony tylko do niego wychodzi i rozmawia, dając wszelkie żądane objaśnienia; lecz inni zakonnicy się nie pokazują. Objad tam nawet, niegdyś darmo, teraz gdy dochody klasztoru zeszczuplały, za małém wynagrodzeniem podróżny otrzymać może; wprawdzie postny, gdyż tameczna kuchnia mięsa nieznа. Ma się rozumiéć, iż mówi się tu o mężczyznach. Żadna bowiem kobiéca stopa tych nie przeszła progów.

O wszystkich tych szczegółach dowiedziałam się z małéj książeczki, rodzaj albomu z widokami i opisem miejsca, którą w *St. Laurent du pont* najmując muły, za dwa franki sprzedają. A przewodnik mój zapewnił iż niedaleko klasztoru znajduje się wygodna dla kobiet gospoda.

Zajęta tym opisem, a jeszcze bardziéj myślami jakie widok staréj bramy we mnie obudził, zaledwiem była chwiejące jéj przekroczyła stopnie, gdy odgłos pobożnego dzwonu, obiwszy się o skały a ginąc między świrkami, trafił do uszu, do duszy mojéj, doskonale mym marzeniom wtórując.

W takiém usposobieniu, wpiąwszy się jeszcze na parę stromych krzemieniem pokrytych gór, (bo *la Grande Chartreuse* leży o 981 francuzkich metrów nad powierzchnią morza) ujrzałam w końcu zieloną dolinę, a w pośród niéj szeroki bielący się klasztor. Gmach ten tak wysokim opasany murem, iż zaledwo wierzchołki klasztornych dachów sterczą nad nim, ciężkiemi ordzewiałemi zamknięty jest drzwiami. Przed tém prawie zawsze zamkniętém wéjściem, wysoki, drewniany wznosi się krzyż.

Prócz klasztoru i krzyża, nic tam więcéj niewidać.

Przez kilka godzin między skałami ścieśnione oko, szczęśliwe iż tam więcéj znajduje przestrzeni, więcéj nieba i ziemi, aleby daremnie szukało dalszego dla siebie ujścia. Mała ta równina zdaje się od reszty świata jakby z umysłu odgraniczona całkiem, wysokim wałem świerkami najeżonych skał. Wzrok się cofa przed tym szańcem natury; a myśl zamknięta, zwijając się i krępując, w sobie saméj już musi jedynie swych szukać żywiołów.

Szerokie widoki dla młodych poetów tylko są dobre. One roztwierają duszę, rodzą świetne lub mgliste marzenia. Złocista wyobraźnia, lubi sobie dowolnie wpośród nich bujać, lubi tam tworzyć nieznane światy, światy pełne miłości, rozkoszy i szczęścia!....

O któż zechce powstawać na nich! na tych wieszczów, co przynieśli z sobą lepszego życia pamięć czy przeczucie! Lecz po cóż także błąkać się z niemi po ich urojonych przestworach. Po tych krajach tak niestety! dalekich od ścigającéj nas rzeczywistości, któréj rzetelnym, ostatnim na téj ziemi wyrazem zawsze — boleść i proch. — Czyż dla dodania późniéj cierpkości dość i tak już cierpkiéj nauce życia?... a jeśli kto chce Twórcę w dziełach Jego wielbić, temu dość kwiatka na drzewie, dość oku niedościgłego robaczka w tym kwiatku! Ręka Jego równie w nich jest wielką, niepojętą, jak w Oceanu niezgłębionych falach, jak w ognistych Wezuwiusza wnętrznościach lub w gwiaździstéj nieba kopule. Boga wszędzie znajdzie, kto go ma w swéj duszy. Inaczéj wszystkie firmamentu cuda, będą mu nieme na zawsze.

Mimo ciężkich klasztoru murów, mimo żałobnéj świrków opaski, miejsce to bynajmniéj ponurego nie wznieca uczucia. Cichość wprawdzie największa tam panuje; nikt mię nie przyszedł zapytać czego żądam, ani pies nawet mię niepowitał. Kwiecisty klasztornego przedsionka trawnik, niczyich zdawał się nie znać kroków, tak iż mię wziął skrupuł pierwszéj deptać te trawki, te kwiaty tak swobodnie dotąd swe noszące głowy.

Cała ta dolina, wygląda jakby jakiś cmentarz, gdzie się skończył wszystek ruch świata i to wszystko co w nim zwykle życiem zowiemy. Zdawało mi się iż pod jéj zieloną trawą, pod temi kwiaty, wszystkie boleści, wszystkie namiętności serca ludzkiego, w głębokim śnie pogrążyły się. Lecz to bynajmniéj nieprzerażało ani wstrząsało méj duszy; przeciwnie, ogarniało ją tym uroczystym spokojem, jaki tam wszędzie rozlany się zdaje.

Spocząwszy nieco pod krzyżem, znużona upałem i drogą, zaczęłam szukać owego nam kobiétom przeznaczonego schronienia; a spostrzegłszy o podal dach jakiś, ku niemu zwróciłam me kroki.

Była to istotnie obiecana gospoda, lecz i w niéj nie znalazłam nikogo. Drzwi z wejścia otwarte były, nie ręczę nawet czy tam były drzwi jakie. — W pierwszéj izbie stał po środku stół, grubém lecz czystém zasłany pokryciem; w rogu szafa z domowemi sprzętami. Daléj rodzaj koryfarza, z którego na prawo i lewo gościnne gabinety z łóżkami i pościelą. Wszystko gotowe i schludne, lecz wszędzie samotność i milczenie. Dwa tylko żółte motyle na szybie igrały, a pod belką pszczoła brzęczała.

Przed domem stała pod oknem ławka, a przed nią z kawałka opoki sączyło się źródło. To spadając w małą, swą własną siłą wydrążoną kotlinę, tworzyło jakieś szczególne mruczenie, metodycznie wznoszące się i ucichające, doskonale z całym harmonizujące obrazem.

Usiadłam na ławce, a czekając czy się kto w końcu nie okaże, wydobyłam z worka od przypadku wziętą książkę.

Była to jakaś nowa paryzka broszura przeciw panu *Guizot* z całą zawziętością stronnictwa napisana. W każdém jéj słowie, przebijały się drobne i nędzne towarzyskie żywiołki, które mi się w téj chwili jeszcze nędzniejszemi wydały; oczywistym zaś całego pisma celem było odebranie ministrowi miejsca, przy którém władza i pieniądze.

Broszura ta obok klasztoru kartuzów wydała mi się najnieznośniejszą anomalją. Ci co w tych murach mieszkają pewnoby ani jednego słowa z niéj nie zrozumieli, jak wzajemnie, ten co ją pisał niezrozumiałby ich pobożnych hymnów. Były to dwa języki daleko się bardziéj różniące niż hebrajski od francuzkiego. Czytać ją było niepodobieństwem, lecz zamykając natrafiłam na przytoczoną tam myśl pani *Chamforl*, trafniéj może niż miłe wyrażoną: »Ci, rzecze, co się światowemu życiu oddali, mają co ranek ropuchę do przełknięcia (1).”

Ten płaz pewno w ustroniu S. Brunona nieznany, w ustroniu które on obrał, by już niemieć podobnych niesmaków do połykania, otworzył nowe mym marzeniom pole. Myśl moja przebiegając ogromną przestrzeń, od świata ministeryalnéj broszury aż do świata w którym teraz samym oddychałam świętobliwym spokojem, tysiące przybierając kształtów, niewiem jak długo by się jeszcze po tych rozległych obszarach snuła, gdyby nowy dzwonu odgłos, jedyny jaki się tam słyszeć dawał, niebył mię z mego dumania obudził. Podniosłam głowę i postrzegłam przed sobą już niemłodą kobietę.

(1) Ceux qui se vouent a la vie du grand monde, ont tous les jours a avaler un crapaud.

Była to gospodyni, z głębi swego ogródka przybyła, gdzie, jak mówiła, sen był ją zmorzył.

Łatwo się domyśléć, iż pierwszém mém pytaniem było, czyby niemożna jakim sposobem wnętrze klasztoru i mnichów zobaczyć.

— »O nie, rzekła, to jest dla kobiet niepodobieństwem. Ja com jeszcze z matką, młodą dziewczyną tu przybyła — tu poszłam za mąż i owdowiałam, — nigdy za klasztornym nie byłam murem, ani z żadnym kartuzem nie mówiłam. Lecz mój mąż który był ich stróżem i inni podróżni powiadają, iż tam nic ciekawego do widzenia niema. Zwyczajnie refektarz, cele, kaplica, krucyfix i obraz Matki Boskiéj, to wszystko co im potrzebne, a co w każdym innym klasztorze łatwiéj widzieć można. Przed kilką czy kilkonastą laty, mówiła daléj, przyjechała tu jakaś wielka pani, mówiono że jakaś królowa, i musiała być królową bo tyle miała z sobą ludzi, iż gospoda moja pomieścić ich niemogła, a gdy koniecznie klasztor widzieć pragnęła, ksiądz prowincyał, po niejakich sporach, otworzyć jéj furtę kazał. Ale źle biedak na tém wyszedł. Kapituła przykładnie go za to ukarać i z zakonu oddalić kazała. Teraz już zapewne żadnéj więcéj królowéj tam nie puszczą."

Chciałam się dowiedzieć jaka to była królowa a przynajmniéj w jakim się to trafiło roku? Ale mię gospodyni tych objaśnień dać nie mogła. — »O nazwisku żadnéj królowéj niewiem, mówiła ze swym spokojnym wyrazem, a kalendarza nie kupuję, bo na cóż by mi się przydał. Dla mnie jutro jak wczoraj, zupełnie takież same, a jak wybije ostatnia godzina, to też wszystko mi jedno będzie, czy to w tym lub owym roku."

Ma słuszność, pomyślałam. W ostatniéj chwili, wszystko co ją poprzedziło, musi się jedną snu wydawać chwilą. O pocóż się tak strasznie o to wszystko troszczyć!....

W dalszéj rozmowie, wyznała mi poczciwa kobiecina, iż niedawno przypadkiem się dowiedziała od zwiedzających to miejsce o zmianie dynastyi we Francyi. Myślała przedtém iż zostaje pod panowaniem Karola X, którego bardzo kochała, i jak najgorliwiéj modliła się za króla swego. A gdy wymawiała późniéj synowi (który był po ojcu urząd stróża klasztornego odziedziczył) dla czego ją nie ostrzegł o téj zmianie, on zaręczył, iż i w klasztorze nic o niéj niewiedzą. — «I cóż dziwnego, rzekła daléj, oni gazet nie czytują i wizyt nie przyjmują; a wreście kiedy ich ci nowi królowie nie kłopoczą, pokój im dają, to im to wszystko jedno."

To wyznanie jeszcze rozprzestrzeniło odległość tych dwóch tak odmiennych światów, jakie mi się przed rozmową z gospodynią już przed-

stawiły — Thebaidy z krzyżem Zbawiciela, i Paryża z bursą, i co miesiąc obalanem Ministerium.

Dowiedziałam się w końcu, iż wszedłszy na jedną z tych gór co się nad klasztorem piętrzą, można dokładnie widzieć całe rozporządzenie wnętrznéj jego budowy, i tam się udałam.

Był to długi szereg małych domeczków. Każdy z nich miał z jednéj strony rodzaj szyi, zapewne korytarz łączący go z główną budową; z przeciwnéj, wyjście do małego ogródka. Widać iż każdy mnich zamiast celi, osobny miał swój domek z wyłącznym ogródkiem.

Długi czas żadnego tam ruchu, nigdzie nikogo widać nie było, jakby i tam wszystko także spało. Lecz przypomniawszy nie dawno słyszany dzwon, domyśliłam się, iż musi być nieszporna godzina. Jakoż niebawnie z głównych drzwi, które muszą być kościelném wyjściem, długie, białe ujrzałam mnichów habity.

Jedni się ku swym zwrócili ogródkom i w cieniu usiedli, przypatrując się to niebu to kwiatom, drudzy po głównym dziedzińcu powolnym przechadzali się krokiem. Każdy z osobna, bo gdy rozmawiać nie można, pocóż chodzić razem?

Jedni mieli czoło ocienione kapturem, którego biały kolor prawie się od bladości lica ich nie różnił, drudzy z odkrytą chodzili głową, na któréj, dla pamiątki cierniowéj Jezusa korony, małą opaskę włosów zostawiono.

Lecz oni nie zdawali się czuć cierni korony swojéj. Największa swoboda, najzupełniejsze zadowolenie głównym było każdego z nich wyrazem. Zdawali się niczego nie żałować, niczém się nie trwożyć, i o nic się mocno nie troszczyć. Zdawali się nosić w sobie przekonanie, iż to czego żądają ominąć ich nie może, a nic im więcéj potrzeba nie było. Nie jest że to najwyższym stopniem szczęścia, w tém doczesném życiu?

Zamiast obuwia, drewniane trepki nogi ich od krzemienia chroniły; oczy ku ziemi z pokorą spuszczone, a ręce na piersiach w szerokich kryli rękawach. Lecz bose ich nogi już zdeptały te wszystkie światowe bożyszcza, przed któremi inni czołem biją, tę całą mamonę, któréj wielu życie i sumienie poświęca, ich spuszczone oczy od dawna zmierzyły całą nicość wszech rzeczy świata tego, a ręka co już tylko krzyż teraz na piersiach kréśli, pierwéj zerwała tę główną a tak silną światowego życia sprężynę dumy, pychy i ich matki próżności, tę sprężynę na któréj się obracają rozliczne koła jéj szychowéj świątyni.

A jakżeby w pośród teraźniejszego nadziemskiego tych wybranych życia, próżność żyć mogła? ona co się ciągle w około siebie ogląda, by

się z innemi porównać, wyżéj się nad innych wzdymać, by dostrzedz jakiém na nią patrzą okiem, by jaki bądź usłyszéć oklask dla siebie? a z kądże tam wziąść tych *innych* kiedy tam już o nich zapomniano całkiem? z kąd tych wejrzeń pochlebnych, kiedy tam wzrok ku niebu jedynie zwrócony? z kąd tych oklasków, kiedy tam prócz dzwonu nic powietrzem nie wstrząsa? O tak! tam jest grób *próżności*, i dla tego przedsmak rajskiego spokoju w samém powietrzu, co się nad nim wznosi, zakosztować można.

Długo, o długo patrzałam w tę murem od świata osłoniętą małą przestrzeń. Zdawało mi się czasem patrząc na te białe postacie, iż widzę cienie błogosławionych po elizejskich snujące się polach; to znów oczy wznosiłam czy nie ujrzę nad niemi jakiego choru aniołów..... Czasem myślałam iż tak się w nich wpatrując zrozumiem wieczność i przyszłe przeznaczenie nasze. . . . . .

. . . . . .

Gdyby to była kobiéca klauzura, nie ręczę czy obalające się staréj bramy gruzy, byłyby mię na powrót ujrzały. . . . . .

. . . . . .

II.

GÓRA BIAŁA I RÓŻOWA. — GENEWA. — LEMAN I RODAN. — ROUSSEAU I VOLTAIRE.

Po tém preludium, z duszą w tak minorowych nastrojoną tonach, należało mi się jednym tchem, balonem polecieć do Rzymu i wysiąść w świętego Piotra przedsionku.

Tymczasem wiatr mię w inną poniósł stronę. Zamiast bogatéj króla kościołów kopuły (1), śnieżną kopułę Alp królowéj powitałam. Mówię tu o górze Białéj (le Mont Blanc).

Wiadomo iż dotąd Górę Białą poczytywano za najwyższą. Wznosi się ona bowiem o 14,760 stóp nad powierzchnią morza, a obwodu jéj dają 68 francuzkich mil.

Długi czas ta dumna białogłowa, w swéj zimowéj obwiniona szubie, z lodowatym u stóp szańcem (2), nikomu niedozwalała do siebie przystępu. Długi czas daremne, nieraz życiem okupione były w téj mierze usiłowania. Lecz w końcu, ludzie dla których przeciwności są bodźcem, zdołali i tę srogę przyrody twierdzę zdobyć. W r. 1787 po raz pierwszy, a odtąd już kilkanaście razy dosięgnięto jéj szczytu.

(1) Kopuła Śgo Piotra jest wewnątrz pokryta mozaiką na tle złotém.

(2) U Stop Góry Białéj jest dolina Chamnny w któréj tak zwane morze z lodu (la mer de glace) się znajduje.

Wyprawa ta jednakże zawsze niebezpieczeństw pełna, uważana jest przez podróżujących za pewien rodzaj sławy, o którą wielu mianowicie anglików jeszcze się ubiega.

W 1834 roku, hrabia de Tilly, obie nogi w niéj z mrozu postradał. Co jednak nie odstraszyło pewną kobietę, a za nią kilku jeszcze innych. Ta piérwsza bohaterka, tak dalece tę swą ceniła zuchwałość, iż dla uwiecznienia jéj sławy dodała przydomek do nazwiska swego; i tak Marya Coulet, wróciwszy ze swéj podróży, kazała się nazywać Maryą z góry Białéj (Marie du Mont Blanc).

Wyprawa ta zabiera tylko godzin siedmnaście; lecz koniecznie najpiękniejszéj wymaga pogody, zupełnéj ciszy. Ta zaś jest tak na Górze Białéj rzadką, iż podróżujący, po kilka tygodni w Chamuny czatować na nią muszą. Nieraz się także trafia, iż potém zacząwszy pielgrzymkę, gdy się wiatr raptownie zerwie, z połowy drogi wracają, nauczeni już kilku smutnemi wypadkami. Kilka razy już się bowiem zdarzało iż tacy którzy chcąc wytrwałości dać dowód, uporczywie z przeciwnościami walczyli, w oka mgnieniu zasypani z góry lecącym śniegiem, nigdy już niewrócili więcéj.

Jedni mówią, iż ztamtąd aż Srodziemne morze dojrzeć się daje, drudzy wyznają, iż nic prócz śniegu i chmur z wierzchołka góry białéj niewidzieli. To drugie wyznanie, acz bynajmniéj nieusprawiedliwiające tylu poniesionych niebezpieczeństw i trudów, tém samém jeszcze bardziéj zdaje się na wiarę zasługiwać.

Co do mnie, szczerze wyznam, iż bynajmniéj nierozumiem tego zapału co tam prowadzi, ani też nie umiem dość wysoko ocenić w tych zwycięztwach zyskanych wawrzynów.

Z piérwszym, który zaprzysiągł bądź co bądź w te zupełnie ludziom nieznane krańce się przedrzeć, i pierwszy na tym głazie, (a choćby i na lodzie, ale zawsze *pierwszy*) swe wyryć imie, możebym ciekawa była moje połączyć kroki, moje obok niego imie zapisać, a wróciwszy pierwsza powiedzieć światu, jakie w swém łonie tajemnice kryje. Ale teraz.... teraz tysiąc razy wolę w cieniu zielonego gaju, lub przy żarzącym się kominku, czytać tych pielgrzymów opisy, podzielać nawet ich trwogę, gdy śnieg już wyżéj kolan im dochodził, gdy całkiem skrzepli, pod zmęczeniem upadali, niż sama te wszystkie znosić trudy, dla powiedzenia potem iż byłam na Białéj Górze i widziałam na niéj.... śnieg i chmury już tyle razy widziane!.

Są zapewne dusze młode, nadmiarem życia przepełnione, dla których każda walka jest powabem, każde zwycięztwo roskoszą; ale jakaż szkoda na tak małe cele, takie szafować przyrody swéj skarby. Bardzo

być musi uboga w chwały epoka, w której o podobną ubiegają się chwałę! Walczyć z żywiołami natury, gdy dalszych, większych niema w tém widoków, nie jest waleczności dowodem, jako też odniesione nad niemi zwycięztwo, można tylko za przyjazny traf policzyć. Odwrotnie wziąwszy to twierdzenie, znajdziemy jego dowód w Napoleonie i wojnie 1812 roku.

Na nieszczęście tych Białéj Góry zapalonych miłośników, znaleźli się teraz uczeni, którzy zaprzeczają jéj piérwszeństwa, dowodząc, iż Góra Różowa (le Mont Rose) o 240 stóp jest wyższą! Pan *Saussure* i *Welden*, obszerne o wszystkich téj ostatniéj góry zaletach wydali dzieła. Te jednak dotąd niezdołały całkiem zagłuszyć odwiecznéj Białéj Góry sławy. Są tacy, szczęśliwsi odemnie, którzy z Lugdunu już wierzchołek jéj podziwiają. Ja w Lugdunie byłam i na wszystkie oglądałam się strony, lecz w téj gdzie się Góra Biała wznosi, widziałam tylko przestrzeń, niebo, chmury, i nic więcéj!

Pierwszy raz na prawdę ujrzałam ją z Genewy. Tam ona z jednéj strony poważnie widokrąg zamyka, a gdy mglistą swą zrzuci zasłonę, prześlicznie swe białe rysy na lazurze nieba odkreśla.

Góra Biała z tamtąd prawdziwie malowniczą ma postać, a mimo swéj srogości, bynajmniéj nie ćmi pogodnego Genewy wejrzenia.

Nieznam weselszego położenia jak położenie Genewy. Mówię ci to, Antosiu, by usunąć mylne mniemanie, iż co tylko do alpejskiego wciela się królestwa, musi być koniecznie ostre i posępne. Wreście prócz tego Alp odcienia, gdy się słyszy o téj kalwińskiéj metropoli, o téj stolicy, kolebce tylu filozofów i mędrców, wyborem tylu poetów, historyków, i literatów wsławionéj, tworzy się mimo wiedzy obraz pełen powagi, surowéj szczytności, obraz niby trochę do Rzymu podobny, a zupełnie przeciwległy prawdzie.

Genewa nie przywodzi bynajmniéj na myśl, ani Kalwina, ani filozofa z pudrowaną jak Voltaire peruką, ani téż na wiatr puszczonych Byrona włosów. Genewa? — jest to miła, płocha a uprzejma kobiétka, z tych elegantek jakich pokolenie przed kilkunastą panowało laty, jakich resztki może i dziś jeszcze gdzie niegdzie napotkać by się dały; co to w niedbałym stroju, leniwie na miękkiém spoczywając posłaniu, w dużém zwierciadle ciekawie obliczają i podziwiają swe wdzięki. To sławne jéj jezioro, ten romansowy Leman, nie jest niczém inném jak prześliczném zwierciadłem, a zielone wzgórza pełne bielących się z czerwonemi dachami wiosek, willów i domków, tworzą dlań ramy doskonale przypominające te, które teraz zowią *rokoko*, gdzie perły i korale na aksamitném tle się odbijają.

Że *Rousseau* pośród téj lubieżnéj przyrody umieścił główną swéj Heloizy scenę, najstosowniejszą to rzeczą; lecz że *Byron* swój mglisty wzrok na nią zwrócił, że w niéj dla swych chmurnych poezyi, szczytnych szukał

natchnień, to będzie na zawsze dla mnie zadziwienia przedmiotem. Jakoż, oglądając Chateau-Chillon, ten zamek, który w poemacie jego przybiéra olbrzymie kształty, należące do nadreńskich ruin, już tylko duchami teraz nawiedzanych, przekonać się łatwo można iż w sobie jedynie musiał swe obrazy tworzyć, iż w nich wyobraźnia poety daleko większy niż istniejąca prawda udział miała. Jest to wreście od dawna przyznanym wieszczom przywilejem.

Leman bezwątpienia do głównych ozdób, do głównych roskoszy Genewy należy. Tysiące poznawszy jezior, nikt mu pierwszeństwa nie odmówi. Wody jego tak przejrzyste, tak szafirowe jak neapolitańskie niebo, dla tych co tego nie znają nieba, może tylko do najpiękniéjszego czeskiego tegoż koloru kryształu być porównanem.

Lecz oko ani przed ogromem jego, ani przed brzegami niezdumieje. Lądem w kilka godzin cały obwód obiedz można, a codzień, ładny, parowy statek długość jego daleko jeszcze prędzéj przecina.... Ale porąc ten lazurowy kryształ, niepodobna od niego wzroku oderwać; jakaś lubość ogarnia serce, jakaś nieznana rozkosz je napawa!

Z tak jednak rozkołysaną duszą, gdy przyjdą ostrzedz, że się około sławnéj *la Mellerie* płynie, gdy się na nią zwróci uwaga, wspomniawszy na ten list St. Preux, gdzie mówi:

«La rive est profonde, la roche est escarpée!"

Niepodobna w téj miłosnéj pogróżce nieznaleść przesady.

Niewiem wjakim stanie, za czasów Roussa była ta skała; tak ona jak i inne znaną powieścią jego (1) wsławione miejsca, musiały zapewne wielkiéj uledz zmianie. Teraz la Mellerie niewzbudza wcale samobójczych pomysłów, tak jak Clarens i Vevay miłe i schludne są tylko sobie wioseczki i nic więcéj.

Nad Vevay, publiczny gościniec, wężem pnąc się na górę, we wszystkich swoich zwrotach bardzo ładne odsłania na jezioro i Genewę widoki. Lecz i te widoki otwarte, pełne zieloności i słońca, raczéj by mogły pobudzić do codziennéj, do téj, że tak nazwę, salonowéj miłości, co to dziś Zofii, jutro Annie z bukietem róży się ofiaruje, niż do głębokiéj, zapamiętałéj St. Preux namiętności.

Prócz swego cudnego jeziora, ma jeszcze Genewa równie cudną swą rzekę. Rodan którego w Lugdunie widziałam smutno i leniwie na płaskich drzymiącego brzegach, tu bałwanem swe gryszpanowe toczy fale; jakby szalony potok ze spokojnego jeziora wytryska, igra i skacze, szumem i życiem napełniając swe brzegi.

(1) La nouvelle Heloise.

Widok tego gryszpanowego Rodanu, obok lazurowéj Lemanu powierzchni, téj szumiącéj i pryskającéj rzeki obok spokojnego jeziora, jest pełen wdzięku, można mówić uroczego wdzięku. Tu Elsler i Cerito a nie Rousseau i Necker powinny były się zrodzić, tu tylko śpiewać i tańcować, a nie dumać, zgłębiać lub spiski knować należy.

Bo trzeba przypomnieć iż Genewa była już także nieraz rozmaitych tajnych towarzystw siedliskiem. Tam to i biedny Andrianne, lekkomyślnie w jedno z nich wciągniony, długiem a srogiem więzieniem, musiał późniéj płochość swą okupić.

Dopiero w inną stronę zwróciwszy kroki, wszedłszy w kręte, ciasne, ponure, starego miasta uliczki, pojąć można, iż tam mędrcy, w ciemnych przeszłości tajniach nurtować usiłowali, że tam rozmyślano, albo też ostrzono sztylety. Lecz te uliczki, wszystkie z dołu na stromą idące górę, utrudzają, a brukiem kolącym, brakiem przestrzeni, powietrza i światła, o tyle odpychają od siebie ile brzegi jeziora i rzeki wabią i nęcą.

Tu w połączeniu tych dwóch tak odmiennych sobie wód, Rodan dwa wyciąga ramiona, by objąć niemi małą wysepkę; a ta świéża i cała zielona wysepka, jak szmaragdowy klejnocik w srebro oprawny, z pośród tych wód przymila się oku. Cieńki i lekki mostek, pod każdym drżący krokiem, z miastem ją łączy; a sam dzieląc się na trzy jeszcze delikatniejsze pręty, wygląda jakby łańcuszek do swego uczepiony klejnotu, gotów do tualety ładnéj swéj pani; lub jakby godło jednéj z głównych handlu jéj gałęzi. Wiadomo iż Genewa razem z zegarkami, złotniczemi także wyrobami Europę zasypuje.

W pośród téj wysepki, w cieniu topoli i woniejących krzewów, stoi a raczéj siedzi, duży spiżowy posąg genewskiego filozofa. Jest to dzieło Pradiera, zbyt ciężkie, zbyt poważne, zbyt ponure na miejsce w którém je umieszczono.

Tamto, w około tego pomnika, raz do roku, niewiem czy w rocznicę urodzenia czy zejścia Russa, współrodacy uroczyście pamięć jego obchodzą. Pomnik i cała wyspa, pełne wówczas kwiatów i wieńców, wieczorem illuminacya, muzyka, ody i kantaty.

Nieszczęśliwy ten człowiek, gdy po ogłoszeniu swego sławnego dzieła *le Contrat Social*, wygnany był z Francyi, daremnie błagał swéj ojczyzny o schronienie, którego obcym nawet nigdy nieodmawiała! Późniéj ostatnią nędzą przyciśniony, dręczony obawą nienawiści i spisków na siebie knowanych, po wszystkich kątach świata szukał przytułku, teraz dopiero między swojemi odbiera cześć, oniemal bóstwu tylko należną.

Lecz ani nędza, ani ta ojczyzny niewdzięczność, tak w dziejach świata częsta, nie były źródłem nieszczęścia jego. Były one tylko skutkiem

ale nie przyczyną. Nazwałam nieszczęśliwym, dla tego że niema, zda mi się, większéj niedoli jak mieć umysł wyższy nad przeznaczenie swoje, duszę szerszą nad granice tém przeznaczeniem określone; jak być obdarzonym tém orła spójrzeniem, co w wysokim swym locie, od razu zmierzy zbyt ciasną życia swego obręcz w któréj oddychać mu niepodobna, a złamać jéj, zgruchotać nie może! Wszędzie i zawsze mu już źle być musi, bo raz wyskoczywszy z téj obręczy, z tych okowów, co mu pierś uciskały, potężne i dumne jego więziły władze, nigdzie właściwego sobie miejsca nieznajdzie, wszędzie się uczuje nie na swém miejscu. W cieniu nie dość dla siebie znajduje blasku, a blask słońca za nadto światowe niedostatki jego ludziom wykrywa. I tu i tam wszędzie go czeka niesmak i cierpienia.

Taka była i genewskiego filozofa historya.

Gdyby Rousseau zamiast przepisywania na jakich kołach porządek społeczny ma się obracać, mógł był spokojnie, na wzór ojca swego, zegarkowe szlifować kółka (1), potomność i literatura możeby na tém straciły, ale on ani by miłosierdzia niczyjego nie potrzebował, ani wszystkich swych innych doznał boleści. Prawda iżby mu nie ulano spiżowego posągu; ale cóż mu teraz po nim, przebywszy życie w niedoli i cierpieniach.

Chateaubriand twierdzi że to myśl nasza truje szczęście, jakie nam Bóg udziela. »Dusza, mówi, jest swobodną, ale rozum niespokojny!" (2)

Musiał to przeczuć Rousseau, kiedy jakby złym duchem ku naukowéj pchnięty karyerze, otworzył ją sobie, powstając przeciw naukom.

Już oddawna umysł w nim pracował, burzył się i wzdymał, a on się pasując w sobie jeszcze go gnębił, gdy w 1750 r. akademja miasta Dijon podała do konkursu rozwiązanie pytania: »Czy powrót sztuk wyzwolonych i nauk, polepszył obyczaje lub je uszkodził?"

Wówczas niemogąc już dłużéj wytrzymać, porwał Rousseau za pióro, a ostro je przyciąwszy, ze wszystkich stron ranił tę oświatę, te nauki, tych nieprzyjaciół swoich, co mu odebrali spokój i swobodę, a nic mu dać w zamian nie mieli, prócz trochę żółcią zaprawionéj sławy.

W dowodzeniu ile nam oświata jest rzeczą szkodliwą, jak łatwo dowcipem wszystkie jéj nadużycia usprawiedliwić można, tak starożytność

(1) J. J. Rousseau był synem zegarmistrza. Urodził się w Genewie w 1712 r. umarł we Francji, w Ermenonville u P. Girardin, r. 1778. Zwłoki jego złożone są teraz w Panteonie paryzkim.

(2) C'est par la pensée que nous troublons la félicité que Dieu nous donne: l'âme est paisible, l'esprit est inquiet.

Chateubriand,
Voyage en Amerique, en France et en Italie.

jak i własne jego stulecie obfite mu stręczyły przykłady. Umiał on też z nich korzystać: a lubo już 38 lat liczył, wiek gdzie dusza wystygać zaczyna, a wyobraźnia tulić swe skrzydła, zapał jego tak był ognisty, tak mamiący rzucił na styl i na cały tok dzieła odblask, iż od razu w rzędzie najpierwszych postawił go pisarzy.

Rousseau otrzymał konkursową nagrodę. Imie jego w świecie zabrzękło. Lecz ta do sławy droga, która wówczas przysuta laurami, miękką i wygodną mu się wydała, okropnie później miała mu poranić nogi, i serce pokrwawić.

Jeśli wnosić można, iż trafném przeczuciem Rousseau tak długo swój autorski odpychał zawód, mniéj mu przenikliwości przypisać należy, gdy się w nim missyonarzem prawdy ogłosił, gdy jako herb obrał dewizę: »*Vitam impendere vero.*"

Mówić ludziom prawdę! jaka myśl szalona, jakie zuchwalstwo! Jakoż, nieco rozpatrzywszy się w świecie, łatwo zmiarkował, iż mu to przyrzeczenie samo bezkarnie nie ujdzie, iż mu stronić przed zawiścią i kryć się należy. Ta nieprzyjaciół obawa, nie bez przyczyny zrazu obudzona, stała się w końcu rodzajem fixacyi. Na kilka lat przed śmiercią, Rousseau w każdym już widział sprzysiężonego na swą zgubę zdrajcę, ulegał paroksyzmom zupełnego obłąkania.

O ileż wycierpiéć musiało serce, kiedy łzami swéj boleści, zdołało aż zagasić tę iskrzącą pochodnię, ten umysł co tyle rzucił na wszystkie strony światła i blasku!

Lecz zawiść, która do tak smutnego przywiodła go stanu, więcéj zapewne szczytny jego talent ścigała, niż się oburzała surowością ogłoszonéj prawdy. Nie zawsze to ona, niestety! piórem jego surowo kierowała. Rousseau owszem wiele, ach wiele podał światu błędów! a te błędy tém powszechniéj, tém skwapliwiéj przyjęto, iż je wlał w złote swego stylu formy, iż je w świetnych i kwiecistych jego szatach przedstawił. Wiele on obłąkał umysłów: lecz niech mu to będzie przebaczoném! On razem z niemi po swym nadobnym błądził labiryncie, a różową przyświecając im lampą, jemu samemu się niezawodnie zdawało, iż przedmioty na które światło jéj pada, są rzeczywiście różowemi. Niebyłby on tak wymownie pisał, gdyby nie wierzył w to co pisał, i pisma jego nie byłyby tak niebezpiecznemi. Przekonany bowiem tylko posiada przekonywania dar.

Wiele z dzieł jego, (1) gdzie z najprostszych, najgruntowniejszych wychodząc zasad, w rozwinięciu ich i zastosowaniu wpada w swe zwo-

(1) Ob. Emile.

dnicze teorye, czytelnika w nie za sobą wabi i wikła, dostatecznie mogłyby udowodnić, iż obok prostoty serca i wyższości pojęcia, już z natury odebrał szczególne do błądzenia usposobienie, gdyby koniec jego i całe życie, pełne smutnych sprzeczności, niebyły jeszcze większym tego dowodem.

Najpiękniejsze o wdzięczności napisawszy karty, sam szkaradnéj niewdzięczności podaje nam przykład. Na swą najpierwszą dobrodziejkę, co go młodego i bez przytułku miłosiernie do domu przyjęła, później w swych spowiedziach brzydki cień rzuca, bardzo niekorzystnie dla jéj sławy tłómacząc swoje z nią stosunki. (1) Następnie widzim go w szkole katekumenów w Turynie, jakby miał się Kalwina zarzec, a jednak lubo ze wszelkiéj nie wyzuł się wiary, katolikiem nazwać go niepodobna. Gdy w Genewie mają otworzyć teatr, gorliwie przeciw temu powstaje, jako rzeczy obyczajom szkodliwéj (2), przybiera postać surowego moralności obrońcy, a w domowém swém pożyciu najgorsze z téj strony daje przykłady. W końcu napisawszy obszerne i słynne o wychowaniu dzieło (3), wskazawszy ojcom i matkom święte ich obowiązki, własne swe dzieci do podrzutków odsyła.

Wielu też, tego życia pomni, odmawia współczucia, nie pojmuje czci gorszy się hołdami jakie zwłoki jego w pantheonie paryzkim a posąg w Genewie uroczyście odbierają.

Inni dowodzą iż tu pisarza czczą a nie człowieka. Pisma tylko każdego autora, mówią, sądowi publicznemu ulegać winny; prywatne życie jego do nikogo nie należy. »Zgoda: lecz Rousseau, spowiedziami swemi, całą treść życia do literackich dzieł swych wcielił, a podając je publiczności, tém samém, jak i każdy co swe pamiętniki głosi, wyroki jé dla siebie uznał. Ma więc ona prawo z dwóch go względów sądzić. Bo jeżeli niezaprzeczoną i raz na zawsze uznaną jest prawdą, iż publiczności żadne domysły się nie godzą, iż pod objawioną myślą, żadnéj innéj myśli szukać jéj nie wolno, to też co jéj się otwarcie powierza, może za to jako swą własność śmiało uważać.

Lecz jeżeli tak ostro potępiać te wieńce corocznie na wysepkę genewską zanoszone, jak usprawiedliwić, co powiedzieć o tych które dotąd codziennie liczni cudzoziemcy do Ferney (4) zawożą?!.. Tu od roda-

(1) Niektórzy mówią iż nie on ale wydawcy pism jego objawili nazwisko pani Warens, pierwszą tylko literą w rękopismie oznaczone.

(2) Ob. lettre à d'Alembert.

(3) Ob. Emile.

(4) Wieś Voltaira o milę od Genewy położona.

ków, mogą one poniekąd dawnéj niewdzięczności być wynagrodzeniem, ale tam?.....

Voltaire swych pamiętników nam nie zostawił, a lubo wiele wyszło pod tym tytułem książek, te obcém głoszone piórem, pełne fałszów, często potwarzy, lub przesadzonych pochwał, żadnemu zdrowemu zdaniu przewodniczyć nie powinny. (1) Atoli pisma jego są potomności spuścizną. Każdemu wolno na ołtarz je złożyć lub na stos rzucić. Dzieła Voltaira z jedném i z drugiém się znają, co zawsze jest niepospolitéj wyższości dowodem.

Talent Voltaira, bez tego nawet dowodu, tak ogólnie i od tak dawna jest uznany, iżby nikt go niechciał, a może nieśmiał zaprzeczać; i nic dziwnego, iż gdy tylko na firmamencie zajaśniał, huczne oklaski i wszelkie uwielbienia oznaki go powitały. Lecz że ta gwiazda jeszcze nie pobladła, że dotąd dla wielu równie gorliwéj czci jest przedmiotem?.... temu niech będzie wolno nieco się zadziwić.

Powodzenie każdego dzieła, przy zjawieniu się jego, daleko mniéj rzetelnéj wartości jest dowodem, jak sprzyjających mu okoliczności. Oklaski dzisiejsze, nigdy nie są jutrzejszych oklasków rękojmią, i vice versa. Któż tego tysiąc razy w życiu, tak w autorskich jak w innych zawodach, niewidział?

Jako traik, Voltaire na swe nieszczęście przyszedł we Francyi po Cornelu i Racinie; ale w epopei niemiał tam poprzednika i też na Henryadzie swe do nieśmiertelności główne opierał prawa.

Dotąd istniejący w Ferney obraz, o którym poniżéj opowiem, jawnym i niezaprzeczonym tego dowodem.

Wiadomo iż francuzi obcych języków nauczyć się niemogą.

Gdy się Henryada zrodziła, nieznali żadnéj innéj jak swą narodową literaturę, niewiedzieli iż są inne na świecie, nieprzypuszczali, iżby one mogły iść w porównanie z francuzką (2). Możnaby nawet za granicami Francyi, i gdzie obce języki bardziéj niż tam są upowszechnione, znaleźć takie kraje, gdzie wówczas i późniéj jeszcze podobne podzielano mniemanie. Ztąd henryada bez współzalotnicy i długi czas bez żadnego do porównania przedmiotu, sama jako jedyna tronowała Pani. Lecz dziś, gdy z jakich takich tłómaczeń poznano Jerozolimę wyzwoloną, raj utracony i tyle innych prawdziwych epopei, że ona może jeszcze mię-

(1) To co w dziełach Voltaira nosi tytuł *mémoires*, jest paszkwil przeciw Fryderykowi Wielkiemu, napisany po wyjeździe jego z Potsdamu.

(2) Voltaire razem z Henryadą ogłosił rozprawę o epopei, gdzie przebiegając obcych poetów, daje palmę hiszpanowi Ercilla, bardzo mało w ogólności znanemu i cenionemu wieszczowi.

dzy niemi się mieścić; że ci nawet co posiadają Danta, Byrona, Schillera, Mickiewicza, mogą jeszcze Voltairowi poezyi nieść wieńce?.... nad tém niech będzie wolno nieco się zadziwić.

To zadziwienie może się także odnosić do nieustających hołdów dla sławnego dowcipu Voltaira, téj głównéj pomniejszych pism jego okrasy, a która jeszcze płomienistych znajduje wielbicieli.

Miał on go bez wątpienia podostatkiem, i obfite sypał z niego iskry. Wierzę, iż kto je przed pięćdziesięcią laty po raz pierwszy ujrzał, mógł mieć niemi wzrok oćmiony. Ale to wszystko już się teraz zużyło. Nic on takiego niepowiedział, coby przedtem, a jeszcze bardziéj odtąd z tysiącznemi odcieniami, w daleko nowszych formach codziennie odlewane niebywało. Teraźniejsza szkoła w tym rodzaju, daleko za sobą swych przeciwników zostawiła, i wątpić śmiało można, czy się da kiedy swym następcom wyprzedzić.

W historyi, ogólnie mu, jak wiadomo, brak prawdy zaprzeczają.

Co zaś do dzieł jego, w swym czasie tak nazwanych filozoficznemi?...

Mówię, *nazwanych* w ich czasie — bo filozofija zacząwszy od Sokratesa i araba Averrhoës, do Voltaira i Diderota, od Platona do Trentowskiego, tyle a tak rozmaitych już przybierała postaci, iż i biblioteka jéj, jak wnoszę, odnawiać się także musi; a co w jedném stuleciu na najwyższych leżało jéj półkach, w następném na najniższe lub gdzieś w kącie na śmieci wyrzucone bywa. Gdyby kto chciał poczynając od mędrców Grecyi, spisać tylko wszystkie nazwiska przydomkiem filozofa uczczone, jużby się grube zrobiły tomy; a gdy każdy nową sobie torował drogę, komużby przyszła odwaga wszystkie ich roztrząsać teorye? któżby się poważył wyrokować co ma do filozofji należeć, a co ma być z jéj archiwów wykreślone?

Widzieliśmy ją czasem, wysoko na niebie, w złocistym niesioną obłoku, jakby promieniami słońca przesiękłą, lub zimną szarą chmurą, jakby pośmiertnym kirem, krzyż i cały powlekającą kościół.... to znów ścielącą się im pod nogi, jakby im za podstawę służyć miała.... Już i ją i jéj wyznawców, we wszystkich kształtach i strojach widzieliśmy. Tak Epikurowie jak Stoicy, scholastycy jak encyklopedyści, wszyscy się filozofami mienili. A jeżeli filozof i mędrzec ma być jedno i toż samo, jak to pierwiastkowo przed Sokratesem i Pythagoresem jeszcze uznawano, wyznam szczerze, iż temubym najchętniéj mądrości i filozofii przyznała berło, co wyrzekł:

„To tylko wiem, że nic niewiem (1).“

(1) W Kościele Śgo Mikołaja w Pizie, znajduje się piękny obraz przedstawiający jeden ustęp z życia Śgo Augustyna: Święty siedzi nad brzegiem morza, głęboko za-

Po tak niewczesném i zbyt szczerém wyznaniu, niktby już niepozwolił zapewne i jednego słowa o filozofii Voltaira powiedzieć. Niech też tam sobie berlińscy teraźniejsi szermierze, gdy własne ostatecznie rozstrzygną spory (jeżeli to kiedy nastąpi?) zatwierdzą, czy fernejskiemu mędrcowi i dziełom jego ma być przyznany filozofii patent. A ja tylko o tém mówić będę, co każdy bez przewodnictwa téj wysokiéj nauki mógł widzieć, słyszeć, sądzić; co niejednego już zapewne w oczy uderzyło.

Voltaire pożerany żądzą znaczenia i sławy, wszystkich najrozmaitszych do nich dróg probował. Niebo go obdarzyło rozumem; on obrócił ten dar nieba na pozyskanie darów świata.

Jak najprzód dworował książętom i królom (1), póki ztamtąd tylko blask padał, tak późniéj narodowi swemu. Łatwo dostrzegłszy z któréj strony najgorętsze wówczas żarzyły się namiętności, w tamtą podmuchiwał stronę.

Niech każdy z piszących, każdy co powodzenia i oklasków pragnie, takim postępuje torem, a bez połowy nawet rozumu i talentów Voltaira, nieomylnie je otrzyma.... Od dawna powiedziano, iż los nie zasłużonych, lecz szczęśliwych darzy. U ludzi zaś najszczęśliwszym jest zawsze ten, co najlepiéj im *dogadza*.

Są tacy lekarze, którzy zamiast choroby, o skłonności pacyenta pytają. Elegantce przepisują najmodniejsze wody, pijakowi trunek, gastronomowi truflowany pasztet. Z tego najczęściéj gorączka, śmierć, co bynajmniéj sławie i powodzeniu doktora nie szkodzi. Tacy owszem praktyk mają bez miary.

Voltaire spostrzegłszy, iż do nowych wyobrażeń, do ich wzrostu i popędu, stare jakieś zawadzają sumienia prawidła, jakieś religijne zasady, nazwał je przesądami, okrył je śmiesznością. Voltaire, zręcznie uprzątając dla tych pożądanych wyobrażeń drogę, a nadto używając do tego najulubieńszych we Francyi broni, satyrycznego tyle tam uwielbionego dowcipu i szyderczego pośmiechu, któremu nikt oprzeć się tam nieumie, stał się uwielbienia przedmiotem. Niemogło być inaczéj.

myślony, stara się dociec i wytłómaczyć tajemnicę Trójcy Świętéj, a małe dziecię muszlą wodę morską na piasek wylewa.— „Co ty robisz? pyta go Święty — Chcę, odpowie dziecię wylać wodę z morza, bom ciekaw co tam jest na dnie.— Aleś ty szalony, ponowi Święty, jeżeli mniemasz iż swą muszlą morze wyczerpać możesz!— O! prędzéj ja, mój ojcze, odrzecze dziecię, moją dokonam pracę, niż ty docieczesz czego szukasz!" To dziecię było z Nieba zesłanym Aniołem.

(1) Voltaire był Kamerjunkrem (gentilhomme de la chambre) u dworu Ludwika XV, a szambelanem Fryderyka II. Katarzyna II zwała go swym nauczycielem i mistrzem, i udarowała portretem ozdobionym brylantami.

Jak ów lekarz, o którym wspomniałam, nietroszczył on się bynajmniéj, jaki wezmą obrót ci, co przed urągającém jego uciekali tchnieniem, jak daleko zajdą ci, co się uczniami szkoły jego ogłosili. Jakoż daléj może zaszli niźli przewidywał.

Lecz do nierozwiązanych to jeszcze należy pytań, czyby się wstrzymał na téj nowego apostołowania drodze, na téj drodze gdzie mu zazieleniały laury po które całe swe życie sięgał, gdyby nawet był ostatni jéj dojrzał kraniec? To tylko jest niewątpliwém, iż pod jego szyderczym śmiechem, wszystkie pogasły w duszach wiary, wszystkie powiędły młodych serc kwiaty!.... iż na dno kryształowe niebiańskich uczuć kielicha, iż do kadzideł świątyń naszych, pełną garścią jadowite rzucił trucizny.... Po czém, przy schyłku dni swoich, przybywszy do Paryża, w pysznéj tam uwielbiony apoteozie, z tysiącem wieńców na czole (1), wygodnie na swych położył się wawrzynach, i dumnie teraz w Panteonie spoczywa.

Lecz ci, co mu tę apoteozę i te wieńce wówczas ofiarowali, połowę tylko dzieła jego znali; my dopiéro koniec tego dzieła i rozwiązanie jego ocenić możemy. Oni na bujne patrząc kwiaty, wonią się ich upajali; nam było zostawione owoce jego zrywać, ich zakosztować smaku. My wiemy, iż gdy wydrwione i wstrząśnione dawnéj towarzyskiéj budowy wiązania puszczać zaczęły, rozwiązały się zarazem wszystkie najściślejsze, najświętsze serca węzły. Wiemy, iż gdy długo podkopywany obalono we Francyi krzyż, powstała giljotyna.... a jak z kropel krwi z Krzyża na ziemię spadłych, zrodziła się miłość chrześcijańska i wszystkie jéj cnoty, tak z krwistych zdrojów z pod giljotyny płynących, rozpasane namiętności i nieznane przedtém zbrodnie na cały wylały się świat.

Ztąd zapał współczesnych Voltaira czcicieli, daleko łatwiéj niż teraźniejszych pojąć się daje. W ówczas pod mamiącym blaskiem świeżego

(1) Po długiéj niebytności, Voltaire przybył do Paryża na początku 1778 roku, dla przedstawienia ostatniéj swéj trajedyi *Ireny*. Gdy przy szóstéj reprezentacyi okazał się w kamerjunkrów loży, największy powstał na parterze zapał. Okryto go oklaskami, posłano mu wieńce, a podczas antraktu popiersie jego okazało się na scenie, całym otoczone apoteozy blaskiem. Główna artystka odę na cześć jego aż po dwa razy musiała powtarzać, młodzież z radośnemi okrzyki do domu go odprowadziła. Lecz popularność i zapał miewają często fajerwerkowe własności. Wysoko wystrzelą, na chwilę oczy zaćmią i gasną..... W miesiąc po téj apoteozie, Voltaire umarł zwłokom jego duchowieństwo odmówiło w Paryżu ziemi świętéj. Nikt na to się nie oburzył, przeciw temu nie powstał. Zabalsamowane ciało wywieziono w nocy do Sellieres, małéj wioski, gdzie synowiec jego będąc plebanem, skromnie zagrzebać je kazał. Żaden z aktorów z *Ireny* i apoteozy nie przyszedł, nikt się nie spytał o nie; co może przyjść w pomoc temu com wyż powiedziała, iż oklaski dzisiejsze nigdy nie są jutrzejszych rękojmią. Dopiero, wdzięczna swemu apostołowi rewolucya, mogiłę tę rozgrzebała i w Pantheonie, jako jednemu z swych bożków, pomnik wystawić kazała.

i w duchu czasu idącego talentu, rwano dla niego laury; teraz trzebaby je naprzód z giljotynowéj krwi opłukać, by z nich nowe uplatać wieńce, a te nadto ani duchem czasu, ani świeżością voltairowskiego rozumu, usprawiedliwić się teraz nie dają.

Niemożna jednak zaprzeczyć, iż i od naszego pokolenia, wielka się należy wdzięczność tak Voltairowi, jak sekretarzom jego. Im bowiem winniśmy wiadomość, czego są zdolni ludzie pozbawieni religijnych zasad, jak wygląda świat bez wiary? A ten obraz krwią i łzami miljonowych ofiar skreślony, długą zostawi w potomności pamięć, straszliwą a korzystną, jak mniemam, będzie dlań nauką (1).

(1) Naczelnik policji Hcrault napominając razu jednego Voltaira za bezbożność pism jego, mówił: „Quoique vous ecriviez, vous ne viendrez pas à bout de détruire la Religion Chretienne."—„C'est ce que nous verrons," odrzekł dumnie autor.—W Innéj okoliczności tak się wyraził. „Je suis las, d'entendre répéter que douze hommes ont suffi pour établir le christianisme: j'ai envie de leur prouver qu'il n'en faut qu' un pour le détruire. *Ob: Biographie universelle ancienne et moderne par une société de gens de lettres et de savants, tome* 49 *p.* 502.

III.

FERNEY. — COPPET. — NECKER. — PANI STAËL

A jednak i ja byłam we Ferney!

Ale w tém twoja jedynie, Antosiu, wina... Musisz pamiętać, po jak długich sporach przyrzekłam w końcu, iż ci tę Voltaira stolicę opiszę; a ja na nieszczęście nie umiem opisywać, czegom niewidziała! Dla dotrzymania ci słowa pojechałam, widziałam, i powiem ci, com widziała.

Do licznych własności ludzi znakomitych należy i ta, iż gdzie tylko byli, którędy przeszli, długo później można tam głębokie ich ślady znaleść; w tych śladach główne rysy charakteru ich odgadnąć. Płowe tylko dusze na piasku swe zostawują odbicia, które z pierwszym wiatrem znikają. Inne pod namiętności ogniem z żelaza lub spiżu swe robią odlewy, a te długo w potomności trwają.

Pod tym względem uważane mieszkanie każdego słynnego człowieka, staje się poniekąd dopełnieniem historyi jego; a z jakimbądź kto uczuciem je zwiedza, zawsze dla badacza ma swą ciekawą stronę.

Ferney, będąc nietylko ostatnią rezydencyą tego króla swéj epoki, ale i rąk jego dziełem, podwójną otwiera dla uwagi kartę, i można też doskonale na niéj całego wyczytać człowieka. Mniemam więc w twą myśl trafiać, Antosiu, gdy ci tu nietylko pałac opiszę, ale i to co jego opo-

władają mury; gdy już nie o pisarzu w apoteozie, lecz o człowieku w zaniedbaniu ranném pomówiemy. Pisarza bowiem z dzieł się poznaje; lecz kto do jego sypialni zagląda, oczywiście czegoś innego jeszcze szuka, choćby nawet niemiał sobie dozwolić pokątnego szperania, ani żadnych domysłów.

Od pierwszego do ostatniego kroku, wszędzie w pałacu jak w życiu Voltaira przebija się duma, wysokie o sobie trzymanie, chęć znaczenia, obok wyrachowania praktycznego spekulanta; chęć wszelkiemi sposobami górowania nad spółczesnemi, i wielka w téj sztuce biegłość, dla któréj nieraz swe głośne zasady zręcznie ugina.... Są tam i portrety królów, i dary cesarskie, i świetne dla właściciela nagrobki.. Wszystko się tam znajdzie, prócz eolskiéj lutni wieszczego ducha.

On by w pośród podobnych żywiołów żyć nie mógł; jemu trzeba owszem wszelkich światowych względów zaniedbania, wszystkich podobnych trosk zapomnienia zupełnego. Jemu rachuby są nienawistnemi, a liczby trucizną.

Można mieć rozumu bez miary, dowcipu bez końca, można pisać nawet gładkie i śliczne wiersze, a jeszcze nie być poetą. Jak przeciwnie, nigdy ani jednego nie złożywszy rymu, można w każdym wyrazie samą tchnąć poezyą; czego dowodem Rousseau, Chateaubriand i tylu innych.

Takich też ludzi jak Rousseau i Voltaire, lubo z jednéj epoki, lubo oba do jednego przyczynili się dzieła, zupełnie innemi należy prawidłami sądzić. Pierwszy, swe mamiące marzenia złocistą osłonięte mgłą, puszczał w światy jakie się w poetycznéj jego rodziły duszy; drugi, swe myśli pierwéj matematycznemi poznaczył krzyżykami, wszystkiemi przeważył szalkami, zanim je ludziom podał.

Nasze jednak stulecie które do poezyi nierości zda mi się pretensyi, miałoby wedle swych uczuć ważniejsze dla Voltaira uwielbienia powody, i gdyby go z tego względu swoją otaczało czcią, niktby się temu nie dziwił. Lecz ta prozaiczna Voltaira strona, zamilczana przez wszystkich co w nim traika, poetę, filozofa i t. d. podziwiali, mało komu znana, i dla tego tu ją w krótkości przytoczę.

Mało kto wie, iż Voltaire nawet teraz mógłby się między najobrotniejszych ludzi liczyć, jak i między najtrafniejszych spekulantów. Osiągł on wszystko czego żądał, trafił wszędzie gdzie zmierzał; ujrzał świat bez grosza, a niewziąwszy żadnego spadku ani zapisu, umierając miał Ferney, pałac w Paryżu i 140,000 franków dochodu! Czego literacka sława nigdy jeszcze niedała nikomu! Czyż to nie lepsze od wszystkich poezyi? nie jeden już wyrzekł.

Voltaire urodził się w Paryżu 1694 roku, synem ubogiego notaryusza, nazwiskiem *Arouet*. Mając już w domu starszego syna z którego nie wielkiéj oczekiwał pomocy, stary *Arouet* nakłaniał młodszego do wyboru jakiego rzemiosła; a gdy ten do żadnego nieokazywał ochoty, w dziesiątym roku oddał go do jezuitów, do tak nazwanéj szkoły Ludwika Wielkiego w Paryżu.

Po skończonych naukach, nowe się zaczęły ze strony rodziców o wybór stanu nalegania, nowy syna opór.

Dumny syn mówił, iż chce być jedynie literatem, uważając ten stan, w braku pargaminów, za najszlachetniejszy. Ojciec się z tego naśmiewał, mówiąc iż z pleśni i kurzu obutwiałych książek, bardzo niesmaczny bywa chleb. Syn chcąc temu dać zaprzeczenie napisał trajedyę *Oedyp*. Aktorowie jakby zdanie ojca usprawiedliwiając, trajedyi nie przyjęli. Voltaire ją posłał do akademji na konkurs. Lecz i z tamtąd w żałobie wróciła: kto inny otrzymał nagrodę.

Rozjątrzony młodego pisarza umysł, natchnął mu pierwsze zemsty jego dzieło. Była to rymowana satyra, *Le Bourbier* nazwana, paszkwil jakich później tysiące w rozmaitych kształtach, rozmaitym dogadzając namiętnościom napisał. Ale co mu później udawać się miało, wówczas jeszcze drogo okupić mu przyszło. Ojciec nawet w swym gniewie zamknięciem mu swego domu pogroził. (1)

Ten wypadek stał się wielką dla niego nauką życia. Wielu ją w młodości odebrało i odbiera, lecz nie wielu korzystać z niéj umie, i nie wielu też dochodzi gdzie zamierza.

Młody Arouet od razu spostrzegł, iż do zawodu jaki sobie obrał potrzeba dwóch rzeczy: protekcyi, i jakiego bądź majątkowego zasobu. Protekcyi, do zbierania literackich laurów; majątku, dla pozyskania téj protekcyi, dla zachowania w przedpokoju możnych, niepodległéj niejako postaci, bez któréj rzadko się uda przejść próg, dzielący przedpokój od złocistego salonu.

Odtąd widzim ciągle Voltaira trzema jednocześnie postępującego drogami: dworzanina, spekulanta i literata.

W owym czasie posłowie miewali paziów: Voltaire przystał za pazia do Margrabiego Chateauneuf, posła francuzkiego w Hadze, a tak od

(1) Niektóre bjografje twierdzą, iż wówczas przezwał się Voltairem, (od małéj wioski w któréj się matka jego zrodziła i dom posiadała) probując czy mu po téj zmianie los nie będzie lepiéj sprzyjał. Inne dowodzą, że dopiero po smutnym z Hr. Rohan zajściu zmienił nazwisko. Później gdy kamerjunkrem został, dodał do niego uszlachetniające *de*, i już nikt go inaczéj nie śmiał nazywać, jak Mr. *de Voltaire*.

razu w dwóch się ćwiczył sztukach. W służbie posła uczył się dworzańskich, od hollendrów spekulacyjnych zabiegów.

Wkrótce potém, gdy wrócił do Francyi, widzim go na dworze księcia Sully. Pod tego to księcia protekcyą, wskrzeszony Oedyp tryumfalnie występuje na scenę. Nieszczęściem to powodzenie zawraca autorowi głowę. Opuszcza zamek Sully, jedzie do Paryża dla przedstawienia, na własnéj już tylko opartéj wartości, drugiéj swéj trajedyi *Artemizy*. Lecz ta na śmierć zagwizdana. Trzecia *Maryanna*, lubo już dla niéj salonowe łaski znów są skarbione, nie wielkie otrzymuje powodzenie.

Voltaire mimo to nie traci otuchy; uczęszcza do wielkich panów; a gdy raz w ich kole zbytecznie głos podnosi, słyszy jak jeden z nich, hrabia Rohan, dumnie pyta, co to on za jeden? — „Jest to człowiek, w uniesieniu odrzecze, nie włóczący wielkiego nazwiska, lecz który zaszczyca to jakie nosi."

Na drugi dzień Voltaire na ulicy schwytany i obity: hrabia Rohan ze swéj karety téj niegodziwości się przypatrzywszy, woła na ludzi, — „już teraz dość"— i daléj spokojnie jedzie, Voltaire bieży do dawnego protektora swego, do księcia Sully, prosi pomocy, o pomstę woła— książę umywa z tego ręce.

Słusznie rozgniewany Voitaire pisze na księcia jakąś piosnkę, i w obieg ją puszcza; lecz niema czasu cieszyć się swym odwetem; niebawnie osadzony w Bastylyi, po półroczném dopiéro więzieniu otrzymuje rozkaz opuszczenia Paryża.

Po téj drugiéj nauce, gdy mu jeszcze nieprzystało bratać się z mitrami, sądzi, że złotem łatwiéj niż książkami pargaminy przeważy. Udaje się do Anglii; a tam przez lat trzy ciągle wszelkiemi sposobami buduje sobie majątek. Dotąd bowiem żył z hojności książąt którym dworował, i z małéj pensyjki, za ich protekcyą na szkatule Maryi Leszczyńskiéj, gdy szła za Ludwika XV, otrzymanéj.

W Londynie otwiera prenumeratę na swój protestancki poemat, na swą Henryadę.

Królowa Elżbieta była niegdyś, jak wiadomo, przyjaciółką Henryka IV. Potomek jéj, wówczas panujący Jerzy I, oświadcza swą przychylność śpiewakowi Henryka. Protektorów znajduje się wielu, prenumeraty się sypią.

Za ich pomocą Voltaire zaczął handel zboża. Ten zrazu skromny, na bardzo wielką poszedł późniéj skalę. Pod nazwiskiem bowiem *du Moulin* całe na korzyść jego okręta ze zbożem sprowadzane bywały, a przy-

jaciel jego, niejaki *du Vivier*, dał mu udział w żywności paryzkiéj, co wszystko znaczne mu przynosiło zyski.

Wróciwszy do kraju, niewyjawia jednak swych spekulacyj. Pora ich jeszcze tam nienadeszła: nie byłby niemi poważania ani sławy pozyskał. Voltaire kryje swe dostatki i ich źródło. Żyje jak najskromniéj. Wygrywa tylko na loteryi krajowéj jakiś wielki los, który mu jest długo zaprzeczany; ta wygrana i spory o nią hucznego nabierają rozgłosu. Voltaire jednak otrzymuje swego losu wypłatę, i natychmiast usuwa się z Paryża.

Wówczas ujrzawszy się *majętnym*, wyszukuje wielkich zrujnowanych lub rujnujących się panów. Tych zawsze wynaleść nietrudno. Pożycza, im nie jako bankier, lecz po przyjacielsku, nie pytając o pewność ani o procenta; takim sposobem staje się wkrótce wierzycielem książąt Guises, Richelieu, Guebriant i t. d. a bardziéj na równi z niemi stanąwszy, bardziéj brat za brat swych obligowanych traktować może.

Osiągłszy w taki sposób pierwszych swych usiłowań skutki, łatwiéj późniéj i do królewskich trafia progów. Widząc króla zajętego piękną panią *d'Etiolles*, znaną późniéj pod nazwiskiem Margrabiny Pompadour, która z bardzo nizkiego urodzenia, żadnego wychowania niemiała, podejmuje się jéj umysłowego wykształcenia.... Ludwik XV wróciwszy z wojny, w dowód zadowolenia, mianuje go swym historyografem.... Niebawnie potém Voltaire otrzymuje także dworski stopień kamerjunkra, a gdy do każdego z tych stopni, pensya przywiązana, zarazem w urzęda i w majątek wzrasta — a nawet i w sławę, gdyż po mnogich a daremnych niegdyś zabiegach, zostaje wówczas akademii członkiem.

Lecz w tym dworowskim zawodzie, zawsze mu popędliwość charakteru, duma i mściwość na przeszkodzie stają. Nowe nieporozumienie, intrygi i kłótnie wydalają go z Wersalu i Paryża. Voltaire udaje się do *Luneville*, do Króla Stanisława Leszczyńskiego, gdzie przez dwa lata bawi.

Cudzym zawsze jak widzimy żyjąc kosztem, a ciągle sekretny prowadząc handel, filozof znaczne uzbierał kapitały: mimo to, gdy Fryderyk Wielki zawołał go do siebie, daje mu za odmowną przyczynę podróży koszta, i nie rusza z miejsca aż mu królewski bankier 16,000 franków zalicza. Targuje się prócz tego o pensyą dla swéj synowicy, pani Denis.

Za przybyciem do Berlina, król mu ofiaruje order i klucz szambelański; Voltaire wszystko wdzięcznie przyjmuje, lecz zawsze pomny na worek, kontraktem sobie zapewnia, prócz całkowitego utrzymania, 20,000

franków rocznéj pensyi. Nie przestaje na tém (1), i ciągle z żydami w jakieś się wdaje handlowe obroty. Jednego z nich, nazwiskiem *Herscheld* posyła do Lipska dla zakupienia jakichściś saskich, bardzo naówczas korzystnych papierów. Porucza mu na to dziesięć tysięcy talarów, a w zastaw bierze od niego brylanty. Żyd wraca z papierami, lecz brylantów przyjąć się wzbrania, utrzymując, iż główne solitery są zamienione.

Z tego się rodzi brudny process. Król do niego pośrednictwa odmawia, daje owszem Voltairowi rozkaz opuszczenia Potsdamu. Ten udaje się do Berlina, a obeznany z processami, gdyż w swym kraju miał już poprzednio dwa tegoż samego rodzaju, tyle czyni starań i zobiegów, iż ta sprawa acz niezupełnie z korzyścią, nie całkiem jednak na stratę jego rozsądzoną zostaje.

Voltaire wraca do dworu, ale ze skrytym do króla żalem. W oczy mu pochlebia, a tajemnie puszcza na niego złośliwe przycinki. Fryderyk Wielki o tém uwiadomiony, pogardza temi drobiazgowemi pociskami; wymawia, lecz przebacza Voltairowi. Ale niebawnie inny znalazłszy nieukontentowania powód, każe mu oświadczyć, iż jest od służby uwolnionym, iż mu odesłać ma order, klucz szambelański i zawarty kontrakt. Voltaire się wzbrania, i nowe czyni starania do odzyskania postradanéj łaski; lecz gdy ta bardzo zimny zachowuje charakter, we trzy miesiące potem, prosi o pozwolenie udania się do wód i wyjeżdża.

Król po jego wyjeździe, świeże otrzymawszy brzydkiéj niewdzięczności dowody, każe go aresztować we Frankforcie nad Menem, i nie wrócić mu wolności, aż póki nie odda klucza, orderu i kontraktu.

Takto Voltaire zerwał z królmi, właśnie w porze, kiedy i w kraju jego obrachowywać się z niemi poczynano. Działo się to bowiem w roku 1753. Urok tronów we Francyi jeszcze był nie zagasł, ale słowo *popularność* pierwszy raz w dykcyonarzu umieszczono.

Voltaire też, napisawszy jakieś pamiętniki na Pruskiego Króla, gdzie całą swą żółć na niego wylał, ochłonąwszy z gniewu, pomiarkował, iż to jeszcze zawcześnie na królów się gniewać; swe pismo tak głęboko schował, iż je dopiero w sześć lat po śmierci jego znaleziono, i odnowił uprzejme z Potsdamem stosunki; które jednak pochlebną korrespondencyą jedynie już utrzymywał.

Sam zaś udaje się do rzeczypospolitéj genewskiéj, tam kupuje dom, przezywa go *les Délices*, daje bale, kolacye, sceniczne widowiska, krajowców jak i obcych do siebie zaprasza. Z téjże daty jest pełno naj-

(1) To wyjaśnienie niepojętego dla wielu majątku Voltaira, jest według najprzychylniéjszych dla niego podań. Przeciwnicy jego daleko brzydszy cień na te milionowe zbiory rzucają. Ob. la vie de Voltaire p. Condorcet.

śmielszych pism jego, w których czasem niemiłosiernie bez żadnego względu swych przeciwników gnębi, lub najświętsze zasady, przyjęte wyobrażenia wstrząsa i przewraca. Wówczas także rozpoczyna głośnych dobrodziejstw pasmo. Biedną wnuczkę sławnego Cornela do domu swego przyjmuje, i wyposaża, staje w obronie Calasa, głosi się protektorem wszystkich nieszczęśliwych, a mianowicie uciemiężanych; w duchu czasu coraz silniéj na księży powstaje, z sądownictwem processa za skazanych toczy, słowem już nie hołduje tronom, lecz wszelkiemi sposoby popularności szuka.

W naszych czasach, są to rzeczy powtarzające się i doskonale, mianowicie we Francyi, znane; wówczas były nowością i podziwu przedmiotem.

W tém, jak w wielu innych rzeczach, wyścignął on swe stulecie i też w nagrodę patrzał na własną apoteozę swoją.

Genewianie przelęknieni tym rozgłosem, tą co dzień szerzącą się władzą człowieka równie zręcznego jak niebezpiecznego, zaczęli okazywać mu obawę i niechęć. Voltaire ją postrzegłszy, kupuje w granicy Francyi wieś, stawia w niéj pałac odpowiedni nowym zamiarom swoim, gdzieby mógł podobnież jak w Genewie prowadzić życie; i to jest to słynne dotąd zwiedzane Ferney, to filozoficzne schronienie, które ci mam opisać.

Z tego treściwego rysu, nie domowego cienistego życia Voltaira, (ponieważ z góry uznaliśmy, iż tego nam tykać nie wolno) lecz karyery jego publicznéj, wprawdzie więcéj światowéj niż literackiéj, widzisz, Antosiu, iż stawiając pałac w Ferney, był on już wielkim panem, i na pańskiéj chciał żyć stopie. Mimo to, obok dumy przebija się tam duch spekulanta rachującego się z jutrem.

Przyjeżdża się do Ferney przez piękną drzewami sadzoną ulicę, lecz krata od dziedzińca lubo żelazna bardzo chudo i ubogo wygląda. Pałac miał teatr i balowe sale, ale to wszystko *udaje* tylko wspaniałość, a w gruncie w bardzo małych mieści się wymiarach; cały bowiem pałac siedm tylko z frontu liczy okien. Z wyjścia jest sień, wprost salon z szklannemi do ogrodu drzwiami, w lewo pokój autora w którym pracował i sypiał. Z przeciwnéj strony mieszkanie siostrzenicy jego pani Denis, na piątrze galowe dwie sale. Te ostatnie teraz zupełnie są opustoszałe. Sypialnie tylko Voltaira i salon, resztę swych ozdób dochowują i one to zwracają ciekawych kroki.

Tam najprzód uderza wielki i kosztowny obraz *al fresco* pod jego malowany przewodnictwem, o którym, jako dowód iż na Henryadzie swe do nieśmiertelności głównie opierał prawa, wyżéj wspomniałam.

Na forgruncie w całéj postaci widzimy autora, a w głębi świątynią sławy. Poeta stoi przed Apolinem, któremu ofiaruje Henryadę; nad nim w powietrzu bogini sławy, ręką ją wskazując, leci do swéj świątyni zapisać jéj imie, a wszyscy poematu bohaterowie, w stanie zachwycenia, uwielbienie swe tłomaczą. Z przeciwnéj strony, z pośród piekielnych płomieni, wyglądają głowy sławniejszych nieprzyjacioł Voltaira, a poczwara zawiści u stóp jego kona.

W sypialni drugi podobnejże skromności napotykamy pomnik. Jest to na piedestale urna, w któréj żądał żeby serce jego złożono; na niéj wyryć kazał napis: »mon esprit est *partout* et mon coeur est ici;" (1) poniżéj czyta się drugi napis: »*mes mânes sont consolés, puisque mon coeur est au milieu de vous.*" Ma się to stosować, jak mówią, do cesarzowéj Katarzyny, Fryderyka Wielkiego i margrabiny du Chatelet, (2) których wizerunki ściany zdobią.

Prócz tych portretów i kilku innych, prócz urny i kilku staroświeckich krzeseł, niebieskim niegdyś adamaszkiem pokrytych, stoi tam jeszcze duże łóżko i śniadaniowy stolik.

Łóżko całkiem teraz obnażone, miało dawniéj długie jedwabne firanki, lecz te po kawałku wielbiciele słynnego pisarza na pamiątki poobrywali. Klucznica mi ofiarowała z ostatniego obrywka jakąś cząsteczkę, ale się uznałam zupełnie tych relikwij niegodną. Odmówienie moje bardzo zdawało się pałacową klucznicę dziwić, i zapewne wielce mi w jéj opinii uszkodziło.

W ogrodzie o widoki nie dbano. Jeden tylko gdzieś w kącie na Leman się otwiera. Z resztą jest strzyżonemi szpalerami, w dawnym francuzkim rodzaju zasadzony. W nim Voltaire ani wieku swego nie wyprzedził, ani dał dowodu długiego w Anglii pobytu. Tam najciekawszym przedmiotem jest ogrodnik, który, jak mówi, pamięta jeszcze pana swego. Wygląda wprawdzie na lat ośmdziesiąt, a pan jego jak umarł, jest dopiero sześćdziesiąt siedm.

Lecz co mnie najbardziéj zadziwiło w Ferney i czego wcale niezrozumiałam, to jest mała, nędzna kapliczka, tuż przy pałacowéj bramie, a na niéj dziwniejszy jeszcze i dumny napis: *Deo erexit Voltarius* (3).

Kto zna tak często piórem jego głoszone wyznanie wiary, czyli raczéj niewiary Voltaira, kto wspomni, iż każda kaplica, każdy ołtarz nie-

(1) Po zgonie Voltaira, pani Denis serce jego tam złożyć kazała; lecz to późniéj razem z ciałem do Pantheonu przeniesione zostało.

(2) Margrabina *du Chatelet* przez dwadzieścia lat z Voltairem mieszkała i los jego dzieliła. Umarła w Luneville, gdy oboje na dworze Króla Stanisława Leszczyńskiego przebywali.

(3) Bogu wzniósł Voltaire.

tylko niesie cześć Bogu (którego on istności szczęściem nie przeczył), lecz uwiecznia syna jego bolesną chwałę, podzieli zapewne zadziwienie moje, gdym kaplicę a w niéj ołtarz przy pałacu fernejskim ujrzała. Nie było to wszakże dla przykładu włościanom, gdyż wiemy iż miewał czasem do nich kazania, innym wcale tchnące duchem, na co nawet miejscowy proboszcz do wyższych władz zanosił skargi. Nie można zatém inaczéj tego uważać, tylko jako zaprzeczenie własnych pism i zdań, lub za dowód tego, com wyżéj ci powiedziała, iż on umiał wedle chwilowéj potrzeby uginać przyjęte zasady swoje.

Lecz cóż znaczy na frontonie napis łączący imie Stwórcy z Voltaira imieniem?....

Trzeba ci wiedzieć, Antosiu, iż w Petersburgu stoi wspaniały pomnik, a pod nim krótki, lecz wiele mówiący napis. Cesarzowa Katarzyna II, stawiając pomnik, zapytała o niego Voltaira. Napis ten mówi tylko: »Piotrowi Pierwszemu Katarzyna II.” Lecz te kilka słów, prócz doniesienia kto i dla kogo pomnik postawił, drugą, daleko wznioślejszą, myśl przedstawiają, tę: iż na drodze kraju swego chwały, on był pierwszym a ona drugą.

Po tamtym czytając ten drugi, jego także pomysłu napis, gdzie jak w pierwszym dwa w parze umieścił imiona, zdaje się koniecznie iż chyba sam swoję chciał zrobić parodyą; tak jak stawiając kaplicę, surowszą zadał krytykę, niż wszyscy ci, których w otchłani piekielnéj wymalować u siebie kazał.

Niebyłabym sobie przebaczyła, gdybym, będąc w Ferney, nie pojechała do sąsiedniego tam Coppet. Lecz ile mi tu przykra była ta świętobliwa cześć z jaką od tak dawna wszystkie się dochowują fernejskie pamiątki, tak jeszcze mi było przykrzéj żadnych w Coppet nieznaleźć.

Coppet jest to baronia, nabyta niegdyś przez Neckera, gdy z biednego subjekta na bankiera, z bankiera na ministra przeszedłszy, następnie z ministerium zrzucony, chciał na ustroniu, w domowém zaciszu, używać swobodnie własną pracą uzbieranego majątku.

Necker, jeden z celniejszych aktorów tego rewolucyjnego prologu, co już sam straszliwym był dramatem, a który historya panowaniem Ludwika XVI nazwała, ma swe w jego dziejach karty, ma słynne ustępy swoje. Żona jego także do niepospolitych należała kobiet. Znana w swym czasie z nauki, rozumu i serca, Paryż dotąd dobroczynności jéj zachowuje piękny dar. Posiada on w swych murach szpital jéj kosztem i pod jéj założony pieczą, jéj dotąd noszący nazwę; a w salonach niezapomniano jeszcze ślicznych słów jéj męża, gdy słysząc zasłużone dla żo-

ny pochwały powiedział: »Oui, pour être parfaite, il lui faudrait seulement un tout petit défaut.“

Jednak te wszystkie rodziców sławy, córki zatarła sława, a kto jedzie do Coppet, nie o Neckerów lecz o pani Staël pyta ślady.

Ale ta wzorowa córka nie przelała, jak się zdaje, w swe dzieci uczucia jakie sama rodzicom niosła. Księstwo *Broglie*, córka i zięć szczytnéj autorki, na nowy teraz sposób przerabiając dla swéj wygody pałac, żadnego pokoju, sprzętu, żadnego w nim kątka nie poświęcili téj pamiątce, która, jeśli nie najświętszemu serca uczuciu, dumie jego, zda mi się, powinna by pochlebiać!

Były czasy gdzie nastawano na panią Staël. Byli tacy, co się gniewali iż wykracza z płci swéj zakresu, iż w wyższe sięga sfery, głębsze traktuje przedmioty niż poprzedniczka jéj pani Genlis, ówczesny kobiecego autorstwa typ. Lecz w miarę jak się ten żeński od nas oddala meteor, i zawistnych już nie razi oczu, uznają światła jego rzetelną wartość. Dzieła pani Staël czytane, poszukiwane coraz w nowych wychodzą wydaniach, kiedy pani Genlis w starych już tylko czytelniach butwieją.

Gdyby nie bystrość szerokiego rzeczy obięcia w krajowych sprawach, gdyby nie dowcip i trafność w towarzyskiego życia spostrzeżeniach, nie zdrowy w zdaniach jéj literackich sąd, sam styl pani Staël, pełen żywotnéj siły, jędrny i sprężysty a mimo to wzniosły i lotny, jużby jéj znakomite w literaturze francuzkiéj zapewnił miejsce.

Gdy co opisuje, zdaje się że nie piórem, lecz pędzlem i gorącemi farby swe obrazy tworzy; w surowszéj rozprawie, zawsze ma na zawołaniu wyraz świeży, niespodziany, a szczęśliwy i jasny; zawsze porównania śmiałe i trafne, nowe na główny przedmiot rzucające światło. A cóż dopiero, gdy zacznie namiętności tłómaczyć, gdy w uczuciową duszy wkroczy tajnią? Wówczas, jakby zapominając, zarzekając się pióra swego dzielności, miękką kobiecą ręką najsubtelniejsze włókna z ostatnich serca kryjówek powoli wyciąga, delikatnie rozwija, dzieli i znów splata....

O, prześliczna to rzecz, taki talent! Wielka to władza, wielki dar nieba! a jednak i na niego nastawano! Któż dawniéj nie słyszał, iż pani Staël zawiła, niezrozumiała, iż nieznajomy utworzyła język którego sama zapewne nie rozumie?... Bo czyliż jest lub było co na świecie, czemuby ten lub ów niezaprzeczył?

Są tacy, co wszystko chcą sądzić, wyrokować o wszystkiém, ale czy są tacy, coby rozumieli *wszystko?*... Newton kwadraturę hyperbolu odgadł, prawa attrakcyi wytłómaczył, ale czy odgadłby, czyby wytłómaczył serce matki, gdy do niego po raz pierwszy swe dziecię tuli? W tém

sercu jest wówczas cały świat poezyi, jak w Newtona głowie cały świat był pojęcia; ale te dwa światy innemi kręgami lecąc, nigdy się nie spotkały, nigdy nie spotkają z sobą.

Równie jest trudno rozumieć nad, jak pod sobą. Szlachetny i wzniosły umysł najczęściéj nie rozumie obłudy i podłości; matematyk nie rozumie poety, jak poeta wszelkiéj rachuby. Rozum w tym względzie może być do wzroku porównany, może się wzrokiem duszy nazywać. W miarę odległości przedmiotu mdle go spostrzega, w końcu go niespostrzega wcale, czy to z góry w dół, czy z dołu w górę nań patrzy, czy tylko w inną zwrócony stronę. I dla tego krytyka bezstronna, każdą rzecz w rzetelném jéj świetle przedstawiająca, krytyka prawdziwa, dająca miarę wartości każdego dzieła, tak trudna, tak rzadka!

Czytałam przed kilką laty literacki rozbiór rozmaitych w kraju naszym wyszłych romansów i powieści. Krytyk je uważa wyłącznie pod względem obyczajowym, i o tyle im wartości przyznaje, o ile takiemiż celują obrazami, omijając i jakby niedomyślając się, iż powieść może mieć innego jeszcze rzędu zalety. Sąd ten, nie uwłaczając bynajmniéj tylu uczuciowym romansom, (jako to Nowa Heloiza J. J. Roussa, i pełno innych) które jak przed, tak i po krytyka naszego wyroku niemniéj słynnemi będą, dowiódł tylko, iż kraj uczuć jest mu nieznanym krajem, że języka ich nie rozumie.

Otóż i ci, co na panią Staël wyrzekali iż sobie nową, a innym niezrozumiałą utworzyła pisownią, dowiedli tylko, że oni jéj nierozumieją.

Kilkakrotnie podobne usłyszawszy z poważnych nawet ust wyrzekania, byłam przekonaną, pierwszy raz panią Staël zabierając się czytać, iż dziesiątéj części w niéj nierozumiem. Jakież było podziwienie, jakaż radość moja, gdy nietylko żaden jéj wyraz myśli méj nie wstrzymał, lecz owszem ją rozszerzył, rozjaśnił? Zdawało mi się, iż ona wszystko to właśnie mówi, com ja od pierwszéj méj myśli pomyślała, od pierwszego uczucia w sercu doznała; ale to wszystko, przed tém w myśli i sercu splątane, zmącone, niewyklarowane, ciężko na duie leżało, drzymało. Ona dopiero wszystko zbudziła, na każdy odcień wrażenia właściwe odgadła słowo. Może być, iż do tego nowych używała wyrazów, nowych okresów i figur, nie ręczyłabym nawet, iż nie były własnego jéj utworu; lecz to wszystko bynajmniéj obcością mnie swą nie raziło. Owszem zdawało mi się, iż odnawiam dawne i tylko zapomniane méj duszy znajomości, iż one niegdyś z pierwszym promieniem światła spłynąć w nią musiały, później się zaćmiły, a teraz znów nowéj nabrały świeżości i barwy.

Trzeba także przypomnieć, iż gdy pani Staël wzięła pióro, niebyło jeszcze tych kroci pisarzów, jeden drugiemu po kawałku uskubujących myśli, której niedostatek jakiémś pokrywszy świecidełkiem, za nową i własną myśl sprzedają. Jeszcze wówczas także nie istniały te autorskie wyroby, wspólnym kosztem i na wspólny zysk w świat puszczane.

Gdy pani Staël przyszła, w literaturze, w wyobrażeniach, wszędzie same leżały gruzy. Lubo ksiądz Delille i stara pani Genlis, jeszcze tam cóś pisali, śmiało ich można do tych gruzów policzyć. Pani Staël na tych zwaliskach stanąwszy, musiała koniecznie być samoistną, samodzielną. Gdyby nie jéj geniusz, sam już charakter jéj epoki, żadnego nie przypuszczał naśladownictwa.

Ona też z Chateaubriandem otworzyła tę nową teraźniejszego stylu szkołę, z literackiego wydziału jedyny prawie, a najpiękniejszy czasów cesarstwa spadek. Sam Napoleon przyczynił się do jéj rozwinięcia, oswajając współczesnych z temi wschodnio-fantastycznemi figurami, których nigdy nieszczędził, przemawiając nawet do swych wąsatych grenadyerów. (1) Styl też z pierwszych tych powstały ziarn, obrazowy, figuryczny, czasem nawet hyperboliczny, więcéj wprawdzie pienisty niż głęboki; lecz pełen poezyi i świeżości, porywa, unosi, nie dając nawet czasu wad swych obliczyć, spostrzedz.

Chcąc się przekonać, ile ten styl ma ponęt i wdzięku, dość po Balzaku, Jerzym Sand, Juliuszu Sandeau, wziąść najcelniejszych ośmnastego wieku pisarzy. Prawie wszystko się zdaje w nich mdłe, płowe, bez koloru, bez życia. Niemożna pojąć, iż to kiedyś podziwiano, wzorowém zwano. Jest to jakby po Mejerbera kompozycyach słyszeć Gluka, po Chopinie Gelinka.

Prócz Vevay, Clarens, Ferney i Coppet, prócz wiejskiego schroniema zaszczytnie w literaturze znanego Simonde de Simondi, Włochów i Francuzów historyka, mają te Lemanu ramy jeszcze jeden swój klejnot.

Wznosi się tam w pośród zielonéj niwy, pałac duży, nowy, cały; lecz bez drzwi, bez okien, całkiem pusty, jakby samemi zamieszkały duchami!....

Tam niegdyś wieszcz Albionu, swą nastrajał lutnią, silnie z niéj wydobywał i światu słał tony.

Gdy późniéj opuścił to ustronie, wszystko teraz zalegający spekulacyi duch, wkradł się w nie i chciał zamieszkać; poezyi nawet sławę na

(1) Niezbyt jeszcze dawno słyszałam krytykę téj odezwy Napoleona, która zaczyna się temi słowy: "soldats! quarante Siecles nous regardent!— Mówiono iż wieki oczu nie mają, a choćby i miały, jeśli o ubiegłych wiekach mowa, to możnaby je uważać za zmarłe, a zatém patrzéć nie mogą.

swą obracając korzyść. Założono tam bowiem gościnny dom pod firmą *Lorda Byrona.*

Lecz skrzydlaty, estetyczny geniusz niemógł znieść podobnéj zniewagi; nie zgodził się na tak nienawistnych sobie spadkobierców.

Zaledwo tam otworzono bufety, zaledwie szwajcarskie dziewczęta usłały gościnne łóżka, aż usłyszano Chyld Harolda skargi, jęki.... I gospodarz i goście wszyscy uciekli przed niemi..... dom pustką pozostał..... Odtąd co wieczór, co noc, płacz i jęki oddalają ciekawego przechodnia, cienie i straszliwe widma przed nową zniewagą tych opustoszałych strzegą murów. Patrząc z daleka na nie, zdawało mi się widzieć tę świątynię:

«*Gdzie Bóg mieszkać nie chce, a ludzie nie mogą.*" (1)

(1) Mickiewicza wiersz.

IV.

ILLUMINACYA ALP. — SABAUDYA — GÓRA Ś. BERNARDA.

Alpy szwajcarskie, zachowały na ostatni dzień mego w nich pobytu, najpiękniejszą swą dla mnie ucztę: uświetliły, uilluminowały się, jakby na pożegnanie mię uroczyście.

Zowią tam illuminacyą gór, pewny rodzaj ich oświetlenia przy zachodzie słońca, które jednak nie każdy zachód sprawia. Trzeba bowiem do tego pewnéj kombinacyi jego promieni, z położeniem skał, ich upiętrzeniem i kształtem; i dla tego długo tego widowiska pragnęłam, zanim je ujrzałam w końcu.

Lecz obraz ten sowicie długie wynagrodził oczekiwanie.

Mimo licznych pochwał i licznych opisów, nie wystawiałam sobie, żeby to tak piękne było, ani dokładnego wyobrażenia o tych nowego rodzaju czarach utworzyć niepotrafiłam. Ztąd wnoszę, iż i mój opis na nic się niezda, chyba dla zwrócenia na tę igraszkę natury podróżujących uwagi.

Są rzeczy, i najwięcéj takich, które dla pojęcia koniecznie widzieć trzeba. Pióro, pęzel nawet bezwładne są przed niemi. Do tych rzędu wszystkie piękności i dziwactwa przyrody policzyć należy. Co Bóg zrobił, niesnadnie naśladować człowiekowi.

W téj tak zwanéj Alp illuminacyi, możnaby przypuścić iż ich opoki na tę chwilę zmieniły się w żelazo; zdają się bowiem wszystkie jego posiadać własności. Jedne całkiem od stóp do szczytu się żarzą, zupełnie tak, jak żelazo w ogniu; drugie wpośród nich białawo błękitne podnoszą głowy, jak gdy przepalane żelazo bieleć już poczyna; trzecie czarne, całkiem zimne pozostają. Gdy tamte swe ogniste lub sinawe profile na lazurowém tle nieba delikatnie kreślą; te, czarne z przeciwnéj strony, śmiałe swe sylwetki na płomienistych zachodzącego słońca potokach, w ostrych rysują węgłach. Wszystko to razem tworzy całość jedyną, niczém niezrównany obraz.

Spotkał on mię już przy saméj szwajcarskiéj granicy, jakby dla wynagrodzenia przeciwności przy wyjeździe z Genewy doznanéj.

Już tam wszystko do mego wyjazdu gotowe było, już miałam do powozu wsiadać, w zamiarze udania się przez Simplon, Medyolan do Florencyi, gdym się dowiedziała iż konsul austryacki przebywa w Bernie, a bez wizy jego przez Lombardyą mię nie puszczą. Posyłać do Bernu, cztery lub pięć dni na czekanie strawić, kiedy już tak jesień wielkim sunęła krokiem, śniegiem i lawinami mię straszyła, wcale mi się niechciało. Zdecydowałam się więc zwrócić przez Sabaudyą, górę Cenis i Piemont; lecz nie kontenta byłam z téj zmiany.

Alpy swą illuminacyą rozjaśniły nieco mój humor; lecz wkrótce słońca purpurowy odblask, w złoty zrazu zmieniony, bladł i niknął powoli, modre przeciwnéj strony niebo, coraz gęściéj i szerzéj słało nam swe nocne cienie. Chmury także tu i owdzie gromadzić się poczęły. Ptaszki już pokończyły swe wieczorne hymny, i spały po krzewach. Gdzie niegdzie tylko nieśmiała gwiazdka tę ciemną noc przedarłszy, drżący swój promień po granicie ślizgała, lub gdzieś w dolinie ubogiego domostwa, widać było grubą szybą przyćmione światełko.

Gościniec krążył między niebotyczną skałą a bezdenną przepaścią. Poczta jak na nocną jazdę dość postępowała żwawo. Ja, w najciemniejszym karety kącie na pół uśpiona, marzyłam to o Alpach, to o włoskiéj podróży, na którą tysiące układałam coraz odmiennych planów. Wszyscy w około mnie drzymali, lub także projekta na przyszłość snuli, gdy raptowne wstrząśnienie pojazdu, szmer i hałas, wszystkich nas razem obudził.

Konie przelęknione postacią jakiegoś człowieka, który z latarką w ręku szedł sobie drogą, porwawszy uprząż, unosić pocztyliona zaczęły. Jeden tylko dyszlowy niemogąc jéj zerwać, zwrócił do przepaści.

Gdyby nie przytomność kamerdynera, który z kozła jednym krokiem na przeciw dyszla skoczywszy, i konia i pojazd wstrzymał, bylibyśmy

nieomylnie wszyscy w nią wpadli. Niktby nawet ostatniego jęku naszego nie usłyszał, niktby nam, Boże dopomóż, niepowiedział.

Takto śmierć często nad człowiekiem wisi, kiedy się jéj najmniéj spodziewa! takto tworząc projekta, niewiemy, iż ona tuż za nami z téj pajęczéj śmieje się tkaniny, którą jednym podmuchem przerwie i zniszczy od razu!

Ta noc, dla wielu zapewne do innych prozaicznych życia nocy podobna, dla niektórych może do balowych rozkosznych należąca wspomnień, dla mnie głębokiém naznaczona wrażeniem, miała następnie i swój właściwy ranek, który mi także w pamięci pozostał.

Byłam już w Sabaudyi: gęsta jesienna mgła, zaległa przestrzeń; nic w żadną stronę za mą widać nie było, i promienie budzącego się słońca całkiem nam ćmiła.

Kazałam zalecić pocztylionowi, by w pierwszém miasteczku lub wiosce, gdzie tylko kawy dostać będzie można, wstrzymał się i pozwolił mi czasu na śniadanie. Jakoż niebawnie stanęliśmy w miejscu zwaném Montmelian, nad rzeką Izerą.

W gospodzie dopiéro zaczęto ogień krzesać na tę kawę, którą za pół godziny obiecywano. I ja też przy tym ogniu ogrzałam skrzepłe nocną podróżą członki; a widząc iż kawa mimo obietnicy ledwo za godzinę będzie, przyjemniejszém znalazłam, pójść żwawém w górach, rannem odetchnąć powietrzem, niż stęchlizną od dawna zamkniętéj gościnnéj izby.

Gdym wyszła, mgły już ani śladu nie było. Już przed młodéj jutrzenki wejrzeniem całkiem uleciała; a znikając, prześliczny i zupełnie nieoczekiwany odsłoniła widok.

Montmelian, biedna sabaudzka mieścina, na dwóch stromych Izery bokach, bez ładu uwieszona, bardzo mile spogląda w swą rzekę, któréj skaliste brzegi, spadającemi gdzie niegdzie wierzby długiemi warkoczami poprzecinane, łączy lekko rzucony most.

Przeszedłszy go, o dziesięć kroków miasto się kończyło. Ale powietrze pełne było balsamicznych szpilkowego drzewia wyziewów. Anioł świtania ze swych skrzydełek, miliony był pereł na ziemię otrząsł; jedne w cieniu na kraju listka drżały, drugie słońca promień łamiąc, brylantami pokryły trawniki i kwiaty. Wszystko to było miłe, powabne, i ja też daléj mą posunęłam przechadzkę.

Wkrótce ujrzałam na brzegu gościńca, dużą dziką gruszkę, a w niéj wydrążoną dla Matki Boskiéj kapliczkę.

W Sabaudyi pełno się podobnych napotyka pobożnego ludu, dla serc prostych świętych przybytków, gdzie niejeden w podróży, zamiast do karczmy, woli zwrócić kroki w cieniu poświęconego drzewa, znaleść spoczy-

nek; u stóp świętego wizerunku łzę wdzięczności, tęsknoty lub żalu uronić; promień pociechy lub nadziei w sercu unieść.

Lubię te krzyże, te kapliczki po drodze. Są tam one jakby nadziemska straż dla przechodnia; lub też błądzącą po nieznanych przestrzeniach myśl jego, na rzetelną surową chrześcianina sprowadzają ścieżkę, stawiając mu przed oczy obraz męki Pana naszego, obraz tyle zawsze do serca jego mówiący, tyle pociechy, skruchy, nadziei rodzący w duszy!

Lubię je, bo mi moją rodzinną ziemię, moją Żmudź przypominają, gdzie się z niemi rozminąć niepodobna; bo mi przypominają moje różane, moje dziecinne lata, gdziem ich tyle napatrzyła się zawsze.

Tego ranka, tém skwapliwiéj moją poranną niosłam tam modlitwę, iż miałam za cudowne ocalenie nocy zeszłéj, dług wdzięczności na sercu.

Lecz zbliżywszy się do drzewa, postrzegłam u stóp jego klęczącego chłopczynę, rzewnie płaczącego i modlącego się. Przy nim leżała wiola (1) i zamknięta skrzyneczka z rzemieniem, którą był zapewne zdjął z ramion.

Ta bandurka i skrzyneczka, tak jak cały strój jego, przypomniały mi od razu tych biednych sabaudczyków, których to co dzień po ulicach paryzkich się napotyka; gdzie przygrywając na swym biednym instrumencie, a ze skrzyneczki jako ciekawość jakieś alpejskie jeszcze biedniejsze pokazując zwierzątko, starają się parę otrzymać groszy.

Przypomniało mi się, jak nieraz widząc ich grzejących się pod Sekwany słońcem, z kawałkiem suchego chleba w ręku, okraszonego czasem winném gronem lub pieczoném jabłkiem, przypatrywałam się im najprzód, jakby pięknym *Murylla* wzorom; a ujrzawszy tę biedną całodzienną ich ucztę, zaniosłam im skrycie jałmużnę, o którą biedacy prosić nie śmieli, (bo w Paryżu żebractwo surowo zakazane), ale ze łzą w oku podziękowali mi serdecznie. Przypomniało mi się, jak nieraz z podobnąż łzą w sercu, jakieś wyśpiewywali na mym dziedzińcu piosnki, jakieś przy swéj bandurce skoki wyrabiali dla nędznego zarobku.

O biedne to są dzieci, biedniejsi rodzice, co je na takie skazują życie!

Sabaudya jest tak uboga, iż mimo usiłowań i pracy, nie może swéj całéj wyżywić ludności; i co rok, a mianowicie na zimę, musi jéj część daleko wysyłać. Mówią to i twierdzą mędrsi ode mnie; wierzyć bym chciała; wyznam tu jednak, iż dotąd pojąć nie mogę stopnia nędzy jakaby zmusić mogła rodziców do wygnania z domu dzieci, do wyrzeczenia się ich nawet; bo wysyłając je, a jeszcze do Paryża, mogąż wiedzieć w co

(1) Jest to instrument podobny kozackim tak nazwanym bandurkom.

się one obrócą? czy za powrótem nazwą ich jeszcze rodzicami swemi, lub czy je za swe dzieci oni sami będą mogli bez zarumienienia uznać?

Stałam tu więc przed jednym z tych nieszczęśliwych paryzkich pielgrzymów; tę z rozmaitych nędz jakie tam się gnieżdżą, najboleśniejszą nędzy ofiarę!

O płacz, pomyślałam w duszy, płacz biedaku wszystkiemi serca twego łzami; ty, któremu przy świcie czarne już chmury horyzont zaległy, i nigdy ci rodzicielskiego niedadzą ujrzeć słońca! ty, który wstępujesz w życie, ciernistą wysłane drogą; a gdy twoi rówiennicy, macierzyńskich doznają pieszczot i uśmiechów, ciebie zimny w świecie czeka tylko egoizm, duma lub pogarda może.... Szczęściem twém będzie, jeśli litość obudzisz!.... O jakaż że okropna niedola, kiedy obcą *litość*, można *szczęściem* nazywać!

W pośród tych myśli moich, nadbiegła z za góry dziewczyna.... Była młoda, chuda, blada, spalonego lica. Na sobie miała ubogą odzież; na głowie niosła koszyk, a pod ręką zawiniątko z chudobą jakąś.

Złożywszy swe paczki na ziemi, uklękła obok chłopaka, jakiś czas jeszcze modlili się i płakali razem, potém zaczęli się całować, żegnać i jeszcze rzewniéj płakać.

— Oto ci przyniosłam, rzekła dziewczyna, co się znalazło w domu. Kiedy się zobaczemy? kiedy ty nam wrócisz, mój drogi, mój biedny Wiktorze?

— Pytaj, czy wrócę kiedy? Czy się zobaczymy na tym świecie jeszcze? — ocierając rękawem oczy, odpowie jéj Wiktor!

W tém jakieś dziecinne ozwały się głosy:

— Jak się masz Anno? dobry dzień Wiktorze! jeden przed drugim, rzucając się na szyję, trzech wołało chłopczyków. Dawno ty tu, Wiktorze? My już więcéj pół godziny idziemy, zimno nam straszliwie, i zimno i głodno, bo nasz tyran nic nam jeszcze niedał na śniadanie, a wczoraj na kolacyą dostaliśmy po jedném jabłku!

Ci biedacy byli jeszcze od Wiktora młodsi. Całkiem zsiniali od rannego chłodu, ząbkami dzwonili; bosemi nóżkami tupali po rosie, a spalone od słońca rączki, za resztę podartych kurteczek do chudego tulili ciałka.

Wiktor dobył z Anusi koszyka dwie bułki. Jednę sam zajadać począł, drugą dał kollegom.

Ci, uszczęśliwieni, radośnie mu podziękowali i podzielili się: a spostrzegłszy mnie blizko stojącą, przysunęli się, wyciągając rączki i prosząc na podróż do Paryża.

— Czy wy razem z Wiktorem idziecie? zapytałam.

— O nie! jemu matka kupiła wiolę i marmotkę, on sam sobie panem i na siebie zarabiać idzie; a nas ojciec aż na sześć lat zadzierżawił, temu, co tam pani widzisz na drodze ku nam śpieszącego. My będziemy musieli jemu służyć, na niego pracować! Co zarobim lub dostaniem, on nam wszystko odbierze.... my też tak prosiemy, żeby on nie widział.

Niespodziewałam się przed chwilą, iż są tacy na świecie co biednemu Wiktorowi losu pozazdrościć mogą!

— I jakże to zarabiać będziecie? zmierzywszy ich łokietkową postać, zliczywszy ich lata, których najstarszy miał zapewne dziesięć lub dwanaście, ponowiłam pytanie moje.

— Będziemy kominy wycierać! (1)

— Wówczas przynajmniéj niebędzie wam tak głodno, rzekła Anusia, bo gardło będzie zawsze pełne sadzy.

— Tak, odpowie najstarszy z chłopców — będziemy jeść sadze i pić łzy nasze!

Wtenczas pierwszy raz w życiu podobno, pożałowałam żem nie królową, żem nie królową sardyńską! By mi wolno było te wszystkie dzieci, za moje własne dzieci uważać, opiekować i trudnić się niemi, by mieć sposobność zakładania dla nich sal ochrony, gdzieby, jeśli nie pod rodzicielską strzechą, pod własném przynajmniéj wzrastały niebem! w prawidłach chrześcijańskiéj moralności, a nie w błocie paryzkiém, swe serce i umysł kształciły! A najprzód, by położyć raz na zawsze koniec temu oburzającemu handlowi rodziców, co jakby jakie bydło, własne wynajmują dzieci!....

Czy to tak bywało za dawnych czasów, kiedy sardyńscy królowie jeszcze tylko sabaudzkiemi byli hrabiami, kiedy stolicę swą mieli w Chambery, i bliżéj mogli na te swéj ziemi sieroty patrzeć!.... Tego z pewnością niewiem. Lecz wiem, że ta ziemia co teraz dla nędzy własnych dzieci wyrzekać się musi, jest swych monarchów pierwszém gniazdem, jest ich rodu kolebką, a ztąd mogłaby mieć do ojcowskiéj ich opieki najpierwsze prawo.

Sabaudya pierwotnie była hrabstwem, zależącém jako lenność od Niemiec. Po śmierci Rudolfa III w 1032 roku, cesarz Konrad dał je Hubertowi hrabi de Mausienne, w nagrodę otrzymanéj od niego, w wojnie o sukcessyą tronu, pomocy.

Po tym darze, aż do 1391 roku, widzim w dziejach Sabaudyi, szesnastu udzielnych hrabiów, którzy to zręcznemi w ówczesnéj polityce obrotami, to korzystnemi małżeństwa związkami, ciągle kraju swego granice rozprzestrzeniają, a potęgę jego wzmagać usiłują.

(1) Prawie wszyscy kominiarze paryzcy są sabaudczyki.

Jeden z nich, Amedeusz I, w 1048 roku łącząc się z sukcessorką hrabiów Suzy, dostaje w posagu znaczną część Piemontu, ze znakomitemi Turynu i Aostu miastami. Nie prędko potem, bo aż 1416 roku, Amedeusz VIII, otrzymuje od cesarza Zygmunta tytuł księcia (Duc de Savoie) którym trzynastu z następców jego się szczyci.

Syn Amedeusza VIII, Ludwik, ożeniwszy się z Anną de Lusignan, rości prawa do Jerozolimy i Cypru tronów, a lubo te, co do skutku, zostały na zawsze czczemi, mieszczą się one jednakże aż do dziś dnia w tytułach panujących Sabaudyi książąt.

W szesnastém stuleciu, książe Karol III, podczas wojny cesarza Karola V. (Charles-Quint) z Franciszkiem I, utraca część kraju swego na korzyść Szwajcaryi, a syna jego Filiberta Emmanuela, Francya reszty pozbawia. Lecz Filibert, przezwany później żelazną głową (tete de fer:) udaje się do Hiszpanii, tam w szeregach Filipa II dzielnie się odznacza; walecznością oręża swe odzyskuje księstwa, a te mu traktatem 1559 roku na zawsze przyznane.

Po Filibercie Emmanuelu, żelaznéj głowy księciu, widzim już ciągle Sabaudją z ojca na syna w prostéj przechodzącą linii.

Piąty z następców Filiberta, Wiktor Amedeusz, otrzymuje traktatem turyńskim (podczas wojen o sukcessyą hiszpańską) księstwo Monferratu i wielką część medyolańskiego księstwa, a pokój utrechtski, w 1713 roku, obdarza go Sycylią z królewskim tytułem. Lecz gdy Wiktor zrywa z Austryą, któréj wszyscy jego poprzednicy, najwierniejszemi sprzymierzeńcami zawsze byli, by się do hiszpańskiéj połączyć sprawy, karta się dla niego odwraca, a w 1720 roku, widzi się zmuszonym w zamian Sycylii, przyjąć daleko mniejszéj wagi Sardynii wyspę.

Od téj to epoki (10 stycznia 1720 roku), książęta sabaudzcy, podpisują się Sardynii, Jerozolimy i Cypru królmi, do których to szczytnych tytułów, dodają w końcu »i książę Sabaudyi."

Wiktor Amedeusz, drugi z imienia jako książę, lecz jako król pierwszy, jest tenże sam, co dziesięć lat po osiągnieniu tronu (w 1730 r.) wyrzekł się jego i koronę złożył.

Panowanie syna jego Karola Emmanuela I przez lat 43, chwałę i pomyślność krajowi przyniosło.

Wiktor Amedeusz II, mniéj szczęśliwy od ojca, wplątany w wojnę Francyi z Austryą 1792 roku, widzi całą Sabaudyą, rewolucyjnem francuzkiém zalane wojskiem; a syn i następca jego, Karol Emmanuel II, zmuszony jest wszystkich swych stałego lądu własności odstąpić Francyi, która je na ośm podzieliwszy departamentów, do swych wcieła granic.

Karol Emmanuel II, przy jednéj pozostawszy Sardynii, znękany prześladującym go losem, roku 1802 swe prawa na syna przelewa. Usunąwszy się całkiem od rządów, w Rzymie ciche pędzi życie. W 1817 roku, zostaje Jezuitą, a we dwa potém lata dni kończy.

Wypadki 1814 roku otwierają Wiktorowi III na powrót do Sabaudyi i Piemontu drogę. Kongres wiedeński łączy jeszcze do nich byłą Rzeczpospolitą genueńską. Lecz w 1820 r. nowe zaburzenia, na włoskiéj już ziemi zrodzone, Turyn i Genuę ogarniają. Król niechcąc się ugiąć pod okoliczności przewagą, abdykuje 13 marca 1821 roku. Brat jego Karol Felix ma nastąpić po Wiktorze III; lecz gdy nie znajduje się w kraju, książe z młodszéj sabaudzkiéj linii, Karol Albert Carignan obrany regentem, rządy ogarnia.

Karol Felix z Austryą połączony, protestuje z Modeny przeciw wszystkim nowego rządu działaniom. Karol Albert natenczas regencyi się zrzeka, a bitwa pod Nowarą 8 kwietnia 1821 roku, gdzie Austrya pokonywa piemonckich powstańców, wszelkie zatargi kończy.

Obaj bracia, tak Wiktor Emmanuel III, jako i Karol Felix, bez męzkiego potomstwa schodzą, i na nich się kończy starsza sabaudzkich książąt linia. Karol Albert Carignan, były regent, jako najbliższy krewny, i już poprzednio kongresem wiedeńskim uznany właściwym ich spadkobiercą, tron odziedzicza. Jednak nie jest to początkiem nowéj, ale poniekąd dawnéj dynastyi przedłużeniem. Król Albert przed wstąpieniem na tron, księciem sabaudzkim się pisał, i Sabaudyi jest dzieckiem (1).

Mimo to, teraźniejszy król sardyński, jak i poprzednicy jego, nie rezydują ani w Sardynii, która mu królewskiego udziela tytułu, ani w Sabaudyi pierwotnéj ojczyźnie swojéj, ale w Turynie, wpośród Pjemontu; a Sabaudya, najwyższych Alp straszliwym murem od swéj oddzielona metropoli, zwyczajami i mową z nią się różniąca, nic wcale nie zdaje się mieć z nią wspólnego. (2)

Sabaudya może się nazwać alpejskiém sercem. Tam bowiem wszystkie najgrubsze ich arterye się zbiegły. Góra Biała, Różowa, mały i duży Ś. Bernard, Simplon, Góra Cenis, wszystko to się w jéj obrębie mieści, wszystko to w jedno łącząc się pasmo, tworzy ten szczytny od Pjemontu wał, który tylko Annibala i Napoleona kroków wstrzymać nie potrafił.

(1) Król Albert, jest wnukiem, po kądzieli, panny Krasińskiéj, małżonki królewicza, syna Augusta III. Matka jego, najprzód księżna Carignan, zaślubiła powtórnie dworzanina swego, księcia Monlcar. Mieszka teraz we Francyi.

(2) W Sabaudyi mówią złą francuzczyzną; a w Pjemoncie, nie dobrze, ale po włosku.

Lecz te olbrzymie skały, te dziwy natury, co zdumiewają malarza, podnoszą pierś poety, dla biednego ziemianina nędzę i łzy gotują. Tamten jednak rzuciwszy na papier swego chwilowego natchnienia utwor, zapomina o nim, i daléj w światy myśl puszcza, nie zwracając jéj więcéj na przedmiot którym się zachwycał; ten zaś nędzą zmuszony opuścić niewdzięczne na jego pracę góry, wzdycha zawsze za niemi, ze łzą radości wraca do téj matki, która mu odmawia w swém łonie żywności, lub na obcéj kończąc ziemi, do niéj jeszcze ostatnie obraca spójrzenie... Bo tamten czuje głową, a ten czuje sercem.

Tak Antosiu — te góry, co się chmurami wieńczą, a z opadłego ze swych barków lodu, szerokie u stóp swoich tworzą lodowate jeziora, co na głowie noszą śnieg, a u nóg fijołki — z których szumne potoki, szeroką srebrną laną od góry lecąc, daléj dyamentowym prochem wiatrem rozwiane nikną w przestrzeni; te kaskady, co w tysiącznych a kapryśnych wytryskują kształtach, a o tysiące obiwszy się opok, z hałasem w przepaścistéj giną pieczarze, i znów gdzieś daléj bystrym biegną w dolinie strumieniem; to wszystko, tworzy obraz cudny, zachwycający, uroczy, nie do opisania, nie do pojęcia; ale to wszystko bogatemi wdzięki pokrywając ziemię, głównych i rzetelnych cnot tę matkę naszą pozbawia.

Geolog może tam obfite uzbierać dla swéj sztuki plony; w łonie tego zburzonego gruntu rozmaite wynaleźć kruszcze; na powierzchni jego dójrzeć ślady wszystkich wstrząśnień i rewolucyj, jakim przed i od potopu kula nasza uległa.

Mówią nawet o jakichś rzekach, cząstki złote noszących. Ale te wszystkie podziemne bogactwa są własnością rządu; dla ziemianina zaś nieznającego ani nauk sławy i pociechy, ani estetycznych artysty uniesień, dla biednego kmiotka obcego dumie i próżności, któremu dobry byt ma za to wszystko wystarczyć, o jakże tam ubogie, jak skąpe nadzieje!

Daremnie by on te swoje niebotyczne głazy, przepaściste urwiska i lodowate morza (1) krwawem potem czoła rosił; nic one jemu prócz pięknego widoku nie dadzą! a spokojnych równin tak mało! a tych szerokich łanów, złotym kołyszących się, jak u nas, kłosem, nigdzie nie znajdziesz!

(1) Dość może niewłaściwie zowią w Alpach lodowatem morzem (mer de glace) miejsca pokryte sterczącemi w rozmaitych kształtach lodu bryłami. Kto u nas widział na rzekach wielką krę, gdy w jedno tłocząc się miejsce, spiera się i raptownie się zetnie, dość zbliżone może powziąść wyobrażenie o lodowniach alpejskich; z tą różnicą, iż te nigdy nie topnieją; czasem wyglądają jak flota żaglowych okrętów, lub wieczorem, przy księżycu, jakby grobowe duchy.

Rolnik, gdy parę posiada zagonów, bogaczem się już mniema. Wszelkich dokłada starań i pracy, by je jak najlepiéj uprawił. Śnieg z góry niespodzianie spadnie, i tę półroczną pracę jego w pół godziny zniweczy, czasem i całe domostwo zasypie. A jednak on te swoje góry kocha nad wszystko, żyć mu bez nich trudno! pierś jego nawykła do nektarowego ich powietrza, ciężkiém równie powietrzem oddychać nie może, fantastycznych ich obrazów dusza jego pragnie!

Teraz pomyśl, Antosiu, o niedoli tych biednych dzieci, których, jak widzisz, pamięć ciągle mnie ściga; tych młodych sabaudczyków, co w powietrzu Alp zrodzeni, w wyziewach paryzkiego błota żyć są skazani; zamiast swych potoków i kaskad, widzieć rynsztoki i gęsty brudnéj Sekwany nurt; zamiast swych poetycznych brył i urwisk, płaskie jéj i nader prozaiczne brzegi, mordem chyba jakim chwilowo upoetyzowane, i to inną niż alpejską poezyą!.....

Góral sabaudzki, mniéj malowniczy w swym stroju niż naszych Karpat włościanin, dość mi go ze swych ogólnych rysów przypominał. Chudy, śniady, ściągłéj twarzy, smagły i zręczny w ruchach, tak jak i nasi górale, zdaje się z dziką kozą jakieś mieć zpowinowacenie. W nogach szczególnie i w sposobie skakania po opokach, kozi typ się w nich przypomina. Ale pomiędzy niemi są także i te poczwarne karłaki z wydętemi gardłami, z ogromną głową bez myśli, z wejrzeniem bez życia, z duszą uśpioną, o których w karpackich mych wspomnieniach kilka słów rzuciłam.

Domyślasz się, iż lud wpośród tak pysznéj zrodzony natury, a ciągle z jéj srogością walczący, musi być koniecznie pobożnym. Ogromnéj téj przyrody harde zarysy potęgę Twórcy głosząc, ku niemu umysł zwracają, a bieda do miłosierdzia jego uciekać się zniewala. Dla tego też nigdy pojąć nie mogłam, iż Kalwin obrał Genewę za stolicę swoją, że prozaiczne jego dogmata mogły tam odgłos znaleźć.

Pod szarém Anglii niebem, na pruskich piaskach lub Hollandyi bagnach, może żyć podobne Kalwina lub Lutra wyznanie; lecz pod gorącém sklepieniem Włoch i Hiszpanii; w pośród Pireneów, Alp, Karpat przyrody, trzeba koniecznie być katolikiem. Dusza tam potrzebuje prosto z nieba zesłanéj wiary, z całą swego nadludzkiego objawienia poezyą, wiary żadną ludzką nieściśnionéj nie zprozaiczonéj ręką, skrzydlatéj jak ptak niebieski, wzniosłéj jak lot jego.

Lecz jeśli się pełno w Sabaudyi napotyka tu i ówdzie kościołów i kapliczek, nigdzie tam za to historyi pomników nie widać.

Pokazują wprawdzie szczątki jakiegoś zamku, który ma być kartageńczyków zabytkiem, reszty jakiéjś wieży, nazwanéj wieżą Annibala.

Ale niema żadnéj tego pewności, nic coby cechę prawdy w nich nosiło, coby na tych ruinach piętno wieku swego wycisnęło. Lubo jest wiadoném, iż ten śmiały wódz pierwszy się przedarł przez niedostępne Alp pustynie, iż ta nienawiść jego do Rzymian, któréj krew pod Trebi, Trazimeną i Canną rozlana ugasić nie potrafiła, dała mu siłę i wytrwałość zwalczenia wszelkich zapor. Starożytni jednak nie wskazują dokładnie miejsca, gdzie on swe dokonał przejście; a te mniemane sławy jego pomniki, raczéj o nicości jéj przemawiają. Obok olbrzymich dzieł natury, wszystko co tylko dziełem jest człowieka, tak małe, drobne, nędzne się wydaje, iż politowanie jedynie obudza; a przytém tak przemijające, tak znikome!....

Skała na któréj Annibal wzniosł swą wieżę, żadnéj od jego czasów nie uległa zmianie, i nie domyśla się ile po niéj odtąd przeleciało wieków; a ta wieża co miała nad nią górować, już się prochem sypie!.... O jakżeby ten proch dumę ludzką stłumić, zgasić powinien!

Niewiem czy Napoleonowi znane były te karle zwaliska, czyli też własném pojęciem odgadł, że Alpy nie znoszą żadnego obok siebie pomnika, iż najwspanialszy, obok tych mas olbrzymich, jak norembergskiéj fabryki cacko wyglądałby tylko, kiedy tam żadnego wznieść dla siebie nie kazał.

Napoleon był pierwszy po Annibalu który się nie zląkł alpejskich lodem najeżonych wałów; który przez te wiecznéj zimy królestwo przewodniczył wojsku, ciężkie przeprowadził armaty. Napoleon całą swéj południowéj duszy namiętnością, miłował zwycięzkie bramy, łuki, wieże, i lubił na nich kreślić dla potomności swą homeryczną epopeę. W Paryżu też i wszędzie gdzie tylko czas mu dozwolił, napotykamy te sławy jego pamiątki. Wszędzie, prócz w Alpach; które jednak były najpiękniejszego ustępu z tego bajecznego poematu świadkami — w Alpach, które same zwyciężone, ocieniły mu potém pobojowisko pod Marengo, by zbytecznego słońca łuna nie przeszkodziła spostrzedz powstającéj wówczas nowéj na niebie gwiazdy.

Lecz Alpy innego rodzaju upominek od niego otrzymały.

Zamiast obrania ich za podstawę do jakiegoś posągu, któryby na takim piedestale wyglądał jak komar na S. Piotra kopule; zamiast gromadzenia tam cegły lub marmuru massy, niezdolnych ze srogością powietrza długo tam walczyć, nie na skale wyrył swe ślady; nie w pośród Alp, lecz samym Alpom, ich granitowym piersiom, poruczył swą pamięć.

Napoleon uposażył górę Cenis i Simplon szeroką drogą, wspaniałą szosą, o któréj przed nim nikt nie śmiał pomyśleć nawet; a tém dla

całego kraju dobrodziejstwem uwiecznił w nim pamięć imienia swego, i przesłał je potomności błogosławieństwem otoczone.

By pojąć całą tego dobrodziejstwa wielkość, trzeba się poznać z górą S. Bernarda.

Zanim się boki góry Cenis i Simplonu pod cesarskim rospadły młotem, podróżni najczęściéj przez Ś. Bernarda barki probowali przejścia przez Alpy. Tam bez drogi, w ciasnych wąwozach, często zbłąkani, zasypani śniegiem, mrozem uchwyceni, życiem swą opłacali zuchwałość; a jednak liczono podobnych zuchwalców do ośmiu tysięcy co rok!

Tam zima ostra ośm do dziesięciu trwa miesięcy; naówczas termometr spada na 20—22 stopni niżéj zera. W dni zaś najupalniejsze krótkiego lata, ranki się zawsze mroźnym pokrywają szronem, a natura dzika, sroga, naga, żadnego nie przedstawia schronienia. Owszem, pełna przepaści pokrytych śniegiem, pełno podstępnych niebezpieczeństw dla przechodnia kryje.

Znalazł się jednak człowiek, nie: musiał to być więcéj niż człowiek, zwano go Bernard *de Menthon*, był kanonikiem w sąsiedniém miasteczku Aost, ten w 962 roku, założył na samym szczycie groźnéj opoki klasztor, i szpital dla biednych téj surowéj przyrody ofiar. Góra, zwana przedtém Jowisza górą (Mont Jovis), wzięła odtąd Ś. Bernarda nazwę; a jéj patron z nieba jéj teraz zsyła godnych siebie następców, takich co dzieło jego daléj prowadzą i uwieczniają.

Ci święci pustelnicy otoczeni najniewdzięczniejszą naturą, gdzie nigdy nie widzą kwiatka ani zielonego drzewa cieniu, równie towarzystwa jak i wszelkich nietylko przyjemności życia, lecz pierwszych jego wygód pozbawieni, całkiem poświęcają się ludzkości; a to ofiarne uczucie za wszystko im starczy.

Podczas wieczorów szarych, pośród rozwlekłych a czarnych zimowych nocy, każdy z nich po kolei z długim kijem i latarką w ręku, z wiernym psem przy nodze, idzie w mróz i śniegi wyszukiwać zbłąkanych. Pies bieży na przód, (o! któż nie słyszał o tych dobroczynnych i przemyślnych stworzeniach?). On jest jedynym wówczas pana swego przewodnikiem, on go o niebezpieczeństwie ostrzega, on pierwsze hasło daje, gdy za pomocą węchu pod śniegiem odkryje nieszczęśliwy trudów ich przedmiot. Pan dzwonem lub trąbą toż hasło do klasztoru przesyła, a pies tymczasem śnieg czterma łapami rozrzuca, za odzienie skolałego zębami wyciąga. Jeśli ten jeszcze oznaki życia daje, jeśli jest nadzieja, iż prędki ratunek mógłby mu je wrócić, a w miarę potrzeby pomoc nie dość spiesznie z klasztoru przybywa, pan już sam jeden do wszelkich znanych odwołuje się sposobów, a psu tylko drogę

do domu wskaże. Pies otrzymawszy rozkaz, jednym tchem już jest u klasztornéj bramy, szczeka, drapie, wyje, porywa za połę pierwszego co mu otworzy, i najkrótszą drogą prowadzi gdzie potrzeba. Zmrożone ciało, na tragach do szpitalu przeniesione, wszystkie odbiera starania. Jeśli skrzepła krew po żyłach znów krążyć pocznie, jeśli sercu nowy ruch nada, pierwsze jego uczucie jest pewno uczuciem dla zbawców swych wdzięczności. Lecz też jedyną to ich zapłatą, żadnéj innéj nie biorą.

Niegdyś mieli oni znaczne dochody, teraz są całkiem ubodzy; jest też wprawdzie przy furcie otwór na jałmużnę. Cały to ich dochód, w téj puszce jedyna do opędzenia całorocznych potrzeb nadzieja. Ale nikt nie patrzy, ile i czy kto odchodząc w nią co włożył.

Mogą nie patrzeć, mogą się i nie troszczyć o nie; Bóg pewno nad niemi! A czyż i tu na ziemi znalazłby się kto, coby mógł taką pominąć puszkę, niewypróżniwszy w nią całéj kieszeni swojéj?

Gdy zaś starania już za późne, trudy już daremne, środki bezskuteczne, wtenczas znalezione ciała składają w przygotowanéj do tego osobnéj budowie. Tam jakby nowego rodzaju posągi rzędem w około ściany, podług daty znalezienia obok siebie stawią, w oczekiwaniu czy ojciec, brat lub syn po które z nich się nie zgłosi, nie przyjdzie je rozpoznać; a ostrość powietrza w stanie zamrożenia je dochowując, od wszelkiego chroni zepsucia. Tam ujrzysz młodzieńca z wyrazem rozpaczy, biednego mnicha z uśmiechem na twarzy, matkę z małém na ręku dzieckiem, tulącą je do swego zastygłego serca..... tam wszyscy w stroju w jakim znalezieni zostali, stoją oparci, jakby odpocząwszy, zaraz daléj pójść mieli, jakby mieli dokończyć chwilowo tylko na ustach przerwanych słów.....

Jest to okropne, straszliwe, przerażające.....

V.

SIMPLON. — CYWILIZACYA W ALPACH. — MONT CENIS. — WŁOCHY. — JAK PISAĆ O NICH?

Do najszczytniejszych alpejskich wspomnień, należy zapewne waleczne armii francuzkiéj przejście w 1800 roku.

Napoleon obrał S. Bernarda szyję i urwiska, jakby do zaprawienia wojska swego do walki i zwycięztwa. Ci, co w ich wiecznych nie pozostali śniegach, odebrali w nich chrzest godny marengowskiego boju.

Napoleon, naoczny świadek krwawych tam trudów, często śmierci swych marsowych dzieci, sam także na wszystkie wystawiając się niebezpieczeństwa, pojął, jakiém byłoby dobrodziejstwem, otworzyć w tych odwiecznych opokach, w tych niebotycznych granitach, drogę bezpieczną i stałą; a widok klasztoru, szpitala, a najbardziéj widok pośmiertnéj kaplicy o któréj mówiliśmy, wielki jego pomysł przeistoczył w zamiar, w postanowienie.

Można też mówić, iż droga Simplonu była najpierwszém władzy jego dziełem; zaczęta bowiem 1802 roku.

Jak tylko się zmierzył z potęgami świata, sprobował z potęgą przyrody się mierzyć. I jedne i drugie zwyciężał, bo dla niego wówczas

jeszcze marengowska świeciła gwiazda, bo zwycięztwa geniusz znaczył mu życia godziny.

Słynna ta droga,! godna ma być ręki co jednocześnie i berła i skały krusząc, i światu i Alpom nowe rzuciła razem prawa. Lecz świat po długich konwulsyach w nowym powstał z nich kształcie, a Alpy dotąd ujarzmione. Świat otrząsnąwszy się z uroku, już nieraz chwilowego Pana swego, to niedawne swe bożyszcze, nazwał uzurpatorem, despotą, tyranem, a alpejscy mieszkańcy jeszcze dobroczyńcą go zowią, błogosławią pamięci jego!

Może być iż kiedyś i Alpy jakimś ulegną konwulsyom. Miewa i natura rewolucye swoje. Lecz te szczęściem rzadsze niż w politycznym świecie; z tąd wróżyć trzeba, iż z pomników cesarskich ten właśnie najdaléj w przyszłości trwać będzie, który największém jest może dobrodziejstwem dla niéj; iż pamięć filantropa przetrwa wojownika sławę. O gdybyć ta miła dla serca nadzieja, stała się przykładem, nauką dla możnych!

Opisać ci Simplonu nie mogę, bom go niewidziała. Brak kilku liter na moim paszporcie, pozbawił mię téj rozkoszy. Wszystko co mogę uczynić, to przytoczyć tu opis cudzy, francuzki; bo polskiego żadnego nieznam, a tłómaczyć nieumiem. Mimo swéj treściwości, da on ci, Antosiu, jednak poznać ilem straciła; przekona cię zarazem iż jadąc do Włoch, należy na Simplon się zwrócić, i lepiéj niż ja dowiadywać się o rezydencyi austryackich konsulów.

. . . . Une masse de rochers qui se détachèrent, il y a environ deux siècles et demi, ensevelirent presque totalement le village nommé Simplon, mais le percement de la nouvelle route a été si favorable a son accroissement, qu'il n'y a pas à douter que la population ne suive le progrès de l'aisance.

A trois milles de ce village, qui a donné son nom à la montagne, et qui s'élève déjà à 1477 mètres au dessus du niveau de la mer, se présente la *galerie de Gabbio*, l'une des plus belles de cette merveilleuse route; elle a 115 pieds de longueur, et donne l'entrée à l'affreuse vallée de Gondo. C'est ici que la route semble avoir accumulé toutes ses horreurs; le coeur du voyageur se serre en même temps que la vallée, dont l'étroit emplacement ne permet le passage qu'au bruyant torrent de la Doverie: la route est construite en saillie et comme une sorte de balcon continu audessus des abîmes les plus effrayants. Si les ouvrages gigantesques, qui composent cette route, ne témoignaient de la présence de l'homme, on se croirait à bon droit dans une solitude vierge encore de tout regard humain. Les deux chaines des montagnes qui encaissent la

vallée, sont si rapprochées l'une de l'autre, que c'est avec peine qu'on découvre une petite bande de ciel à une hauteur de 2218 pieds.

Bientot nous laissons sur la droite la Doverie, que nous traversons sur un pont dont l'architecture est d'une hardiesse extraordinaire; il est jeté comme par enchantement sur deux rochers, qui lui servent de culées naturelles. On lui a donné le nom de *Ponte Alto* (Pont élevé) dénomination qui lui est justement appliquée. Si ce bel ouvrage a distrait un moment nos regards, ils tombent bientôt sur de nouvelles scènes de deuil, sur un sombre horison où la vue se fatigue vainement à chercher un point d'appui: ce sont des tableaux à proportions grandioses, il est vrai, mais c'est un faible dédommagement à la tristesse involontaire dont on se sent saisi à leur aspect. La Doverie, aux cent replis, se présente encore, et un autre beau pont nous aide à la franchir, pour nous introduire dans la grande galerie de Gondo, la plus remarquable qu'il y ait sur cette route. Elle est distribuée en trois parties qu'il a fallu éclairer par deux grandes ouvertures, qui on couté 18 mois de travail le plus opiniâtre. La longueur totale de la galerie, est de 653 pieds. Lorsque cette portion de route eût été tracée, les travaux furent entrepris simultanément sur quatre points différents. L'année qui vit le terme de ce monument de la puissance de l'homme, est indiquée dans l'inscription laconique qu'on remarque à l'une des issues de la galerie: *Aere Italo* 1805.

Cette galerie une fois terminée, la difficulté n'était pas pour cela vaincue, car le passage était encore fermé par l'effrayante cascade que forme le torrent Frassinone. Un pont plus hardi que tous ceux que nous avons rencontrés jusqu'à présent, surmonte ce nouvel obstacle. Au-dela de ce pont, l'oreille est violemment heurtée par le fracas de nombreux torrents, qui viennent se précipiter dans la Doverie; les yeux n'aperçoivent que d'énormes masses de granit à forme cubiques et ressemblent à de gigantesques murailles. C'est au milieu de ces lugubres perspectives que nous arrivons à *Gondo*, village qui n'est composé que de quelques pauvres chaumières etc.

Uważaj, Antosiu, ten skromny i lakoniczny, a może tém samém dumniéjszy od innych napis, na olbrzymiém dziele. Gdy wszędzie na pomnikach widzieliśmy wielkiemi literami imie Napoleona *Wielkiego* wyryte, tu datę tylko ukończonéj drogi dostrzegamy. Tak dalece on był pewny iż nikt nie powątpi, iż nikt nie zapomni, że to było jego potęgi dziełem; iż to dzieło samo przez się, będzie dostatecznie imie jego następnym wiekom głosiło!

Jednak tém, że tak nazwę, ojcowskiém uczuciem wiedziony, tém uczuciem co najbardziéj przywiązuje do dziecka, które nam najwięcéj za-

szczytu robi, Napoleon nie mógł się wstrzymać by nie dołączył do imienia swéj zwalczonéj góry jakiegoś znakomitego wspomnienia; a tak w cielając do Francyi całą tę część kraju, nazwał ją departamentem Simplonu.

O jakże mi było smutno, o tych wszystkich słysząc dziwach i pięknościach, zostawić je na stronie, na zawsze już może rozminąć się z niemi!

Droga prowadząca przez Sabaudyą do góry Cenis swą dzikością mię pocieszała tylko.

Pamiętam, jak w Tyrolu pyszny murowany cesarski gościniec, acz bardzo wygodny i bespieczny, był mi nieznośnym, w pośród alpejskiéj przyrody. Dobrze raz gdzieś przekonać się iż dla osiągnienia wzniosłego a dobroczynnego dla ludzkości celu, człowiek się ośmielił mierzyć z naturą, a gdy genialne w tym pomyśle pozostały zarysy, miło jest widzieć iż on może czasem ją ujarzmić. I sercu i dumie to poniekąd pochlebia.

Ale takie napotykać ciągle industryalne dzieła jak szose i murowane dwupiętrowe oberże, może być tylko przyjemném w naszéj Europie, gdzie się już ludzie na dwie podzielili części: Jedna lubiąca jedynie dobrze jeść i wygodnie spać, i od ośmnastego życia roku nieznająca już innych roskoszy; druga liczniejsza, na tych roskoszach spekulująca.

Alpy zaś wówczas są tylko miłe, gdy w nich wszystkie tak zwanéj cywilizacyi przysmaki ustaną, gdy jéj niesmaki doścignąć już nie mogą. Gdy zapomniawszy o niéj i jéj zwolennikach, umysł w błogim spokoju, gotów do ogromnych wrażeń, jakie podobne wzniecają obrazy, a dusza jedynie już przestaje ze swym Bogiem, który, w nich inaczéj niż na bursie lub w wagonie, wszędzie się jéj objawia.

Cywilizacya mocno już starła narodowe w saméj nawet Szwajcaryi znamiona, dużo już wdziękow ich zepsuła. Być może i nawet wolno się spodziewać, iż dzieci nasze będą koleją żelazną za dwa złote w jeżdżać na górę Białą i naśmiewać się z przodków co na tę wyprawę 100 dukatów łożyli, i jeszcze bardziéj niż ja się dziwić, iż mogli, życie narażając, w tém wszystkiém upatrywać roskosz i sławę.

Rzadko bywało, żeby następne stulecie poprzedniego nie wyśmiewało, a nasze pod wielu względami może na to zasłuży. Lecz my możemy śmiało politowaniem z góry mu to spłacić; bo cóż mu biednemu pozostanie gdy koleje żelazne tak mu cały świat otworzą, iż jednym krokiem z jednego w drugi biegiem wstąpi? gdy te ciągłe przelewanie się narodów zniszczy wszelkie ich różniące rysy, zmiesza wszystkie ich kolory i z téj mięszaniny zrobi się coś burego ani wabiącego oka, ani nawet godnego spojrzenia? Wówczas góry ulegając industryi, te tylko w zapomnieniu gdzieś tam pozostaną, które nikomu zawadzać nie będą: rzeki, jeziora

i kanały taki wezmą obrót i kształt, jaki im potrzeby handlu przepiszą; a dagierotypowane ich odbicia, już i teraz po oberżowych przedpokojach wszelką ciekawość podróżującego zawczasu usypiają. Obrazy kunsztowne będą się po sklepach tak na łokcie przedawać jak już teraz nóty i książki od arkusza się płacą; a jak biórka, zegary i tabakierki odgrywają Rossyniego kompozycye, tak też zapewne będą (a może już są?...) machiny do czytania książek, tworzenia o nich zdania, uwalniając tym sposobem salonowych literatów i literatek od niemiłych trudów czytania i rozumienia ich.

O jakie to wygodne, jakie to miłe będą czasy, nie jeden zawoła?... może być — Ale pan nasz powiedział: *»non solo pane vivit homo.* (1) Sabaudya, biedna, uboga, żadnéj jeszcze wykwintnéj cywilizacyi wymysłów nie nauczyła się udawać. Gościniec jéj pocztowy czasem do wiejskiéj naszéj drożyny, czasem do angielskiego parku podobny, bynajmniéj harmonii jéj pięknéj dzikości nie psuje. Obrazy jéj zbyt może do siebie podobne, miłe są jednak i oku i duszy. Niektóre tam skały całkiem są nagie, inne pokryte świrkiem. Jedne się obwijają chmurami, na drugich wieczne śpią śniegi. Gdy tak na górze śnieg leży, w dolinie zieloność i kwiaty. Na grzbiecie głazu dumny orzeł szerokiém skrzydłem chmury roztrąca, na dole w krzewinie wesoło śpiewa pokorna ptaszyna. Czasem gdzieś spada z góry swawolna kaskada lub pod południowém słońcem, gdy jakiś mniéj twardy śnieg się rostopi, widać jak srebrzystą wstęgą ku dolinie leci, by wzbogacił na dnie jéj szumiący ruczaj. Droga nad tym ruczajem, między góry, krzewy, opoki i parowy wężem się wije. Czasem odsłoni jakąś ubogą wioseczkę na boku skały umieszczoną, lub na dwóch krajach głębokiéj rozpadliny, dwóma rzuconemi przez nią deskami, czasem złamanym dębem połączonéj z sobą. Nad nią, wysoko w pośród zieloności biały dostrzega się punkcik; wygląda zrazu jakby powoik polny ze swą z liści girlandą. Jest to między kilku świrkami uboga lecz wybielona kapliczka. Przy niéj jeszcze coś drobniejszego się rusza? Jest to trzoda, bydło i pasterze, a to wszystko na tych kolosalnych massach jakby mrówki się wydaje.

Im głębiéj w kraj się wjeżdża, tém widoki stają się dumniejsze, bardziéj dzikie, bardziéj ponure. Skały srożéj się jeżą, wyżéj niebios sięgają, nad chmury się wznoszą. Jedne biorą kształty zamków, twierdz, zwalisk; inne chmurami od ziemi oddzielone, wyglądają jakby nadpowietrzne, w obłokach pływające wyspy. Parowy głębsze, pieczary czarniejsze, wegetacya rzadsza, i ludność rzadsza. W końcu już wszelka

(1) Nie samym chlebem żyje człowiek.

zieloność znikła; ani wioski, ani trzody, ani biednéj ptaszyny, nic już nie widać do koła, prócz nagich jak szkielety bielących się opok.... jakieś zimno ogarnia duszę..... Wznosisz oczy, by choć nieba kawałek ujrzeć..... aż niespodzianie spostrzegasz w pośród téj suchéj pustyni, na samym wierzchołku jednéj z tych kolosalnych brył, co zdają się nieznać ni wiosny ni lata, szerokie mury, a za niemi wierzchołki dachów!.... Któż tu mógł obrać sobie mieszkanie, każdego jest pierwszym podziwienia wyrazem? Jakże tu musi być okropnie, gdy jesień z ostatniemi słońca promieniami przed wczesną umknie zimą? gdy zima swą ponurą oponą zaściele już i tak ponurą przyrodę!.... Książka twa podróżna, lub pocztylion, w końcu ci powiada, iż to jest *Le fort de Bramant d'Essillon*, jest to twierdza, jest to srogie więzienie..... a tak po długiéj nieobecności, znów nas napotyka cywilizacya; gdyśmy się mniemali w pustyni, witamy się niespodzianie ze społecznym światem.

Jakoż niebawnie przybywa się do *Sanslebourg* ostatniéj sabaudzkiéj wioski, leżącéj już u stóp tego alpejskiego szańca, dzielącego Sabaudyą od Piemontu, Włochy od Europy.

W *Sanslebourg* drugie tyle zaprzęgają do powozu koni. Tam się zaczyna droga wspinać na wierzchołek góry Cenis.

Lubię góry: lubię myśl w dzikie ich zapuszczać jaskinie, lub skrzydła jéj przypiąwszy, puścić ją na te jéj szczyty co w obłokach giną, i znów czasem nad niemi harde pokażą czoło; lubię zachwycać się ich surowemi, ich dziwacznemi obrazy; a lubo po niejakim czasie, dusza moja tęskni za przestrzenią, za zieloną niwą, jednak smutno mi było żegnać się z Alpami, z temi moich ukochanych Karpat starszemi siostrami.

Góra Cenis między najwyższe się liczy. Nieraz słyszałam dla niéj podziwu i uwielbienia okrzyki. I ja też gotowa byłam, mego dla Alp hołdu, ostatnią złożyć jéj daninę. Pocieszałam się myślą iż z jéj szczytu, jeżeli z jednéj strony ostatnie poszlę Alpom pożegnanie, z drugiéj powitam Włochy, tę ziemię wybraną, klassyczną, to estetyczne jéj niebo, jéj słońce i kwiaty! Że gdy mnie opuszczą Ruisdhala piękności, Claude Laurrain mi otworzy swego królestwa bramy.

Ale jak to ci już mówiłam, gdy marzę niebo, najczęściéj mnie napotyka zawód... I ten raz tak się właśnie stało.

Góra Cenis wcale memu oczekiwaniu nieodpowiedziała. Jest naga, prozaiczna całkiem. Droga ją przecinająca, piękna, szeroka, wygodna, z Napoleona rozkazu w trzech miesiącach dokonaną została. Lecz nie widać w niéj, jak na Simplonie, walki człowieka z natury potęgą; owszém: zdaje się, że ją zrobiono właśnie dla tego, iż przez taką bez żadnych kaprysów górę, łatwiéj niż gdziekolwiek w tamtych okolicach przepro-

wadzić ją było można. Wnosić nawet wolno, iż gdyby Napoleon znał górę Cenis zanim przedsięwziął Simplon dziurawić, byłby się wcale Simplonu nie tykał. Acz takie podwójne przejście przez Alpy znacznie komunikacye ułatwia, w porównaniu jednak kosztu i trudów może się zwać zbytkiem, tém bardziéj iż handel morzem do Włoch trafia.

Droga ta, główna góry Cenis piękność, już całkiem do industryalnego należąca świata, zdaje się swą górę z familii alpejskiéj wykreślać. Żadnego też ona wdzięku, żadnych ze swego rodu familijnych rysów nie nosi. Wężem piący się jéj gościniec, odsłania wprawdzie zrazu dość piękny na dolinę i w niéj spoczywającą wioskę widok; lecz gdy w tysiącznych swych zgięciach, przez trzy godzin co trwa ta wznosząca się podróż, zawsze toż samo widzieć nas zmusza, widok ten staje się w końcu nieznośnym.

Na połowie góry, duży szlaban drogę przecina. Wyskakują do powozu umundurowani króla sardyńskiego urzędnicy. Pytają o pasport, wizy weryfikują, cło wchodowe opłacać każą; jakby do Piemontu z nieprzyjacielskiego wjeżdżało się kraju! Gdy przy wjeździe do Sabaudyi, w Chambery, wszystkie te formalności już dokonane zostały, to ich ponowienie tém bardziéj niemiłém się zdaje.

Tak to już na górze Cenis, świat społeczny się zaczyna, on ją za swe tam obrał przedmurze.

Na szczycie góry Cenis trzy są rzeczy; pocztowa oberża, klasztor ze szpitalem, i jezioro.

Oberża niegodziwa: szpital opuszczony; klasztor i kościół na pół zrujnowane, dwóch już tylko mnichów posiadają.

Jezioro duże i piękne ogólną zwraca uwagę. Ma dwie mil włoskich (około trzech wiorst) obwodu, daje ujście rzece Cenis która swą górę ochrzciła, i doskonałych dostarcza pstrągów.

Lecz najbardziéj zadziwia swém samém na tak wielkiéj wysokości istnieniem. I ja bym się temu dziwiła, gdybym morskiego oka i czarnego stawu nieznała, gdybym nie wiedziała, iż tam siedm jeszcze wyżéj znanych jest stawów, a nieznanych Bóg wie ile!

Słyszałam że z téj góry, rozległe i piękne szerzą się widoki.

Z balkonu oberży, prócz stawu co się tuż przy niéj zaczyna, prócz płaskich i nagich jego brzegów, nic niewidziałam; a gdy wybierałam się na przechadzkę, zerwał się raptownie wiatr, na takich wzniosłościach prawie nieustanny, i przyniosł nam gęstą chmurę; a ta się natychmiast całym swym ciężarem na całéj położyła górze, i oberżę i staw i nas wszystkich nielitościwie pokryła!

Mówię nielitościwie, gdyż niedała mi nawet przeciwnego boku góry widzieć, jéj ku Włochom spadku admirować; ma on być piękniejszy niż od strony Sabaudyi; ja zaś tylko z ruchu pojazdu mogłam wnosić iż spadek mniéj jest tam nagły; bo co dla oczu, chmura tak doskonale nietylko otaczała lecz napełniała karetę, iż siedzącéj na przeciw mnie osoby, ledwo rysów dojrzeć mogłam.

Po półtory godziny prędkiéj jazdy, u stóp byłam alpejskiego wału; i już wzniosłszy tylko dobrze wzrok, widziałam te niegodziwe chmury co mi tyle dnia tego dokuczały, podobne kawałkom białéj waty, po skalistych potczepiane karkach; a ja na zielonych, promieniami słońca uzłoconych niwach, fiałkowe od dziewcząt odbierałam bukiety. Byłam we Włoszech.

Chcesz, bym ci opowiadała Włochy, Antosiu. Ja ci to nawet nierozsądnie przyrzekłam! Teraz ci wyznam szczerze, iż mocno żałuję tak lekce danego ci słowa, iżbym je rada wycofać, i miałabym poniekąd prawo do tego. Zobowiązywałam się bowiem, nie znając, niedomyślając się nawet ogromu obowiązku, jaki przyjmowałam na siebie. Jest on nieskończenie nad siły moje.

Kto przyrzeka Włochy tłómaczyć, albo ich niezna, lub gorzéj, bo poznawszy, nie zrozumiał ich wcale. Wpatrzywszy się w nie, pojąwszy je cokolwiek, nabywa się przekonanie, iż nie może to być w żaden sposób dziełem jednéj ręki, gdyby ona do najbieglejszych nawet należała. Jak jeden rozum tyle rozmaitych nie mógłby ogarnąć pojęć, tyle połączyć, jakichby do tego potrzeba, rozmaitych wiadomości i talentów, tak też jedno życie, nie mogłoby wystarczyć na tyle poszukiwań, nauki, mozołów.

Nie trzeba myśleć iż Włochy są krajem, do którego jakiebądź ogólne rysy zastosować się mogą. Włochy mieszczą w sobie sto, dwieście, trzysta krajów, z których każdy ma swą osobną historyą, statystykę, literaturę, narodowy własny strój, obyczaje, język, kumszta, swe sympatye i antypatye, gorące i żwawe. Każda tam nietylko stolica, lecz miasto, miasteczko, oniemal wioska, ma swą samodzielną architekturę, swój zupełnie odrębny we wszystkiém typ, całkiem ją różniący od sąsiednich miast i wiosek; a wspólna ich do siebie nienawiść, jeszcze większy między niemi kładzie przedział.

Jednostajność ustaw i rządu, ani tych charakterystycznych rysów dotąd nie zagładziła, ani uczuć nie jednoczy. Niema na świecie dwóch mniéj podobnych z sobą miast, jak Wenecya z Medyolanem, lubo oba na lombardzkiéj są ziemi, i jednemi rządzone prawami. Toż samo powiedzieć można o Turynie i Genui, o Pizie, Florencyi i Sjennie.

Co do mowy — Wenecyanin nie rozumie Florentczyka, Rzymianin Neapolitana. Więcéj powiem: w Sorrento, o pięć godzin drogi od Neapolu, dyalekt już się zupełnie od neapolitańskiego różni.

Co do nienawiści — dość jest przez dziesięć minut pomówić z Włochem, by się w pierwszych słowach dowiedzieć od Florentczyka, że Toskanja tylko piękna, że w niéj tylko są zalety i cnoty, a w stanach papiezkich sama niegodziwość i zbrodnie; toż samo ci Rzymianin powie o Neapolu i t. d.

Sjenna, lubo już od dawnych lat do Florencyi należy, tak dotąd jeszcze swéj zwycięzkiéj nienawidzi pani, iż po jéj powodzi 1844 r. gdy każdy wzruszony straszliwém nieszczęściem, pośpieszył do składek na korzyść biednych jego ofiar, Sjenna głośno odmówiła swego w nich uczestnictwa!

Sjenna ma nawet w swém własném łonie, całą część miasta zupełnie różniącą się od reszty i tak jéj nienawistną, iż za najmniejszą okazyą, te dwie sąsiadki na noże z sobą idą. Rzym także ma swych transtewerów. Są to zatybrzańscy mieszkańcy, całkiem różniący się od nowego Rzymu ludności, i jéj nieprzyjaźni. Inne miasta podobneż stronnictwa w sobie mieszczą.

Gdy tak nietylko królestwa, księztwa, kraje i kraiki, lecz miasta i miasteczka, każde z osobna zgłębiać i uczyć by się potrzeba, a w nich jeszcze różnorodne wynajdować żywioły; gdy każde z nich od kilku tysięcy lat swe datuje dzieje, i kiedy w innych krajach mdła jeszcze rodzi się historya, u nich już w saméj sile na barczystych plecach kilka nosi wieków, jakże się podjąć skreślenia choćby tylko szkicu każdego z tych ułamków, osobną jednak stanowiących całość? jak każdemu z nich dochować właściwy a tyle razy jednak zamieniany charakter? Powiedz, Antosiu, możesz to być dziełem jednéj ręki, jednego życia?

Między tysiącém utopii, za jakiemi w ostatnich czasach ludzie się ganiali, zlanie Włoch w jedną całość miało także swe panowanie. Zaburzenia neapolitańskie i pjemonckie 1822 roku w tym były wzniecane celu. Napoleon jednak, ten wielki niwelator świata, dążący do podciągnięcia całego pod jedne prawidła i ustawy, musiał to połączenie Włoch w jedno ciało uznać niepodobném, kiedy trzymając cały półwysep w swéj silnéj dłoni, zostawił mu rozmaite jego barwy; kiedy część tylko sobie z niego zabrawszy, zezwolił na odrębne w jego łonie państwa.

Kraj ten rzeczywiście prócz pięknego nieba, jedną ma tylko w swych częściach wspólność:— z niego sobie zesłaną religją. Może też jéj zasady, wiążąc z sobą wieki, a zbliżając narody, sprowadzą kiedyś tę pożądaną jedność, która podług wielu, ma zwiastować dawnych Włoch

odrodzenie. Przedstawić zaś je dokładnie i należycie pod wszelkiemi względami, takiemi jakiemi są dzisiaj, z całą ich przeszłością, a dla niektórych, części z przewidzianą od dawna przyszłością, niewiem kto się podejmie. Trzebaby zarazem być Dantem, Tacytem, Michał-Aniołem, Machiavelem, i jeszcze nowe do ich dodać zdolności.

Większa część z tych co opisują Włochy, mniemają pod odgłosem swych hucznych uniesień bezsilność swą utaić, gradem wykrzykników niedomiar wielu rozdziałów zapełnić. Lecz ty, Antosiu, i tego niespodziewaj się po mnie. Niemam ja zawsze i ciągle zapału na wszelkie zawołanie, a udawać nieumiem. Nieumiem także chwalić i unosić się jedynie dla tego, iż tam przedemną chwalono, po mnie unosić się będą. Owszem, to zwyczajem poniekąd nakazane uwielbienie, często jego wyraz na mych ustach krzepi. Może z téj przyczyny, zbyt mię zimną w obec góry Białéj nazwiesz; może nieraz jeszcze na tę samą naganę od ciebie zasłużę. Wybacz, lecz mi niepodobna za innemi tysiąc już razy powtarzane jeszcze powtarzać słowa; w oceanie pochwał, topić moje hołdy. Czasem także zdaje mi się, iż gdy donośniejsze już głosy, przedemną jaki opiewały przedmiot, mój by tylko niezgrabném się wydał przedrzyźnianiem.

Nieraz słyszałam od ciebie, że w opowiadaniu nad wszystko lubisz prawdę. Ta nawet w kraju poezyi niemoże być zawsze estetyczną. Trzeba ci więc się przygotować na rzeczy często suche i twarde. Wreście wszystko jest na tym świecie względném; sama nawet prawda, z pod tego ogólnego prawa wyłączyć się niemoże. Co dla jednego jest prawdą, drugiemu się nieprawdą wydaje, jak to już nieraz w najpoważniejszych naukach i systematach między najmędrszemi widywaliśmy. A jakże chcieć, żeby wrażenia, rzecz tak indywidualna, tak chwilowa nawet, mogły każdemu prawdą się wydawać? Jeden tak, drugi czuje inaczéj. My sami rozmaite częstokroć z jednego a niezmiennego przedmiotu odnosimy uczucia. Tęż samą książkę raz znajdujemy cudną, drugi raz nic wartą; raz oderwać się od niéj nie możemy, drugi raz nas nudzi. Ona się jednak nie zmienia: tylko my raz ją za młodych lat, w pośród błękitnego ich światła czytaliśmy, drugi z wybladłą starości pochodnią; lub raz w chwili całéj niepodległości umysłu, drugi ze wzrokiem jakimś uprzedzeniem przyćmionym.

Jak się ma do książek, tak i do wszelkich innych w świecie przedmiotów. Jako do wrażeń, tak, i jeszcze bardziéj, do uwag, do zdań, aż nadto uległych wrażeniom. Jakże mam więc sobie pochlebiać, iż jakkolwiek wiernie ci będę przesyłać me teraźniejsze uwagi, myśli, zdania, one ci się wydadzą takiemiż, gdy za lat kilka zwiedzając Włochy, sprawdzać je poczniesz?

Przedtem, radabym mocno, by one wcale twéj niezwróciły nawet uwagi. Nic bowiem nudniejszego, jak opisy rzeczy nieznanych, zupełnie nam obcych; do których ani przeszłość ani przyszłość, żadne wspomnienie, jak i żadna nie łączy nas nadzieja! Dla tego to podróże, w chwili wyjazdu do opisanego kraju, czytać tylko trzeba, lub z niego wróciwszy. Inaczéj biada autorowi!

A i w ówczas, wiedz zawczasu, iż posyłając ci te arkusze, już tylko dla uiszczenia się z przyrzeczenia, dla dogodzenia sumieniu kreślone, nie znajdziesz w nich jednak *sumiennego* dzieła, jaki je twój głęboki umysł potrzebować i żądać miałby prawo, jakie ja pojmuję. Będą to tylko jakieś Włoch próbki; weź z nich te, które ci w oko wpadną; inne omiń niepatrząc.

VI.

PJEMONT. — TURYN. — SILVIO PELLICO — ALFIERI. — GENUA. — KRZYSZTOF COLOMB.

Podróż do Turynu najlepiéj mię przekonała o mém do podziwu, do uniesień małém usposobieniu.

W tych pierwszych na włoskiéj ziemi krokach, gdzie każdy zwykł cały wybuch swego uwielbienia w obłoki ciskać, ja z podziwieniem, niemal ze smutkiem, ujrzałam się całkiem obojętną, zimną. Bo pocóż jechać do Włoch, jeżeli nie dla podziwu?... Mniemam nawet, iż ta uwaga nie mało się już przyczyniła do tych górno-lotnych exklamacyj, od jakich zwykle podobną zaczynają podróż.

Pjemont do rolniczych i dobrze uprawnych należy krajów. Widok przy wejściu do niego, na żyzne Lombardyi rozciąga się błonia. Niesie on w skutku dla duszy pociechę; ludzkość tém bogactwem biednego cieszyć się każe; lecz dla oka wyznać należy iż to są arcy-prozaiczne obrazy. A jak zachwycając się Sabaudyi skałami, wyrzucałam sobie mą roskosz, nędzą biednego górala okupioną, tak tu znów wymawiałam sobie obojętność na te ziemi hojne dary. Jednemi więcéj niżbym chciała, drugiemi za mało się cieszyłam. Tak to w sercu ludzkiém zawsze pełno sprzeczności!

Po tej prozaicznéj drodze jeszcze prozaiczniejsza napotyka się stolica. Turyn, ze swemi sznurem wyciągnionemi ulicami, zdaje się ojcem lub starszym bratem Berlina. Nikt i jednemu i drugiemu zapewne, niezaprzeczy piękności. Lecz jeżeli na pruskich, szeroko ścielących się piaskach, widok długich linji Berlina pałaców wzrok rozwesela, jakże on dalece czego innego pragnął, za krainę Alp się przedarłszy!

Turyn ma jeszcze tę nad Berlinem wyższość, iż wszystkie jego domy wzniosłe i piękne, na jeden stawiane wzór, mają otwarte od dołu galerye, a tak, proste jego ulice przyjemne i wygodne dla publiczności przedstawiają chodniki. Można główną część miasta całkiem obejść, ani na deszcz, ani na słońce się nie naraziwszy. Pod temi zaś portykami, wyroby złotnicze i jedwabne, słowem cała rubrykowéj Europy industrya, na wyścigi oko przechodnia bawi, ująć je sobie usiłuje.

W nowoczesnéj też Europie, Turynowi by między pierwszego rzędu miastami jedno z najpierwszych przyznano miejsc. Wszystko co się tam pięknością zowie, Turyn łączy w sobie; nawet ładny most na swéj uhogiéj rzece (Po), i dość miłe jej brzegi.

Lecz patrząc na te wszystkie świeżych czasów wdzięki, niepodobna prawie dać wiarę, iż to jest jedno z najstarożytniejszych miast; widząc plan jego w tak regularnie pokrajane kwadraty, iżby mógł w potrzebie za warcabnicę służyć, zdaje się, że musiało jakiejś uledz klęsce i świeżo być odbudowaném.

Jednakże, historya zupełnie przemilcza, dla czego i kto je tak pokrajał, kto i kiedy téj teraźniejszości nadał mu pozór? Zaręcza tylko iż gdy *Annibal* do Włoch wkroczył, Turyn już był potężny i piękny. *Pliniusz* liczy go do najdawniejszych miast Liguryi. Juliusz Cezar, idąc na Gaulów, zostawił w nim załogę, która go późniéj *Colonią Julją* przezwała. Lecz August przywrócił mu Turynu nazwę, wziętą z celtyckiego *Taurini*, którą wszystko wówczas, kraj, miasta, jak i mieszkańców Liguryi zwano.

Franciszek I, zniszczył wprawdzie wielką część jego w 1536 roku; lecz ta zaraz odbudowywać się poczęła; a teraźniejszy Turyn, wcale nie nosi XVI wieku cechy.

Jak mury jego, tak ludność i zwyczaje, nic do wyobraźni nieprzemawiają; nic nie odpowiada jéj we Włoszech żądaniu.

Piemontczyk, daleko bardziéj do Niemca niż do Włocha podobny, zadziwia raczéj niż zadowalnia, gdy perlaną włoską mową wysławiać się pocznie. Nie jest to wprawdzie mowa Florencyi ani Rzymu, ale zawsze za nadto śpiewna na Turyn.

Za to, gdy się co kilka minut dają słyszeć wojskowe bębny, trąby, marsze i manewry, gdy się w ulicy rozminąć niepodobna ze dworską liberyą i paziami, bardzo to dobrze z pałacami Turynu harmonizuje. Trzeba tylko zapomnieć, że się do Włoch wjechało; do kraju, gdzie się szuka szczytnych przeszłości zabytków, kunsztów, ruin i poezyi.

J. Janin, z wielkim zapasem zapału przebywszy Alpy, nieco się zatrzymawszy w Turynie, wyrzekł, iż Piemont trzeba nazwać Włoch przedpokojem. Alfiery, jego dziecię, przeniosł się do Florencyi, i jak sam wyznaje, tam dopiero zaczął się uczyć po włosku.

Szczęściem iż niema czego długo w Turynie bawić. W galeryi obrazów kilka jest pięknych oryginałów; lecz jadąc do Florencyi, któżby przy nich czas trawił? a zbiór ciekawości egipskich, bardzo bogaty, niewiem czy dla kogo ma zbyt wielki pociąg. Ja od piérwszéj jaką widziałam mumii, zawsze znajduję iż wszystkie do siebie podobne.

Niektórzy w Turynie szukają jeszcze śladów J. J. Roussa, gdy oddany tam do szkoły katekumenów, pierwszy raz uczuł w sercu coś do miłości podobnego, a późniéj prześlicznie to uczucie swoje potomności powierzył.

Mnie zaś tam inne spotkało wspomnienie. Wspomnienie biednego *Silvio Pellico*, gdy w ponurém więzieniu przypominał sobie ostatnie chwile, przepędzone na łonie rodziny w Turynie. Gdy się martwił w jaki sposób wieść uwięzienia jego tam dojdzie? jak ją przyjmą, jak ją przeżyją starzy rodzice!

O któż, przeczytawszy książkę *Silvia Pellica*, nie pokochał go? Któż nie podzielał jego wszystkich smutków? nie cieszył się jego skromnemi, acz zbyt ze strony losu skąpemi pociechami!... Kogóż nie bolały te jego opuchłe od komarów ręce, gdy w plombach Wenecyi, w pośród skwarnego upału, gorączką trawiony, temu jeszcze dodatkowemu niemógł ujść udręczeniu? a widząc, jak on długie srogiéj próby lata obracał na chwałę Boga, a na poprawę wad własnych, komuż nie przyszła chęć, także stać się lepszym, na wzór jego, z każdego dnia jakąś dla siebie odnosić korzyść, nie czekając wszakże do tego surowych losu kolei?

O dobra to rzecz, samotność; ta matka głębokiego rozmyślania, rzetelnego ocenienia siebie i wszech rzeczy świata, ta przyjaciołka religii i cnoty! Milsza ona zapewne, gdy własnego wyboru skutkiem, i niech Bóg broni od innéj. Lecz w każdym razie, czyści ona i dojrzewa umysł, chłodzi złe nałogi, namiętności usypia, duszę do nieba wznosi.

Nieraz mi się zdarzyło, widzieć z niéj wracających daleko lepszemi, niż gdy się z towarzyskim żegnali światem. Ztąd to może mimowolna w nas się rodzi gotowość wyżéj cenienia tych, co się bez gwaru świa-

ta obejść mogą; ztąd może także tak często słyszeć się dają udane pochwały dla wiejskiéj ciszy i samotnego ustronia od osób, któreby jednego dnia wytrzymać w niém nie zdołały.

Wyjechawszy z Turynu, pierwsza rzecz jaka wstrząsa odrętwiały w nim umysł, jest wsławione bitwą pod Marengo pole.

Pole to szerokie i równe, jak potrzeba do wojennych obrotów, jest częścią puste, częścią uprawne.

Wolę część pustą. Myśl, iż pług tych walecznych tknął się kości, iż rył po téj ziemi bohaterską krwią przesiąkłéj, była mi przykrą.

Nie wspomniałam o Asti, o téj ojczyznie Alfjerego; gdyż, lubo on tam dzień ujrzał, prawdziwą jego ojczyzną jest Florencya. We Florencyi i znaczna część życia poety przeszła i zwłoki spoczywają. Asti wreście nic niema znakomitego. Jeden z tegoczesnych pisarzy, zowiąc je nudném, porównywa to miasto do klassycznéj trajedyi.

Daléj, napotyka się mała mieścina, Novi zwana. Tam cienie jenerała Jouberta nas witają. On tam 1799 r. walecznie poległ.

Tak to wjechawszy na włoską ziemię o któréj się noc i dzień przed Alpami marzyło, zupełnie się w Pjemoncie zapomina o niéj.

Turyn najprzód całkiem od wszelkich starożytności, od wszelkiéj swéj ojczyzny uroków umysł odwraca: późniéj inne znów sławy, świeższemi wieńcami drogę ścieląc, zupełnie inny dają myśli obrot; a gdy się raptownie napoleońskie przed nią rozwiną karty, wkrótce koleją przeznaczenia jego idąc, widzim ją najprzód w promienistych przestrzeniach pieszczącą się z berłami i wawrzynami; następnie mierzy największéj niedoli czarną przepaść; w końcu już w innych półsferzach po Ś. Heleny skałach smutnie się błąka..... gdy niespodzianie jakieś nowego rodzaju zjawisko, budzi ją z tych marzeń obłędu.

To już niewiadomo do jakiéj należeć ma części świata? Czy to Semiramidy ma być stolica? czyli tylko jakiegoś melodramu pyszna dekoracya? lub jakiéj wschodniéj powieści wspaniałe odbicie?

W głębi roskosznéj śródziemnego morza zatoki, postrzega się raptownie cały stos marmurowych pałaców. Te pałace w półkole, na zielonych upiętrzone wzgórzach, zdają się umyślnie dla widza tak ustawione, iżby jeden nie krył drugiego; iżby ich krocie kolumn, ich płaskie ogrodami pokryte dachy, słowem żeby nic dla niego straconém nie było. I też zdumione oko szuka w tych nadpowietrznych ogrodach jakiego Saladyna; dziwi się, iż pod cieniem ich pomarańczowych drzew niewidzi nowéj jakiéj Roxolany.

Ten zbiór marmurowych oryentalnego kształtu pałaców, co tak leniwie nad swą śliczną leżą zatoką, zowie się Genua.

Genua, ta rywalka Wenecyi, którą to zwano niegdyś piękną (Venezia la bella), (1) wzięła sobie przydomek *pysznéj* (Genua la superba) i nikt go jéj dotąd nawet nie zaprzeczy. Mniemam owszem iż niepodobna, spostrzegłszy ten jéj obraz, do którego dodać trzeba port krociami masztów ozdobny, obraz, potrzebujący wzroku duszy, by go dokładnie pojąć, a którego żaden nie odda opis, mniemam, mówię, iż każdy go ujrzawszy zawoła w uniesieniu, o jakież to pyszne!

Nawet trzy jéj główne przebiegłszy ulice, samemi z obu stron otoczone pałacami, i ten most zwany Carignan, co dwie łącząc góry, po nad ulice, kościoły i domy śmiale rzucony, za dziwny i nowego rodzaju służy mieszkańcom spacer, wszystko to jeszcze pysznem nazwać trzeba.

Lecz, jako najwięcéj rzeczy świata, dla dochowania złudzenia, tu należy i wzrok i kroki swe wstrzymać, nie puszczając, nie zagłębiając ich daléj.

Nic bowiem sprzeczniejszego jak ten wspaniały most Genui, te jéj trzy pyszne ulice, z resztą czarnych, ciemnych i brudnych jéj przejść.

Zowię je przejściami, bo nieśmiem nawet uliczkami ich nazwać.

W Wenecyi podobne korytarze, bez powietrza i światła, brakiem gruntu się tłómaczą; ale tu?... Mogą one tylko dać miarę, jaka w tych dawnych republikach istniała przestrzeń między panami a ludem; między bogaczem, dla którego cały świat niemiał dość marmuru i złota, a biedakiem, któremu powietrze i światło liczono za zbytek.

Na to porównanie jakiś nieprzyjazny głos przeciw tym bogaczom w sercu powstaje; a gdy po ich teraz pustych i głuchych chodzi się gmachach, gdy się patrzy na te szczątki niezrównanéj wytworności, na te potłuczone kolumny, posągi i lustra, na zaczerniałe obrazy i złociste niegdyś ich ozdoby, mniéj się już współczucia ich wygnanym właścicielom niesie. (2)

Po tym przeglądzie, Genua zamiast lubieżnéj odaliski, już tylko nam jakby opuszczona wygląda sierota, a dusza z uniesienia w jakąś przechodzi tęsknotę.

Jakkolwiekbądź, czy to nad nią płakać, czyli ją uwielbiać, nikt nie zaprzeczy, iż Genua zupełnie od reszty świata się różni; w niéj już niepodobna zapomnieć iż się wstąpiło w szczęśliwą czarów krainę, w krainę, gdzie każdy prawie krok nowym oznaczony zadziwienia przedmiotem.

(1) Genua, tak jak Wenecya, miała Dożów i rządzący Senat. Ta forma rządu począwszy od 1528 r. trwała u niéj przez lat 270. Późniéj wpływem Francyi zmieniła go, przezywając się rzeczpospolitą liguryańską. Nakoniec została wcieloną do cesarstwa francuzkiego, a teraz do Pjemontu.

(2) Wiele z tych pałaców posiadają jeszcze bogate szacownych obrazów i innych ciekawości zbiory, godne podróżujących uwagi.

Genua, jeśli nie wyliczy tyle artystów ile inne jéj współzawodnice. posiada za to swą jedyną w świecie sławę.

Krzysztof Colomb, ma zapewne czém zastąpić, jeśli nie zaćmić kunsztownych sław świetność; a dar jaki Europie uczynił, nie jeden może nad Rafaela i Michała Anioła policzy dary.

Colomb należy do tych ludzi, których wyższe zdolności goryczą i boleścią całe zatruły życie. »*Aucun chemin de fleurs ne conduit à la gloire*" (La Fontaine), a obok tego tak mało mu zjednały zapału, iż nawet na kolebkę jego, żadnego nie rzuciły odblasku, żadnéj jasności.

Długi czas niewiedziano i nietroszczono się z kogo i gdzie się zrodził ten nowego świata darzyciel. Dopiero w początku naszego stulecia, i gdy pierwszym jego krokom jakaś niepospolita przyświecała gwiazda, tak iż wówczas mu wolno było sobie tuszyć że dorówna XV wieku fenomenalnéj wielkości, nasz mówię XIX wiek, zwrócił swą uwagę na tę XV wieku sławę.

W początku naszego wieku zaczęto raptownie dobijać się o zaszczyt nazwania się ojczyzną Colomba. Trzy miejsca głównie się ścierały o to: tak, że w 1812 roku naznaczono urzędową komissyą do przejrzenia ich dowodów, do rozstrzygnienia sporów.

Komissya ta przyznała Genui upragniony honor, co nieprzeszkadza małéj pjemontskiéj mieścinie, dotąd od swych nieodstępować pretensyi.

Wreście, czy to w saméj Genui, czy w *Cuccaro* zrodzony, gdy to miasteczko do rzeczypospolitéj genueńskiéj naówczas należało, Krzysztof Colomb jest zawsze genueńczykiem.

Przy dociekaniu miejsca urodzenia, odkryto zarazem stan rodziców jego, i pierwszéj jego młodości zajęcie.

Ojciec Krzysztofa handlował wełną, a Krzysztof z braćmi ją gremplowali: ojciec postrzegłszy w swych dwóch starszych synach wielką do nauk ochotę, posłał ich do szkół do Pawii. Tam wkrótce oba się odznaczyli, mianowicie w jeografii. Bartłomiéj, piękną odrysowawszy mappę (rzecz w owych czasach rzadka i wysoko ceniona), zawiózł ją w darze angielskiemu królowi; a Krzysztof, pojąwszy kształt naszéj kuli, któréj jedna tylko była znana strona, o niczém już nie marząc jak o nowych światach, wszystkie zaczął zwiedzać dwory, nowe nieznane ofiarując im trony.

Lecz wszędzie go spotkały odmówne żarty, urągania i zniewaga. Nazywano go szarlatanem, oszustem, waryatem.

Boleścią wzdęty głos jego trafił w końcu do kobiecych uszu, raczéj może do litościwego serca.

Izabella Kastylska, wysłuchawszy Krzysztofa, wymienia kilku z ministrów swoich do rozpoznania planów jego. Ci nierozumiejąc kosmografii ni żeglugi zasad, uznają je za niewykonalne. Colomb zbija jedne po drugich wszystkie te grubéj ciemnoty zaprzeczenia, co jednak interesu jego nie popiera.

Izabella niechcąc go odmówną całkiem odpowiedzią do ostatniéj przywieść rozpaczy, odkłada do lepszych czasów ostatnią decyzyą. Colomb znów się udaje do Anglii, Francyi, Wenecyi, gdzie nic nie wskurawszy, do Hiszpanii wraca.

Tam nową dla siebie otrzymuje kommissyą. Lecz i ta toż samo co pierwsza powtarza; Colomb wszelką traci nadzieję.

Myśli jego jednak zaczynają powoli zwracać uczonych uwagę. Dowodzenia jego nieznacznie szerzą się po świecie, i coraz więcéj nabierają rozgłosu.

Domysły o istnieniu antypodów już bowiem nie po raz pierwszy krążyły między znakomitemi ludźmi. Starożytni napomykali o nich; włoscy żeglarze nieraz napotykali znamienujące nieznany świat oznaki, jako to, szczątki łódek odmiennego kształtu, ciała ludzi i zwierząt Europie nieznanych. Colomb sam wyznaje, iż pamiętniki i podróże wenecyana Marco Polo, z 1255 roku, najbardziéj w nim jego panującą myśl rozwinęły.

W końcu mniéj już zaczynają po dworach wyśmiewać Krzysztofa, mniéj wątpić o tém, co on twierdzi, jak o tém, czy skutek odpowie zbyt znacznym podobnéj wyprawy nakładom. Portugalya była zrazu także odrzuciła Colomba prośby, teraz sekretnie na zachód wysyła swe fregaty; te niedołężną prowadzone ręką, bezskutecznie wracają. Ale Florencya posiada uczonego Ameryka Wespucego, i chce mu podobnąż missyą poruczyć.

Wówczas i Hiszpanija ze swéj opieszałości się budzi. Właśnie pokonała Maurów, zdobyła Grenadę, znajduje sprzyjającą zamysłom Colomba porę, a lękając się być ubieżoną, przyzywa go do siebie, mianuje admirałem i okręta przyrządza.

Tak 3 Sierpnia 1492 roku, Colomb na swą pierwszą puszcza się wyprawę. Obiecuje wykryć kraje, gdzie złoto garśćmi będzie się zbierało; obiecuje pereł i klejnotów bez miary. Pełno się zwolenników do jego podróży łączy; liczne mu towarzyszy grono. Lecz ci ludzie, jedynie chęcią zysku wiedzeni, bez nauki, bez szlachetnéj żądzy sławy, gdy stracili z oczu ląd, od którego nigdy nie oddalano się przedtém, gdy się ujrzeli w pośród niedościgłéj oceanu przestrzeni, zlękli się téj jego nie-

znanéj wielkości; zamiast złota, pereł, zaczęli śmierć przed sobą widzieć, i żądać powrotu.

Admirał tymczasem w swych zatopiony uwagach, postrzega już nowe w morzu płazy, nowe rośliny, nowy wiatru obrót; wszystko mu zwiastuje usiłowań jego zwycięzki cel; wszystko mu wróży sławę, wszystko nieśmiertelność głosi; Colomb w upojeniu, każe rozpiąć żagle.... ale głos jego na flocie bezwładny, nikt go słuchać nie chce; bunt ogólny; wszyscy wołają powrotu, lub grożą iż na dno morza go wrzucą.

Już to wprawdzie więcej dwóch miesięcy, tak po nieznanych hemisferach błądzą, nic nie widząc nad sobą jak płonące niebo, nic pod sobą jak bezdenne morze. Żywności codziennie ubywa, choroby się wzmagają, Colomb sam niewie co począć. Powrót, mu wieczny gotuje wstyd, więzienie, może haniebną śmierć jaką, a sława tuż przy nim, lecz dosięgnąć jéj, sam już niewidzi podobieństwa.... W końcu, otrzymuje od buntowników floty, trzy dni jeszcze zwłoki, po których, gdyby żadnego nie ujrzano lądu, święcie się obowiązuje do ojczystych brzegów sam ich odprowadzić.

Zaledwo tak się pożegnawszy prawie z tą sławą dla któréj całe poświęcił życie, i na wszelką rezygnując się powrotu hańbę, zdołał ułagodzić swych towarzyszy, gdy niebo, nową na niego zsyła próbę; nawałnica jakiéj nikt niepamiętał, burza tém straszliwsza, iż całkiem nieznanemi miotana wichrami, grozi pochłonięciem całéj floty. Nowe w niéj powstają przeciw dowódzcy skargi i pogróżki, równające się burzy głosowi.

W końcu niebo się powoli łagodzi, ale okręta burzą mocno uszkodzone. Potrzeba lądu coraz silniejsza, a tu sam tylko ocean na wszystkie rozlega się strony. Colomb z lunetą w ręku nieopuszcza steru.... Już z trzech darowanych mu dni, ostatni zajaśniał.... już jego słońce śpieszy ku mecie i wkrótce ją skończy.... Nadzieja nowego świata całkiem znikła, a nadzieją powrotu nikt już się nawet cieszyć niemoże. Okręta zepsute, morze coraz nowe robi w nich sobie otwory, woda wszędzie zalewa, gdzieżby one zdołały drugie dwa miesiące podróży wytrzymać? a bez lądu, wszelka ich naprawa niepodobna.

Koniec niedaleki, śmierć oczywista; każdy ją po swojemu przyjmuje, każdy inaczéj przychodzi ją admirałowi wymawiać.

Słońce już zaszło, ostatni z trzech dni się skończył. Cała przestrzeń czarnym kirem nocy się pokryła; lecz przyszłość floty, lecz dowódzcy myśli i uczucia, sto razy pewno czarniejsze!

Colomb rzucił lunetę, i już tylko dla dotrzymania słowa, ma dać odwrotu rozkaz, gdy jakiś głos zawołał: „ogień! ziemia!".... Z razu

dowierzać nikt nie śmie.... Wszyscy biegną, patrzą, i sto głosów powtarza: „ziemia! ziemia! ziemia!"

O któżby zdołał pojąć co się wówczas w sercu Krzysztofa działo? któż pojmie radości jego miarę? Ta chwila wszystkich przeszłych boleści zapewne była nagrodą, jak i wszystkich czekających go jeszcze (1).

Następnego ranka, Colomb wylądowywał na ziemi nowéj, świéżéj bogatéj w rośliny, bogatszéj w perły i złoto. Przepowiednia jego się sprawdziła; skargi podwładnych ucichły.

Mieszkańcy tego kraju, uciekają zrazu przed niemi. Okręta biorą za skrzydlate potwory; ujrzawszy ludzi na koniach, mniemają iż człowiek i koń jest jedno i nierozdzielne stworzenie. Gdy się to w ich oczach dwoi, rozdziela, tém większy obudza postrach.

Ale to wszystko wkrótce się łagodzi. Colomb pozyskuje przychylność panującego tam kacyka, mieszkańców obdarza paciórkami, odzieżą, zwierciadełkami, a w zamian dostaje od nich pełne garście pożądanego kruszcu i klejnotów.

Wyspę tę co mu zbawienie przyniosło ochrzcił wówczas Colomb Swiętego Zbawiciela imieniem, S. Salvadore, i najprzód postawił w niéj krzyż. Ze szczątków zaś rozbitych okrętów, wzniósł rodzaj małéj twierdzy, w któréj część swych towarzyszy zostawiwszy, sam z resztą wraca co prędzéj do Hiszpanji, zdobycze swe u stóp Izabelli złożyć.

Tam go uwielbienia odgłosy, tryumfy i huczne spotykają uczty. Lecz Krzysztof nie traci w nich czasu. Nową większą od pierwszéj uzbraja flotę, 1500 do niéj otrzymuje ludzi, i do swych nowych spieszy krain, do pozostałych tam współbraci.

W powrocie odkrywa wyspy Marie-galandę, Ś. Dominika, Guadeluppy i kilka innych. Te zaledwo przebiegłszy do saméj przybija kolonji. Lecz jakiż go napotyka widok?... Twierdza zniszczona, kości i reszty pogruchotanéj broni plac jéj pokrywają!

Dzicy ludzie uwiedzeni zrazu cywilizacyi ułudą, niebawnie się poznali na zdradliwych jéj pieszczotach; pod błyskliwemi swych gości darami spostrzegli okowy i więzy — spostrzegli je, i w pień wycieli tych, co im je przywieźli.

Był to początek téj długiéj a krwawéj walki wolnéj Ameryki przeciw kłamliwéj Europy napaści; biedna Ameryka!!

Colomb w miejscu dawnéj, nową zakłada kolonją; lecz dowiaduje się, że inne wyspy bunt także podniosły. Spieszy je uśmierzać, nowe jesz-

(1) Działo się to 12 października 1492 r. (czterdzieści lat przedtem zrodziła się drukarnia. Co to za wiek w odkrycia bogaty!)

cze wykrywa brzegi, nic niewiedząc, iż w innych krańcach świata, straszliwsze na niego zamachy się gotują!

Protektorka jego, Izabella Kastylska, umarła. Owdowiały po niéj Ferdynand, daje wszystkim jego zawistnym oszczercom do siebie przystęp.

Colomb, najmoralniejszy z ludzi, zaocznie o rozmaite nadużycia obwiniony, gdy do swéj wyspy *San Salvadore* wraca, nieznanego we własnym domu znajduje pana, z Hiszpanii zesłanego całéj wyspy samowładnego rządcę. Ten już od dawna papiery jego zabrał, młodszego brata więzi, jego samego także łańcuchami okrywa, i ubu w okowach do Hiszpanii pod sąd odsyła.

Tak to człowiek ten, co swą ojczyznę, ojczyznę własnego wyboru, zasypał złotem, nowemi ją obdarzył korony, jakby zbrodniarz jaki do niéj wraca; podczas gdy inni w obłudę tylko z natury bogaci, jego geniuszu cieszą się darami!

Oto jest sprawiedliwość ludzka.

To zaś, iż ta sława któréj całe poświęcił życie, tylu okupiona walkami i upokorzeniem, okropną niewdzięcznością zapłacona, nie zjednała mu nawet, by ten nowy ląd, jego się zwał imieniem, może jest skutkiem złorzeczeń i przekleństwa biednych ludów tego ujarzmionego świata (1). On go pierwszy pojął, dociekł, ogłosił; on, wyżebrawszy kilka okrętów, pierwszy nieznanym oceanu burzom zuchwale się poruczył, a *Amerykę Wespucy*, w dziesięć miesięcy późniéj, przez Florencyą wysłany, jakby własnemu dziecku, swe imie Ameryce zostawił.

Colomb, z sercem niewdzięcznością i krzyczącą niesprawiedliwością skrwawioném, umarł w Hiszpanji 8 Maja 1506 roku.

Może już ci te wszystkie szczegóły od dawna znane, Antosiu, lub może ja cię niemi zbytecznie nudzę. Ale wierzaj dawnemu doświadczeniu memu, iż podróże o tyle są tylko zajmujące, pożyteczne i miłe, o ile cała przeszłość zwiedzanego miejsca nam znana, a każda świetniejsza strona jego, każda jego sława, naszym wówczas przedstawia się oczom.

Inaczéj przybywszy do obcego miasta, gdzie się ani domowych zwyczajów i zajęcia, ni dawnych niema znajomych, ogarnia najprzód tęsknota, zaraz potém nuda i chęć ucieczenia od niéj. — Jedzie się daléj —

(1) Ob. w dziele Roscoe, histoire de la vie et du pontificat de Léon X. t. 4 p. 132, rozumną i sumienną o tém rozprawę: „Pour ces peuples primitifs, mówi autor, l'invasion d'un fléau mortel eût été moins terrible que l'arrivée des espagnols; et les restes malheureux de ces habitans paisibles, étaient destinés à une destruction lente mais certaine, apres avoir passé par une longue suite de peines et de souffrances. L'histoire de la découverte de l'Amerique, n'est autre chose que celle du massacre de sa population, et de l'usurpation de son territoire, entreprise par une puissance étrangère.

lecz też same przyczyny jednostajne rodzą skutki. W końcu obleciawszy tak z ciągłem poziewaniem połowę świata, w drugiéj zaczynają się dla rozrywki polowanie, bale lub karty.....

Takich podróżujących pełno mi się napotykać zdarzało, i zawsze rodzili we mnie zadziwienie, iż tak daleko szukają rozrywek, którychby mniejszym bez porównania zachodem i kosztem, we własnéj znaleźli okolicy.

VII.

APENINY. — CARRARA I MASSA. — LUKA. — ARNO.

Przyjeżdżając do Genui, po raz pierwszy ujrzałam kościoły poprzecznemi pasami czarnego i białego marmuru pokryte. Katedra genueńska, i z wierzchu i wewnątrz w taki sposób jest wyłożona; a ta jéj żubrowa suknia wcale mię nie zachwyciła. Oko moje w architektonicznych ozdobach, lubi jednostajny i nie zbyt jaskrawy kolor; każda pstrocizna mu nie miła.

Inne kościoły Genui z wierzchu najczęściéj zasute ozdobami, wewnątrz złotem się sypią. Zdają się jakby biesiadowe sale tych marmurowych tylko co zwiedzanych pałaców. Jakoż istotnie i pałace i kościoły do jednychże niegdyś należały panów. Ich zakładane kosztem, ich były własnością.

W kościołach za to, podobały mi się bardzo kobiety długą białą okryte zasłoną. Noszą one ją i na ulicy. Jest to po prostu muślinowy szal, na głowę i ramiona długo spadający. Zowią go zdaje mi się *il mezaro*. Zawsze i wszędzie ładny to jest strój. Lecz pod wysokiemi świątyni łukami, mianowicie przy zmroku, gdy przed jaką madoną zgięta niewiasta, przez tę przejrzystą draperyą, odgadywać tylko dozwala swą postać, swe rysy, nadaje to jéj jakiéjś tajemniczości miły powab.

Kto chce z podziwu w podziw ciągle przechodzić, ciągle samém żyć zachwyceniem, niech w Genui wsiądzie na okręt, a wyląduje w Neapolu. Tam dopiéro znajdzie tę krainę czarów, ten raj jaki tylko w poetycznych snach czasem nam się na chwilę objawił i znikł z przebudzeniem! który w realnym świecie zdaje się niepodobieństwem, a pożądanie jego marném dziecinném zuchwalstwem. Tam, wyznam tu szczerze, i ja dopiéro znalazłam Włochy, jakie je sobie w złotych mych marzeniach przed laty uroiłam.

Życzę ci Antosiu, jeżeli twa zamierzona do Włoch podróż, przypadnie w taką chwilę życia, gdzie dusza znużona potrzebuje wstrząśnienia, a zleniwiały umysł miłych tylko i łatwych pragnie rozrywek i wrażeń, zostaw Toskanją z całą jéj świetną przeszłością na powrot, a z Genui, gdzie nas pierwszy raz wita świat zupełnie od reszty świata odmienny, prosto poleć do Neapolu. Wówczas mocno uczujesz jak szeroka przestrzeń dzieli cię od Europy, od wszystkiego, co twe oko od dzieciństwa widzieć nawykło. Wówczas zawołasz iż warto było tyle mil przebiedz, tylu uledz niewygodom, na tyle się niebespieczeństw narazić; bo przynajmniéj ujrzało się w końcu coś zupełnie nowego, a ta nowość wszelkie przechodzi oczekiwanie.

Tak zaś jak większa liczba podróżuje, i jak ja, za ogólnym idąc zwyczajem, obrałam dla podróży méj kierunek, powoli coraz głębiéj w półwysep wkraczając, przez stopniowe odcienia kolorytu jego, traci się, a przynajmniéj słabnie wrażenie ostatecznéj już prawie afrykańskiéj jego barwy, téj silnéj tranzycyi, która właśnie główny wdzięk każdéj podróży zda mi się stanowić.

Nie wnoś ztąd, Antosiu, iżbym ci radziła zaniechać Florencyą: zwiedzając Włochy, to byłoby występkiem. Ma i Toskanja swe właściwe wdzięki i roskosze swoje: (bo gdzież się ich we Włoszech nie napotka?) Lecz tam one bardziéj są umysłowe.

Bez znajomości historyi, lub bez wieszczego artysty ducha, mało Florencya przedstawi podróżującemu zajęcia; ale do pierwszéj potrzeba nauki, do drugiego daru nieba; dla pierwszéj, nie każda sprzyja w podróży chwila, drugim rzadko kto obdarzonym bywa.

W Neapolu zaś wszystko jest zajęciem; i niebo, i ziemia, i morze, wszystko tam roskoszą! Można tych roskoszy pełną czerpać dłonią a nigdy dna nie ujrzeć. Dla historyi i antykwaryuszów, ma on Pestum i Pompeję, dla lubowników natury, Wezuwjusz i lazurową grottę, dla poetów, kolebkę Tassa i grób Wirgiliusza..... bo czegóż tam niema?!!

Ale wróćmy do Toskanii, a raczéj do Genui i drogi łączącéj te dwa niegdyś groźne stany, te rywalizujące z sobą Rzeczypospolite, z których

jedna stała się teraz posagiem młodszéj linii austryackiego domu, druga dodatkową sardyńskiego króla posadą.

Ma i ta między Genuą a Florencyą droga swój rozgłos na świecie. Długo przed tém, nim ją poznałam, już się on o me uszy obijał. Jest istotnie malownicza i piękna. Kto do Włoch przez Francyą lub morzem dojechał, komu szczytne Alp rysy, nie wyryły się świeżo, jak mnie, w pamięci, może się bardzo nią zachwycać.

Apenniny, prawie zawsze nader prozaiczne, tam całą swoją rozwinęły kokieteryą. Dość one nawet czasem, w swych nieco zdrobniałych kształtach, nieźle je naśladują.

Opuściwszy genueńskie bramy, widać najprzód na ich zielonéj pochyłości pełno ładnych i wesołych villów. Z przeciwnéj strony, z niektórych punktów odkrywa się raptownie cała zatoka ze swą pyszną stolicą i portem. Daléj, kraj przybiera postać bardziéj sielską i urwistą. Są miejsca, gdzie zapomniawszy kolosalne alpejskie wymiary, można się jeszcze w Sabaudyi mniemać. Ujrzysz tam niekiedy i leniwie leżące na górze chmury, i płachty dziewiczéj białości śniegu, i głębokie parowy na których wisi most lekki a śmiały, i wioseczkę w głębi doliny. A te wszystkie obrazy ożywia tu i owdzie niespodzianie okazujące się morze, około którego droga ciągle krąży, czasem tylko za jakąś kryjąc się górą, to znów przez nią się wspinając, i raptownie szerszy sobie odsłaniając horyzont.

Mniéj to dumne i dzikie jak alpejskie widoki; lecz nie bez wdzięku. A podróżujący, pieszcząc swe oko z tą zalotną naturą, mniema iż ona mu ciągle i zawsze takie będzie rozwijała powaby, iż to mu się należy, gdy po nie aż za Alpy przybiegł.

Marne to są jednak nadzieje! Zbyteczna otucha!

Wkrótce morzą już nie widać, góry maleją, wszystko powoli ucieka i niknie, a na to miejsce, gdy się tylko sardyńskie skończyły państwa, spotyka nas cały administracyjny bezład wszystkich księstw i książtweczek włoskich.

Każdy pocztmistrz przepisuje prawa, każdy wedle kaprysu podnosi poprzedniéj stacyi cenę, tak iż ta w końcu do kilku ludwików dochodzi; a niema dokąd przeciw nadużyciu temu się odwołać.

Gdy pocztmistrza chciwość już nasycona i skończone z nim spory, czeka jeszcze większa chciwość i głośniejsza jeszcze napaść pocztyljonów. Jest już w téj mierze tajne raz na zawsze między pocztmajstrem a pocztyljonem przymierze. Ci bowiem, otrzymawszy hojny tryngielt, milczą choćby najdłużéj dopóki nie zaprzęgą koni. Dopiero gdy pojazd ma ruszyć, zaczynają drugie tyle, lub trzy, cztery razy tyle wymagać, chwy-

tają za cugle, nie puszczają powozu, a pocztmistrz spokojnie na zegarek spogląda i mówi, że po upłynionych pięciu minutach ma prawo do podwójnéj za konie opłaty. Wówczas na wszystko przystać trzeba. Lecz na drugiéj stacyi też same podstępy, taż sama wrzawa.

Częstokroć jeszcze brak koni podróż przedłuża; a gdy ta przygoda w nocy się trafi, trzeba ją w pojeździe strawić. Oberże bowiem we Włoszech bardzo niewygodne i brudne, a i te jeszcze rzadko obok poczty się napotykają (1).

Otóż bywają chwile, pośród estetycznéj Italii, gdzie poezya życiem, iż nasze arytmetyczne kraje, ze swemi liczbami i cyrklem, żałować się dają!

Gdy nas opuściły wdzięczącéj się natury pieszczoty, napotykamy jéj bogactwa, jéj skarby, i duszy także ludzkiéj skarby.

Zbliżając się do Luki, niepodobna ominąć *Carrary* i tych sławnych skał marmurowych, z których łona powstał Ś. Piotr rzymski, tyle innych świątyń; z których tyle bohaterów, bajecznych bogów i bajecznych spraw się zrodziło lub uwieczniło.

Carrara obok najobfitszych i najsławniejszych swą pięknością karyer, ma całą ludność artystów. Około sto okrętów do roku, na wszystkie krańce świata marmur jéj rozwożą, a w jéj okręgu 1200 robotników codziennie go obrabia. Tak to skaliste niepłodne te góry, gdzieindziéj nędzę przynoszące, dla Carrary są bogactwem i sławą!

W Carrarze cudzoziemiec po raz pierwszy zwiedza snycerskie Włoch pracownie. Pierwszy raz poznaje się z temi stosami starożytnych modelów, wzorowych głów rąk i nóg, których oryginały w głównych zbiorach, w muzeach, późniéj jakby dawną swą wita znajomość. Tam pierwszy raz się chodzi po tym marmurowym artystycznym kurzu, co się nie dla jednego w złoty późniéj przemienia, złotym go otacza tumanem!! Tam słowem wkraczamy w świat kunsztów, w świat gdzie się artyści rodzą; gdzie taki chłopak co u nas ledwo zda się do czyszczenia butów, zachwyca się, unosi nad posągiem, nad spadkiem okrągłego jego ramienia, nad zgięciem szyi, nad fałdą w draperyi; a każdą z tych piękności, najczęściéj straconych dla poziomego oka, opisze ci wyrazami gorącemi, estetycznemi; i czujesz, iż nikt go tych wyrazów nienauczył, iż z głębi duszy jego płyną.

(1) Ogólnie też we Włoszech używają furmanów, vetturynami tam zwanych. Oni już wiedzą gdzie lepsze znajdują się karczmy. Podejmują się nawet żywienia podróżnych. Ale wiozą nieskończenie długo. Bo w górzystym kraju, jedne konie inaczéj by nie wytrwały.

Taki też, i tylko taki, będzie artystą.

Po Carrarze następuje Massa, jéj nierozłączna siostra; lecz ta trudni się tylko materyalną częścią ich wspólnego handlu.

Daléj Luka, stara i brudna mieścina, chwali się kilku pięknemi obrazami, katedrą a najbardziéj wodami swemi.

O kilka mil od miasta jest zakład mineralnych Luki kąpieli. Niewiem czy wiele uzdrawiających mają cnot, lecz posiadają niemniéj wielką dla korzyści kraju zaletę, zwabiania na lato licznego cudzoziemców grona, którzy przebalowawszy we Florencyi zimę, tam przy zielonym stoliku następnéj oczekiwać jadą.

Niebawnie też i brzegi Arno nam się okazują, z tą sławną, tyle razy opiewaną doliną swoją.

Któż czytając o Włoszech, o Toskanii, tysiącznych nie napotkał nad tą doliną, nad rzeką co ją oświeża uniesień? Któż nie słyszał iż to jest raj ziemski, (1) a rzeka Arno, jak twierdzi pan Mery, cudne, niebieskie, przejrzyste toczy fale. (2)

Piękna to rzecz zapewne epopeja i ody, ale do nich więcéj trzeba jeszcze poezyi, niż jéj w tych przesadzonych napotykamy uniesieniach; a w opisach kraju, prawda zda mi się, przed wszystkiém iść powinna.

Ten zaś ciągły a często niewczesny zapał, co gardzi prawdą, a mimo to nie przestaje być prozą, niewiem do jakiego wydziału literatury ma być policzony, jakim go przymiotnikiem ukwalifikować należy? Wiem tylko, iż takie karty, głównie, jeżeli nie wyłącznie, dla podróżujących przeznaczone, bardzo niemiły dla nich gotują zawód, swemi nadętemi wyrazy ścieśniają rzeczywistości zalety, swym płomienistym zachwytem odejmują jéj rzetelnego kolorytu żwawość i wdzięk.

Dolina Arno jest zapewne ładną; ale ani uroków żadnych nie trzeba w niéj szukać, ani oczekiwać, by jakąś estetyczną obudziła fantazyą. A sam Arno?.... Ach Arno! niewiem, czym widziała w życiu brzydszą od niego rzekę!

Już to wyznać trzeba, iż Włochy wcale pięknością rzek nie świetnieją. Bóg szczodrze wszystkiemi darząc ich bogactwy, tego jednego im odmówił (3). A jednak i one odbierają podziwu hołdy. Te, jak wnoszę, muszą się chyba rodzić z powziętego z góry postanowienia, bez wyjątku admirowania wszystkiego, co się na téj błogiéj napotyka ziemi.

(1) Ob. Une année à Florence, par Alex. Dumas, i Voyage en Italie, par Jules Janin.

(2) Ob. Scènes de la vie italienne, par Mery.

(3) Nie daleko Rzymu płynie piękny, pyszny *Teverone*. Prócz téj rzeki, nie widziałam żadnéj którąby piękną zwać można.

Codzień przez trzy miesiące patrząc na brudne Arna nurty, wielkiemi piasku flagami poprzecinane, bez życia, mętne i smutne pod mojemi wlekące się oknami, ani razu niedostrzegłam w nich jednéj kropli wody przejrzystéj, kryształowéj, jak ją widzieli zapewne ci, co je w taki opisywali sposób; a nadbrzeżni mieszkańcy, także ich innemi niż ja nieznały.

O jakaż mię brała niecierpliwość, czytając o urojonych téj rzeki wdziękach; jak żałowałam iż niemam władzy obok niéj naszego Niemna, tym rzecznym wieszczom pokazać! Niechby się dowiedzieli, co jest rzeka piękna i dumna, co jest bieg bystry, żwawy, szumiący, co są fale, błękitem tylko nieba zafarbowane!

Niemen miał wprawdzie swego śpiewaka, którego lutnia inne wydała dźwięki, niż tych Florenckiéj rzeki wielbicieli (1). Ma on zatém czém pocieszyć swe żale. Ale Bug, ale Wilja, ale skromna ojczysta ma rzeka, Niewiaża moja! co także w pośród ugajonych wdzięczących się brzegów, czasem pomiędzy wysokie góry się wijąc, lub w cieniu konarów rozłożystéj woniejącéj lipy, skacząc i swawoląc, niesie swego kraju skarby; żyto i złotą pszenicę oddaje Niemnu, który je daléj światu przesyłając, ojczyznę swą podwójnie wzbogaca.

Jednak nikt o méj biednéj Niewiaży niesłyszał! Nikt nie wie, jakie ona czasem, w jesieni lub na wiosnę, figle wyrządzać umie, jak raptownie w szerokie przeistoczywszy się jezioro, swym wioskom weneckie zmusza przybierać zwyczaje, łódkami tylko dozwalając między domami stosunków; jak zalewając pola i łąki, tysiące improwizuje malowniczych wysp na których to bukiety z drzew, to pałace i ogrody widzieć się dają!

Tyle zaś głośne Arno i dolina jego, słyną także swą wegetacyą. W niéj cyprys i oliwne drzewo, główną część stanowią. Innych drzew prawie tam niewidać, lub są nędzne, karłowate, niewarte uwagi.

Grobowy cyprys, bez cieniu, bez ruchu, bez życia, jedynie dla cmentarzów zrodzon się zdaje. Oliwne zaś drzewo, może mieć wielkie dla rolnika zalety, lecz wątpię żeby one mu jednały te szumne pochwały, jakich nieraz było przedmiotem; a artysta każdy wyzna, iż ile nazwa jego mile z ust płynie, tyle, i tém bardziéj może, ono samo niewdzięcznie w oko wpada.

Krzywe, koszlawe, jakby rachityczną udręczone chorobą, na swych powykrzywianych gałęziach, niesie liść, płowy, ubogi, rzadki, niezdolny

(1) Mickiewicza.

ani dać dla przechodnia cieniu, ani swą szarawą barwą rozweselić oka jego.

Powiedziałabym i o niém to, co mi już o Arnie wymknęło, iż z drzew jest najbrzydsze jakie widziałam, gdybym niepamiętała, iż mu przyjemną myśl winnam, iż mu się wdzięczność odemnie należy, gdyż jak Arno, tak i drzewo jego brzegów, pochlebiło narodowéj serca mego próżności!

O! zawołałam, patrząc na tę biedną i smutną drzewinę, tu jechać po kunszta i poezyi rozkosze, a u nas drzew i rzek szukać. I my też, widzę, mamy specyalność naszą! i my, mielibyśmy czem przed dumną pochwalić się Etruryą!

Gdyby jéj choć jednę zawieźć brzozę naszą z jéj białą powłoką, z temi dumającemi, ku ziemi niedbale zwieszonemi gałęziami, z tém srebrzystém liściem, co pod każdym drży tchnieniem, jakby miał wnet opaść, a na słońcu jak klejnot błyszczy, wówczas by i ona z zarumienieniem od swych odwróciła się oliwek, i uciszyła wszystkie ich pochwalne pienia.

Ale po cóż Etruryi dodawać powabów? Albo to ich jéj zbywa? Po co wysławiać piękność jéj brzydkiéj rzeki? alboż to nie na jéj brzegach zrodził się Dante, Boccacio, Michał-Anioł, Celini, Petrarka? Alboż taka świetność wszelkich innych nie zagasi wdzięków? Jakiżby kraj wszystkich swych rzek nie oddał, któraby rzeka wszystkich swych nie oddała brylantowych wód, za jeden z téj korony kwiat czyli gwiazdę?

W tych też bogatych konstellacyach swoich, Florencya czerpa szerokiéj sławy blask. Z tamtąd ona realnie promienie swe ciska.

Żadna ziemia nie była tak płodna w geniusze, żadna tyle estetycznych arcydzieł nie wydała, nigdzie ich nie znajdziesz tak bogatych, tak wyborowych zbiorów. W nich to ona sobie z przeszłości swéj skarbów, dla następnych wieków, pyszny wzniosła pomnik.

Jakkolwiek świat prozaiczeje, a proza już się i przez Alpy przedziera. choćby jednak zaraziła w końcu i tę poetyczną niegdyś ziemię, zatruła klassyczny półwysep, wątpię żeby dostatecznie w nim zdołała wyziębić umysły, i tak swym szarym popiołem całkiem zgasić ich niebieski płomień, by już nierozumieli swych przodków głosu, by on w ich duszy niemym pozostał.

Prawda, iż widzim z większéj części Włoch opisów, o ile już ją mało rozumieją! Ludzie częstokroć zaszczytnie w umysłowym świecie znani i pełni talentu, gdy zaczną opowiadać Włochy, jakby wszystkich raptownie pozbawieni zdolności, całe napełniają tomy balów Florenckich opisem, a gdy wiedzą, iż tam dawniéj nad czemściś się unoszono, i że

tam się jakieś należą uwielbienia odgłosy, unoszą się i uwielbiają błękit błotnistéj Arna wody, i zieloność szarego drzewa oliwnego.

Lecz to są *z za Alp przybyli turyści.*

Włochy zaś jeszcze dotąd, obok swéj wnętrznéj rozmaitości, zupełnie odrębny typ mają. Niegdyś wielkorządcy Europy, teraz na mappie tylko do niéj wcielone, istotnie zaś powinnyby szóstą częścią znanego nam świata się nazywać.

Jest to coś środkującego między Europą a Afryką, co już przestało być pierwszą, a jeszcze drugą być niezaczęło. W północnéj części, więcéj w powietrzu europejskich czuć się daje żywiołów, w południowéj, afrykańskie górują. Cały zaś półwysep, na liczne a tak odmienne sobie podzielone kraiki, ma jednak dotąd swą własną, odmienną od reszty świata cechę; a ta wróżyć pozwala, iż na téj wulkanicznéj ziemi, nietylko podziemny ale i nadziemny ogień, dłużéj niż gdziebądź się dochowa.

Jednak, śpiesz się Antosiu; te wszystkie barwy dość teraz jeszcze dla uważnego spojrzenia silne, codziennie bladną; dziełem to parowych statków i tłumów przynoszonych niemi Anglików, którzy zalewając tę ziemię, razem ze złotem swe zwyczaje i wyobrażenia w niéj sieją. A cóż, gdy jeszcze i koleje żelazne w pomoc im przyjdą? Gdy ta nowa industryalnego świata otworzy się śluza?

O śpiesz się Antosiu! póki jeszcze drogi złe, poczty koni ani przepisów nie mają, póki do niektórych sławnych miast (jako to do Amalfi) na mułach tylko dojechać można. Wnuki nasze, może już tu wagonem przylecą, ale przyleciawszy, czy znajdą jeszcze poetycznéj, dawnéj Italii ślady?....

VIII.

PIZA. — LORD BYRON.

Lubo Piza cokolwiek jest z drogi, zwykle jednak jadąc do Florencyi, zbaczają do niéj dla obejrzenia jéj sławnéj, od czterech wieków walącéj się wieży.

Jeżeli Genua, otworzywszy swe opustoszałe pałace, smutek w duszę sprowadza, Piza pierwszém swém wejrzeniem boleśnie ją uciska. Tamta jeszcze jakąś powierzchowność dawnego dochowała bytu, na pierwszy rzut oka jeszcze królewski ma pozór; ta już tylko opłakuje swą postradaną koronę.

I bogactwa i władza, kunszta i ludzie, samo nawet morze, wszystko opuściło tę biedną zdetronizowaną wdowę! Morze uciekając z jéj brzegów największą nawet przyniosło jéj szkodę, główny, śmiertelny jéj władzy zadało cios.

Niegdyś ta rywalka Wenecyi i Genui, pysznila się swym handlem, który zarazem życiem jéj i potęgą; teraz z oschłego brzegu, patrzy już tylko na frymarczącą nim Liwurnę! Morze o 12 mil włoskich od dumnéj odbiegło Pizy, a Liwurna wziąwszy spadek tego zmarłego portu, jest sobie tylko handlową żydowską mieściną, i nic więcéj. Tak to każdą rzecz uszlachetnić lub znieważyć można, i całkiem odmienną nadać jéj postać!

Piza handlowa, arystokratyczna i kunsztowna Piza, od Greków swe wywodzi pochodzenie. Strabon ją uważa za kolonją grecką po trojańskiéj założoną wojnie. Za Rzymian wielce już poważaną była. Cesarzowie Adryan i Antoniusz rozmaitemi a pysznemi upiększyli ją gmachami, z których już gdzie niegdzie tylko jakieś ubogie teraz pozostają szczątki.

Jak inne Włoch miasto, tak i Piza krwawo opłaciła cesarstwa rzymskiego upadek. W piątem stuleciu, łupem barbarzyńców, wpadła później pod Lombardów jarzmo. Lecz otrząsnąwszy się z niego, i republikanckie przybrawszy formy, doszła śmiałym krokiem do wysokiéj potęgi.

Jéj to flotty brzegi włoskie z saraceńskich oczyściły hord, zdobyły następnie Sardynją, Korsykę i Balearskie wyspy. Krucyaty także rozszerzyły jéj władzę i na afrykańskie brzegi jéj kolonje rzuciły.

Lecz zawiść Genui skrycie jéj w ówczas upadek zgotowała, domowe podniecając niesnaski. Niebawnie także wojna wszystkie półwyspu ogarnia republiki; pod firmą Gwelfów i Gibelinów jedna drugą szarpać poczyna, lub we własnéj broczyć krwi. Piza wściekłą przeciw Florencyi rozpoczyna walkę; kilkokrotnie zwyciężywszy, sama zwyciężona, wsławia się wzorową wytrwałością w pamiętném oblężeniu 1499 roku, w którém i kobiety bohaterski wzięły udział. Nakoniec po długiém passowaniu się, upada pod siłą swéj przemożnéj sąsiadki, i mimo usiłowań, podźwignąć się już niemoże.

Dopiero pod Medyceuszem Kozmusem I, tylu bliznami okryta Piza, swobodniéj oddychać poczyna. Słynna jéj akademja, przemysł i kunszta, powoli się podnoszą. Lecz gdy tak jakaś dla niéj zaczyna świtać nadzieja, nowa i może największa spotyka ją klęska.

Arno, toż samo Arno, o którém niedawno tak dużo mówiliśmy, u jéj bram do morza wpadając tyle codziennie, przez nieskończone lata, mułu z siebie wyrzucało, iż cała przystań powoli się nim zasłała. Morze tak odepchnięte, inne teraz zwilża brzegi; a Piza na téj swego portu mogile, po ożywnym handlu, po ostatnim swéj władzy zabytku, wieczną przywdziała żałobę.

Rozmaite jeszcze przeszedłszy koleje, do których policzyć wypada, iż przez lat siedm (od 1807 — 14) należała do francuzkiego cesarstwa, z tytułem stolicy departamentu środziemnego morza, Piza jest teraz drugiem Toskanii miastem. Panujący wielki książe Leopold I. dla podniesienia jéj cokolwiek, przepędza tam czasem z swą rodziną część zimy, i kilku ją dworskiemi chce ożywić balami. Ale daremne jego usiłowania! Ani to zaciera pamięci iż Florencya jéj panią, ani jéj nienawi-

ści ku niéj nic tępi. A dla ożywienia Pizy, niewiem jakich by biesiad potrzeba!

Ulice jéj i place przestronne, nadbrzeża niewdzięcznéj rzeki co jéj zgubę przyniosła, wspaniałemi ozdobne pałacami, wszystko jakby po morowéj wygląda zarazie. Te mury zaledwo na 150,000 mieszkańców niegdyś wystarczające, teraz ich 16,000 tylko mając, dają jakby przedsmak Pompei nowo tam przybyłemu. A ta uboga ludność, z drugą pomięszana ludnością, ludnością chorych, którzy tam kończyć przyjeżdżają, smutna i zwątlała, zdaje się już sama na pół pozbawioną życia.

Tak, Antosiu, jak do innych miast śpieszą żyć i szumieć, tak do żałobnéj Pizy jadą już tylko umierać!....

Ze wszystkich dawnych bogactw, piękne niebo i łagodne powietrze jedynie jéj pozostało. Gdy doktorzy rozmaite swe na chorym wyczerpią środki, gdy wszelką sami stracą nadzieję, w słońcu Pizy każą mu jeszcze jéj szukać.

Domy też od południa nieskończenie drogo są płacone; a gdy okna cieniem pokryte, z zamkniętemi okienicami pustką stoją, z przeciwnéj strony, odwrotnym niż gdzie indziéj zwyczajem, w największe słońce się otwierają. Za niemi widać blade twarze, do téj dobroczynnéj swéj gwiazdy błagalne podnoszące oko!....

Z tak szerokiego niegdyś handlu, jedyna jak widzisz jego tam gałęź, jest teraz słońce; a dawna Genui i Florencyi rywalka, już tylko z Niccą rywalizuje.

Każda z nich wylicza, ile co rok chorych do siebie zwabiła, ale uzdrowionych obie niewiele wyliczyćby mogły! Ich ciepłe bowiem niebo, ich mgłą morską zwilżone powietrze, przedłuża tylko i łagodzi boleść chwil ostatnich. Bo tam i śmierć, jakby także łagodnością powietrza zmiękczona, najczęściéj lekko i cicho, w postaci snu anioła, skrzydłami swemi naznaczoną ogarnia ofiarę.

Mnie saméj podczas krótkiego mego tam pobytu, podobny przedstawił się obraz.

Wiedziałam, iż tam przebywa dla kuracyi dawna znajoma i rodaczka moja, hrabina A. Her..... Po.... Znałyśmy się od lat wielu. Stosunki nasze nosiły datę miłych hożego mazura wspomnień, kiedy to z siedmnastu na czole wiosnami, zapamiętale w jego kręciło się kole.

Lecz ileż to od owego mazura, innych mniéj wesołych, mniéj harmonijnych obiło się tonów! W iluż to kołach przyszło nam się obracać od czasu, cośmy obie w tém mazurowém obracały się kole!

Gdym przyszła tę dawną odnowić znajomość, znalazłam panią Pot.... przy fortepianie: właśnie tegoż dnia nowy jéj przyniesiono, i z córką,

dorastającą piękną panną, a którą ja dzieckiem tylko znałam, probowała dźwięku jego.

Mimo długiego niewidzenia, niespostrzegłam w niéj bardzo znacznéj zmiany. Wprawdzie i za młodych lat była dość mizerną, a teraz wieczorem przy lampie ją witałam.

Prócz mnie, innych jeszcze przyjmowała gości. Mówiła wesoło o rozmaitych na dal swych zamiarach; o podróży do kraju, gdy tylko do zdrowia wróci. Wszystko to bardzo naturalném mi się wydało. Tylko gdy zaczęła symptomata swéj słabości opowiadać, jakaś mię ogarnęła obawa, a ta się zdwoiła, gdym spojrzała w oczy lekarza, który ją dnia tego trzeci raz odwiedzał.

Przy pożegnaniu, moją rękę swą gorączkową ściskając ręką, zapytała: „gdzie to i kiedy znów się spotkamy, kochana pani Łucyo?"

To tak naturalne, przy rozstaniu się w obcym kraju pytanie, mię przeraziło. Szukając odpowiedzi, mimowolnie oczy w niebo wzniosłam. Chora, niewiem czy tem strwożyła się spojrzeniem, czyli uczuła ręki méj zadrżenie, lecz drugi raz powolnym i jakby dumającym ponowiła głosem: „kiedy i gdzie?"

W pięć dni potém już jéj nie było..... a ja już tylko w tém niebie, do którego mimo wiedzy przy pożegnaniu wzniosłam oczy, jéj szukałam wspomnienia.

Niedaleko pałacu gdzie kończyła hr. Pot.... pokazano mi drugi, z którego przed kilko laty wyniesiono trumnę dwoma ozdobną koronami, książęcą mitrą i artystycznym wieńcem. Tam zgasła w kwiecie wieku, księżna Marya Wirtembergska, Orleańskiego domu poetyczna ozdoba, artystycznéj Francyi nadzieja.

Niedawno widziałam ostatnie dłuta jéj dzieło. Jest to klęczący anioł z wzniesionemi do nieba rączkami. Zrobiła go z powodu urodzin Paryzkiego hrabi, na uczczenie chrztu jego przeznaczając ten utwor. Teraz ten anioł w pośmiertnéj księcia Orleanu kaplicy, na sarkofagu klęczy, nad głową zmarłego swe wznosząc rączki! Modlitwa jego do przewodniczenia kolebce syna przeznaczona, za grobem ojca stanęła.

Jeśli będziesz w Paryżu, życzę ci zwiedzić ten grób, tę kaplicę. Wzniesiono ją w miejscu, gdzie książe rozstał się ze światem, gdzie się raptownie zerwała nić, co się tak, zdawała długa, tak pełna przyszłości!.... Za ołtarzem jest obraz wiernie przedstawiający okropny ten wypadek, a na prawym jego boku sarkofag, na którym marmurowy posąg młodego księcia z klęczącym u węzgłowia aniołem. Wszystko piękne; a sto razy jeszcze wymowniejsze niż piękne, godne twego spojrzenia, westchnienia.

Prócz pałacu pełnego księżnéj Maryi pamiątek, posiada Piza drugi, bogatszy jeszcze w poetyczne wspomnienia. Mówię o pałacu *Lanfranchi*, gdzie lord *Byron* prawie ostatnie swe skreślił karty, gdzie usuwając się od świata, cierpkich mimo to nie uniknął z nim zapasów. Przykry a tyle głośny process, króry najbardziéj się przyczynił a przynajmniéj przyśpieszył wyjazd poety do Grecyi, (gdzie go grób czekał), w tym go spotkał pałacu.

Lubo ten process jak i wypadek co go zrodził, ogólnie jest znany, gdy jednak w tysiączny coraz odmienny a coraz fałszywszy był opowiadany sposób, może ci będzie miło usłyszeć wątek u samego źródła powziętéj treści, i jak się zdaje najgodniejszéj wiary.

Dodam do niego kilka mniéj znanych ostatnich tam dni jego szczegółów, w przekonaniu, iż co się tylko jego tyczy, nigdy nie będzie, dla takich jak twój umysłów obojętném.

Są uprzywiliowane w świecie imiona, których brzmienie samo, wstrząsa jakiemiś tajnemi mózgu i serca strunami. Przywodzą one na usta wdzięczność lub złorzeczenie, cześć lub przekleństwo, lecz nigdy głucho i niemo przeminąć nie mogą.

Wiek nasz dziewiętnasty, dwa takich na swoim frontonie zapisał:— *Napoleon* i *Byron*, a zapisawszy je, odpoczywa, jakby już się względem potomności ze wszelkiego uiścił długu. Patrzmy, czy tam jeszcze jakie nie zajaśnieją litery, a tymczasem choćby dla pamięci iż nasze stulecie nie wpośród saméj tylko żyło jak teraz pary, iż i ono niegdyś swoje miało gwiazdy, i nie zawsze jak stary sknera, grosze jedynie liczyło, dla pamięci i honoru, mówię, rzućmy czasem okiem na te wstępu jego poetyczne stronnice.

Byron w każdym kroku od reszty ludzi się różnił; niedomyślając się o tém, innym zapewnie od ogółu postępował torem. Był demokratą po pańsku. Gdy wielki książe toskański zaprosił go do siebie, odpisał, iż nie bywa u królów, a sam rodzajem dworu się otaczał. Poświęcił życie dla liberalnych zdań, a nie pojmował, żeby mógł być na równi z innemi traktowany, co było nawet pierwszą wiadomego processu przyczyną.

Byron nieznał wartości pieniędzy; jako prawdziwy poeta, niedbał w cale o nie; jako wielki pan, szafował niemi bez miary. Gdy podróżował, nietylko tłum ludzi i koni za sobą prowadził, ale pełno ulubionych psów, małp i kur nawet. (1) Przyjechawszy do Pizy, najął dla siebie cały pa-

(1) Son équipage de voyage était assez singulier— mówi Medwin—et présentait un etrange catalogue à l'inspection de la douâne: sept domestiques, cinq voitures, neuf chevcaux, un singe, un boule dogue, un matin, deux chats, quatre paons et quelques poules, outre une grande quantité de livres et de meubles.

(Ob. Conversations de Lord Byron.)

łac *Lanfranchi*, a w osobnym domu ulokował panią *Guiccioli* z ojcem jéj i bratem.

Pani Guiccioli, była ostatni i jak się zdaje, najstalszéj miłości jego przedmiot. W zbiorze dzieł poety można jéj imie napotykać, gdyż kilka do niéj napisał sonetów.

Odebrawszy ją staremu mężowi w Wenecyi, traktował z Rzymem o nadanie temu rozłączeniu legalnego charakteru; a po niejakich trudnościach, otrzymał, iż jéj wolno będzie dom męża opuścić, pod warunkiem, by go na ojcowski zamieniła. Ojciec, hrabia *Gamba*, człowiek ubogi i w jakieś polityczne zamieszanie wplątany, na wszystko przystał; odtąd cała rodzina, z wszelkiemi przyzwoitości pozorami, była na koszcie lorda. Mimo to, po jego śmierci, pani *Guiccioli* opuściła Włochy, a gdym ją poznała w Paryżu w 1834 roku, przybierała postać jakby prawie wdowy. Witano ją tam, jako ostatnie wieszcza westchnienie; do sław, do ciekawości paryzkich liczono.

Zawsze w czarném widywałam ją ubraniu. Niewiem czy te wdowa wybierała kolory dla uczczenia pamięci *Byrona*, którego imie zawsze na ustach miała, czyli dla podniesienia swéj alabastrowéj białości.

Lubo wenecyanka, pani *Guiccioli* miała włosy dość jasne, a płeć zupełnie angielską. Rysy klassyczne, spadek szyi i ramion prześliczny; i póki siedziała zdawało się iż ram jéj tylko braknie. Lecz gdy się podniosła, brak wzrostu niemile raził obok popiersia dla wzniosłéj ukształconego postaci, i mogło się zdawać że się podłoga o stopę pod nią raptownie zapadła.

Byron w Pizie wieczory przepędzał u niéj; wróciwszy, resztę nocy na pisaniu trawił. Wstawał późno, nigdzie nie bywał i nieprzyjmował jak kilku przyjaciół i domowników, którzy na śniadanie i obiad się gromadzili.

Na śniadanie wypijał filiżankę zielonéj herbaty bez cukru ani mleka, i żółtko surowego jaja. Między śniadaniem a późnym angielskim obiadem, wyjeżdżał ze swém gronem konno za miasto, gdzie zwykle do celu lub do wyrzuconéj w powietrze monety wszyscy strzelali. Pani *Guiccioli* w pojeździe im towarzyszyła.

21 marca 1822 r., powolnym krokiem wracali do domu, całą zajmując gościńca szerokość, gdy sierżant, nazwiskiem *Masi*, spiesząc do miasta, a niemogąc otrzymać, by mu ustąpiono z drogi, wyprzedza jezdców i jednego z nich potrąca. Nieszczęście chciało żeby właśnie samego dotknął lorda. Natychmiast strzelec jego dogania sierżanta, i dwa razy silniéj go trąca; lecz gdy ten nie daje na to baczenia, widzi się w oka mgnieniu całym otoczony orszakiem, który mu podaje imie Byrona

i wzajem o jego się dopomina. Sierżant na tych arystokratycznych niepoznaje się formach; biletów wizytowych w życiu niemiał, nie widział, odpowiada grubijaństwem, za co pejczem po czole dostaje. Wówczas do reszty straciwszy wszelką nad sobą władzę, *Masi* dobywa pałasza i na wszystkie wywija nim strony. Robi się hałas, zgiełk, wrzawa; pani *Guiccioli* mdleje. — Lord wróciwszy do domu każe protokuł spisać i skargę zanosi. Lecz następnego ranka jeden z ludzi jego postrzegłszy mimo bramy idącego winowajcę, prędszą chce mu sprawiedliwość wymierzyć, i włoskim zwyczajem sztylet w boku jego topi.

Masi krwią broczący do szpitalu zaniesiony, żadnéj prawie nie zostawia nadziei. Lord *Byron* mocno wzruszony każe mu boleść swą oświadczyć, posyła swego lekarza i sto ludwików na kuracyą. Sierżant lekarza niechce, złoto odsyła, a w zamian wyrazów żalu i zgody, rozpoczyna kryminalny process.

Wszyscy ludzie lorda, natychmiast aresztowani, towarzysze jego odbierają wyjazdu rozkaz, dla niego tylko kilka dni zostawiono zwłoki.

Największa tajemnica pokryła zbrodniarza imie. Pomiędzy liczną służbą lorda wykryć go niezdołano. *Byron* opuścić miasto wkrótce zmuszony, niechcąc zupełnie tego processu z oczu stracić, wydalił się tylko w okolice *Liwurny* do *Montenero*, by końca jego tam doczekać.

Masi wrócił do życia, ale do służby powrócić nie mógł. Otrzymawszy małą od swego księcia pensyjkę, założył cygarowy handel, do którego smutna jego sława wielce mu jest pomocną. Każdy Anglik gdy tylko do Pizy przybędzie, najprzód pyta o sklep jego, a swą ciekawość paczką cygarów okupuje.

Takim sposobem cygara kupując i paląc, zrobiono także i portret jego, chciwie poszukiwany w Londynie, gdzie dotąd imie sierżanta *Masi* szeroki ma rozgłos.

Ten wypadek, co tyle w swym czasie narobił w Europie hałasu, samą nawet Pizę wstrząsł na chwilę; a gdy już zabierała się wrócić do swego targowego stanu, nowy ją przebudził widok.

Ranku jednego, od strony morza, jakaś nieznana łuna pokryła jéj niebo. Jedni dowodzili iż to pożar rozbitego o brzeg statku, drudzy przepowiadali, że Włochy nowym się wzbogacą wulkanem. Wszyscy pobiegli o prawdzie się przekonać, i ujrzeli zadziwiające widowisko, naszym pokoleniom całkiem nieznane; pyszną scenę raczéj do Eneidy niż do naszych należącą czasów.

Nad śródziemnego morza malowniczemi brzegami, wznosiły się dwa zapalone stosy; na nich dwa leżały ciała. Pomiędzy niemi poetycka jakaś postać, w czarnym płaszczu na jedno ramie zarzuconym, w głębokiém

stała zamyśleniu, a jak wiatr morski rozwiał długie włosy, wykrył z pod nich grecki profil Albionu wieszcza.

Gdy ciała spłonęły, przyniesiono dwie starożytnego wzoru urny. Poeta z religijną powagą, drogie mu popioły w nie zebrał, urny zasklepił, i na dwa już czekające złożył statki. Jeden z nich ku Anglii zwrócił, drugi wziął rzymską drogę.

Były to zwłoki dwóch *Byrona* przyjaciół, niedawno z nim codziennie widywanych w Pizie, a którym teraz ten wirgiliuszowy sprawiał pogrzeb.

Jeden z nich, *Shelley* nie liczył lat trzydziestu, a już był zaszczytnie w literaturze angielskiéj znany. Jego *Beatrixa Cenci* i *Samotności duch* ogólną zwróciły uwagę. Drugi *William Smith*, także między tegoczesnych pisarzy się liczył. Oba dla rozrywki puścili się łódką na morze. Bespieczniéj daleko, dużym statkiem do Ameryki cały przeprzeć ocean, niż w małym o milę od brzegów się oddalić. Tego *Schelley* i *Smith* doznali.

Byron o ich zgonie uwiadomiony, wszelkiego natychmiast przyłożył starania do odzyskania ich szczątków; ale morze zwrócić ich niechciało. Pamiętał on, iż nieraz w poufałych rozmowach, słyszał jak *Schelley* unosząc się nad Rzymem, tam najbardziéj życzył snem wiecznym spoczywać, jak *Smith* przeciwnie, do ojczystéj ziemi chciał swe kości odwieźć; i całą żwawością boleśnie zranionéj przyjaźni, pragnął te ich ostatnie spełnić życzenia.

Po długich poszukiwaniach, hojną zachęconych nagrodą, we dwa dopiero tygodnie, znaleziono te ciała, o cztery mile jedno od drugiego, na brzeg wyrzucone. Tak już były mocno uszkodzone, iż ani zabalsamować ani w żaden inny sposób przewieść ich nie było podobieństwem.

Wówczas poeta wynalazł ów środek, zarazem i estetycznéj duszy i czułemu dogadzający sercu; ową uroczystość, którą świat zadziwił, mniemając iż świętego tylko przyjaźni dopełnia obowiązku.

W kilka tygodni po tym obrządku, *Byron* zajmował pałac *Albani* w Genui.

Znudzony swém przeznaczeniem, zmęczony życia walką, jak każdy co zamiast poruczenia się ślepo falom jego, probuje przeciw wody płynąć, sam nie wiedział w końcu, do jakiego przybić brzegu. Po wszystkich ostatnich dni przykrościach i boleściach, Włochy już mu się nie śmiały; prozaiczna Europa była mu nieznośną; pilno mu było, zerwać z nią na zawsze. Zwrócił najprzód wzrok ku nowemu światu; lecz z Grecyi doszły wówczas jakieś błagalne hymny, jakieś poetyczne śpie-

wy, tém milsze duszy jego, iż jak ona goryczą zatrute, samą jak ona tchnęły boleścią, a wróżyły zwycięztwo i sławę.

W Genui *Byron* rozstał się z panią *Guiccioli*, brata jéj tylko pana *Gambę* do swéj nieco awanturniczéj przypuszczając wyprawy. Umysł jego tak już ciągłą niespokojnością wówczas był miotany, iż żadnéj poezyi utworzyć nie mógł. W Grecyi, gdzie grób zdawał się niecierpliwie go oczekiwać (1), także wątpię żeby co napisał; z czego wnosić trzeba, iż ostatnie jego karty datę Pizy noszą.

Tak to z dwóch stulecia naszego genialnych pochodni, jedna zgasła na skale Ś. Heleny, druga na greckich niwach.

(1) Byron wylądował w Cefalonii w sierpniu 1823 r., a umarł w Missolungii 16 kwietnia 1824. Zwłoki jego odwieziono do Anglii.

IX.

CAMPO SANTO — WIEŻA POCHYŁA. — KATEDRA. — CHRZCIELNICA.— KOŚCIOŁY WŁOSKIE I OBRZĄDKI. — GALILEUSZ. — TYPY.

Wszystkie te z wieczora odświeżywszy sobie pizańskie wspomnienia, następnego ranka poszłam ciekawości jéj zwiedzać.

Jest ich tam głównych cztéry, a te jedna obok drugiéj, jakby na tacy, dla zwiedzających przyrządzone stoją.

Już prawie za miastem, na szerokim placu, pustym, smutnym i porosłym trawą, dumnie się wznosi poważna katedra. Z jednéj strony ma sławną swą pochyloną wieżę, z drugiéj kaplicę do chrztu przeznaczoną, z trzeciéj opasany murem cmentarz.

Cmentarz nazwany tam Campo Santo (pole święte) najpiękniéjszy jaki w życiu widziałam, do najpiękniejszych w świecie liczyć się zapewne może. Boki jego otwartą opasane galeryą, dłutem i pęzlem ozdobioną, a środek napełniony ziemią przed laty okrętami z Jerozolimy sprowadzoną, świeżą pokryty jest darnią.

Freski téj galeryi, dawnych mistrzów pęzla, dużo ucierpiały od morskiego wiatru, przesiękłego solą; lecz groby, posągi tak dawne jak tegoczesne, lecz ostrołukowe gotyckie okna, rozasami ozdobne, dające światło galeryi a wyjście na środek, wspaniałe tworząc pośmiertne muzeum, doskonale harmonizują, a nawet podsycają melancholiczne Pizy wrażenia.

Gdy przy słońca schyłku, te okna długie swe cienie na starożytne sarkofagi, na ich marmurowe rzucą figury, lub gdy przez nie księżyc blade swe promienie spuści w to miejsce wiecznego spoczynku, o jakże tam dobrze dumać i marzyć być musi!.... Ileż te zimne obrazy tych, co już się nigdy nie obudzą, muszą wówczas gorących uczuć w głębi duszy budzić! ile wspomnień! ile przeczuć!...

Ten cmentarz już teraz jako muzeum pokazywany, oddawna zamknął dla zmarłych swe podwoje. Trzeba zasług a raczéj zabiegów, by otrzymać pozwolenie tam spoczywania, nie dziwiłabym się, gdyby to za nagrodę miało być poczytane. Kilka jest jednak nowych rzeźb, nowych pomników; jeden z nich nawet obcéj kobiety naznaczony nazwiskiem. Gdyby można zazdrościć tym, co swe kości na obcéj składają ziemi, tobym może jéj pozazdrościła.

Najprzód ci, Antosiu, mówiłam o tém polu świętém, bo ono najsilniéj do méj przemawiało duszy. Lecz wiem iż wykroczyłam przeciw przyjętemu zwyczajowi podziwiania najpierwéj walącéj się wieży; i śpieszę mój błąd sprostować

Wieża, któréj sława tylu od wieków podróżujących wabi, nad którą uczeni aż dotąd daremnie tyle strawili czasu, dla dojścia czyli jéj pochyłość jest architekta sztuką, czyli winą późniéj osiadłego gruntu, godna jest ze wszech miar uwagi i podziwu.

Na katedralną przeznaczona dzwonnicę, cała, jak i sama katedra, jest pokryta rozmaitego porządku i marmuru kolumnami, te jedne nad drugiemi w ośm rzędów się wijąc, otwartą do koła tworzą galeryą. Pochyłość jéj tak znaczna, iż z wierzchołka spuszczony ciężar, o piętnaście stóp od podwalin spada; lecz ta jéj pochyłość nie jest od dołu do góry w jednostajnym stosunku. Owszem, zdaje się jakby raptownie, przypomniawszy iż dzwonnicy należy stać prosto, podniosła w końcu głowę, a ten podniesiony szczyt tém ją dziwniejszą czyni, iż pięciu dużemi dzwonami ciężarny, przy codziennem ich użyciu, żadnéj nie przyniósł dla wieży szkody.

Zaczęta w 1174 r. przez Bonano pizańskiego i Wilhelma inspruckiego architektów, skończona w połowie piętnastego stulecia pod okiem Tomasza także miejscowego artysty, zawsze odtąd tak wisi, grożąc przechodniom upadnięciem im na głowy; ani na włos jednak od tych czterech wieków bardziéj ku ziemi się nienachyliwszy.

Z przeciwnéj strony farnego kościoła, wznosi się chrzcielnica. Katedry włoskie, obok wejścia często podobne miewają kaplice, zwane tam *il batisterio*, Świętemu Janowi Chrzcicielowi poświęcane. Pizańskie *batisterio*, śliczne cacko, także kolumnami i mnogiemi przysute ozdoba-

mi, posiada rzadkiéj roboty ambonę (dzieło Mikołaja z Pizy) i czworo pięknych drzwi.

Między wieżą, cmentarzem i chrzcielnicą, katedra jak mówiłam, pysznie swą podnosi kopułę. Marmurem zewnątrz i wewnątrz pokryta, po dwakroć ze starożytnéj przerabiana świątyni, ma od frontu w pięć rzędów jedne nad drugiemi 58 kolumn, co ze sławną dzwonnicą jednostajny jéj nadaje charakter. Pomiędzy temi, odmiennego marmuru i z odmiennemi kapitelami, kolumnami, troje spiżowych podwoi ją otwiera. Są one roboty Jana z Bolonii, z wyobrażeniem życia Matki Boskiéj.

Kościoł ten do najpiękniejszych liczony, troche grecko-arabskiego zarywa stylu, właściwie jednak do żadnego całkiem nie należy. Włosi, uważając się za prawodawców sztuk pięknych, rzadko do architektonicznych Grecyi kodexów zaglądali. Każdy z nich, tworząc, szukał piękności w proporcyach, w ogóle harmonii, każdy podług swego pojęcia i natchnienia tworzył. Święty Marek w Wenecyi wcale ani do medyolańskiéj ani do pizańskiéj niepodobny fary; te znów całkiem się różnią od florenckiéj, sjeńskiéj, rzymskiéj. Każda ma swój rodzaj, swój styl odrębny, żadnego z pięciu klassycznych porządków nie trzymający się wyłącznie, a każda piękna, wspaniała, pyszna, wszystkich wieków uczczona hołdami.

Lecz jeśli podziwiać taką w nich twórczego geniuszu rozmaitość co do zewnętrznego rysunku, równie się dziwić można małéj odmianie wnętrznéj kościołów włoskich struktury.

Z małemi wyjątkami wszystkie większe, na trzy lub pięć naw słupami albo kolumnami w całéj przecięte długości, czasem krzyża kształt biorą. Mniejsze są okrągłe, także kolumnami lub słupami do koła opasane, pośród których ozdobne świecą się ołtarze. Wszystkie zasute marmurem, obrazami, mozaiką, posągami, wszystkie klejnotami i złotem się sypią.

Dla tego ci tu ogólny ich kreślę obraz, by do niego za każdym niepowracać krokiem. Nie chciałabym ani cię takiém powtarzaniem znudzić, ani ci popsuć wrażeń jakie te słynne Włoch świątynie może kiedyś obudzą w tobie. A to jednak nieomylnie by w końcu nastąpiło; gdyż nietylko tu rozminąć się z kościołami niepodobna, a każdy ma swój mniéj więcéj szeroki rozgłos, lecz i jeszcze bardziéj..... (Niewiem czy ci mam to niezaszczytne dla mnie i zbyt szczere zrobić wyznanie?.....) że mię kościoły włoskie nie zdumiewają bynajmniéj.....

Prócz jednego, przed którym na kolana padłam, jak ci to w swém miejscu opowiem, prócz dwóch lub trzech innych które mi się dość podobały, te wszystkie złociste, jaskrawe ich ozdoby, nieme są całkiem dla

mnie, wcale ducha mego ku niebu nie wznoszą! Moja to zapewne w tém wina!

Ochmurzona, tęskna dusza, północny mój umysł, szarego także pomroku gotyckich łuków pragnie. Ich osłonięty cieniem, zdaje mi się iż sam na sam ze swym przestaje Bogiem. W takiéj świątyni wszystko zda mi się do pobożności skłania, i cichość i przestrzeń i ginące nad głową sklepienia, swą surową wzniosłością jedynie piękne, i te długie kolorowe okna, fantastyczne i nieśmiałe pod niemi gdzie niegdzie siejące światło.

Lecz gdy wejdę pod płaski a złocisty włoskiego kościoła sufit, najpiękniejszą ubarwiony freską, najżwawszém objaśniony słońcem, gdy się ujrzę w pośród tych posągów, malowideł i wszelkiego rodzaju nagromadzonych kosztowności, całą jego zasypujących przestrzeń, zdaje mi się, iż do jakiegoś bogatego skarbca, do szacownego weszłam zbioru; idę za innemi (bo zawsze tam oglądających pełno) od rzeźby do obrazu, od mozaiki do innéj jakiéj ciekawości; zaraz wyskakuje usłużny cziczerone, opowiada że to Perugina, Rafaela, albo Michała Anioła dzieło. Daléj pokazuje stopnie ołtarza ze szczerego lane srebra, (jako to w pizańskiéj katedrze, które 170,000 fr. kosztowały), tu znów wyroby ze złota, ametystów i szmaragdów, tam kolumny z orjentalnego alabastru, wazy z porfiru, świeczniki misternéj Benvenuta Celiniego roboty i t. d. i t. d. Są to dary monarchów, kapłanów, lub dusz pobożnych ofiary. Myśl, iż kto co miał najwspanialszego, u stóp ołtarzy składał, pocieszała mię czasem.

Gdy to wszystko obejrzałam, i cicerona zapłaciłam, przypomniawszy w końcu, żem w kościele, pytam o mszę? powiadają iż dziś już niebędzie, bo ostatnia o siódméj się skończyła. Idę do drugiego i tam tylko jedna bywa przed szóstą. W trzecim mówią, iż nabożeństwa dnia tego tam niema, gdyż księża do innego wezwani miejsca, gdzie jakiéjś świętéj uroczystość obchodzą!

Niesłychane mnóstwo kościołów sprawia, iż jakkolwiek liczne jest duchowieństwo, mszy jednak w każdym niewiele, a modlących się mniéj jeszcze. Tak mało nawet zdają się liczyć i troszczyć o nie, iż często, ani ławek ani krzeseł, ani klęczników w całym kościele niema, co dla tych, którzy niemogą długo na marmurowéj klęczeć posadzce, wielką jest niewygodą.

Lecz nie w tém to może całe źródło mego skąpego dla tych uświetnionych muzeów współczucia. Ma ono drugie: to jest, że tam jeszcze za mało dla mego uczucia; przed Chrystusowe zatarły się czasy zbyt one jeszcze tam z wielu miar żyją.

Prócz tego, iż wielka część znakomitszych kościołów, ze starożytnych poprzerabiane świątyń, nie straciły zupełnie swego pierwotnego charakteru (1), nieraz się także napotykać daje w pośród ich ozdób, jakieś mitologiczne bożyszcza; a to zbliżenie świętego Matki Boskiéj wizerunku z jaką Cererą lub Minerwą, Chrystusa z Neptuna, lub Jowisza posągiem, jest mi przeciwném, rażącém. Miejsca zaś którym na posągi nie starczy, stroją duże lalki w najmodniejszego kroju suknie. Te z również wystrojoném dzieckiem na ręku, mają Najświętszą Pannę wyobrażać, co już nawet zamiłowaniem kunsztu usprawiedliwić się nie daje.

Ja bym rada, żeby tak jak u nas wszystkie bałwochwalcze wieki zapomniane, zatarte, o niemal za niebyłe poczytane, wykreślone nazawsze z dziejów świata zostały; a wiara nasza, jakby z początkiem jego zrodzona, jak bez następców, tak też bez poprzedniczek, w naszém przynajmniéj mniemaniu istniała.

Lecz nie tak to łatwo, w starożytnych i artystycznych, dałoby się otrzymać Włoszech! Inną bowiem dla nich, a inną dla nas koleją, toczyły się wieki, i inny też z nich pozostał dla nas, a inny dla nich spadek.

Gdy u nas zaledwo budząca się jutrzenka cienie nocne rospraszać poczyna, tam już słońce w zenicie najbogatsze swe lało promienie. U nas przedchrystusowe czasy, grubą pokryte zasłoną, z pomroku swego żadnéj nam świetnéj a dotykalnéj niezostawiły pamiątki; dopiero chrześcijanizm horyzont dziejów naszych rozjaśnia, i dla tego do najdawniejszych łącząc się narodowych wspomnień, wydaje się u nas, jakby z początkiem świata zrodzony; a obraz jego, sam jeden, nad całą panuje przeszłością.

Dla Włochów przeciwnie: najwspanialsze ich historyi karty, o wiele erę naszą poprzedziły, a szczytne pomniki z tych dawnych pozostałe wieków, tak im hardo i głośno swoje, i zarazem ich dzieje opiewają, iż niepodobna, by w ich duszy zasnęły.

Włoch w nich szuka dla swéj narodowéj dumy pociechy, dzisiejszego bytu zapomnienia; artysta swych estetycznych wzorów; żyje w owych czasach, jednoczy się z niemi, przesiąka ich duchem, i może też mimo już swéj wiedzy, ich koloryt często na swe rzuca późniéj dzieła, ich

(1) Wszystkie bazyliki, których sam Rzym ma siedm, są z dawnych przerabiane bazylik, a razem z budową ich odziedziczyły nazwę. W starożytnych bowiem zwano Bazyliką sądową salę. Miejsce dla sędziów w głębi sali podniesione, zajmuje zwykle teraz główny ołtarz; boki dla publiczności przeznaczone kolumnami oddzielone od środka, tworzą te trzy naszych kościołów nawy. Dla tego też kościół taki, kolumnami przepełniony, daleko bardziéj pogańską świątynię niż chrześcijański przypomina przybytek.

wyobrażeń z jego zbytecznie zjednoczonych duszą. rozłączyć, odrzucić całkiem w swych poetycznych utworach niemoże, świętą prawdę z bajecznem rozwikłać urojeniem.

Widzisz, Antosiu, iż jest czem ich wytłómaczyć; widzisz iż dla bezstronności własne me usuwając uczucie, starałam się z ich stanowiska na tę ich spojrzeć stronę. A teraz gdy ci to powiedziałam, wyłuszczyłam, dla *prawdy* wyznam ci jeszcze, iż mimo to wszystko, gdym widziała w kaplicy syxtyńskiéj, sławny Michała Anioła obraz, przedstawiający sąd ostateczny, obraz od wieków podziwiany, od znawców wielbiony; a w nim pod wizerunkiem Zbawiciela i Matki Jego, postrzegłam starego *Charona*, w swéj mitologicznéj łódce przewożącego potępionych do piekieł, gdzie ich król *Minos* już czeka; gdy jednemi ramami ujrzałam objętych *Charona* i *Minosa*, Chrystusa, Matkę Jego i pełno naszego wyznania świętych, wydało mi się to sprzeczném, niemiłém, nieznośném.

Taka to jest władza, od kolebki wkorzenionych wyobrażeń; i ta to władza już podobno ich, przy ich, mnie przy tych moich, na zawsze zostawi wyobrażeniach.

Co ci o wnętrzu kościołów powiedziałam, toż samo i do ich obrzędów odnieść by się dało. Jest coś w nich dla mnie częstokroć za nadto szumnego, pompatycznego, za nadto jaskrawego, brzęczącego.

Msza wprawdzie daleko bardziéj do naszéj niż naprzykład do paryzkiéj zbliżona, można mówić, iż zupełnie po naszemu się odprawia. Śluby familijne cicho się odbywają; a lubo w każdém miejscu, jak tam wszystko, tak i ten obrządek, jakiéjś ulega zmianie, jednak wszędzie jest tak tajemny, iż możnaby kilka lat być we Włoszech, żadnego nienapotkawszy nigdy (1). Pogrzeby mniéj także okazałe niż u nas. Ależ za to, tysiące innych processyj i ceremonij, po większéj części nam wcale nieznanych, a które zbytecznie karnawałowe obcemu, a może tylko północnemu wydają się oku.

Jest tam jakieś zamiłowanie przebierania się, i odegrywania przybranéj sobie roli; jakaś, że tak powiem, namiętność maskarady, z bajecznych także, jak się zdaje, pozostała czasów, w każdéj najmniejszéj objawiająca się okoliczności, czy to wesołością tylko sprowadzonéj, czyli pobożności celem.

Prócz tego, bractw bez końca, a każde ma swój strój, swe kolory; te niekiedy razem, czasem oddzielnie, mianowicie przy pogrzebach, występują, z twarzą tak pokrytą, iż dla oczu tylko zostawiony otwór. Te czarne, białe, zielone, niebieskie i różowe bractwa, w niektórych okoli-

(1) W pospólstwie lękają się przy ślubie *złego oka*, i dla tego wszelkiego unikają spojrzenia.

cznościach prowadzą z sobą aniołków czy amorków? — niewiem — są to dzieci w trykoty odziane, ze skrzydłami u ramion, w kwiaty, pióra i błyskotki, krótko ustrojone, jakieśmy na północy, w baletach tylko widzieć nawykli, i dla tego zapewne w kościele nas niemile zadziwiają.

Ale te południowe wyobraźnie, żwawe, błyskliwe, gorące, a jeszcze bardziéj gorączkowe, potrzebują wszędzie i zawsze podobnych sobie obrazów. A dowodem, że niebo i klimat mają w tém udział, jest to: iż ku południowi się posuwając, ta potrzeba czy namiętność, któréj ci tu jedną rzuciłam próbkę, coraz bardziéj uderza.... W Rzymie już jest daleko jawniejsza niż we Florencyi, a w Neapolu jeszcze bardziéj; jak to w dalszém opowiadaniu mojém łatwo spostrzeżesz.

Wybacz mi, Antosiu, ten długi ustęp. Jest on wprawdzie całkiem odrębny od Pizy, o któréj ci mówić poczęłam. Lecz ten nieco ogólniejszy rzut oka, okaże ci najprzód jeden z charakterystycznych rysów, z tych głównych cech, najbardziéj różniących płomienisty zaalpejski półwysep, od mglistéj Europy naszéj; powtóre przygotuje cię, poniekąd usprawiedliwi może mą oziębłość na te bogate świątynie, na wszystkie słynne ich obrzędy, dla wielu główny we Włoszech stanowiące powab.

Czuję, lękam się, iż to do reszty wyziębi, już i tak zbyt zda mi się zimne, zbyt suche opisy; że mi to wielu, twoją może nawet, ściągnie naganę.

Ale cóż robić! Ja mego wrażenia nastroić, ugiąć, dla jakichbądź względów, bym nie potrafiła; a kłamać je przed sobą, zmyślać dla innych?..... dla ciebie!..... było by mi zupełném niepodobieństwem.

W katedrze pizańskiéj, obejrzawszy srebrne ołtarza stopnie i inne ciekawości, gdym wzniosła na złocisty sufit oczy, gdym ujrzała w pośród niego zawieszony i nieco ruszający się świecznik, rozwinęła mi się raptownie w pamięci historya jego, zapomniana szczęściem czy nieznana cyceronowi memu.

Świecznik ten jest poniekąd Newtona jabłkiem. Jak Newton w spadnięciu jabłka odgadł prawa attrakcyi, tak Galileusz, spostrzegłszy ruch świecznika katedry pizańskiéj, domyślił się ruchu czasu i światów.

Wiadomo ci, iż *Galileusz* zrodził się w Pizie. Z niebogatych rodziców, próbował do lat 20 rozmaitych w sobie zdolności. Chciał być lekarzem, muzykiem, malarzem — wszystkiego się uczył, prócz matematyki, któréj mu późniéj najbardziéj potrzeba było. Nic mu się nie wiodło: sam niewiedział, czego się jąć ostatecznie: gdy, spojrzawszy przypadkiem na katedralny świecznik, metodyczny ruch jego objawił mu raptownie rodzaj geniuszu, jakim go tak szczodrze obdarzyło Niebo.

Z tego tak małego poczęcia, ze znanych w nieznane przechodząc twierdzenia, mądry ten człowiek całe swe ułożył systema. Galileusz oskarżony o szerzenie heretyckich nauk, zagrożony więzieniem, a potém haniebną śmiercią, gdy mu podano za sposób ratunku odwołanie swych dowodzeń, uznanie ich za fałszywe, po długiém wahaniu, przystał na bolesny warunek. Stanął przed inkwizycyjnym sądem, podpisał czego żądano, a jednak nie całkiem od nieprzyjaciół i prześladowań się oswobodził.

Za Florencyi bramą, na wzgórzu zwaném *Arcetri*, wznosi się jeszcze skromny domek, gdzie *Galileusz* dziewięć ostatnich lat życia, pod dozorem straszliwego sądu policyi, zostawał. Tam to, zawsze w niebieskich sklepieniach czytając, wzrok całkiem postradał; tam go młody Milton w swych podróżach odwiedzał, tam on w 1642 roku, 6 stycznia, skończył; tam teraz cieniom jego uczeni hołdy swe zanoszą.

Jeszcze o rozmaitych losu kolejach pizańskiego mędrca marzyłam, gdym usłyszała rzewny płacz z najciemniejszéj strony, po całéj rozlegający się świątyni. Zwróciwszy się w tę stronę, ujrzałam u stóp Matki Boskiéj obrazu, kobiétę w czerni ubraną.

Postać jéj była już mi znaną. Właśnie poprzedniego wieczora, wróciwszy do domu, spotkałam ją w jadalnéj sali, gdzie na jednym końcu stołu przyrządzono dla mnie herbatę, a na drugim ona z młodym jakimś mężczyzną siedziała.

Wydała mi się już nie pierwszéj młodości, lubo jeszcze nie stara. Z mowy, czarnych włosów i żwawych gestów, łatwo było poznać Włoszkę. Towarzysz jéj, dużo młodszy, blondyn, blady, miał wyraz twarzy dumający i chorowity. Mało brał w wieczerzy udziału, mniéj jeszcze w rozmowie; przewracał machinalnie karty dużego albomu, i kiedy niekiedy jakieś rzucił zniechcenia słowo.

Gdzieindziéj, to blade czoło, ocienione spadającemi na ramiona włosami, oczy więcéj mówiące niż usta, byłyby może uwagę mą zwróciły; ale w Pizie tyle bladych twarzy! tyle smutnych, chorowitych oczu!! Więcéj mię też daleko zajął albom z poezyą i rysunkami, któremu byłabym rada bliżéj się przypatrzeć, więcéj jeszcze rozmowa, półgłosem z jednéj strony prowadzona, z drugiéj jakby z łaski popierana tylko, a w któréj słowo *Egeria* często powracało.

Takie powtarzanie imienia nimfy Numy Pompiliusza, już tylko w klassach znanego, nieco mię zadziwiło. Czy to się tam historya rzymska tak żwawo wykłada, pomyślałam sobie? a znajdując tę zagadkę dość trudną do rozwiązania, zaczęłam przemyślać jakiego rodzaju mogą być stosunki łączące te dwie osoby?

Następnego ranka, ujrzawszy żałobną znaną mi już panią, u stóp ołtarza we łzach tonącą, pożałowałam niektórych mych o niéj wniosków, a lękając się mą przytomnością przykrość jéj sprawić, wyszłam z kościoła.

O kilkadziesiąt przed nim kroków siedział ów blady blondyn, ze swym na kolanach albonem, w którym coś rysował czy pisał.

Miałam go wyminąć, gdym spostrzegła w ulicy ogromny tuman kurzu; tętęt galopujących koni i kilka naprzód biegących psów, oznajmiały myśliwską wyprawę.

Ustąpiłam jéj z drogi: a gdy się zbliżyła ujrzałam na jéj czele młodą i piękną kobietę. W amazonce i męzkim kapeluszu, w ustach trzymała cygaro, w ręce zgrabny pejczyk którym z daleka po kilka razy pozdrowiła rysującego mężczyznę; ten mocno zarumieniwszy się powstał przed nią; ona wstrzymała konia, a rzuciwszy swe cygaro, kilka zamieniła z nim słów, i znów galopem z całym swym puściła się orszakiem.

Liczny i hoży ten orszak, składał się z młodzieży, w czerwonych angielskich surdutach, lub w inszym myśliwskim stroju, i z kilku zwinnych dżokejów. Wszystko razem w cichéj i smutnéj Pizie, wydało się jakby coś nadnaturalnego. Zdało mi się iż różnofarbnéj tęczy jasna wstęga, raptownie szary horyzont swym łukiem przecięła.

— Kto jest ta pani? zapytałam mego cziczerona.

— Jest to jakaś Angielka, czy tam może Francuzka, odpowiedział.

Trzeba wiedzieć, iż każdy włoch, z téj klassy do jakiéj mój cziczerone należał, gdy tylko obcą postać spostrzeże, oblicza najprzód jakie z tego nieboraka będzie mógł wyciągnąć korzyści; jak naprzykład, dobry owczarz wie zawczasu, ile mu która owca funtów wełny przyniesie; a po takiém ocenieniu człowieka, klassyfikuje go wedle jego wartości. I tak: każdy pierwszéj klassy człowiek (to jest taki, co w najdroższym hotelu mieszka i chłopcom, byle za co, na piwo hojnie daje), zowie się zawsze *anglikiem*, choćby się nawet w Chinach urodził.

Gdy więc mój cziczerone nazwał tę panią angielką, niedowodziło to bynajmniéj iż ona nie hiszpanka, lub niemka; tylko że nie włoszka, i że jest policzoną do tych ofiar, przeznaczonych do wzbogacenia oberżystów i do zasilania wszystkich próżniaków dworskich, którzy tam, jeśli nie dwie trzecie, to przynajmniéj połowę ludności stanowią.

Własnym workiem tę opłaciwszy naukę, bo i mnie niestety! do angielek liczono, bynajmniéj odpowiedzią cziczerona mego niezadowolona, ponowiłam pytanie, kto ona jest? czy księżna? czy artystka? czy mężatka? czy panna lub wdowa?

— *Chi lo sa?*.. (Któż tam wie!) odpowiedział.

Te *chi lo sa!* także do narodowych charakterystycznych należy odpowiedzi. Każdy tam daje nią poznać, iż nie jest w téj chwili w humorze rozmawiania. W Pizie, gdzie ludzie wyglądają, jakby przez sen chodzili i mówili, bardzo się często trzeba z owym *chi lo sa?* spotykać.

— Przecież, odrzekłam, czy dawno tu przybyła, czy dla zdrowia? gdzie mieszka? co robi? z kim żyje? tacy jak wy ludzie, dodałam, wiedzą i powinni wszystko wiedzieć, jeśli swe znają rzemiosło. Inaczéj rekomendacya właściciela hotelu, ani naznaczona dla was zapłata, wcale by usprawiedliwioną nie była.

Ostatni ten argument przebudził cokolwiek mego Pizanina. Jużciż wątpić trzeba, rzekł, żeby dla zdrowia przyjechała, bo jak pani widzisz dość pięknie wygląda, mieszka w pałacu *Lanfranchi*, tam gdzie niegdyś lord *Byron* mieszkał; żyje z towarzystwem, z którém ją i teraz spotkaliśmy. A co robi?... Gdy ją na balkonie z temi paniczami widuję, to cygaro pali; a po mieście słychać, że jedzie do Rzymu dla nawrócenia Papieża na swą wiarę; uśmiechając się dodał.

Kiedy Pizanin się rozśmieje, to dowodem iż rzecz bardzo śmiechu godna.

— Jakiejże ona jest wiary? zapytałam.

— *Chi lo sa!...* Ale, ale! po niejakiéj chwili zawołał. Dziś rano właśnie przyniesiono mi do rozdania afisze na koncert, który ona, zda mi się, jutro czy po jutrze daje.

I to mówiąc, całą plikę afiszów z kieszeni wyciągnął.

Skwapliwie je uchwyciłam, w nadziei iż jakieś szersze rzucą na ową nieznajomą światło, niż skąpe mego przewodnika odpowiedzi.

Afisz donosił, że przed kilkunastu dniami artysta *** chcąc umieścić rzeźbę na frontonie kościoła, spadł i zabił się na miejscu, zostawując żonę z liczną familią, bez sposobu do życia. Wzywał zatém wszystkie dobroczynne osoby na koncert wokalny, na korzyść nieszczęśliwéj wdowy, przez hrabinę *Egeryą* ułożony.

— To ta pani zowie się hrabina *Egerya*? zapytałam.

— A tak, i sama będzie zapewne śpiewała. Może pani każe zamówić lożę dla siebie?

Imie téj nimfy, czy amazonki, reformistki, hrabiny czy artystki, przywiodło mi do myśli poprzedniego wieczora rozmowę, w któréj tak często je powtarzano, i na osoby ją prowadzącą. Prosiłam zatém mego cziczerona o niejakie o nich objaśnienie. Ta pani cośmy płaczącą w katedrze zostawili, zdaje się Włoszka?

— Nie, ona jest Neapolitanka.

(W Pizie tylko Pizanie zowią się *Włochami*, jak w Rzymie wyłącznie Rzymianie).

— Musiała niedawno kogoś tu stracić, ponowiłam, kiedy ją widzę w żałobie i płaczącą.

— Mąż jéj tu przed pół rokiem umarł, ale ona płacze bo się kocha; (è innamorata).

We Włoszech tak mówią że się kto kocha, jakby u nas powiedziano, że ma nerwową gorączkę, lub kataralną febrę.

— A ten młody blondyn, któremu się tak ładnie kłaniała hrabina Egerya?

— To jakiś anglik *(un certo inglese)* słaby na piersi. My go zowiemy poetą, bo wiersze pisze.

— Czy także przywiozł nową dla was wiarę?

— Bynajmniéj; bardzo owszem pobożny, codzień bywa u Ś. Stefana na mszy. Może pani każesz się tam zaprowadzić? To jest kościoł piękny, wspaniały, gdzie złożono chorągwie w Krucyatach zdobyte; rzecz bardzo ciekawa. Razem byś pani zobaczyła posąg Kosmusa I. Medyceusza, który założył tu dla kawalerów Ś. Stefana pałac i kościoł, a oni jemu posąg wznieśli.

We Włoszech, katedry tylko cały dzień są otwarte; inne kościoły przed południem zamykają, co zmusza je podczas mszy oglądać. Lubo ten zwyczaj przeciwny uczuciu memu, trzeba mi było stosować się jednak do niego.

Kościoł S. Stefana mniéj od wielu innych zbytkiem ozdób zasuty, liczy do najgłówniejszych tureckie chorągwie. Ta piękna zdobycz chrześcijaństwa na mahometyzmie, ta pamiątka ostatniéj walki i stanowczego zwycięztwa naszéj świętéj wiary, miłe odnawia wspomnienia i podnosi duszę. Spojrzawszy na nie, nikt pewno kościoła bez mszy nie opuścił

Gdy po ostatniém błogosławieństwie powstałam do wyjścia, ujrzałam młodego poetę, o którego pobożności już mi mówiono, w głębokiéj pogrążonego modlitwie. Klęczał na marmurze z czołem schyloném, tak iż wątpię, czy widział co się w około niego działo, czy słyszał iż msza się skończyła.

Trzy te obrazy, tak odmienne a w jednéj widziane chwili, zakochanej włoszki, modlącego się poety i lwiczo-mysliwskiéj wyprawy z żeńskim naczelnikiem, długo mię ścigały.

Niewiem czy przeczucie, iż nie po raz ostatni spotkać mi wypadnie główne ich figury, czy domysły, iż jakieś tajemne łączą je między sobą przeznaczenia, i jakiego rodzaju one być mogą?... lecz długi czas myśl moja w tém pizańskiém krążyła kole; i tém uporczywiéj, iż postrzegłam w biednéj kobiecie, o któréj zbyt głośnéj miłości, posługacze hotelowi na-

wet rozprawiali, prawdziwéj włoszki doskonały typ; jako też w modlącym się poecie, a jeszcze bardziéj w emancypowanéj niewieście, z cygarem w ustach, nową głoszącą wiarę, płód wieku naszego, o jakim by poprzednie nie domyśliły się nawet.

Wiek, który w liczby tylko wierzy, arytmetyką usiłuje zastąpić wiarę, uczucie, poezyą, musi koniecznie rodzić pełno i rozmaitych postaci mahometów, pełno innych reakcyą wywołanych szałów; a wpośród nich, reakcyą reakcyi, czyli drugiéj potęgi oddziaływającą siłą, słyszeć się czasem daje błagalny do nieba posłany głos; i kiedy już wszystkie inne usnęły poezye, gdzie niegdzie ujrzeć jeszcze można poetę w cieniu ołtarza, z wieszczym, do nieba wzniesionym, wzrokiem.

Nie często wprawdzie, lecz jednak napotkać czasem się daje.

Jest to wykwitła róża na puszczy, śpiew słowika w lodowatych północy pustyniach..... Jest to może ten gołąb w arce Noego przechowany, dla przyniesienia nam kiedyś rószczki oliwnéj z nieba.

X.

EMPOLI. — FARYNATA DEGLI UBERTI. — SAN MINIATO. — BONAPARCI. — FLORENCYA. — PAŁACE. — KATEDRA. — BRACTWO MIŁOSIERDZIA. — GROBY POLSKIE U Ś. KRZYŻA.

Później ci powiem, Antosiu, gdzie i jak powtórnie napotkałam owego poetę, owe dwie kobiety; jak dziwném zdarzeniem widziałam obie, a każdą w inny sposób, żegnającą się ze światem. Teraz muszę śpieszyć do Florencyi, do téj stolicy wonnych kwiatów, krwawych mordów i estetycznych arcydzieł.

Droga z Pizy do Florencyi zabiera około ośmiu godzin, a idzie przez najładniejszą część doliny Arna; często koryto rzeki krążąc, wzrok o malownicze opiera się wzgórza i opoki.

Na połowie téj drogi, wznosi się miasteczko *Empoli*, sławione w historyi sejmem zwołanym w 1260 r. przez Gibelinów, którzy pobiwszy Gwelfów, jednogłośnie na nim zawotowali ogniem i mieczem zniszczenie przychylnéj téj partyi Florencyi. Byłoby to nieomylnie nastąpiło, gdyby nie powstał w obronie rodzinnego miasta swego *Farynata degli Uberti*, rycerz godny homerycznych czasów. Najzapaleńszy z Gibelinów partyi, on jéj zapewnił zwycięztwo, on w krwi potoku dumnemu Gwelfów panowaniu na długi czas położył koniec; lecz pragnął zwycięztwa a nie zemsty; lubo

liczne miał przeciw Florencyi osobiste urazy, głos obywatela w sercu jego przemógł. Jako dzielny gibelinów dowódca zwyciężył; jako dobry chrześcijanin przebaczył; jako prawy obywatel swą ojczyznę ocalił, własnemi ją zasłonił piersiami, przeciw zapamiętałéj zemsty pociskom. Florencya jednak bardziéj swéj zniewagi pamiętna, niż za ocalenie wdzięczna, pogardzając w taki sposób okupionym bytem, zamiast dziękczynienia, rzuciła mu przekleństwo. Pałac *Farynata degli Uberti* został zburzony, zrównany z ziemią, gruzy na puste wyrzucone pola; a wyrok żeby nigdy żaden Florentczyk nie poważył się żadnéj budowy na ich wznieść miejscu, tak święcie dochowano, iż gdy nieprędko potém stawiając ratusz, mający zajmować środek dużego placu, architekt oświadczył, iż musi rozciągnąć się na część zaklętego miejsca, rozkazano gmach w kąt posunąć, a jeden z jego boków, dla téjże przyczyny pozostał na zawsze krzywym. Florencki zaś poeta, czyli poetyczny jéj historyk Dante, w boskiéj komedyi, na dnie piekieł czcigodnego umieścił *Uberti*, na wieczny skazawszy go ogień.

Niedaleko od *Empoli*, pokazują na wzgórzu wioskę z kościołem. Zowią ją San-Miniato. To miejsce dwoma szczyci się sławami: jest kolebką rodziny Boromeuszów, późniéj w Medyolanie osiadłéj, z któréj Ś. Karol się zrodził; i Bonapartych pierwotném gniazdem, następnie do Korsyki przeniesioném.

Liczni członkowie téj, z innych względów, gasnącéj familji, za Toskańczyków istotnie się uważają, i w taki sposób tłómaczą swą dla Florencyi skłonność, swéj głównéj tam rezydencyi wybór. Bonaparci mają we Florencyi kaplicę i groby. Wielu z nich ciągle w niéj mieszka, inni tam skończyli i tam spoczywają.

Podczas włoskiéj wojny, cesarz Napoleon znalazł w *San Miniato* proboszcza imienia swego. Ten mu dowiódł, iż jest z tegoż co on szczepu, który w skutek zaburzeń krajowych na dwie podzieliwszy się gałęzie, jedną na miejscu zostawił, drugą na korsykańskiéj rozkrzewił ziemi; dodając wszakże do nazwiska jedną nie używaną w niem początkowie literę: Gałęź bowiem toskańska pisała się Bonaparte, a korsykanie nazywali Buonapartemi. Od tego czasu cesarz wykreślił z podpisu swego literę; cała jego rodzina wróciła do pierwiastkowego *Bonapartych* nazwiska. Proboszczowi S. Miniato ofiarowane zostały zaszczyty i urzęda, lecz on wszystkiego odmówiwszy, jak żył, tak i umarł wpośród cichéj swych owieczek miłości. (1).

(1) Jerzy Sand, w swéj południowéj podróży (un hiver au midi de l'Europe, pag. 129), wspomina o innym jeszcze szczepie, tegoż imienia którego herby z sześciu gwiazd

Opuściwszy San Miniato, sławne ryżowe kapelusze sąsiedztwo Florencyi zwiastują. W miarę zbliżania się do niéj, coraz więcéj widać głów temi szerokiemi ocienionych kapeluszami. W końcu w każdém miasteczku i wiosce, całe dają się widzieć roje plotących je dziewcząt i chłopców. Każda z nich ma za pasem dość krótko ustrzyżoną wiązkę ryżowéj słomy, a w cieniu, przed domem, w koło zasiadłszy, lub chodząc, gawędząc, albo śpiewając, po jednéj wyciągają ze swéj wiązki słomie, i zręcznie, w inną nawet patrząc stronę, wplatają do drugiéj, pod palcami szybko rodzącéj się plecionki. Te, jedne z drugą tak zgrabnie późniéj łączą, iż najlepszy wzrok szwu w nich dojrzeć niezdoła.

Znane całéj Europie kapelusze florenckie, głównym są handlu jéj przedmiotem. Cena ich na miejscu, w miarę cienkości, od sześciu do kilku tysięcy pawłów dochodzi. (Paweł toskański wynosi 28½ groszy polskich).

Stanowią one zarazem narodowy tamecznych wieśniaczek strój. Prócz szerokiego kapelusza, bardzo u nas niewłaściwie nazwanego tyrolskim, (Tyrolki bowiem noszą czarne u góry śpiczaste, całkiem podobne męzkim), prócz dużych perłowych kólczyków, oryginalnego kształtu, lud toskański, tak w stroju jak w rysach, żadnego właściwego niema typu. Nieujrzysz w nim, ani sprężystéj Wenecyana żwawości, ani czarnych genueńskich oczu i głębokiego spojrzenia, owszem, we wzroku i ruchach, ma w ogólności coś leniwego, coś ospałego, jakby pizański wiatr także tam wionął. Nikt, nań spojrzawszy, nie zdziwi się iż pod austryacką przeszedł dynastyą; lecz nikt tam potomków dawnéj Etruryi ludów, a jeszcze mniéj burzliwych z średnich wieków republikanów, szukać niebędzie.

U bram Florencyi może się zdawać, iż słoma raptownie w kwiaty się zmieniła. Jak przed niemi dziewczęta i chłopcy z wiązkami słomy widać było, tak tu każdy w dużym i pięknym koszu, świéże niesie róże, dalje, fijołki, kamelje. Każdy niemi częstuje, sprzedaje, lub obdarza.

lwa i połowy orła złożone, Pan Tastu na wyspie Majorce wynalazł. Wnioskuję, iż z tamtąd do Korsyki się przenieśli; tem chętniéj temu wnioskowi sprzyja, iż tenże pan Tastu, wynalazł w archiwach majorkańskich, wzmiankę o niejakim Hugo Bonaparte który w 1411 roku został w zastępstwie króla Marcina z Aragonu do Korsyki na regenta posłany. Atoli, ci nowego wynalazku Bonaparci, mieli o jedną jeszcze literę mniéj od włoskich, pisali się Bonapart, gdy jak wiadomo Napoleon, prócz wykreślonego *u* żadnéj w swém nazwisku nie przyniósł zmiany; herbów jego także nie znaliśmy; na świeżych florenckich grobach żadnego nie widziałam. A te *u* lubo do najpiękniejszych kart jego się wiąże, stało się późniéj, niewiem czemu, Napoleona nieprzyjaciół znamieniem. Jeśli w jakiém piśmie, kto spostrzega imie Bonapartego z *u* napisane, może być pewnym, że jest przeciwne cesarskiéj sławie; czego ja nigdy zrozumieć nie mogłam.

Zanim do oberży zajedziesz, pełny już ci zarzucą powóz; w oberży, w sieniach, na wschodach, nigdzie się nie rozminiesz z niemi; w pokoju gdy tylko otworzysz okno, najładniejsze nim wpadają do stóp twych bukiety.

Kwiaty florenckie o porach roku nie wiedzą. Dla nich zawsze wiosna i lato. Nigdzie nie widziałam tak pięknych bukietów, z tak gustownym kolorów doborem, nigdzie mi się tak wonnemi nie wydały.

Żadne miasto doskonaléj swego nie usprawiedliwia nazwiska. Florencya bowiem po włosku *Firenze* znaczy *kwiecista;* za herb ma lilią. Katedra jéj zowie się *Santa Maria del fiore*, i jak kroniki twierdzą, dla tego Najświętszéj Pannie kwiecistéj ją poświęcono, iż miejsce gdzie teraz farny gmach się wznosi, niegdyś było samemi różami zasłane.

Gdy oko dostatecznie kwiatami się ubawi, uderzają go zbyt im sprzeczne ciężkie i smutne massy starych pałaców. Podobne raczéj do twierdz lub więzień, niż do rezydencyi magnatów, bez zewnętrznych ozdób, wewnątrz mają kwadratowy dziedziniec z fontanną w środku, z otwartym do koła portykiem, pod którym dotąd widać stare herby, popiersia, posągi. Ta galerya w potrzebie za przechadzkę pałacowym mieszkańcom mogła służyć i łączyła z sobą wszystkie jego mieszkania.

Z urządzenia takiego widać od razu, iż te pałace nietylko pozór, ale i przeznaczenie obronnych twierdz miały. W domowych tak długich, tak krwawych Florencyi wojnach, każdy magnat mógł w nich ze swą rodziną i służbą (familją także, z dawnych jeszcze czasów, we Włoszech zwaną), ze swem wojskiem się zamknąć; a nie potrzebując zewnętrznéj pomocy, długi czas bram swych nie otwierać.

U nas, gdzie jeszcze niezbyt dawno, zamożni panowie miewali swe pułki i sztaby, podobny porządek rzeczy nie powinien dziwnym się wydawać.

Pałace florenckie miały niegdyś wieże, lecz gdy Gibelini otrzymawszy zwycięztwo zrzucić je kazali, te massy jeszcze bardziéj bryłowatego nabrały pozoru.

Jak architektura innych miast włoskich najczęściéj zbytkiem ozdób grzeszy, tak tu przeciwnie, za nadto może pogardziła niemi, w sile i grubości murów całą, zdaje się, zasadzając zaletę. Wiele znawców się oburzyło gdy wyznawałam iż takie gmachy niemile mi wpadają w oko, że architektura florencka nie powinnaby za wzorową być poczytaną. Lecz na pociechę moją znalazłam późniéj w sławnym o kunsztach *Winckel-*

mana dziele, toż samo zdanie, i dla tego jeszcze go śmielej powtarzam. (1).

Jeśli pałace florenckie mało mię ujęły, kościoły jeszcze mi się sto razy brzydszemi wydały. Stendhal mówi że do stodół podobne. (2).

W rzeczy saméj trudno sobie wyobrazić coś mniéj pięknego jak te stare, nizkie budowy z czerwonych podziurawionych cegiełek, bez rzeźby ni architektury ozdób. Nie dość wspaniałe na dom Boży, nie dość malownicze na ruinę, dziwne jakieś, trudne do oddania obudzają wrażenie; zdają się jakby resztki upadającéj, lub tajemne schronienia nieśmiale powstającéj religii.

Lecz jak ciężkie i bryłowate pałace nie są tam bez wyjątku, tak i między kościołami wznosi się nad wszystkie inne jedna, najwyższa w całym świecie kopuła, a obok niéj piękna, lekka, ozdobna dzwonnica.

Katedra florencka tak jest ogromna, iż patrząc z góry na miasto, ją tylko jedną widać, wszystko obok niéj niknie. Wydaje się jakby świeżo dokończony gmach, a inne budowy jak cegły i gruzy nie uprzątnionego jeszcze placu. Kopuła jéj o dwanaście stóp przewyższa S. Piotra rzymskiego, i jak się zdaje przetrwać ją przeznaczona. Lubo starsza od niéj, najmniejszego śladu zgrzybiałości nie nosi, gdy rzymska już od wielu lat zrysowana i żelaznemi ściśniona sztabami, wielkie rodzi obawy. Wzniósł ją sławny Florencyi architekt *Brunelesco*. Tę zaś lekką wieżę, co obok poważnéj kopuły zalotnie w niebo wystrzeliła, odrysował genjalny także Florentczyk *Giotto*, architekt i malarz zarazem. Syn rolnika a ojciec malarskiéj sztuki, spędziwszy młodość przy bydle, umarł otoczony sławą (3).

Tuż przy kościele posągi tych dwóch artystów, przedstawiają ich przypatrujących się swym dziełom. Myśl szczęśliwsza niż jéj wykonanie.

Przed wejściem fary wznosi się chrzcielnica *(il batistero)*. Troje drzwi jéj ze spiżu odlane, tak są piękne, iż Michał Anioł osądził je godnemi do otwierania raju. Przedstawiają w płaskorzeźbie ze starego te-

(1) Oto jest wyjątek z dzieła tego na francuzki przełożonego język. La belle architekture est fort rare â Florence, de sorte même qu'elle n'a qu'une seule maison qu'on puisse regarder comme bien batie, et que les Florentins ne manquent pas non plus de faire remarquer comme une merveille.

Tom 3ci karta 266 (du sentiment du beau).

(2) Les florentins laissant toujours la façade pour leurs dernier ouvrage; l'inconstance humaine a fait que St. Laurent, Santa Croce et plusieurs autres, ces temples magnifiques au dedans, ressemblent tout â fait à de vastes granges de brique.

Histoire de la peniture en Italie t. 1. p. 81.

(3) Dzwonnica ta ozdobna ślicznemi Donatella posągami, tak jest delikatna, piękna, iż Cesarz Karol V. żałował, że ją nie można pod szkło jakby drogi klejnot włożyć.

stamentu, Ś. Jana i Chrystusa życia. Pierwsze są roboty jednego z najdawniejszych snycerzy, *Andrzeja z Pizy*, który nad niemi 26 lat pracował, drugie i trzecie do konkursu podane, na wieczną imienia swego sławę wykonał *Ghiberti*.

Niedaleko od katedry pokazują kamień, na którym Dante trawił godziny, przypatrując się jéj piękności, marząc nad jéj wzniosłością, nad koleją jéj przeznaczeń. Nie przeczuwał zapewne iż w pięć wieków po nim jeszcze dokończoną nie będzie. Gmach ten czeka dotąd facyaty i wewnątrznych ozdób. Z trzech stron różnobarwnym zewnątrz wyłożony marmurem, od frontu całkiem obnażony, równie jak i nagością długich naw wnętrza, razi oko nazwyczajone do zbytku i bogactwa.

Wychodząc z jéj podwoi, usłyszałam trzy razy ponowiony odgłos dzwonu. Lubo we Włoszech o wszystkich dnia godzinach dzwony słyszeć można, ten, odmienny od innych, zwrócił mą uwagę. Powiedziano mi że to jest dzwon bractwa miłosierdzia, powołujący do chorego, lub na ratunek nieszczęśliwego przypadku jakiego.

Jakoż niebawnie ujrzałam człowieka w czarnym habicie, z zasłoniętą twarzą, podobnego naszym tak nazwanym penitentom czy kapnikom jakich co wielki piątek w Krakowie widzieć jeszcze można. Za nim w takimże stroju spieszył drugi, później trzeci, czwarty i więcéj, z rozmaitych ulic, na plac katedralny sypać się zaczęło. Jeden drugiego pytał w którą ma się udać stronę; a wszyscy żwawym gonili tam krokiem.

Bractwo miłosierdzia *(la misericordia)* należy do najpiękniejszych instytucyi świata. Powstało w połowie czternastego wieku. Kiedy okropne choroby kraj wyludniły, kiedy jeden od drugiego stronił, brat bratu, z obawy zarazy, odmawiał pomocy, usługi, ratunku, wówczas kilku cnotliwych ludzi, kilku prawych chrześcjan, wszelką pokonywając obawę, poświęcili się niebezpiecznéj zarażonym usłudze.

Imiona tych ludzi, w pomniku ich ciemnego stulecia zaginęły: lecz dzieło trwa dotąd; a potomność niemniéj błogosławi ich pamięć. W wieku zaś gdzie egoizm wyłącznie panuje, i tego tylko za *bliźniego* uważać doradza, który wygodzić może jakiéj rachubie lub próżności, z którego, słowem, jaką korzyść odnieść możemy, zakład oparty na bezinteresowaném poświęceniu się, na uczuciu powinności względem niedoli, gdzie bądź i kogo bądź ona dotknie, może być uważany za rzecz fenomenalną. Zważywszy nadto, iż tyle przeszedłszy rewolucyj, zawsze swój pierwotny, nieskazitelny, dochował charakter, nigdy go nie używszy na pokrycie innych celów, jeszcze bardziéj na podziw zasługuje. Mało bratnich towarzystw może się podobną sumiennością poszczycić; niewiem czy które posiada tak czyste, tak niepokreślone archiwa.

Florenckie miłosierdzia bractwo, składa się z 72 naczelnych i 105 służbowych braci. Między pierwszemi, liczy 10 prałatów, 28 artystów, 14 z wyższéj klassy i 20 z młodszego duchowieństwa osób. Do drugich bez przepisu stanu, przyjmuje każdego dobréj sławy człowieka, wymagając jedynie skrupulatności w dokonywaniu przyjętych obowiązków. Piętnastu pełni codziennie służbę, a z nich jeden dniem i nocą czuwa w kaplicy przy swym szpitalu. Na pierwsze wezwanie dzwonem zwołuje braci, a sam śpieszy w oznaczone miejsce. Dwa lub trzy razy powtórzone dzwonienie, tłomaczy rodzaj nieszczęścia jaki ich przyzywa. Wówczas nie raz się widzi w teatrze raptownie z loży wymykającego się eleganta, lub wpośród balu, w połowie kontredansa opuszczoną młodą tanecznicę; bo co tylko miasto najznakomitszego posiada, ubiega się o zaszczyt zapisania się do miłosierdzia braci, a wykreślenie z ich grona, za taką by poczytano hańbę, iż gdyby nie inne uczucie, ta obawa sama, największąby nakazała gorliwość w pełnieniu tych świętych ludzkości obowiązków.

Następnego dnia spotkałam ubogi pogrzeb: Czterech z braci miłosierdzia niosło trumnę, inni krucyfix i pochodnie; prócz nich nikt zmarłemu nie towarzyszył. Poszłam za niemi na cmentarz i zbudowałam się jak przykładnie ostatnią oddali tym zwłokom posługę. Lecz zdziwiłam się zarazem, iż je składali pośród uherbionych jakiegoś znakomitego rodu familijnych grobów. Musiała się tam nędza z herbami spotkać, co mię wyjaśniło czemu nikt nie towarzyszył, miłosierdzia braciom poruczonemu pogrzebowi.

W całym teraz świecie, a we Włoszech częściéj niż gdziekolwiek, dają się napotykać wielkie imiona w pośród opustoszałych pałaców; pod szczątkami dawnego bytu przepychów, kryjące teraźniejszą nędzę, a mimo to święcie dochowujące historyczną cześć domu swego. Rodzina zmarłego, o którym mówiemy, niemiała mu za co sprawić pogrzebu, a w swéj dumie nieznalazła odwagi pójść za miłosierdzia braćmi; lecz sprzedawszy ostatniéj prababki ślubną obrączkę, nie omieszka mu położyć kamienia z herbami i spisem dalekich przodków imienia. Jest to, jak mówią, z obawy obrażenia ich cieniów, i dla nieubliżenia historyi. Niedostatek jest rzeczą chwilową i przypadkową, a grób przyszłym wiekom opowie świetność dawnego rodu. (1)

(1) W Wenecyi *cziczeroni* między ciekawościami miejscowemi, niedawno jeszcze pokazywali starą pannę Foscari. Jest ona ostatnią ze znakomitego imienia, lecz w takim stopniu ubóstwa, iż z łaski zwiedzających prawie jedynie żyła; co jednak nie mogło jéj skłonić do opuszczenia pałacu przodków, ani do sprzedania ich portretów. Miałaby to za większą hańbę niż żyć z jałmużny. Rząd teraz z obawy runięcia tego przepysznego gmachu, odebrał go jéj i swym kosztem restauruje na szkoły publiczne

Nie myśl, żebym się mocno zmęczyła idąc za tym pogrzebem. Cmentarze gdzieindziéj z obawy złego powietrza za miasto usunięte, we Włoszech nie ruszyły się z miejsca. Niemal każdy znaczniejszy kościoł i klasztor ma w swym obrębie *Campo Santo*, najczęściéj ozdobne posągami i rzeźbami, a prócz tego zachowały prawo dawnym zwyczajem grzebania w samym kościele.

We Florencyi najświetniejszy zbiór nagrobków posiada kościoł Świętego Krzyża (Santa Croce). Artysta może w nim znaleść wzory ze wszystkich sztuki epok; popioły Michała Anioła tam go wołają także. Poeta przed grobem Danta klęka, uczony Galileuszowi, literat Machiavelowi i Alfieremu cześć zanosi, Francuz z cesarskich czasów śpieszy do Bonapartych kaplicy, gdzie już kilka zamknęło się grobów; inne otwarte czekają.

My zaś znajdujemy tam kilka herbów i nazwisk polskich: Michała Skotnickiego, Michała Ogińskiego, znanego z przyjaźni jaką go zaszczycał ś. p. Cesarz Alexander, z pamiętników udzielających szczegółów tych jego świetnych stosunków; i trzecie, tém silniéj przemawiające do duszy, iż najpóźniéj wyryte, odnawiają nie zatarte w niéj pamięć licznych wdzięków i cnót.

Skłoniwszy głowę przed temi imionami, co swą sławą nawy Świętego Krzyża zdają się rozpychać, sklepienia podnosić by dosięgnąć nieba, mniemam iż każdy z nas pospieszy do pobocznéj kaplicy gdzie spoczywa wzorowych synów, wzorowa matka. Lubo nie literackiemi laurami, lecz domowych cnót skromnym pokryta bluszczem, i jak Dante, nie napełniła świata pienia swego brzmieniem, pomnik jéj nie lęka się jednak hucznych sław sąsiedztwa, i równąż ilość, a pochlebniejszego może dla serca rodzaju, hołdów odbiera.

Domyślasz się, Antosiu, iż mówię o hr. Zofii z książąt Czartoryjskich, Zamojskiéj, po długiéj i bolesnéj chorobie zeszłéj we Florencyi 1837 roku.

Pomnik przedstawia ją leżącą, z tak spokojnym wyrazem na twarzy, iż trudno odgadnąć, czy w ostatnich chwilach, czy już po rozstaniu się z życiem. Mimo śladów długiego cierpienia, podobieństwo nawet rysów zachowane. Pomnik ten prócz tego celuje prostotą układu a biegłością wykonania; dwie wielkie w sztuce zalety. Mimo to mojém zdaniem prawdziwemu nie odpowiada celowi.

Życie hr. Zamojskiéj najpiękniejszą niezawodnie jest jéj apoteozą. W Polsce, w Warszawie, gdzie każdy dzień tego życia znany, nic wię-

przeznaczając, a jéj za to wyznaczył dożywotniéj pensyi 2 cwancygiery (80 gr.) na dzień.

céj nie potrzeba jak jéj obrazu, dla obudzenia pamięci i żalu; wyobraźnia każdego otoczyłaby go całym orszakiem cnót i zalet, jakie jéj towarzyszyły w życiu.

W obcym kraju czego innego bym chciała: marmurowi poruczyłabym właśnie staranie nauczania niewiadomych, głoszenia w potomności tego wszystkiego co my wiemy, i co naszym opowiemy wnukom; a ta prostota, ta, że tak nazwę lakoniczność, która u nas i wszędzie byłaby zaletą, w pomniku Włochom przeznaczonym właśnie za błąd uważam.

XI.

PLAC I PAŁAC GRANDUCA CZYLI PAŁAC STARY. — JAK TRZEBA NA FLORENCYĄ PATRZYĆ.

Jako twój cicerone, powinnam cię teraz Antosiu zaprowadzić na plac wielkiego księcia (piazza del Gran Duca), gdzie się wznosi ów jedyny pałac, odmienny swą postacią od wszystkich innych Florencyi pałaców; a następnie do tego, który teraźniejsi Toskanii książęta, na swą rezydencyą wybrali.

Pierwszy nazwany pałacem starym (il Palazzo vechio), jest właśnie ten o którym ci już wspominałam, że miał stać w środku placu a przez nienawiść dla familii *Ubertów*, posunięty został w kąt, by się ich przeklętego nie tknął gruntu.

Drugi, jak się to w historyi dowiesz, przewrotności i politycznym widokom swój początek winien, a od nazwiska założyciela, dotąd go pałacem *Pitti* zowią.

Książęcy ten zamek ogromem swym zadziwia; lecz jak wszystkie toskańskiéj architektury budowy, raczéj twierdzy niż pałacu surowy nosi wyraz.

Niepowiem żeby i pałac stary, bardzo rozweselał oko. Lecz gotycki styl jego i ozdoby, (między któremi trzeba liczyć długi szereg herbowych tarczy wszystkich dawnych Florencyi panów), lecz jego bogaty

przedsionek i wspaniała wieża, odejmują mu bryłowatości pozór, odróżniając go od innych téj stolicy tak ponurych gmachów.

Te dwa zamki, lubo na przeciwnych Arna brzegach i dość od nich odległe, łączą się jednak długą galeryą, dającą skryte z jednego do drugiego przejście. Domyślasz się, iż ten zewnątrz niewidzialny korytarz, przez dwupiętrowe domy i most nie bez wielkiego kosztu rzucony, zrodził się w obawie politycznych zaburzeń; teraz jest dla rodziny książęcéj wygodą, gdy chce w dzień słotny zwiedzać kunsztowną medycejską galeryą, połączoną ze starym pałacem. Obce osoby za pomocą kilku pawłów, z téj krytéj przechadzki korzystać mogą. Długie to przejście ozdobione jest popiersiami i szkicami sławniejszych obrazów, a z okien kilka pięknych na bieg Arna, brzegi i mosty, udziela widoków.

Pałac Pitti obszerny ma ogród, w niektóre dni dla publiczności otwarty. Pełen posągów i strzyżonych szpalerów, bez widoków, ani klombów, przypomina nieco wersalski: lecz na schyłku wzniosłego leżąc wzgórza, zbytecznie utrudza przechadzkę.

Stary pałac, zamiast ogrodu, opiera się o długą budowę Uficjami (Ufizii) zwaną. Ta w podkowę zawrócona, w kształcie jaki w wielkich ucztach jadalnym stołom dają, na wzniosłéj i długiéj wsparta jest kolumnadzie; a ten portyk nowoczesnemi ozdobiony posągami, dwa obszerne ma piętra.

Pod kolumnadą drobiazgowy schronił się handel; tam przed słońcem lub deszczem nie jeden się kryje; czasem przerzuca rozłożone książki, to przeziera wyzłacane klejnoty, lub rozwieszone wełniane wyroby, a przechadzając się niedbale, przypatrując się nowéj szkoły rzeźbom, czeka pogody lub chłodu (1).

Gdy go pominie jaka poważna siwa głowa, żadnym z tych niewstrzymana przedmiotem, a wkrótce po niéj jakiś zamyślony człowiek, z okiem, co niewidzi ni ludzi ni słońca, ni deszczu, oba pewno na pierwsze piętro do sądowych izb idą. Pierwszy zapewne jest najwyższym sędzią, drugi sądu jego czeka, lęka się, lub pragnie. Lecz gdy ujrzysz wzrok wieszczy, długiemi włosy i fantastycznie ugiętym przycieniony kapeluszem. O! ten pewno na drugie piętro bieży; tam jego myśl, tam dusza, tam wszystkie dla niego świata roskosze!

(1) Florencya posiada towarzystwo rzeźbiarcze: to kupuje najlepsze ze swéj szkoły posągi i mieści je, tak dla ozdoby miasta jak dla zachęty artystów, między wyż wzmiankowaną kolumnadą. Podobnież także i dla zachęty muzyki istnieje tam towarzystwo, tak nazwane filarmoniczne, któremu przewodniczy tameczna książąt Poniatowskich rodzina.

Całe drugie piętro zajęte jest kunsztownym zbiorem, galeryą medycejską zwanym.

W rzeźbie, lubo posiada sławną medycejską Wenerę, równie sławną starożytną Niobę z dziećmi, Fauna, Scytę, i wiele innych arcydzieł, musi jednak przed watykańskiemi ustąpić skarbami; lecz w malarstwie nikt jego bogactwa nie wyrównał, i już zapewne niewyrówna nigdy.

Gdy mówię o tym zbiorze, jako najpierwszym w Europie, łączę do niego i oddział do pałacu Pitti przeniesiony. Jest on nawet może najwyborniejszą jego częścią.

Prócz téj sławnéj galeryi, pałac stary ma przy wejściu dwa kolosalne posągi, z których jeden Michała Anioła, drugi Bandinnellego dłóta; a na przeciw portyk, nazwany lożą (loggia dei lanzi) (1).

Ten przedsionek w czasach Rzeczypospolitéj, przeznaczony na przemowy publiczne, późniéj za książęcych czasów, dla gwardyi; teraz bez użytku, wabi jednak kunsztownych znawców i odbiera ich hołdy.

Budowniczym jego był znakomity Orgagna; od frontu stoją dwa posągi jeden marmurowy: porwanie Sabiny, Jana z Bolonii; drugi ze spiżu: Perseusz, Benvenuta Celiniego. Z drugiéj strony Judyta, sławnego Donatela dzieło. W głębi, kilka lubo starożytnych lecz mniejszéj wartości umieszczono posągów; a przy wschodach, leżą dwa lwy: jeden grecki, drugi rzeźby Flavjusza Vacci, na których to wzór zrobione te, co wejście pałacu niegdyś namiestnikowskiego w Warszawie, strzegą.

Z pierwszéj strony pałacu starego, wznosi się brązowy posąg Kosmusa Igo na koniu, roboty Jana z Bolonii; a przed nim z pod nóg kolosalnego Neptuna, dzieło florentczyka Ammanata, wytryska fontanna.

Wszystko to razem tworzy rodzaj kunsztownego umeblowania placu Granduca, który sam przez się, wcale niezdaje się na podobne zasługiwać ozdoby. Boki jego krzywe, bez żadnéj symetryi, domy małe, nędzne, brudne, z brudniejszemi jeszcze pod oknami kramikami, największą stanowią z niemi sprzeczność. Florencya, jako miasto, mało podobać się może, i nieraz mi się dziwić przyszło, czemu ją zowią piękną.

Dopiero po odczytaniu historyi téj Rzeczypospolitéj, co tyle w niéj znakomitych zapisała kart, gdy się odświeżą w pamięci wszystkie wypadki do tych ciężkich jéj stosujące się murów, wówczas one zdają się życia, oniemal wdzięku nabierać; każdy przedmiot nowym staje się zajęcia przedmiotem; każdy do historyi głosu, swój łącząc głos, nowe jéj a coraz ciekawsze, coraz bardziéj zajmujące opowiada ustępy.

(1) We Włoszech każdą pokrytą wystawę, osobną czy przy domie, czy to w kształcie balkonu czy altany, zowią *lożą*. Teatrowa zaś loża zowie się *palco*.

Ta fontanna, cośmy tylko co obojętnie pominęli, powie, że jéj woda wytryska w miejscu, gdzie się niegdyś paliły stosy, a na nich spłonął sławny fanatyk *Savonarola*. Że książęta Florencyi zniecierpliwieni, iż w długie późniéj lata, miejsce to, w rocznicę śmierci męczennika, znajdowało się pokryte wieńcami i nieśmiertelnikami, dla położenia temu końca, kazali wodę tam sprowadzić.

Daléj, jakiś pałac ci opowie, jak w nim piękna *Bianka*, uciekłszy z podrzędnym człowiekiem z Wenecyi, przed rozgniewanym kryła się ojcem. Jak późniéj z biednéj wygnanki, na florencki tron wstąpiwszy, odebrała swéj ojczyzny hołdy; a w końcu, dla kogo innego zgotowawszy truciznę, sama ją z mężem wypiła.

Inny ci pałac opowie, jak Lorenzino Medyceusz, sprowadziwszy pod swawolnym pozorem do siebie kuzyna swego, natenczas panującego, Aleksandra, zdradziecko go zamordował.

Wówczas i staroświeckie komnaty pałacu starego warto będzie zwiedzić. W uficjach bowiem, wyłącznie mieszczą się sądownictwa, archiwa, obrazy i handel. W samym zaś gmachu, puste jego a ogromne sale, pełne historycznych tylko są wspomnień. Tam się odbywały niegdyś narady publiczne, tam w oknach wieszano zdrajców lub ich wizerunki, a wyroki tych kar w loży *dei lanzi* pierwéj ludowi czytano. Tam była rezydencya władz krajowych, i pierwszego Florencyi wielkiego księcia, Kosmusa Igo.

Są tam jeszcze portrety wszystkich prawie Medyceuszów, jako też posągi i freski niektórych sławnych artystów: Michał Anioła, Leonarda da Vinci i kilku innych.

Lecz na to, żeby tam nie być jak na niemieckiém kazaniu, weź Antosiu *Delecluza* co do historyi (1); *Schlegla* (2), *Stendhala* (3), co do kunsztownéj strony; dla literatury i poezyi *Sismondego* odczytaj (4), a wtenczas każda z tych historycznych twarzy, stanie się twą dawną znajomością; wyraz jéj odpowie lub zawiedzie twe oczekiwanie, lecz nie będzie ci obojętną rzeczą. Nauczysz się mniéj więcéj (mówię mniéj więcej, bo to od usposobienia umysłowego zależy, a twego z téj strony nie znam) poznawać i oceniać obrazy; czuć wartość posągów; a literaturę porównawszy z dziejami i w skutek tego, pojąwszy duch czasu, nauczysz się odgadywać, przenikać myśl artysty, rzecz nieodzowna do właściwego ocenienia dzieła.

(1) Florence et ses vicissitudes p. Delecluse. 3 Vol.
(2) Leçons sur l'histoire et la teorie des beaux arts. p. Schlegel 1 Vol.
(3) Histoire de la peinture en Italie. 2 Vol.
(4) De la litterature du midi de l'Europe p. Sismonde de Sismondi 2 Vol.

Radzę ci te wyż wzmiankowane dzieła, bo z obszernych woluminów, jakie mi dla gruntowniejszego poznania Włoch odczytać wypadło, te zdały mi się, obok jasności, najtreściwszemi. Gdy jednak niewiem jak będzie długi twój we Florencyi pobyt, i czy ci zostawi i na te ośm tomów czasu, sprobuję ci tu rzucić szkic tych wielkich obrazów. Ten, lubo nader słaby, lubo nie zdoła zastąpić, przygotuje cię przynajmniéj do szerszéj w téj mierze nauki, lub dawną w pamięci odświeży; gdyż jak mi się zdaje, wstąpiwszy na włoską ziemię, za nieodzowną ją uznasz.

Dzieje Florencyi wzięte od czasów, gdy właściwego sobie zaczynają nabierać charakteru, i wpośród Włoch podziału, osobną stanowić całość, niezbyt daleko sięgają. Lecz tem samem, że są bliżéj nas, dokładniéj są znane, i bardziéj zajmujące, nie dadzą się, w największém nawet skróceniu, tak jak pizańskie w kilku opowiedzić słowach.

Piza, Genua, Wenecya, szeroki już mają rozgłos, a o Florencyi jeszcze nie słychać. Tamtych chorągwie, między stu innemi chorągwiami powiewają dumnie, a Florencya zbyt jeszcze na te zuchwałe wyprawy słaba, zazdrości tylko swych starszych siostr potęgi. Raz tylko w oblężeniu Damjetty, w 1213 roku, o Florentczykach słyszemy. Za to z początkiem XV wieku, Piza ugina przed Florencyą czoło, jéj w końcu przyjmuje prawa, i właśnie zamyka swéj historyi księgę, gdy tamta złotemi litery swe kreśli karty.

Lecz jak każda rzecz w świecie, tak i Florencya gdy dosięgła szczytu, ku upadkowi się chyli.

Medyceuszów wzrastająca władza, ojcowską ją najprzód otacza opieką; lecz wkrótce o swą tylko dbała dumę, jéj upadek gotuje. W 1531 r. widzim Florencyą z lacedemońską walecznością, broniącą przeciw nim swéj upadającéj wolności, i znów pod ich zgiętą jarzmem.

Historya téj najprzód kupieckiéj, późniéj książęcéj familii, bardzo jest ciekawą. Trzy razy wygnana, trzy razy z nowym nadmiarem władzy do Florencyi wraca. Swéj epoce swe nazwisko daje, i rozległą sławę (1); trzech panów Rzymowi (2), swéj ojczyznie pietnastu (3), między któremi jedno tylko widzim na tronie toskańskim imie, imie *Jezusa Chrystusa*. Ciekawe, mówię, téj rodziny koleje z historyą kraju tak ściśle się łączą, iż w jeden zlawszy się potok, główne w jéj ramach zajmują miejsce.

(1) Wiadomo iż epokę poczynającą się w połowie XV, a kończącą się w połowie XVI stulecia, historya *Medyceuszów wiekiem* przezwała.

(2) Leon X, Klemens VII i Leon XI.

(3) Jan, Kozmus, Piotr, Laurenty, Piotr II, Leon X papież i Laurenty II, rządzili we Florencyi bez książęcéj godności. Alexander, Kozmus I, Franciszek I, Ferdynand I, Kozmus II, Ferdynand II, Kozmus III i Jan Gaston, z tytułem wielkich książąt toskańskich.

Lecz zanim powstało to Medyceuszów słońce, co ją nowym objaśniło blaskiem, Florencya w tak nazwanych Gibelinów i Gwelfów sporach, także swój głos wmięszała. Później zaś osobistym urazom ten polityczny nadając charakter, to w wojnach z sąsiedniemi miastami, to w zaburzeniach domowych, długie strawiła lata.

Te dwa, tak odmienne od siebie obrazy, zapełniają całkiem kraju tego dzieje. Gdy je najprzód w całości ogarniesz, następnie wielu ich pięknym, więcéj ciekawym, przypatrzysz się ustępom, Florencya przestanie być niemą i brzydką dla ciebie. A cóż dopiero gdy jéj kunsztowna strona nowym w twych oczach zajaśnieje blaskiem? gdy ta sława, co nad wszystkie inne jéj sławy przeżyła, nad wszystkie wyżéj ją wzniosła, i dotąd ciągle hołdy dla niéj zbiera, nowym zacznie brzmieć dla ciebie głosem!

XII.

WŁOCHY PO UPADKU CESARSTWA RZYMSKIEGO. — GWELFY I GIBELINI. — POCZĄTEK TOSKAŃSKIEGO PAŃSTWA. — CAROCCIO. — BITWA MONTE APERTO.

Po upadku cesarstwa rzymskiego, Włochy jakby gruzami kolosu tego przysypane, barbarzyńców potokami także zalane, żadnych ogólnych, wyraźnych nawet, nie przedstawiają rysów.

Przez długie wieków pasmo, widzim tylko tym nieładem zrodzoną największą w obyczajach rozwięzłość; intrygi, partye, podrzędne z sobą pasujące się stronnictwa. Te zbyt same przez się słabe, odwołują się do możniejszych, do obcych po protekcyą książąt. Francya i Niemcy w te zatargi się wdają. Upatrzywszy w nich sposobność zagarnienia władzy, jedna drugiéj niechce tak powabnéj ustąpić zdobyczy; a biedny kraj na wszystkie szarpany strony, na tysiąc rozpada się części. (1).

W południowéj półwyspu stronie, normandowie greków usiłują pokonać, z saracenami się ścierają. W środkowéj papieże z niemieckiemi ce-

(1) Ten długi a zawikłany peryod historyi włoskiéj, mianowicie od wygaśnienia dynastyi karlowingskiéj, z wszystkiemi jéj domowemi wojnami, najlepiéj ci wyjaśni historyk *Giannone*.

sarzami uporczywą toczą walkę. Papieże chcą się oswobodzić od cesarskiéj opieki, utrzymując iż bez ich inwestytury obejść się mogą, iż ich duchowna władza niepotrzebuje żadnego potwierdzenia; cesarzowie w obronie tego dawnego zwyczaju stają. Papieże rzucają na cesarzów klątwy. Cesarze innych mianują, tamtych za nieprawych uważając. Ztąd Watykan po kilku od razu widzi panów; a chrześcijaństwo dzieli się na stronników cesarza i jego wyboru papieży, lub przeciwnéj strony.

Wpośród takiego nieładu, w północnych Włoszech zaczynają powoli małe państwa powstawać. Nadbrzeżne miasta, za protekcyą tychże niemieckich cesarzów, zamorskim wzbogacone handlem, poczynają niejakiéj nabierać dzielności; otrząsają się z obcego jarzma, i same sobie przepisują prawa.

W częściach rolniczych kraju, postęp ten wolniejszym idzie krokiem. Lud rolą zajęty, w swéj zamknięty włości, bez dalekiego handlu, bez obcych stosunków, zostaje w tyle za mieszkańcami miast portowych.

Jednak i ich przychodzi następnie koléj. W głębi Lombardyi, Toskanii, Romanii, zaczynają także wznosić się miasta. Te zazdrosne szerokiéj już potęgi i sławy Wenecyi, Genui, Pizy, chcą także swą rozszerzać władzę; lecz wszędzie trącają się o dawną i głęboko wkorzenioną feudalność, która im hardy stawia opór.

Cały kraj bowiem pokryty groźnemi zamkami, a w nich włoscy magnaci, na wzór niemieckich baronów, najrozleglejszą nad swą włością i miasteczkami rościągają władzę. Ci zamożni książęta i margrabiowie, ci czasem bardziéj jeszcze dumni niż możni hrabiowie, o żadnych, jak własne, niechcą słyszeć prawach, jedynie i to niechętnie hołdując niemieckim cesarzom, od których na swe dziedziczne majoraty inwestytury otrzymują.

Ta zamożna szlachta, co obok siebie niechce innych w kraju panów, niemniéj złém okiem także widzi nowo powstającą Watykanu władzę.

Taką postać miały Włochy w połowie dwunastego stulecia, gdy w Niemczech obrano na cesarski tron, Fryderyka I, dla rudéj brody *Barbarossa* przezwanego.

W tych burzliwych wiekach, Niemcy także na rozmaite dzieliły się fakcye. Rodziny roszczące do tronu pretensye je utrzymywały. Lecz gdy jedne otwarcie z przeciwnikami cesarzów trzymały, drugie przeciw nim stojąc, lubo tylko osobistemi wiedzione widokami, udawały iż idą za cesarską stroną. Gdy pierwsze głośno sprzyjały papieżom, którzy na cesarzów klątwy rzucali, drugie, dla przeważenia tamtéj strony, uzna-

wały tych których historya *antypapieżami* przezwała, a którzy z cesarskiéj zwykle bywali ręki.

Podczas wyboru Fryderyka na niemiecki tron, dwie rodziny głównie ubiegały się o niego. Obie w małych germańskich panowały obwodach, obie od dawna karmiły swe pretensye, nadzieje, i nieraz się już na téj współzawodnictwa spotkały drodze. Jedna panowała w miasteczku Waiblingen, druga w Altorfie. Tamci się zwali książęta z Waiblingu, ci Gwelfy z Altorfu. Gdy Gwelfy z Altorfu w papiezkich sporach za papieżami stawali, książęta z Waiblingu naturalnie przeciwnikami się ich ogłosili. Odtąd w Niemczech zwano stronników papieży Gwelfami, a cesarskich Waiblingami.

Fryderyk *Barbarossa*, po obiorze swoim, do Włoch został przywołany. Zarówno szlachta skarżąca się na niesforność poddanych, jak wsie i miasta jęczące pod jarzmem poddaństwa, prosiły go o prawa i swobody; słowem wszyscy wyciągali do niego ręce. Przeszedłszy Alpy, cesarz miasteczka zgromił; lecz nie zrywając mimo to z Watykanem, (który je protegował skrycie), pośpieszył na koronacyą do Rzymu.

Pozorna to jednak tylko była ta z Rzymem harmonja. Nieraz już wznawiana i zrywana, i teraz nie długo potrwała.

Gdy apostolski tron wkrótce zawakował, dwóch się do niego znalazło kompetytorów. Alexander III zwykłym porządkiem obrany, znalazł przeciwnika w Wiktorze III, protegowanym *Barbarossy*. Z obu stron wzajemne zaczęto rzucać na się klątwy. Włochy na dwie podzieliły się części. Magnaci, osobistym interesem z cesarską związani stroną, w obronie Wiktora podnieśli sztandar; za Alexandrem poszły wszystkie gnębione miasta; a tak sprawa jego stała się popularną sprawą.

Wówczas stronnictwa pod nazwą Waiblingów i Gwelfów znane, z Niemiec do Włoch pod nazwą Gibelinów i Gwelfów się przeniosły. Lecz gdy tam różniły tylko stronników cesarskich od papiezkich, tu bez porównania szerszego nabrały charakteru, gdyż papiezka sprawa, stała się sprawą ludu, a cesarska arystokracyi.

Z tego rzeczywiście wychodząc źródła (którego rzadko kto zadał sobie pracę z mętu ówczesnych dziejów czysto wyprowadzić), stały się tam jak widzim firmą zaciętéj walki demokracyi z feudalnością; walki która przez nieskończone lata, piękną włoską ziemię własną broczyła krwią, a z gruzów obalonéj feudalności, zrodziła te liczne, drobne republiki, co ją następnie pokryły.

Między niemi to Florencya swe dopiero zapisała imie.

Przedtém Toskania, na dawnéj Etruryi gruncie powstawszy, była margrabstwem. Właściciele jéj nosili na przemian imiona: *Renier* i *Boni-*

facy. Ci tak dobremi byli panami, iż wszystkie już włoskie kraiki się burzyły, a Toskania jeszcze milczała.

W jedenastém stuleciu, ostatni *Bonifacy* nie zostawił syna. Gdy te majoraty męzkiéj tylko trzymały się linii, córka Bonifacego, Matylda, prawie już drogą łaski swą inwestyturę od cesarza otrzymała. Po podwójném małżeństwie, ta słynna w historyi pod nazwą *hrabiny Matyldy* kobieta, bezdzietnie zeszła, kościołowi swe przekazawszy dobra.

Zapis ten hrabiny Matyldy, między Rzymem a cesarzami nowéj niezgody stał się przyczyną. Cesarze uważali się bowiem, w braku potomstwa, za prawych wygasłéj familii spadkobierców.

Fryderyk Barbarossa, za którego to panowania ten wypadek miał miejsce, długo też o tę dobijał się sukcessyą. Lecz po jego śmierci Henryk VI syn i następca jego, zajęty Sycylyą i Neapolem (gdzie swą pragnął ustalić dynastyą), mniéj mógł zwracać na północne Włochy uwagi. Te korzystając wówczas z przyjaźnéj chwili, otrząsnęły się całkiem z pod wszelkiéj władzy, a Toskania, ni Rzymu ni cesarzów niechcąc dłużéj być poddaną, jak i jéj sąsiadki, sama sobie została panią.

Tu już znowu całkiem zmienia się postać rzeczy. Póki ucisk i nieszczęście jednoczyły te Włoch ułamki, póty trzymali się razem; lecz gdy wybiła oswobodzenia godzina, a te nowe Sparty nowych nieznalazły Likurgów, wewnątrz największy bezrząd, największa rozpoczęła się anarchya, a zewnątrz niezgody i wojna.

Tyle upragniona równość, wkrótce przed coraz wyżéj dążącą znikła dumą. Te miasta co niemogły znieść jarzma, jedne drugim teraz starają się go narzucić. Każdeby rade nad sąsiadem panować, upokarzać go i gnębić.

Takto Florencya zniszczywszy Fiesolę, następnie pokonała Pizę, Arezzo, Pistoję, Siennę, które zamożniejsze niegdyś a równie dumne, niemogą jéj dotąd swéj zapomnieć krzywdy.

Lecz gdy wszystkie te rzeczpospolite taką ku sobie zazdrością i nienawiścią pałają, iż tylu wieków potok, tyle nieszczęść i zmian, ugasić ich do dzisiejszego dnia nie zdołały, żadna o wewnętrzny nie troszczy się porządek. Chcąc innym narzucać prawa, żadna dla siebie ich przepisać nie umie. Wszędzie same panują fakcye, a te wedle potrzeby Gwibelingami lub Gwelfami się przezywają.

Feudalność, z któréj w północnéj Włoch części kilka pozostało domów, w Toskanii całkiem obaloną została; lecz magnaci, to na czele ludu stojąc, to przez zręczność, wpływy i związki, nieraz przewodzić probowali; dawnością także imienia i dostojeństw obudzali zastarzałą w mniej-

szych zawiść; a ta za najdrobniejszą okolicznością w otwartą zmieniała się wojnę. (1)

W owych to czasach wzniosły się te posępne pałace, do groźnych podobne twierdz, co teraz zdały mi się taką we Florencyi sprzecznością z jéj kwiecistém mianem, z jéj krociami bukietów i różami woniejącém powietrzem.

Odczytawszy téj epoki karty, zda mi się iż jeszcze znajdę ślady krwi i mordów na każdym wschodzie tych gmachów; że ich wieki nie starły, jak nie starły namiętności co je podniecała. Bo nie trzeba myśleć, żeby już tam zupełnie o Gwelfach i Gibelinach zapomniano, żeby już to do historycznych należało wspomnień. O nie: a ten tak zastarzały zaród, przez tyle przeprowadzony pokoleń, porównany z uderzającą charakteru narodowego zmianą, charakteru zleniwiałego i łagodnego, jest to co najbardziéj w teraźniejszéj Florencyi zadziwiać może.

Między temi tak licznemi twierdzami, pokażą ci na placu Swiętéj Trójcy, pałac znakomitéj niegdyś *Buondelmonta* rodziny.

Machiavel a za nim inni dziejopisarze, opowiadają jak w początku trzynastego wieku, młody *Buondelmonte*, familii swéj głowa, zaręczony był z córką *Amadei* domu, połączonego z *Ubertami* i innemi znakomitego szczepu rodzinami. W drugim podobnymże pałacu, wdowa z *Donatich* domu, wychowywała w cichości, jedyną córkę, Łucyą, którą temu *Buondelmontemu* przeznaczała. Nadzwyczajna piękność i znaczny posag Łucyi, zdawały się ten zapewniać związek. Matka nikomu o nim nie wspominając, mniemała zawsze mieć dość przed sobą czasu. Dopiero gdy się niespodzianie dowiedziała o zaręczynach tego co już od dawna jako zięcia w swéj myśli widziała, pożałowała swéj opieszałości, i postanowiła jakim bądź sposobem ją wynagrodzić.

(1) Ob. w dziele Botta, (*histoire des peuples d'Italie, tome II, page* 127), gdzie o téj epoce tak mówi: On voyait des nobles se faire chefs du parti populaire, des plébéiens épouser celui des nobles, suivant que la probabilité du succès se trouvait d'un coté ou de l'autre.— Ceci regardait les factions déchirant le sein de la même ville. Mais vers la fin du douzieme siècle et le commencement du trézieme, la rivalité et la haine entre une ville et une autre s'allumèrent avec une fureur telle, que la Lombardie se voyait menacée d'une destruction totale. Aussitôt que la puissance impériale ne donna plus d'ombrage aux communes, et qu'elles n'eurent plus rien à craindre des chefs féodaux, la ligue salutaire qu'elles avaient formée entre elles, commença à se dissoudre, et dès les premiers mois après la mort de Henri VI, elles se levèrent en arme les unes contre les autres. Le motif général de ces funestes divisions, était le désir que chacune d'elles nourissait pour étendre son territoir.

W innem miejscu mówi, że Florenteczycy wypowiedzieli razu jednego wojnę mieszkańcom *Pistoi* za to, iż na fortecy *Carmigniano* do nich należącéj, sterczały dwie marmurowe ręce, które się zdawały chcieć Florencyi grozić. Ob. Tom II p. 219.

Dopatrzywszy godziny, w której wiedziała że *Buondelmonte* ma zwyczaj koło jéj okien konno się przejeżdżać, wyszła na ganek; a zacząwszy od powinszowań bliskiego małżeństwa, skończyła na zaproszeniu do siebie.

Młody *Buondelmonte* wszedłszy, znalazł piękną Łucyą na kanapie uśpioną; spojrzał i w najwyższém zachwyceniu, jak wryty stanął.

Matka nie dając mu z niego ochłonąć: »o to, rzekła, jest ta, którą ci na towarzyszkę, na żonę przeznaczałam. Jeśliś o jéj wdziękach nie słyszał, jeślim je dotąd przed światem kryła, to jedynie, żebyś niemi najpierwszy się zachwycił, jak jedynie posiadać je miałeś. Lecz ponieważ pannę *Amadei* piękniejszą znalazłeś, i zaszczytniejszym wydaje ci się ten związek.....

— Piękniejszą?.... na świecie nie było jeszcze od Łucyi piękniejszéj!... odrzekł. A co do zaszczytu tego związku?... zapominasz chyba pani, żeś z *Donatich* domu.

— A jednak dom *Amadei* otrzymał pierwszeństwo.

— Nie otrzymał jeszcze — jeszcze nic się nieodzownego nie stało.

Trzeciego dnia potém, zamiast narzeczonéj, stała przed ołtarzem Łucya, której *Buondelmonte* ślubną podawał obrączkę.

Rodzina *Amadei*, zwołała swych licznych krewnych i przyjaciół. Wszyscy jednogłośnie uznali, iż podobna zniewaga krwią tylko zmyć się może. Dokonanie zemsty na pierwszy dzień wielkanocnych świąt uradzono.

W wielkanocną też niedzielę, gdy *Buondelmonte* brzegiem Arna do kościoła jechał, ze wszech stron ujrzał się raptownie zbrojnemi otoczony ludźmi. *Scharzeto degli Uberti*, ciężką maczugą w głowę ugodziwszy, z konia go obalił; a *Addo Arrighi*, z obawy żeby nie powstał, nożem go dokończył; *Buondelmonte* u stóp posągu Marsa, pogańskiego niegdyś Florencyi bożka, ostatni wydał jęk.

Wypadek ten całém wstrząsł miastem. Jedni za stroną *Buondelmontich*, drudzy za *Amadeami* trzymali; lecz nikt niepozostał obojętnym. Przyszło do wojny, do rzezi. A ta iskra, kobiecą rzucona ręką, zapaliła pożar który z małemi przestankami przez lat 33 okrutnie biedną pożerał Florencyą.

Buondelmonci połączeni już z *Donatich* domem, mieli przeszło czterdzieści najznakomitszych za sobą rodzin; lecz chcąc jeszcze bardziéj się wzmocnić, ogłosili się Gwelfami, i tym sposobem całą demokracyą florencką od razu pozyskali.

Przeciwna strona, Gibelinami zwana, o połowę słabsza, udała się o pomoc do dawnego sprzymierzeńca i opiekuna swego; a tak cesarze niemieccy znów zostali do spraw toskańskich wmięszani.

Fryderyk II, syn Henryka VI, a wnuk Barbarossy, dzierżył wówczas cesarski tron, i na wzór swych poprzedników w ciągłych był z Rzymem zapasach. Prośba arystokracyi florenckiéj tém uprzejmiéj została przyjętą, iż Fryderyk ujrzał w niéj nadzieję odzyskania w północnych Włoszech władzy, a zarazem wzmocnienia się przeciw papieżom, zawsze Gwelfami się głoszącym.

Gibelini, czyli stronnicy *Amadeów* i *Ubertich*, za pomocą cesarskiego wojska, zwyciężyli i wygnali swych przeciwników. Pałace ich zostały zburzone, pełno innych zawziętością natchnionych dopuszczono się gwałtów. Demokracya zgnębiona, a Florencya tyle przelawszy krwi dla oswobodzenia się od obcéj ręki, cesarskie ujrzała rządy.

Lecz w roku 1251, Fryderyk II umarł, synowie jego familijnemi zajęci sporami, nie mieli czasu troszczenia się Florencyą. Gibelinów strona osłabła, a Gwelfy odzyskali władzę.

Wspanialsi od swych nieprzyjaciół, lub bardziéj sobie ufni, zamiast niszczenia gibelinowskich pałaców, kazali im tylko wieże poobalać, pozwalając właścicielom w nich pozostać. Ci niemogąc już jawnie wojować, skorzystali z téj wolności do uknowania tajemnego spisku. Spisek został odkryty. Ulice Florencyi na nowo bratnią zbroczyły się krwią. *Scharzetto degli Uberti*, tenże sam co zabił *Buondelmontego*, z bronią w ręku poległ. Kilku innych tegoż i innych znanych imion ludzi, na szafocie głowę położyć musieli. Drudzy schronili się do Sjenny. Między temi był *Farynata degli Uberti*, główny Gibelinów dowódzca, o którym ci już przejeżdżając przez Empoli mówiłam.

Farynata, prawidłami wieku swego się rządząc, mniéj dbał o sposoby, jak o celu osiągnienie. Zbyt dzielny i hardy, by uznać za upadłą sprawę któréj przewodził, Gibelinów zwyczajem, udał się najprzód do *Manfreda*, następcy *Fryderyka II*. Ten ważniejszemi dla siebie zajęty sprawy, jakby dla zbycia natrętników, posłał im stu ludzi. Posłowie *Farynaty* przyjąć takiéj pomocy niechcieli, uważając ją raczéj za rodzaj zniewagi. Lecz wódz, zamknąwszy w głębi serca swą za to do cesarza urazę, na te sto ludzi przystał, i zaraz z niemi na nieprzyjaciela ruszył.

Liczba Gwelfów tak była przewyższającą, iż żadnéj nie podobna było tuszyć zwycięztwa nadziei; i *Farynata* téż jéj niemiał. Lecz nastąpiło wszystko co przewidywał, i osiągł do czego zmierzał.

Niemcy na największy wystawieni ogień, co do jednego polegli. Chorągiew cesarska, ta odwieczna Gibelinów protektorka, na tysiąc we Florencyi połamana kawałków; herby cesarskie błotem i zniewagą pokryte.

Uberti natychmiast w najdotkliwszych wyrazach wszystko to *Manfredowi* doniósł, przedstawiając mu iż godność cesarska o pomstę woła. *Manfred* uroczyście mu dwa tysiące najlepszego przyrzekł wojska.

Farynata zaczął wówczas pisywać do Florencyi, uskarżając się na swoich. W końcu całkiem zniechęconego udając, oświadcza iż chciałby przejść na Gwelfów stronę, i gdyby przyszli oblegać Sjennę (Gibelinowskim tchnącą duchem), bramę by im otworzył, do zwycięztwa dopomógł.

Florentczycy zrazu przeczuli zdradę, lecz po wielu sporach, ci co się sprawy *Farynaty* podjęli, otrzymali wyższość. Florencya zwołała swych sprzymierzeńców; a dla zgniecenia raz na zawsze nienawistnéj sobie Sjenny, dnia 3 Września 1260 roku, całemi siłami ruszyła na nią, prowadząc na czele swe *Carroccio*.

Carroccio (czytaj Karoczio) był to rodzaj dużego z krzyżem u wierzchu wozu, którym Włosi zastąpili pogańską niegdyś Janusa świątynię. Największéj czci przedmiotem, w czasie pokoju świętobliwie był w ratuszu chowany; przy otwarciu wojny, wyprowadzano go i stawiano na publiczny widok.

Każda rzeczpospolita, to jest prawie każde miasto, posiadało swe *Carroccio*. W bitwie najwaleczniejszemu poruczano jego pieczę, a w gwałtownych razach dzwon u wierzchołka jego uwieszony, siał alarm między szeregi.

Florencya, od papieża Marcina taki otrzymawszy dzwon, od jego imienia przezwała go *Martynellą*, a w wyprawie na Sjennę, wymieniła Jana *Tornaquinci* do czuwania nad tą honoru swego arką.

Waleczny starzec, obsadziwszy ją siedmiu swemi synami, zaprzysiądz im kazał, iż póki oni żywi nikt się jéj nietknie; poczém zaprowadził swe pyszne *Carroccio* na wzgórze, zwane *Monte Aperto*, gdzie całe Gwelfów wojsko, do koła się rozwinęło.

Jak tylko z murów Sjenny je postrzeżono, bramy się wedle przyrzeczenia rozwarły; lecz zaczęły się z nich sypać niemieckie legje połączone z florencką emigracyą i sjeńskiemi siłami.

Gwelfy poznali zdradę: jazda ich zaraz pierzchnęła. *Farynata degli Uberti* pogonił za nią. Piechota za to, w około *Carroccia* się ścisnąwszy, niezdobyty długo stawiała mur. Rzeka *Arbia* u stóp jéj płynąca, w krwisty, jakto Dante świadczy, zmieniła się potok.

Gibelini jednak liczną poparci jazdą, zaczęli ostro na Carroccio nacierać. *Tornaquinci* kazał najmłodszemu synowi w *martinellę* (dzwon Carroccia) uderzyć; a starszym, iść do boju.

Widok tych sześciu walecznych, dodał otuchy uginającym się już Gwelfom. Dwóch z siedmiu braci poległo, ale nadzieja w ich zabłysła szeregach; *Martinella* ucichła, nieprzyjaciel cofać się począł.

Lecz *Farynata* słysząc odgłos, a później uciszenie dzwonu, wszystkiego się domyśla. Już daléj nie goni za uciekającą jazdą, lecz wraca swoim na pomoc. Gibelini ujrzawszy go na swém czele, z nowym zapałem, z nową wściekłością, otwierają sobie do *Carroccia* drogę. Stary *Tornaquinci* już szóstego traci syna, widzi że siódmy zaraz sznur *Martinnelli* opuści, a niemogąc znieść tego widoku, sam w największy rzuca się ogień. W tejże chwili młody Arnolfo, ostatni z siedmiu jego synów, pada z głową na dwoje przeciętą; *Martinella* przestaje dzwonić; *Carroccio* zdobyte; dziesięć tysięcy trupów na wzgórzu *Aperto* nowe tworzy wzgórze.

Gibelini do Florencyi śpieszą, znajdują bramy otwarte; kobiety we łzach; dzieci w żałobie; mężczyzn prawie nie było.

Dowódzca niemieckiéj legii, obejmuje rządy; a Gibelini zwołują do *Empoli* ogólny zjazd, dla uradzenia jaki dać swéj sprawie obrót, jakie wynaleść środki do położenia raz na zawsze téj domowéj wojnie końca.

Wówczas to Piza, Sjenna, i inne miasta koniecznie obstawać zaczęły za zniszczeniem Florencyi, jako ogniska demokratycznego ducha; a *Farynata degli Uberti*, ojczysty usłyszawszy w sercu głos, z narażeniem życia sam jeden przeciw temu barbarzyńskiemu zamiarowi powstał.

Lecz jakeśmy uważali, nie zmył tém pierwszego grzechu swego. Florencya jego oswobodzona ręką, nieprzebaczyła mu nigdy zdrady, i dotąd bez westchnienia o bitwie góry *Aperto* (zwanéj czasem bitwą nad *Arbią*) nikt tam nie wspomni. Przeciwnie, gdy będziesz w Sjennie, zaraz ci oberżowy cicerone, okaże to wzgórze, dumnie opowiadając wszystkie szczegóły słynnego zwycięztwa.

XIII.

DANTE. — CZARNI I BIALI. — BOSKA KOMEDYA.

Skreśliłam tu dla ciebie Antosiu, ten lekki szkic XII i XIII wieku, i jednego z ich milionowych ustępów; mniéj jeszcze, żeby ci dać o téj dziwnéj epoce wyobrażenie, jakby się poniekąd usprawiedliwić, by cię przekonać o prawdzie, tego co ci, przebywszy Alpy, zaraz powiedziałam: iż sumienny opis Włoch, z całą ich tak szeroką, tak zmienną przeszłością i obecnym stanem, niemoże być dziełem jednéj ręki, jednego życia.

Pomnij, iż jak gdzieindziéj rozległe tylko państwa, tak tu każde miasto i miasteczko (jak to po Florencyi zmiarkować możesz) odrębną ma swoją historyą, a ta daleko głębiéj od zaalpejskich krajów, w przepaść wieków sięga. Każde ma swe opleśniałe pargamina, kunsztowne także dawnéj dumy szczątki, i wyłącznych dziejopisarzy. Lecz ci, duchem swéj ojczyzny przesiękli, ją pod niebiosa za bardzo czasem wznosząc, na dnie piekieł radziby wszystkich jéj nieprzyjaciół osadzić, klątwę ciskają na wszystko, co za tym świętym obrębem, za ojczystemi rozlega się bramami. Odczytawszy ich, trzebaby jeszcze dociec, co jest prawdy, a co zawiści głosem; porównywać, sprawdzać, poruszyć klasztornych archiwów odwieczny kurz.

Genueńczyk *Simonde de Sismondi*, połowę życia takiéj poświęcił pracy, nad którą całkiem zdrowie stracił. Napisał 16 grubych in 8vo tomów, a wykrył tylko historyczną ze średnich wieków Włoch stronę. Zostawały jeszcze poezya i kunszta, malownicza część kraju, literatura, obyczaje i duch, co to wszystko ogarnia, łączy, z tych rodzi się pierwiastkowo, a wzajemnie im swego udziela kolorytu, z epokami się zmienia, a wszystkie obrazy jednakim oświetla blaskiem, i rodzinny im nadaje charakter.

Literatura jest zawsze swéj epoki wyrazem; to jest wyrazem jéj narodowego w téj chwili usposobienia, a to ze zbiegu historycznych wypadków się rodzi.

Jak we Francyi, w siedmnastego wieku pisarzach, duch panowania Ludwika XIV każdy łatwo odgadnie, tak w pismach, tak nazwanych filozofów następnego stulecia, już się rewolucyjny objawia. Każda epoka w taki sposób potomności swój przesyła głos, a w kunsztownych krajach, nietylko on piórem, lecz dłutem i pęzlem się tłómaczy.

We Florencyi, za włoską kolebkę myśli i poezyi słusznie uważanéj, jak na architekturze bryłowatych jéj pałaców, duch epoki o któréj tylko co mówiliśmy, wyrył swe piętno, tak późniejszych czasów w jéj poetach i artystach się objawia; a to tém dobitniéj, iż często kunszta szły tam w pomoc politycznym widokom, iż niemi nieraz dzisiejszą, że tak powiem, zastępowano prassę. I nic dziwnego: lud włoski, co i dotąd mało gdzie czytać umie, (a cóż w nowych czasach!), zawsze owszem posągi i obrazy rozumiał. Do niego bardziéj przez zmysły, niż do umysłu przemawiać trzeba. W wierszach nawet bardziéj do dźwięku, niż do myśli się przywiązuje; w tym względzie do dzieci się zbliża i mało się zmienił. Zamiast dzienników, też obrazami przemawiano do niego.

Nie przypuszczasz zapewne, żeby w krwawych najzaciętszych Gwelfów zapasach, tak długo całym miotających krajem, mogła była wpośród mordów zakwitnąć poezya; lecz zaledwo choć chwilowém zaczęto oddychać spokojem, zaledwo stronami ośmielono się czasem zrzucić zbroję, zaraz uchwycono pęzel i dłuto, w tę stronę zwracając ów nadmiar życia, co włoskie słońce zdawało się wówczas z promieniami swemi w duszę przelewać, rozszerzając jéj zdolności, i ku niebu je wznosząc.

Po bitwie *Monte Aperto*, po Gibelinów zwycięztwie, ciężko przygnębieni Gwelfy, przez niejaki czas podnieść się nie mogli, a kraj spokojniejszą na chwilę przybrał postać.

Koniec też trzynastego wieku dał mu zarazem *Mikołaja z Pizy*, pierwszego architekta, rzeźbiarza, a jeszcze bardziéj rzeźbiarza niż architekta; *Cimabuego* pierwszego malarza, nareście *Danta* najpierwszego poe-

ty; i odtąd tyle teraz wielbioną epokę, tak nazwaną *odrodzenia wiekiem*, liczyć należy.

Mikołaja i *Cimabuego*, w Pizie zrodzonych, można do rozdziału kunsztownéj Włoch części odłożyć; ale *Dante*, to dziecię Florencyi, najpierwsza i ta największa jéj sława, *Dante* nietylko jako ojciec poezyi i literatury włoskiéj uważany, lecz jako najżwawszy swéj epoki tłumacz, jéj namiętności świetna ofiara, w historycznéj części ważne także zajmuje miejsce; a mówiąc o Florencyi, przemilczeć o *Dancie* byłoby nieprzebaczonym występkiem.

Wreście ten człowiek tak był ogólnych zdolności, tyle posiadał nauk i tyle w życiu swém połączył zawodów, iż nietylko poezya, literatura i historya, ale dyplomacya i wojskowość, jak i wszystkie nauk wydziały, mogłyby się do jego odwołać sławy, jednego z jéj promieni swą nazwać własnością. *Dante* i broń nosił, i w rządzie kraju swego zasiadał; był medykiem, aptekarzem, ambassadorem i wygnańcem, panem i nędzarzem, Gwelfem i Gibelinem, lecz główną treść życia jego zajęły miłość i poezya; a lubo w boskiéj *komedyi*, złożył całe swych obszernych wiadomości bogactwa, tak że z niéj dowiedzieć się można, na jakim stopniu za jego czasów stały teologja, metafizyka, filozofia, fizyka, astronomija i t. d. to wszystko jednak obok jego poezyi w zapomnienie całkiem poszło; i nie jeden niewie nawet że on był czém inném jak twórcą boskiéj komedyi i Beatryxy kochankiem.

U nas zaś, jeśli wieszcza tego życie mało jest znane, mniéj podobno jeszcze sławy jego podstawa. Ta *Boska komedya*, o któréj każdy słyszał, jako o słońcu po długiéj nocy niespodzianie na literackim firmamencie zajaśniałém, jako o pierwszéj na włoskich niwach matce, nowéj Ewie w raju poezyi zrodzonéj, co krajowi swemu drzwi jego otwarła, mało miała w obcych językach tłómaczów, nadzwyczajne do przełożenia przedstawiając trudności.

Przed *Dantem* Włochy poezyj nie miały. Uczeni hołdując starożytnym sławom, trawili życie na szperaniu w ich pismach, i sami pisali po łacinie. Tak zaś w owych czasach nazwani poeci, na wzrór prowanckich Trubadurów, śpiewali dla kochanek sonety i do nich wyłącznie włoskiego używali języka, tłómacząc się, jakby z błędu, że niewiasty innego nie rozumiały. *Dante* największym dla *Wirgiljusza* przejęty uwielbieniem, po łacinie także swe zaczął dzieło; gdy raptownie twórczy geniusz w jego wstąpił duszę, i poruszył w niéj te struny, co w ojczystéj mowie tak szczytne wydały dźwięki.

Z tąd *Dante* był zarazem twórcą nietylko poezyi, ale i języka swego. Jedyny, a nawykły do samodzielności, jak sam sobie tworzył dla swego

poematu prawa, tak też żadnego niemiał skrupułu używania czasem w swych rymach wyrazów, to już zapomnianych, to znów zbyt nowych, dzikich, nieznanych. Te wyrazy, jako i częste w opowiadaniu zastosowanie do ówczesnych niezgód, a najczęściéj osobistością tchnących, wreszcie wysoki polot jaki śpiew jego bierze, gdy wieszczy duch całkiem swe rospuści skrzydła, wszystko to, każde tłómaczenie prawie niepodobném czyni.

Wiadomo iż po śmierci *Danta* kilka urzędownie zostało zwołanych kommissyj, dla wyjaśnienia niektórych *Boskiéj komedyi* części. Od tego czasu tysiące wyszło na każdy ustęp komentarzy i tysiące jeszcze wychodzi. Zeszłéj zimy (1845 roku) młoda polka (1), zgłębiwszy język włoski, a raczéj toskański, który można kwiatem jego nazwać, długie poświęcała we Florencyi téj pracy godziny, w nadziei odkrycia nowych w tym skarbcu klejnotów, nowego rzucenia nań światła.

Ja zaś, co ci tylko same przyrzekłam próbki, nie podejmuję się ani przekładać *Boskiéj komedyi*, ani komentarzów na nią pisać. Wszystko co uczynić mogę, to rys, osnowę ci jéj skreślić. Będzie to coś podobnego do szkieletu, nietylko już bez złocistych piór, lecz nawet bez ciała; zktórego domyślić się może zdołasz gdzie takiéj budowy szczyt mógł sięgać, co jéj ramiona ogarnąć mogły; a w tym względzie bezpiecznie swéj bujnéj wyobraźni popuść cugle; zawsze ona jeszcze w tyle, daleko za wieszczém *Danta* urojeniem zostanie.

Lecz zanim ci dam ten poematu profil, pozwól, Antosiu, bym cię nieco z poetą zapoznała. Oprócz zajęcia, ułatwi to, objaśni mą, że tak nazwę, anatomiczną pracę. W poemacie bowiem poeta niepoślednią gra rolę. Życie jego, charakter, namiętności, są poniekąd poematu kluczem, a ten dla większéj jasności powinien koniecznie w przedmowie być zamieszczonym.

Dante Alighieri urodził się we Florencyi w 1265 r. Prawdziwe imie jego było *Durante*, z czego dla skrócenia zrobiono *Dante*. *Bocaccio* mówi, iż Bóg go tak przezwać kazał; gdyż *Dante* po łacinie znaczy dający, a on miał dać swéj ojczyznie nauki, poezyą i literaturę.

Alighierów nazwisko do najdawniejszych we Florencyi się liczyło. *Alighierowie* ród swój z dawnych rzymian wywodzili, i kilku znakomitemi szczycili się naddziadami. O jednym z nich, nazwiskiem *Cacciaguida*, w *Boskiéj komedyi* dowiadujemy się. Lecz ta familja zubożała i nienależąca do tych feudalnych panów, co ze swych zamków hardo grozili światu, od dawna do Gwelfów należała strony; i Dante lubo przyszedł na świat za gibelińskich we Florencyi rządów (w pięć lat po bitwie *Monte Aperto*), do Gwelfów się liczył.

(1) Panna Antonina Hutorowiczówna.

Gdy koleją tych ciągle i bez końca ponawiających się intryg, zaburzeń i zmian, Gwelfy znowu do władzy wrócili, a dla upokorzenia szlachty, w duchu równości, nakazali żeby każdy florentczyk zapisał się do jakiego bądź rzemiosła; *Dante*, między medyków i aptekarzy swe wieszcze wpisał imie, i zaczął do potrzebnych im nauk szczerze się przykładać.

Lecz umysł i serce czém inném zajęte, mało mu pozwoliły z nich korzystać. To serce innemi niż zwykle obdarzone zdolnościami, pod słońcem geniuszu wcześniéj rozwinięte, od dziesiątego roku pieściło w sobie ubóstwiany obraz, tchnęło jedyném dlań uwielbieniem.

Dante miał lat dziesięć, kiedy ojciec jego był zaproszony do przyjaciela swego, *Folco Portinari*, na uroczystość odrodzenia wiosny, dotąd jeszcze we Florencyi z początkiem maja obchodzoną. *Alighieri* wziął z sobą małego synka. *Dante* posłany do ogrodu, gdzie dzieci igrały, ujrzał tam po raz pierwszy, córkę *Portinarego* małą *Beatrixę*, rokiem od siebie młodszą, którą w domu przez śpieszczenie zwano *Bixą*.

Była to ta *Beatryxa* co jedném spojrzeniem od tejże chwili na całe życie poety promienisty rozlała potok. Dusza jego pod niém się wstrzęsła, nowém zaczęła oddychać życiem, życiem miłości przedtém nieznaném.

Jak zowią *Danta* poezyi ojcem, takby można go także téj miłości twórcą nazwać. Czy to je obie utworzył czyli wskrzesił, rzecz niezawodna, że przed nim nieznane w świecie było to niebiańskie uczucie, jakiém się aniołowie w raju kochają; jakie potém tak czule opiewał przyjaciel jego Petrarka; jakie dotąd mało kto rozumie; bo ona jest wyłącznym udziałem tych, co z nieba z sobą przynieśli jeden ukradziony z niego promień, lub w wieczności do anielskiego są przeznaczeni chóru.

W pierwszém swém mało znaném dziełku, *Vita nuova* (nowe życie), Dante skreślił obraz *Beatryxy*, pierwsze jéj na nim wrażenie, i wszystkie swéj miłości wybuchy i odcienia. Mówi między innemi iż gdy ją w ogrodzie ojca spostrzegł, stanął i zamilkł, jak człowiek w ciemnicy zrodzony i wcale nieznający światła, któregoby raptownie do illuminowanéj wtrącono sali.

Opowiada następnie jak nie prędko potém, i kiedy już miłość jego w największym była stopniu, zachorował mocno i tak niebezpiecznie iż powątpiewał o życiu. Wracając do zdrowia, miał rodzaj wizyi, w któréj ujrzał lekki biały obłoczek, aniołami do nieba niesiony. A ci aniołowie śpiewali *Hosanna in excelsis*, a ten przejrzysty obłoczek była *Beatryxy* dusza.

Przerażony tą przepowiednią, a następnie myślą, iż choćby do niéj nieprzykładał wiary, *Beatryxa* jednak musi koniecznie kiedyś umrzeć, największéj oddał się rospaczy.

Oddawna samą już żyjąc poezyą i muzyką, postanowił napisać dla niéj poemat, wznieść dla niéj pomnik jakiego dla żadnéj jeszcze nie wzniesiono kobiety, postawić ją tak wysoko jak żadna jeszcze nie stała. I zaczął swe nieśmiertelne dzieło, swą *Boską komedyą*.

Lecz czy to zbytecznie uciśniony boleścią, chciał tak z niéj, jak i ze swéj otrząsnąć się miłości raczéj, niż ją opiewając podsycać, lub z innych nieznanych przyczyn, rzucił wkrótce pióro, samotność opuścił.

Florencya niemiała wówczas uorganizowanego wojska. W wojnie każdy porywał za broń, lub na konia wsiadał. A dla zastąpienia zapałem braku subordynacyi, jakiéj niepodobna było od takiéj wymagać ruchawki, przyjęto zwyczaj wybierania przed bitwą dwunastu najwaleczniejszych, którzy pierwsi w nieprzyjacielski rzucając się ogień, pociągali swym przykładem innych.

W 1289 roku, Gwelfy z Gibelinami florenckiemi mocno się ścierali; gdy przyszło do bitwy pod *Campaldino*, młody *Alighieri* zapragnął być jednym z dwunastu. Poszedł w ogień, ale nie zginął, ani w nim swéj miłości zostawił.

W następnym roku bił się z Pizanami; wrócił okryty sławą, a wkrótce potém sprawdziła się straszliwa wizya. *Beatryxa* umarła; młoda jéj i przejrzysta dusza, do swéj pierwotnéj uleciała ojczyzny.

Po śmierci *Beatryxy* familja nakłoniła go do małżeństwa, ze wszech miar, jak się na pozór zdawało, korzystnego. *Dante* z domu *Donatich* wziął żonę. Lecz charakter jéj, od słodyczy *Beatryxy* daleki, nieznośną mu wkrótce uczynił towarzyszkę co miała w sercu jego pierwszą zastępować miłość. Nigdy wszakże mimo to niewspomniał o niéj w swym poemacie, w którym o wszystkich mówił, wszystkim dogadzając serca uczuciom; a wiedziony nieznaną także w swym wieku delikatnością, przemilczał w nim o całéj familii *Donatich*, do najzaciętszych jego należących nieprzyjaciół. W smutnych tylko wygnania godzinach, dawał się czasem słyszeć, iż jedyna pociecha, jedyna wdzięczność jaką swemu nieszczęściu winien, była ta, że go rozłączyła z żoną.

Po ożenieniu całkiem się oddał publicznemu życiu. Rzeczpospolita poczęła kilka z poselską dostojnością do rozmaitych posyłała go dworów. Następnie w radzie państwa zasiadł.

Gibelini byli wówczas zupełnie we Florencyi pokonani. Lecz Gwelfy w swém własném łonie, nową utworzyli scyssją; a tak w miejscu dawnych, dwa nowe powstały stronnictwa. Gwelfów najzapaleńszych

nazwano *białemi*, tych zaś co z pańskiego rodu, w skutek tylko okoliczności zbiegu (jakto w kłótni *Buondelmontich* z *Amadeami* widzieliśmy) Gwelfami się ogłosili, *czarnemi* ochrzczono.

Tu znów powstała podobnaż pierwszéj walka demokracyi z arystokracyą, o jeden tylko stopień niżéj spadła.

Po sześcioletnich zapasach *biali*, w początku **1300** roku, odnieśli zwycięztwo, i wszystkie prawie urzęda między sobą podzielili. Ale *czarni* silnego mieli sprzymierzeńca w papieżu Bonifacym VIII.

Papież znalazłszy we Florencyi swym żądaniom opór, rzucił nań klątwę, a rządowi rozkazał by innych obrał sobie członków. Wówczas to, Alighieri z pięciu kolegami, których imiona zapomniane, do steru został wezwany, i wydał wyrok żeby obu stron naczelnicy, tak czarnych jak białych, za granicę rzeczypospolitéj usunęli się.

Lecz gdy ten pojednawczy środek nieznalazł się dostatecznym, a Papież dalszemi wiedziony widokami, wezwał Karola Walezyusza (brata Filipa pięknego), w pomoc dla ogarnienia nad Florencyą władzy, zmieniła się postać rzeczy.

Karol Walezyusz po niejakim namyśle, w **1301** roku przebył z wojskiem Alpy. Florencya przerażona, wysłała *Danta* w poselstwie do Rzymu, dla porozumienia się z papieżem i wybadania zamiarów jego. Bonifacy VIII ogólnemi wyrazy, z dobremi oświadczał się dla Florencyi uczuciami, a posła jéj przy sobie zatrzymał.

Tymczasem Karol z tytułem pacyfikatora do niéj wkracza, dla praw i obyczajów największe przyrzekając uszanowanie. Radośnie zatém powitany, całe miasto przez dni trzy samą brzmi wesołością. Czwartego Karol okazuje jakąś do głównych w nim rządów ochotę, a *Corso Donati* dla poparcia téj niespodziewanéj pretensyi, na czele *czarnych* wpada, i ogniem i mieczem wszystko pustoszy.

Po ośmiu dniach krwawéj dla Florencyi pamięci, *czarni* dogodziwszy zemście, przywrócili porządek. Pierwszy ich rządu wyrok skazywał *białych* na wygnanie. Więcéj sześciuset familii opuściło ojczystą ziemię. Nieobecny *Alighieri*, oskarżony o przychylność dla *białych*, został osądzony na opłatę summy przewyższającéj cały jego majątek, na wygnanie, i zagrożony spaleniem gdyby wrócić ośmielił się.

Tu się zaczyna ostatni, najdłuższy i najsmutniejszy ustęp życia poety. *Dante* liczył wówczas rok trzydziesty siódmy.

Jak Etna co pod śnieżnym szczytem, potok płomieni w swém łonie kryje, tak i zimna powierzchowność *Danta*, pokrywała pełną namiętności duszę.

W téj duszy nic nie było letniego, wszystko ogniem płoneło: jak zapamiętałą miłością kochał Beatryxę, tak kochał nauki, muzykę, malarstwo, poezyą, a bardziéj nad wszystko ojczystą ziemię.

Osobisty nieprzyjaciel jego *Corso Donati*, żony jego krewny, wiedział iż niepotrafi boleśniejszego mu zadać ciosu, jak zamykając przed nim Florencyi bramy, i dla tego je zamknął.

Po rozmaitych i zawsze bezskutecznych o otwarcie ich probach, *Dante* zrażony niewdzięcznością panujących we Florencyi Gwelfów, przeszedł na stronę Gibelinów. Niedostatkiem zmuszony u nich szukać przytułku, ich się przejął sprawą. Wszędzie uprzejmie po pałacach witany, w żadnym jednak nie pozostał długo. Człowiek myśli oddany, lubiący samotność, trudno się podoba dworzanom; a zimny wyraz twarzy, lubo mylnie lecz najczęściéj za dumę brany, tak sprzeczny z tym wiecznym uśmiechem, co go ogół uprzejmością zowie, zwykle nieprzyjazne obudza uczucia.

Już od lat kilku *Dante* łzami wygnania się karmił, gdy jeden z synowców jego, szperając we Florencyi między familijnemi papierami, znalazł zaczęty stryja poemat. Wyjątki te, wszystkim przed któremi je czytał, wydały się pełne genjalnych pomysłów. Posłano je autorowi z prośbą o dokończenie.

Autor te próby z ojcowskim przyjął uczuciem, powitał jakby dawnego przyjaciela, jak powiernika swych myśli i uczuć, a w nowém ich zwierzaniu znalazł pociechę i osłodę. Musiał jednak jak się zdaje początek całkiem przerobić, gdyż poczyna opowiadanie od pamiętnéj w życiu swém epoki, od roku **1300**.

W wielkim tygodniu roku tego, mówi *Dante*, błąkając się w jakiejś pustyni około Jerozolimy, znalazł się niespodzianie w duchów krainie. Tam cień *Wirgiljusza* oddawna z nią obeznany (jak tego dowiódł w pięknym opisie piekieł w Eneidzie), ofiaruje się mu przewodniczyć. *Dante* idzie za *Wirgiljuszem;* oba wstrzymują się przed drzwiami, na których czytają straszliwy a tyle już swą szczytnością znany napis, kończący się słowami:

»*Lasciat ogni speranza, voi ch'entrate.*"

»Rozstańcie się z nadzieją, wy co tu wchodzicie."

Jednak ciężkie te podwoje z wyższego rozkazu otwierają się dla nich: poeci wchodzą do piekieł.

Tu się zaczyna obraz najstraszliwszy jaki sobie wystawić można; a często nawet, mimo tak żwawych opisów, iż czytelnik głosy i jęki potępionych słyszy, widzi ich męczarnie i męczy się z niemi, trudno jednak od razu ogarnąć myślą ten całkiem nowy świat, poetyczną utworzony fantazyą.

Niema w nim jednak najmniejszego zamieszania, odmętu. Owszem, cały poemat odznacza się zadziwiającą symetryą, rzadko z wieszczym jednającą się duchem.

Boska komedja podzielona jest na śpiewów sto. Pierwszy jest rodzajem wstępu; później piekło, czyściec, niebo, każdy po 33 śpiewów zajmuje. Ta symetrya nawet szkodzi i osłabia część ostatnią, w której brak zajmujących szczegółów, autor dla dopełnienia starał się nadstarczyć długiemi to z filozofii to z theologii rozprawami, bardziéj może dla nauki niż dla poezyi korzystnemi.

W obrazach tenże sam spostrzega się porządek: za drzwiami o których mówiliśmy, znajduje się jakby wstęp czyli przedsionek piekieł. Daléj bezdenna w głębi ziemi przepaść, na siedm spadkujących podzielona stopni, na których za siedm śmiertelnych grzechów wiecznie ponawiają się męczarnie.

Z przeciwnéj strony hemisferu, góra do koła morzem oblana, tak wysoka jak piekło głębokie, na siedm także lecz wznoszących się jedna nad drugą podzielona kategoryj, czyścu jest wyobrażeniem. Na szczycie téj wysokiéj góry leży raj, z którego śrubą wijąca się droga, prowadzi do nieba, do stóp tronu Przedwiecznego. (1)

Na gradusach czyścu dusze za powszednie grzechy cierpią, tak jak za śmiertelne w piekle; a raj niebu za przedsionek służąc, w symetrycznéj świata tego budowie, przeciwległym może się zdawać piekielnemu wstępowi. Obraz tylko nieba, z mniejszą w ogólności skreślony dokładnością, wychodzi nieco z tych jednostajnych ram, jakby za obrębem poziomego znajdowało się okręgu.

Już w przedsionku piekieł, gdzie żadna nigdy nie świeci gwiazda, *Dante* w tym zmroku przeraźliwe słyszy łkania i jęki. Lecz tam są tylko dusze, co same wiele się ceniąc, żadnéj istotnie niemają wartości, dusze płowe jakich bez liku! Nieba ich niechcą, by niemi swego nie przyćmić blasku, piekło ich za niegodne siebie uznaje. „Niezważaj na nic, ozwał się Wirgiljusz, rzuć okiem jesli chcesz i idźmy daléj.”

Wszedłszy do piekieł, *Dante*, na każdym z siedmiu stopni pełno spotyka znajomych; poznaje ich, wymienia, wita, rozmawia z niemi. Ojczyste wypadki im opowiada. Niektórych widzi z wężami, na wzór Laokona, pasujących się, późniéj do połowy zmienionemi w węży; innych w krwistych zanurzonych bagnach. Tam to w ognistym grobie, nad któ-

(1) Ten czyścu obraz dowodzi, że za czasów Danta, przed Columbem, marzono już o drugiéj kuli ziemskiéj stronie, nad którą podobne naszemu niebieskie sklepienie wyobrażano sobie.

rym zawieszone wieko zapaść wnet grozi, usłyszał głos sławnego *Farinati degli Uberti*, Gibelinów niegdyś wodza. Ten go o Florencyą pyta; a obojętny na płomienie i wszystkie piekieł męczarnie, swym krajem tylko zajęty, losem swego stronnictwa jedynie się troszczy. Daléj napotyka *Franciszkę z Rimini*, nieszczęśliwą wiarołomną *Malatesti* małżonkę, i *Pawła*, brata jéj męża, dla którego swą złamała wiarę.

Ten ustęp, jak i tysiące innych, od półszósta wieku poetom i malarzom za temat służą. W tych to piekieł obrazach gdzie *Dante* każdemu właściwy i znany zostawił charakter, występki uklasyfikował, a uprzedzając sprawiedliwość Boską, zasłużoną im przeznaczył karę, do dziś dnia artyści swe pomysły czerpią.

W końcu, w siódmym oddziale, na samém dnie piekieł, poeta znajduje Lucyfera, do połowy zatopionego w lodzie. Ten wielkorządzca podziemnego państwa, przeznaczony za karę od Boga do spełnienia na potępionych wyroków sprawiedliwości Jego, sześcią olbrzymiemi skrzydłami po lodowatém miota morzu, a złe duchy co dwór jego tworzą, także za karę na kuszenie ludzi skazani, podzielają ich późniéj męczarnie.

Dante uczepia się skrzydlatego potworu, w środku ziemi kilka razy się okręca, i w końcu przez długie podziemne przejście, postrzega niebios światło.

Przebiegłszy to przejście, na drugiéj stronie znajduje się ziemi, i postrzega morze, a pośród niego górę, podobną jak się zdaje, tym co się czasem po ogrodach widzieć dają, a zowią je *ślimakami*.

Na téj górze czyściec: dusze nad brzegami morza z powszednich czyszczą się grzechów. Aniołowie wejścia strzegą. *Dante* także się oczyściwszy, zawsze na *Wirgiljuszu* sparty, w to drugie królestwo wchodzi.

Tam także są męczarnie, lecz inny noszą niż w piekle charakter. Wiara daje wytrwałość, nadzieja boleść tłumi. Gdy która dusza odbywszy pokutę do nieba się wznosi, cała góra radośném brzmi pieniem.

Dante i tam kilku napotyka znajomych. Ogólnie jednak znajdują, iż ten drugi obraz, anielskim oświetlony blaskiem, po piekielnych płomieniach, bladym się wydaje; i tém bardziéj na tém zbliżeniu traci, iż w wielu względach, czyściec jest tylko słabszém, i na błękitném tle powtórném odbiciem piekieł.

Gdy poeci do raju doszli, znajdują z nieba na spotkanie przybyłą do siebie ukochaną *Beatryxę*. Ona to otrzymała u Boga rozkaz, by drzwi trzech królestw otwarły się dla *Danta;* ona *Wirgiljusza* do przewodniczenia mu wybrała. *Wirgiljusz* też dopełniwszy swéj missyi, u stóp

Beatryxy go opuszcza; a *Dante* w takie wpada estetyczne uniesienia, iż trudno w tym nadziemskim wirze go doścignąć, myśl jego uchwycić.

Obrazy nieba mniéj dokładne, mniéj są od innych śmiałe. Poeta po wszystkich planetach nas prowadzi, lecz jakby zmęczony i do końca śpieszył, niektóre opuszcza zaledwo nam je okazawszy tylko. Tak, zbyt rychło przebiegłszy *Księżyc* i *Merkurego*, w trzeciém dopiero niebie, w *Wenusie*, jakąś nas zajmuje przepowiednią. W czwartém, to jest w *Słońcu*, napotyka S. *Tomasza z Akwinu* i S. *Bonawenturę*. W piątém czyli w *Marsie*, przeznaczoném dla dusz za wiarę poległych, *Dante* poznaje swego naddziada, w Krucyatach zabitego, *Cacciaguidę*, o którym już napomknęliśmy. Ten mu opowiada zacność wspólnego ich rodu: przepowiada poecie wygnanie jego, boleści téj niedoli żwawo i czule przedstawia; w końcu go nakłania do opowiedzenia światu wszystkiego co za jego widział krańcami, bez względu na obrazę tych, których wady odsłonić będzie musiał; radzi mu wznieść się nad nią.

W siódmém niebie, to jest w *Saturnie*, są dusze samotności i rozmyślaniu oddane.

W ósmém, *Dante* zwycięztwo Chrystusa widzi, a Adam go naucza mowy jaką w raju mówiono. W końcu, poeta wznosi się do nieba dziewiątego i dziesiątego, gdzie najwyższy duch mu się objawia, Matkę Boską i świętych także spostrzega; lecz to wszystko trzema rzędami otaczających tron aniołów nieco przysłonione. Jednak wszystkie wątpliwości duszy jego ustępują, wiara całkiem ją ogarnia, i poemat się kończy na obrazie jedynego w dwóch naturach (ludzkiéj i duchowéj) bóstwa.

Oto jest treść *Boskiéj komedyi*. Czemu tak przezwał swe nieśmiertelne dzieło? nikt tego nie odgadł. Może też używał słowa *komedyi* zamiast *dramatu*, który może by się właściwiéj do poematu tego dał zastosować.

Dante umarł 14 września 1321 roku. Wygnanie jego trwało lat 19. Większą ich część poświęcił swéj *Boskiéj komedyi*. W miarę jak jéj ustępy, jéj śpiewy kończył, posyłał je głównemu wielbicielowi swemu, księciu z Werony, *Grande della Scala*, który w licznych kopjach (bo druku jeszcze nie było) w obieg je puszczał. Takim sposobem ten zaledwo rodzący się dramat, już największéj nabierał popularności. Każdy śpiew skwapliwie wydzierano sobie, we Florencyi mianowicie, po ulicach go powtarzano. Poeta, co się rzadko zdarza, za życia już swą ogromną sycił się sławą, a ta sława co w takich razach zwykle z autorem umiera, ten raz przeżyła wieki.

Dante pokładał w niéj powrotu do ojczyzny nadzieję. Pochlebiał sobie, że gdy politycznemi nie trafił sposoby, wieszczą sławą otworzy sobie

do niéj drogę; gdy mu w innych krajach ofiarowano poetyczną laurową koronę, odmawiał, chcąc nią we Florencyi swe uwieńczyć czoło.

Lecz marna była otucha jego! Widzim też w *Boskiéj komedyi*, jak w miarę téj wzmagającéj się lub gasnącéj nadziei, czasem ze swą ukochaną pieści się Florencyą, najczulsze dla niéj dobierając wyrazy, to znów jéj niewdzięcznością zraniony, podobny do zdradzonego kochanka, najszkaradniéj ją przezywa, niemiłosiernie łaje.

Na nieszczęście, ni pochlebstwa ni obelgi, na nic mu się nie zdały. *Dante* na obcéj skończył ziemi, w Ravennie u panującego w niéj *Guido Novello di Polenta*.

Dopiero po śmierci jego, całe Włochy żałobą się odziały. Zawstydzona Florencya nie prędko potém o popioły syna swego dopominać się poczęła, a nie otrzymawszy, późniéj jeszcze, bo 1830 r. dopiéro, u Świętego Krzyża, w tym panteonie swoim, wzniosła mu próżny, bez zwłok pomnik, którego inauguracya, z wielką wprawdzie odbyła się uroczystością.

W trzydzieści lat po śmierci poety, arcybiskup panujący w Medyolanie, Jan *Visconti*, zwołał z sześciu uczonych florentczyków kommissyą, dla wyjaśnienia niektórych części *Boskiego dramatu*. Późniéj w r. 1373, dwie utworzono katedry, jedną w Bolonii drugą we Florencyi dla wykładania go młodzieży. Intellektualnego świata dzieje niepamiętają też geniuszu, coby tak dzielny a tak długi wywarł w potomności wpływ. Za naszych czasów *Voltaire* ku temu wszelką swą zwróciwszy usilność, ani w połowie go nie uzyskał.

Artyści włoscy, dotąd jak mówiłam, w *Dancie* swe czerpią pomysły, młodzi literaci miewają sesye wyłącznie téj poświęcone sławie, a w szesnastém stuleciu, Michał-Anioł przesiękły jego poezyą, w marmurze i na płótnie *Boską komedyą* uwiecznił.

Saint-Simoniści byliby niezawodnie w *Michale-Aniole* poznali *Danta* duszę; lecz nie wierząc nawet w żaden metampsychozy rodzaj, niepodobna zaprzeczyć tym dwom geniuszom bliskiego pokrewieństwa. Missya ich nawet we Włoszech wspólnością się jakąś odznacza. Jeden otworzył, drugi zamknął odrodzenia epokę; a te dwie sławy podające sobie rękę, tworzą nad nią równie świetny jak jedyny i nieznany w innych częściach świata tryumfalny łuk.

Jakże się dziwić dumie wspólnéj ich matki, téj Florencyi, co pod blaskiem tego uroczego łuku, tyle innych jeszcze ujrzała na swéj ziemi wykwintnych geniuszów? Jakże jéj czci i hołdów odmówić?

XIV.

PETRARKA. — BOCACCIO. — ATHEŃSKI KSIĄŻE. — POCZĄTEK DOMU MEDICIS. — LINIA STARSZA. — SAVONAROLA.

Za wzorem *Danta*, dwóch znakomitych zaraz poszło ludzi: *Petrarka* i *Bocaccio*, odrzuciwszy łacinę, ojczysty zaczęli uprawiać język, przedtém geniuszowi zostawiony wyłącznie.

Pierwszy znany ze swéj stałéj miłości dla Laury z domu *Noves*, małżonki hrabiego *Sades*, równie wzorowéj żony jak czułéj jedenastu dziatek matki, w poezyach samą i najczulszą miłością tchnących, nadał językowi tyle giętkości, ile *Dante* siły.

Bocaccio pierwszy powieściopisarz, w swym Dekameronie uwiecznił swą sławę, a wieku rozwiązłość i błędy. Jest on twórcą włoskiéj prozy, jak *Dante* poezyi, a równie jak on doskonałym czasów swych malarzem. Z dzieła *Danta* i *Bocaccia*, dokładnie pojąć można namiętny i niepospolity ich wieku koloryt.

Wszystkie te trzy XIV stulecia sławy, zrodziły się na toskańskiéj ziemi, i ztąd zapewne toskańska mowa najlepiéj wykształcona, dotąd pozostała najczystszą. *Petrarka* urodził się w 1304 roku w *Arezzo*. Miał lat ośm gdy ojciec jego, tymże co *Dante* wygnania ogarniony wyrokiem, przeniósł się do południowéj Francyi; w końcu osiadł w *Awinionie*, naówczas papiezkiéj stolicy, i tam to młody poeta ujrzał po raz

pierwszy *Laurę Noves*, jeszcze nie zamężną, którą przez lat 30 potém, kochał i opiewał ciągle.

W roku 1340, ofiarowano mu jednocześnie w Paryżu i Rzymie poetyczny tryumf, laurową koronę. *Petrarka* Rzymowi dał wybór; a 8 sierpnia 1341 roku, do kapitolu uroczyście zaniesiony, otrzymał tam laurowy wieniec.

Bocaccia ojczyzną jest małe w sąsiedztwie Florencyi miasteczko zwane *Certaldo*. Pisma jego tak wierszem jak prozą, swawolną tchną wolnością. Możnaby się dziwić, iż z jednéj co *Petrarka* epoki, tak zupełnie przeciwnym odznaczają się duchem, gdyby nie pomnieć iż Petrarka własne tylko oddawał uczucia, był malarzem swéj jedynie duszy, a *Bocaccio* wieku swego.

Po tym literackim triumwiracie, co świetnym a nieznanym świat i Włochy zadziwił blaskiem, znowu ciemnoty chmura, przez więcéj lat stu, horyzont powlekła. Uczeni w starożytnych zatopieni pisarzach, w łacinę na nowo się pogrążyli; a naród z nowym zapałem, w domowych lub sąsiednich wojnach, krew i umysłowe marnował siły.

Kiedy *Petrarkę* tryumfalnie do kapitolu niesiono, ojczyzna jego pod nowym jęczała jarzmem. Od tylu lat, to ambicyi to wolności miotana falami, powstając przeciw pierwszéj, drugiéj nie umiejąc ustalić, ujrzała się raptownie w więzach obcego pana, którego sama sobie z dalekich sprowadziła stron.

Florencya przegrawszy walną bitwę przeciw Luce (którą był opanował dumny *Castrucio-Castracani* pełen energii i wszelkich zdolności człowiek), nie wiedząc jak się daléj zamachom téj zwycięzkiéj sąsiadki oprzeć, przemyśliła udać się pod protekcyą księcia Calabryi, syna króla neapolitańskiego *Roberta*, wzywając go do siebie na wielkorządzcę. Książe innemi zajęty sprawy, posłał w swém zastępstwie francuza *Gauthier*, który używał tytułu atheńskiego księcia.

Zaledwo ten, greckiego tytułu a francuzkiego rodu książę, przybył do Florencyi, gdy śmierć *Castrucia-Castracani*, oswobodzając sąsiednie miasta z trwogi jaką imie jego rzucało, usługi codzienne zbytecznemi zrobiła. *Gauthier* do Neapolu wrócił: ale niebawnie nowa wybuchła w Toskanii wojna, a Florentczycy potrzebując dowódzcy, znów do niego się udali.

Lecz i ten raz *Gauthier* przybył zapóźno. Luka o któréj własność Piza, Medyolan i Florencya się ubiegały, Pizie się dostała; *Gauthier* jednak przy dowództwie pozostał.

Magnaci widząc go na czele zbrojnéj siły, umyślili zrobić z niego sprężynę swéj zemsty na niższéj klassie, która ich od urzędów usuwa-

ła, i tajemnie większą mu jeszcze ofiarowali władzę. *Gauthier* z téj strony zapewniony, to pochlebstwy, to intrygą, tak sobie zręcznie postąpił, iż niebawnie obaliwszy rząd, lud go obwołał samowładnym swym panem, i z radośnemi okrzyki po ulicach nosił.

Wówczas ten ateński książe, zrzucając maskę, z pochlebnego lisa drapieżnym okazał się tygrysem. Równie okrutny jak chciwy, jedną ręką wyroki śmierci podpisywał, drugą brał znaczne za najmniejszą rzecz summy. Lud podatkami uciskany, sarkać wkrótce począł. Panowie zarumienili się tego ciemiężyciela któremu pierwsi podali rękę. Uknowano przeciw niemu spisek. Arcybiskup florencki, który poprzednio z ambony najżwawiéj do rozszerzenia władzy *Gauthiego* dopomagał, chcąc ten błąd wynagrodzić, stanął na jego czele.

Lipca 26go 1343 roku, wybuchło powstanie. Lud rzucił się na pałac księcia z większym jeszcze zapałem, niż gdy dziesięć miesięcy pierwéj, ogłaszał go w nim samowładnym panem, i na rękach nosił. *Gauthier* widząc swą gwardyą, ministrów i dworzan w krwi broczących, pastwą rozjuszonego gminu, na tysiąc szarpanych cząstek, zaczął o kapitulacyą prosić. Przyrzeczono mu życie, pod warunkiem opuszczenia Florencyi, i zrzeczenia się za obrębem już jéj granic, uroczystym aktem, wszelkich do niéj praw. *Gauthier* na wszystko zrazu przystał, i wyjechał; a gdy swobodniéj o kilka mil odetchnąwszy, zaczął się przed głównym aktem cofać, dodani do straży jego obywatele, pogrozili odwiezieniem go na powrót. *Gauthier* lękając się nad wszystko z powstańcami spotkania, podpisał żądane zrzeczenie, i tak się skończyło to dziesięciomiesięczne panowanie, ta francuzka we Florencyi dynastya.

Spisek ten i powstanie, tém są pamiętne, iż w nich po raz pierwszy Gibelini i Gwelfy, *czarni* i *biali*, szczerze podali sobie rękę; wszyscy razem zapominając swych domowych ur[illegible], przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, pod jedną połączyli się chorągiew.

Po wygnaniu *Gauthiego*, do pierwotnego stanu, do dawnych wróciwszy swobód, chciano też bezstronnością się już rządzić: urzęda między wszystkie zarówno podzielono klassy. Nie długo atoli ta pożądana wytrwała harmonja. Stara chwilowo uciszona zawiść, stopniowo i coraz głośniéj ozywać się poczęła; anarchia niezawodnie znów jak szalona zaczęłaby po ulicach Florencyi latać, dzieci jéj jedne przeciw drugim podżegając, gdyby nie upadła pod silną obywatelskiéj cnoty dłonią.

W tych to właśnie czasach zaczął się nieznacznie podnosić, ten sławny *Medyceuszów* dom, co wzorowemi zaletami otworzywszy sobie do władzy drogę, używał jéj najprzód do poskromienia w kraju anarchji, następnie zaślepiony dumą, pozbawił go wolności i swobód.

Jak inne dynastye, to wojny lub politycznych wypadków koleją, czasem intrygą lub zbrodnią, na tronie zasiadły, tak *Medyceusze* obywatelskiemi cnotami usłali sobie do niego stopnie. Lecz na nieszczęście nie długo w nich wytrwali. Zastępując je najprzód innego rzędu świetnemi zaletami, w końcu osobistym i dumnym dogadzali już tylko widokom, zapominając całkiem o zasadach swych czcigodnych naddziadów.

Florencya tak jest pełna ich pamiątek, iż niepodobna kroku w niéj stąpić żeby się z niemi nie spotkać. Herb domu *Medicis*, z pięciu kul i globusa w czerwoném polu, na bramach wszystkich gmachów znaczniejszych pałaców, na grobach, na kościelnych sufitach, słowem wszędzie tam się widzi, równie jak ich familijne portrety i posągi. Nic przykrzejszego jak się nieznać z tą rodziną jeszcze tam żyjącą, o niemal powiedziałam panującą we Florencyi. A jednak nie tak łatwą jest ta znajomość jak się z razu zdawać może. Kilku tylko *Medyceuszów* miało swych dziejopisarzy. Chcąc jednemi ramami wszystkie tego wzniosłego drzewa objąć konary i gałązki, brak podręcznych materyałów niemile czuć się daje. Trzeba się do archiwów odwoływać, w kurzu starych bibliotek szperać, i wówczas jeszcze częste powtarzanie się tychże samych imion, mianowicie Kozmusa, Piotra, Laurentego, Juljana, genealogicznego zawikłania nieraz już stało się przyczyną.

Pierwsi *Medyceusze* o jakich zaczęto mówić, byli Sylwester, Awerard, i jego syn Jan. Ten na handlu wełny przyszedłszy do znacznego majątku, hojnie swych współziomków w potrzebie wspierając, nabrał pewnego między niemi znaczenia.

Gdy po upadku ateńskiego księcia, wyższa szlachta zrazu do urzędów przypuszczona, znów się ujrzała powoli mieszczanami głuszoną, gdy spostrzegła swą partyą coraz bardziéj znowu słabnącą, zaczęła pochlebiać Janowi, w nadziei wrócenia z jego pomocą do najwyższéj władzy. Lecz *Medyceusz*, na wszystkie złocone pochlebstwa głuchy, pozostał swym gwelfowskim zasadom wiernym, co podwoiło jego u ludu wziętość, i ogólny zjednało mu szacunek.

Ten Jan jest ojcem obu linii, które po kolei Florencyą rządziły. Starsza bez wyraźnego w rzeczypospolitéj tytułu, druga z książęcą na czole mitrą. Dziwném zdarzeniem każda z nich dała po siedmiu swéj ojczyznie panów, po jednéj dla Francyi królowéj (starsza Katarzynę, młodsza Maryą), i po jednym papieżu (starsza Leona X, młodsza Leona XI).

Między temi dwoma liniami, tworzącemi dwa wielkie familijne i historyczne oddziały, w historyi jako Florencyi królem, zapisane widziemy Zbawiciela imie. W familijnych zaś Medyceuszów archiwach, czytamy niecne Alexandra, a w rzymskich Klemensa VII panowanie.

Klemens VII jak i Alexander, lubo Medyceuszów nazwiska nosili, do żadnéj z tych dwóch nienależą gałęzi.

Klemensa rządy mordem i zburzeniem krwawo naznaczone, smutną zostawiły w Rzymie pamięć.

Alexander jako bez wyznających go rodziców, tak i bez potomstwa zbójecką zszedł ręką.

Z nim się kończą rzeczypospolitéj florenckiéj dzieje, a poczynają toskańskiego księstwa.

Po śmierci jego, młodsza Medyceuszów linia do rządów przywołana, wygasła w osobie Jana Gustawa, w 1737 roku, a Florencya pod austryacką przeszła dynastyą.

Prócz tych we Florencyi panujących, Rzym jeszcze trzech liczył tego imienia panów. Leon X, Klemens VII i Leon XI, wszyscy trzéj Medyceusze, dwaj pierwsi z małą przerwą apostolskie dzierżyli krzesło.

Trzeba jeszcze do tych głównych obrazów, dodać kobiety i krewnych, co wysokiemi urzędy, zaletami lub jakimś pamiętnym czynem, w téj familijnéj umieścili się galeryi, a dopiero uklassyfikowawszy je sobie w pamięci, do szczegółów przystąpić.

Jan, najdawniejszy z Medyceuszów, zostawił dwóch synów, Kozmusa i Laurentego. Kozmus, prawidłami ojca się rządząc, razem z wrastającemi codzień milionami, odzierżył jego w rzeczypospolitéj znaczenie, i współrodaków miłość.

Zamożniejszy i wspanialszy od książąt, a bez dumy i jedynie dobrem ojczyzny zajęty, stał się wkrótce głównym Gwelfów filarem, a nienawiścią arystokracyi. Ta zręcznością podkopując jego szerzącą się władzę, zdołała w końcu ją obalić. Kozmus został wygnany. Lecz nikt nie zyskał na tém. Zaburzenie coraz się wzmagało, a lud widząc że go uwiedziono, napowrót swego ulubieńca przywołał i powitał go zaszczytnym *ojca ojczyzny* przydomkiem.

Kozmus po powrocie, dwa razy ujrzał się silniejszym, a przeciwne mu stronnictwo, na wygnaniu jego zabrało miejsce.

Kozmus jednak zamierzał przyprowadzić stopniowo umysły do takiego umiarkowania, by stalszemi rządu formami, raz na zawsze położyć ciągłym z obu stron nadużyciom i walkom koniec. Lecz zanim ułagodził burzliwy swych ziomków charakter, lata zużyły siły jego. Reforma jaką przemyślał nastąpiła, lecz inne niż żądał przyniosła skutki. Kłótnie zamiast uśpienia się wzmagały; a Kozmus latami i chorobą nękany, zostawiał kierunek spraw publicznych Łukaszowi *Pitti*.

Jest to tenże sam *Pitti*, którego imie z jego książęcym pałacem do naszych doszło uszu. Bogaty i ambitny ten kupiec, umyślił tym gmachem

Medyceuszów zagasić wspaniałość, i następnie ich w kraju ogarnąć władzę. Zgrzybiałość Kozmusa, a syna jego wady zdawały się temu sprzyjać.

Kozmus żył jeszcze, kiedy już Pitti korzystając z jego zaufania, wszystkiemi frymarczył urzędami; a za tak niegodziwie uzbierane pieniądze, założył kolosalnych wymiarów pałac. Gdy jednak zamiary jego się niepowiodły, i w niełaskę spółziomków popadł, niestało mu na dokończenie gmachu; a familja jego w niedostatku, musiała go sprzedać jednemu z tychże *Medyceuszów*, na zgubę których był założony.

Po śmierci Kozmusa *ojca ojczyzny* 1464 roku, syn jego Piotr, bogactwa i władzę po nim odziedziczył, lecz głowy ani duszy jego nieposiadał. Słaby na umyśle i na ciele, a do tego chciwy, zaczął ojca swego dłużników naciskać. W całéj Florencyi niebyło żadnéj rodziny któraby nie była się Kozmusowi zadłużyła. Piotr tym krokiem wszystkie przeciw sobie zniechęcił. Zrobiono przeciw niemu spisek. *Pitti* do naczelników jego należał. Piotr odkrył i uśmierzył zamach; lecz ani do szczęścia kraju, ani do sławy imienia nieprzyczynił się.

Dwóch po nim zostało synów, Laurenty i Juljan; oba wielkich nadziei młodzieńcy. Lecz zazdrośni ich znaczenia Pazzowie na ich sprzysięgli się życie. Obrano do zbrodni katedralny kościół, a podczas summy, w chwili podniesienia na obu napadnięto braci. Juljan upadł pod zabójczym sztyletem, Laurenty przyjaciółmi wczas zasłonięty, do zakrystyi się schronił.

Sprzysięgłych schwytano, naczelników powieszono, innych wygnano na zawsze.

Lecz nie jedna to *Pazzów* rodzina zazdrością przeciw *Medyceuszom* pałała. Papież *Syxtjusz VI* i Ferdynand król Neapolitański, przypuszczeni do *Pazzich* tajemnicy, skrytą tuszyli się nadzieją, iż się tych niemiłych pozbędą sąsiadów. Dowiedziawszy się zaś o niepomyślnym skutku tego spisku, który zamiast obu, jednego tylko zgładził brata, niekryjąc już swych nienawistnych uczuć, wysłali znaczne na Florencyą siły, z oświadczeniem, iż dla otrzymania pokoju, trzeba wygnać *Medyceusza*.

Laurenty o tém uwiadomiony, zwoływa stany, i prosi żeby jego rozrządziły losem, zawczasu ich przyjmując dla siebie wyrok. Wszyscy do łez poruszeni, jednogłośnie raczéj wojny pragną niż pokoju, niewdzięczną okupionego podłością. Laurenty jest wnukiem ojca ojczyzny, mówią, ostatnią kroplę krwi za niego przelejmy.

Wojna się zaczęła, republikanie zwyciężają papiezkie wojsko, lecz z neapolitańskiemi mniéj są szczęśliwi. Walną pod Poggibonsi przegrawszy bitwę, do Florencyi bez ładu się cofają, największą siejąc w niéj trwogę. Florentczycy przypominają iż Medyceusz pierwszą téj klęski przy-

czyną; jakieś szemranie przeciw niemu powstawać zaczyna. Laurenty w tak okrutném widząc i kraj i siebie położeniu, niemniéj wzniosłe bierze postanowienie. Udaje się do Neapolu, porucza się w ręce głównego nieprzyjaciela swego, ofiaruje mu własną wolność i życie, lecz go przekonywa zarazem, że gnębić Florencyą jest zupełnie przeciwne interessowi jego, że owszem powinien ją wzmacniać, przeciw północnym Włochom.

Ferdynand ujęty szlachetném Laurentego zaufaniem, wymową i dowodami jego przekonany, zawiera z Florencyą pokój. Papież w jego wstępuje ślady, a *Medyceusz* wraca do Florencyi, bez porównania większy i bardziéj wielbiony, niż przed wojną i przed wyjazdem swoim.

Laurenty, lubo jak ojciec, dziad i pradziad, bez żadnego jeszcze tytułu, stał się jednak niebawnie samowładnym Toskanii panem. Wszystkie fakcye ucichły, żadna w obec jego władzy, nieśmiała podnieść głosu. Całe nawet Włochy w największém go miały poszanowaniu, nic się w nich bez jego wpływu nie działo, i za jego też rządów, swobodniéj oddychać poczęły. A jeżeli, jak to mu niektórzy zarzucają, osłabił w swym kraju tę żwawą dla wolności miłość, dla któréj tyle już krwi się w nim przelało, nikt nie zaprzeczał, iż usypiał ją wonią najpowabniejszych kwiatów.

Obok wielkich do rządów zdolności, szlachetnéj duszy i wzniosłego umysłu, Laurenty posiadał największe sztuk pięknych i poezyi zamiłowanie. Każdy znakomity talent obudzał w nim braterskie współczucie, każdego artystę w swém monarszym pałacu, jako brata traktował. Umiał wynajdować, odgadywać wielkie talenta, podsycał je, rozwijał, wszystkie w koło siebie gromadził, i stał się tém piętnastego wieku słońcem, pod którego promieniami tysiące zrodziło się sław.

Historya go przezwała wspaniałym *(Magnifico)* w braku jak się zdaje szczytniejszego jeszcze przymiotnika; a literatura jako odrodziciela do swych archiwów świetne jego zapisała imie.

Już architektura, snycerstwo i malarstwo po pierwszém w XIII wieku odrodzeniu, po nowém następnie uśpieniu znów się obudziły; już na swéj sławy wiecznych pomnikach, słały potomności tworców swych olbrzymie imiona, a poezya od czasów *Danta* i *Petrarki*, nie mogła się jeszcze ocknąć. Każdy z ówczesnych artystów był w prawdzie poetą, wielu jak Michał-Anioł, Leonardo da Vinci i inni, w chwilach spoczynku, rzucali na papier rymy, z których część aż do naszych doszła uszu, lecz głównie poświęcali się kunsztom, i niemi wylewali ten nadmiar estetycznego duszy swéj życia.

Laurenty *Medyceusz*, pierwszy dopiéro w téj literackiéj ciszy, dał słyszeć swe melodyjne pienia. Tam biorąc pióro, gdzie je sto lat pierwéj

zostawił *Petrarka*, jego szedł śladami; a lubo nie dorównał swemu wzorowi poezye jego pełne są gracyi, żwawych i świetnych pomysłów.

W 1465 roku, zaledwo dwadzieścia lat liczył, kiedy już pisał sonety i śpiewki. Zbiór dzieł jego, więcéj 140 pierwszych, a ze 20 drugich zawiera. Bez Laurentego, wiek XVty, tak we wszelkiego rodzaju sławy bogaty, byłby dla literatury całkiem martwy pozostał.

Na nieszczęście dla tego wieku i potomności, *Wspaniały*, w 42gim umarł roku, a syn jego, papież Leon Xty, w którym osierociałe kunszta nowego znalazły ojca, półdziewięta roku tylko apostolski tron dzierżył. Po tych dwóch *Medyceuszach*, wyzwolone sztuki zaraz też ku schyłkowi mieć się zaczęły, lecz wdzięczne swym protektorom, ich imieniem najświetniejszą swą epokę ochrzciły. Wiek ten, jak wiadomo, dotąd Leona Xgo wiekiem zowią, sprawiedliwsi zaś, lub dokładniéj z historyą obeznani, niepozwalają na tę uzurpacyą syna, sławie ojca niesłuszny przynoszącą uszczerbek, i ogólném *Medyceuszów* mianem, tę oznaczają epokę.

Na wzór *Wspaniałego*, inni włoscy książęta, kunsztownym zaczęli tchnąć duchem. Ludwik *Sforza* do Medyolanu znakomitsze talenta starał się zwoływać, szukając w nich nowego dla siebie blasku. Jednak Florencya, gdzie się ich najwięcéj rodziło, największy dla nich miała pociąg, i nigdy nieprzestawała być ich prawdziwą stolicą.

W roku 1479, za najświetniejszych Laurentego lat, ujrzała w swych murach nowego rodzaju sławę. Był to biedny dominikan, nazwiskiem *Savonarola*.

Przyszedłszy z Bolonii z kijem w ręku, otrzymał celę w klasztorze S. Marka, i tam zaczął miewać kazania. Lecz przykry organ, wymowa twarda, odstręczały słuchaczy.

Savonarola, człowiek wcale niezwyczajny, mniemał mieć z nieba wyższą do spełnienia missyą; zamknął się i tyle pracował nad sobą, iż całkiem złamał swą niewdzięczną naturę. Wówczas powtórnie rozpoczął swe kazania; lecz w ogrodzie, pod różami, i jedynie dla braciszków swoich. Były to już albowiem nie kazania, ale raczéj proroctwa.

Wkrótce o niczém we Florencyi nie było słychać, jak o wymownem kaznodziei, o jego proroctwach; z tych, niektóre się już, jak mówiono, sprawdziły; drugie sprawdzić się miały. Uproszono go, by z ambony dla wszystkich kazał. *Savonarola* przystał na to, przepowiadając jednak, że ośm tylko lat tak mówić będzie, co się także późniéj sprawdziło.

Sława jego codzień się szerzyła, kościół niemógł objąć słuchaczy.

W swych kazaniach *Savonarola* powstawał głównie, na rozwiązłość obyczajów, i przemawiał za upadającą we Florencyi wolnością.

Mimo to, Laurenty *Medyceusz* wielce go poważał; a uznając w nim człowieka wyższego, mianował go dominikanów przeorem.

Savonarola republikańskie wyznania i cnoty głosząc nieposzedł, wedle zwyczaju, za to mu podziękować. A gdy później Laurenty od dawna ciężką zdjęty chorobą, i czując zbliżający się koniec, posłał po niego, odmówną odebrał odpowiedź.

Jednak na ponowioną prośbę, dominikan udał się do chorego, lecz trzy podał rozgrzeszenia warunki.

Laurenty na dwa pierwsze przystał, a na trzeci, który był: powrócenie Florencyi dawnéj jéj wolności, nic mu nieodrzekłszy, odwrócił się do ściany, i po innego posłał spowiednika.

Ta okoliczność nowy dla *Savonaroli* obudziła zapał.

Po śmierci Laurentego, 1492 roku, syn jego Piotr IIgi objął rządy. Dumny, próżny i zabawom jedynie oddany, obcym je poruczał rękom, przybierając w swém obejściu coraz bardziéj królewską postać.

Savonarola gromił, Piotr coraz większe popełniał błędy. Swoich zniechęcał, z obcemi się waśnił.

W takim była stanie Florencya, gdy król francuzki, Karol VIII, przebył z wojskiem Alpy, w zamiarze zawojowania półwyspu. Dawne pretensye Francyi do neapolitańskiéj korony, służyły za pozorny téj wyprawie powód.

Karol przed zaczęciem jeszcze wojennych kroków, probował, czy mu się nieuda zerwać Florencyi z Neapolem przymierza; lecz gdy posłowie odmowną przynieśli mu od *Medyceusza* odpowiedź, Karol rozgniewany, prosto na Toskaniją swe obrócił siły.

Piotr wówczas uważając krytyczność położenia swego, przypomniał krok ojca, gdy w podobnymże znajdował się razie; na wzór jego pojechał do nieprzyjacielskiego obozu, i oddał się w przeciwnika ręce.

Bliżéj rzecz rozważywszy, położenie jednak ojca i syna innego było rodzaju, a Piotr niemiał talentów i wymowy Laurentego; jakoż, skutki odmienne z tego zuchwałego wynikły kroku.

Pogorszywszy nim swe stanowisko, Piotr zmuszony do przyjęcia najuciążliwszych dla Florencyi warunków, oddał Francuzom znaczne twierdze, i wrócił do swéj stolicy.

Lecz go do rządowego niedopuszczono pałacu. Przy bramach miasta, już go najżwawszemi powitano wymówkami, za upokorzenie ojczyzny, za oddanie twierdz, bez dostatecznego do tego upoważnienia. Szemranie i wymówki, wkrótce w bunt się zamieniły. Wszyscy trzej Laurentego synowie, Piotr, Kardynał Jan (późniéj pod nazwiskiem Leona Xgo znany)

i Juljan, ogłoszeni zdrajcami ojczyzny, na wieczne skazani wygnanie. Dobra ich zabrane i na korzyść stanu sprzedane.

Tak 9 Listopada 1494 roku, *Medyceuszów* rodzina, po raz drugi ujrzała się z Florencyi wygnaną.

Po wydaleniu *Medyceusza*, Florentczycy wysłali *Savonarolę* do francuzkiego króla, w celu złagodzenia jego pretensyi; lecz mistyczna dominikana wymowa, nic nie wskórała. Karol VIII hardo do Florencyi wkroczył, ale znalazł ją nad swe spodziewanie także hardą. Rzeczpospolita do rozpaczy poruszona, uzbroiwszy się na prędce, niechciała nowych a coraz zuchwalszych słyszeć króla francuzkiego wymagań. Karol po niejakich zatargach, zwolnił swe żądania, i daléj na Neapol ruszył; a Florencya wróciła do dawnych demokratycznych form.

Lecz w pośród nich istotnie w niéj panował mnich *Savonarola*. Nic tam bowiem bez jego pośrednictwa lub wyraźnego nie działo się zdania.

Coraz silniéj przekonany o swéj missyi, i Boskich objawieniach, silniéj coraz także w innych to przekonanie wpajał, i wszyscy też mu ulegali. Największą zaprowadzając w obyczajach surowość, rozkazał zniszczenie wszystkiego, co za przeciwne im uważał. Natychmiast poznoszono stroje kobiece, róż i pachnidła pooddawano, nieskromne książki, kosztowne obrazy, posągi; zrobiono na publicznym placu jeden z tego wszystkiego stos, i podłożono ogień.

Póki za wolnością i obyczajami w ogólności powstawał, dobrze mu się wiodło. Lecz otrzymawszy dla Florencyi wolność jakiéj pragnął, i znaczną w obyczajach reformę, zażądał religijnéj także reformy, a pokonawszy *Medyceuszów*, z silniejszym a osobliwie zręczniejszym mierzyć się zaczął nieprzyjacielem, i w téj walce upadł.

Rzym miał wówczas *Borgię*, Alexandra VIgo, najrozwięźlejszego z ludzi. *Savonarola* słusznie postępowaniem jego zgorszony, zaczął śmiałe w tę stronę rzucać pociski; a religijną pragnąc i przepowiadając reformę, naczelnikowi jéj zarazem groził.

Papież zażądał od Florencyi przystawienia do Rzymu mnicha. Florencya go nie wydała: papież rzucił na niego klątwę; *Savonarola* jeszcze silniéj z ambony gromić zaczął. Alexander VIty wziął się wtenczas na sposób. Zaczął podniecać przeciw niemu fakcye, sposób jaki we Florencyi najłatwiejszy obiecywał skutek.

Wkrótce miasto podzieliło się na stronnictwa. Najsilniejsze było to, które *Medyceusze* dla siebie utrzymywali. Gdy odkryto jego naczelników, *Savonarola* śmiercią ich karać rozkazał, co oburzyło umysły. Pa-

pież połączył się z resztą *Medyceuszów* przyjaciół i innemi *Savonaroli* przeciwnikami, a sława jego codziennie gasnąć poczęła.

Nareszcie usłyszano we Florencyi o drugim proroku, franciszkanie. Ten w kościele Ś. Krzyża nową otworzył katedrę, zrobił sobie partyą, nazwał dominikana heretykiem, i wyzwał go przed sąd Boży, na próbę ognia.

Savonarola się wahał. Jeden z uczniów jego, największy zapaleniec, ofiarował się na dowód świętości swego mistrza, na stosie go zastąpić: franciszkan oświadczył, iż tylko z samym dominikanem pójdzie w ogień: dominikan przystał.

Siódmego Kwietnia 1498 roku, na placu zwanym teraz *Granduca*, zbudowano z cegieł, torfu, desek i węgla, ogromne ognisko. Na oznaczoną godzinę, franciszkanie z jednéj strony, dominikanie z drugiéj swe przyprowadzili ofiary. *Savonarola* był w ornacie, i niósł Ś. Sakrament w ręku. Ta pompa niepodobała się przeciwnéj stronie. Dominikan upierał się i chciał tak z kielichem wejść w ogień. Zaczęto na bezbożność narzekać, wołać o Śgo Sakramentu zniewagę.

Spory te się przedłużały, ogień płonął, lud się niecierpliwił. Przychodziło już do wrzawy, kiedy obfity deszcz niespodzianie lunął, i ogień i kłótnie od razu zagasił, a widzów zniechęconych do domu rozproszył.

Savonarola chciał to zdarzenie na swą obrócić korzyść; w deszczu nową łaskę nieba, nowy postrzegając cud. Lecz już było za późno; głos jego już niemiał władzy; zapał w pogardę się zmienił. Pytano, czemu wiedząc o cudzie, nieposzedł nagi w ogień? Okryto go śmiesznością i obelgami.

W końcu, z dwóma najwierniejszemi uczniami do więzienia został wtrącony. Po próbach tortury, na témże miejscu gdzie pierwsze pod deszczem zgasło, drugie podobnież podniecono ognisko, i jako heretyka, dnia 28 Maja 1498 roku, spalono wraz z obu uczniami, a popioły w *Arno* wyrzucono.

Taki był *Savonaroli* koniec. Niektórzy dziejopisarze upatrują w nim poprzednika Marcina *Lutra*, drudzy go fanatykiem, inni męczennikiem zowią. Papież Klemens VIII chciał go kanonizować, i między świętych policzyć.

W długie po jego śmierci lata, znajdowano w rocznicę tego żałobnego dnia, całe stosu miejsce, pokryte wieńcami z nieśmiertelników, niewidomą tam zanoszone ręką.

Medyceusze, którym ta skryta cześć dla najzaciętszego ich domu nieprzyjaciela, podobać się nie mogła, dla położenia raz jéj końca, kazali po powtórnym powrocie swoim, pamięć ognia zalać wodą, i w miejscu męczeńskiego stosu, zrobić kunsztowną spiżem otoczoną fontannę. I to jest fontanna, która przy starym pałacu, dotąd plac wielkiego księcia zdobi.

XV.

LEON X. — KATEDRA Ś. LAURENTEGO.

Medyceusze jednak nie tracili nadziei. Smierć *Savonaroli*, rząd bezsilny i niestały, ciągłe w kraju rozruchy, dostatecznie je podsycać mogły.

Przez cały też ciąg wygnania swego, nieustanne czynili do powrotu usiłowania. Z rozmaitemi łącząc się partyami, potrzykroć zbrojną siłą zdobyć Florencyą probują. W 1501 r. Piotr *Soderini* od Piotra *Medicis* ją broni, i za to jest na całe życie Gonfalonjerem, to jest najwyższym urzędnikiem mianowany.

We dwa potém lata, 1503, Piotr II pod francuzkiemi służąc chorągwiami, przeciw hiszpanom w Neapolu naówczas panującym, w przejściu rzeki *Garigliano* w jéj nurtach kończy. Żona jego z dwojgiem pozostała dzieci, otrzymuje pozwolenie powrotu, dla familijnych interesów, do Florencyi. Córkę imieniem Klaryssa wydaje za Filipa *Strozzi*. Lecz gdy się przekonano iż zamiast interesów, jakieś polityczne zaczyna snuć intrygi, każą jéj z synem, córką i zięciem natychmiast wyjechać.

Z synów Laurentego wspaniałego zostawało jeszcze dwóch, i wnuk jego, o którym wyżéj wzmianka, syn Piotra II, dziesięcioletnie dziecie, także Laurenty. Ze stryjów jego, Jan kardynał (Leon X), człowiek pełen

energii mało w swych zamiarach znajdował podpory w młodszym swym bracie, Juljanie, który słodkiego lecz miękkiego charakteru, przekładał literackie zajęcia nad spiski lub wojenną wrzawę.

Kardynał Jan, wyłączne też prawie pokładał zaufanie w swym stryjecznym bracie, drugim kardynale *Medyceuszu*, synie tego Juljana co z rąk *Pazzich* w katedrze zginął (imie mu było Juljusz, i on to objął później po Leonie X papiezki tron, pod nazwiskiem Klemensa VII).

W 1512 r., na czele więc familijnego związku, stało, jak widziemy, dwóch kardynałów.

Ci po rozmaitych próbach, chwyciwszy się w końcu sprawy przemagającéj w Neapolu, Hiszpanii, otrzymują od niéj pomoc, i idą na ojczyste swe miasto.

Florencya zawsze była pełna stronników wygnanéj rodziny. Zewnątrz hiszpańskiém szturmowana wojskiem, poparta wewnątrz dzielnemi *Medyceuszów* przyjaciółmi, niebawnie uległa; a *Medyceusze*, po ośmnastoletniém wygnaniu, znów się w jéj ujrzeli murach.

Skromne z razu objawiając życzenia, prosili o obywatelstwa zaszczyt, i o pozwolenie wykupienia dóbr swoich, za cenę w jakiéj sprzedane były.

Lecz nie długo potrwał tego wzorowego umiarkowania przykład. Medyceusze nie mogli już we Florencyi stać na równi z innemi.

Wkrótce rząd obalony, *Soderini*, dawny dożywotni Gonfalonier, ucieczką życie ratował; nowy, na rok już tylko obrany jego zastępca, zmuszony także do złożenia urzędu, a Juljan najmłodszy z Laurentego synów, u steru rządu staje.

Gdy taką koleją, we Florencyi śpiesznie toczą się rzeczy, w Rzymie, także gromadzą się wypadki. Juljusz II na początku 1513 r. umiera; a kardynał Jan *Medicis*, pod nazwiskiem Leona X, na apostolskiém zasiada krześle.

Leon X nie mogąc już osobiście dozierać interesów florenckich, a nie polegając na sprężystości brata swego, do Rzymu go przywołuje, gdzie go z wielką uroczystością i królewską wystawą obywatelem ogłaszają. Florencyi zaś rządy, porucza synowcowi swemu, młodemu Laurentemu, synowi Piotra, z nadzorem i radą kardynała Juljusza *Medicis*. Lecz nic się tam bez papiezkich nie dzieje rozkazów; Florencya istotnie pod panowanie Leona X przeszła.

Panowanie papieża tego, równie sławne jak krótkie, stanowi, jak wiadomo, historyczną epokę. Zupełnie inny nosząc charakter niż Juljusza II, może być raczéj uważaném za dopełnienie panowania Laurentego *Wspaniałego*; jak Laurentego było dalszym ciągiem Kozmusa *starego*, *ojczyzny ojca*.

Ile Juljusz II był człowiekiem, całkiem, że tak powiem, obozowym, w wojnie dni trawił, sam swe szeregi prowadząc do ognia, tyle następca jego, zupełnie światowością i umysłowemi odznacza się zaletami. Jak tamten okazywał się wyłącznie dla Watykanu gorliwym, tak ten familijne widoki zdaje się na pierwszym kłaść celu, tamte dopiero w drugim mieszcząc rzędzie. Lecz ni jeden ni drugi duchownych nie przedstawia rysów.

Leon X, pełen światła i nauki człowiek, mimo iż za staraniem ojca, w trzynastym roku został kardynałem, najmniéj jednak teologicznych posiadał wiadomości. Dwór jego był wzorem uprzejmości i światowéj ogłady, lecz bynajmniéj nie nosił surowéj cechy papiezkiego dworu.

Niepamiętano przed nim ani podobnego przepychu, ani uczt, jakie on w Rzymie dawał, a we Florencyi, synowcowi (dla zagłuszenia nieprzyjaznych głosów) kazał wyprawiać. Lecz gdy niemi skarb wypróżnił, wcale się nieokazywał skrupulatnym w sposobach zapełnienia go napowrót.

Wziąwszy z ojca zamiłowanie nauk i kunsztów, gromadził je w około siebie i hojnie wspierał; a te wszystkie talenta co się za panowania Laurentego zrodziły, teraz dojrzałe i świetne, głównie przyczyniły się do świetności Leona X epoki.

Najgorliwszy dla *Medyceuszów* imienia, nieprzepominał jednak i o szerszéj polityki widokach. Lecz w jednych jak w drugich, wedle potrzeby uginając swe prawidła, zbytecznie Machjavela współczesność przypomina.

W 1515 r. brata swego Juljana żeni z ciotką Franciszka I, francuzkiego króla, i otrzymuje dla niego tytuł księcia *Nemours*. Synowca łączy także z blizką krewną saméj królowéj, Magdaleną księżniczką bretańską *de la Tour d'Auvergne;* przy téj okoliczności niesłychaną rozwija w darach i ucztach wspaniałość. A gdy Laurenty II, równie jak stryj ambitny, nie chce przestać na swém florenckiém dostojeństwie, i radby posiadać dziedziczne księzstwo, Leon X, wbrew wszelkiéj sprawiedliwości, rzuca na księcia z Urbina klątwę, zbrojną ręką własności go pozbawia, i mianuje synowca swego urbińskim księciem.

Dotąd wszystko się Leonowi powodziło.

W téj wojnie, po raz pierwszy młodsza nawet *Medyceuszów* linja, swą przychylność starszéj okazuje. Potomstwo bowiem najstarszego z Laurentych (to jest syna Jana a młodszego brata *ojczyzny ojca*), nigdy nie sprzyjało Kozmusa dzieciom. Dwóch nawet z téj linii przyczyniło się do upadku Piotra II. Leon X dopiero wszystkie niesnaski uśmierzył, świetnością swéj sławy wszystkie ugasił zawiści. Jan *Medicis*, zawo-

łany i straszliwy wojak, nazwany w historyi dowódzcą legii czarnéj a przez współczesnych *wielkim diabłem*, lubo z młodszéj linii, ofiaruje mu swe usługi i głównie do zwycięztwa się przyczynia. (1)

Lecz równo z tą wojną, co tyle krwi przelała, ogromne kosztowała summy, a żadnego nie miała godziwego powodu, zaczęło się jakby za karę, pasmo wszystkich dla papieża przeciwności i zmartwień.

Jeszcze walka trwała 1517 r., kiedy uknowano na życie jego spisek. Uchwyciwszy jego nić, Leon X naczelników w samym konsystorzu wykrywa, i z ówczesną srogością karać ich musi.

Jednocześnie prawie, Marcin *Luther*, buntu daje słyszeć głos, i coraz bardziéj swe szerzy herezye.

Przedtém jeszcze, papież traci brata Juljana, księcia *Nemours*, który wkrótce po ożenieniu bezdzietnie schodzi; a na domiar wszystkich nieszczęść, Laurenty II najukochańszy jego synowiec, traci żonę którą przed rokiem pojął, i wkrótce po niéj umiera; a tak Leon X, co zamyślał o Neapolu i Medyolanie dla swéj rodziny, i w tym celu nie jedną podniecił kłótnię i wojnę, co w interesie kraju i dumy zarazem, pragnął całe Włochy pod swoją ujrzeć dynastyą, w przeciągu kilku miesięcy znalazł się ostatnim, jeśli nie z imienia to przynajmniéj ze swéj linii, z téj, którą między książęce w Europie już liczono.

Laurenty II bowiem zostawił tylko małą córeczkę, Katarzynę.

Owa sławna późniéj w dziejach Francyi, Katarzyna Medicis, żona i matka jéj królów, (z których jeden Henryk Walezjusz i u nas znany), wówczas kilkodniowe dziecię, za niezdolną do dziedziczenia po ojcu urbińskiego księctwa uznaną została, a stryj jéj ojca, nieprzeczuwając zapewne świetnych swéj wnuczki przeznaczeń, odebrawszy je, częścią do papiezkich stanów, częścią do Toskanii wcielił.

Po tych wszystkich wypadkach, Leon X, jakby zniechęcony publicznemi sprawy, jeszcze bardziéj oddaje się literaturze, naukom i kunsztom. Michał-Anioł, Rafael, Bramante, zdobią Watykan. Florencya, gdzie do tymczasowego zarządu papież posłał kardynała *Medyceusza*, także wznosi się, i do dawnych nowe kunsztowne dołącza skarby. Wszędzie za jego wzorem tworzą się zbiory, biblioteki i galerye. Kobiéty otwierają

(1) Ten Jan, sławny ze swego męztwa, zginął potém uganiając się za cesarskiém na Rzym idącém wojskiem, w 1526 r. Kula mu obie potrzaskała nogi. Mówią, iż gdy je odejmowano (co się wówczas nie tak zręcznie jak teraz działo), sam trzymał dla chirurga świécę. Zostawił z żony swéj, Maryi *Salviati*, jednego tylko syna, który był późniéj pierwszym Toskanii wielkim księciem, głową młodszéj *Medyceuszów* linii, Kozmusem I.

literackie salony. (1) Obyczaje jeśli nie w surowości, to na polorze coraz bardziéj zyskują.

W końcu, Leon X budzi się ze swéj politycznéj nieczynności; przedsiębierze zdobyć Ferrarrę. Następnie postanawia oswobodzić Włochy, tak z francuzkiéj jak z hiszpańskiéj władzy, i rozmaite ku temu rozpoczyna kroki. Na dawnego sprzymierzeńca swego Franciszka I, rzuca klątwę; łączy się z Karolem V, odzyskuje Parmę i Placencyą którą mu była Francya zabrała; lecz niema czasu ani doprowadzenia swych szerokich zamiarów do skutku, ani nawet nacieszenia się swém zwycięztwem. Tylko co bowiem dowiaduje się o zdobyciu Medyolanu, Placencyi i Parmy, i każe z tego powodu trzydniowe wyprawiać publiczne zabawy, (2) gdy raptowną uderzony chorobą, niemając nawet czasu przyjęcia olejów świętych, 1 grudnia 1521 roku kończy; a historya dotąd jeszcze nie zatwierdziła czy śmierć tę nagłą radości odniesionego zwycięztwa, czy truciźnie ma przypisać.

Leon X zasiadał na papiezkim tronie lat 8, miesięcy 8, i dni 19.

Na nim się skończyło starszéj *Medyceuszów* linii we Florencyi panowanie. On zamyka pierwszą téj dynastyi epokę.

Zwłoki jego, z mniejszą pompą niżby się spodziewać można, w Watykanie złożone, późniéj za staraniem siostry, otrzymały w kościele Maryi na placu Minerwy, dość mierny pomnik.

Familijne zaś *Medyceuszów* groby są we Florencyi. Kościoł Ś. Laurentego, dwie zakrystye i dołączona do niego kaplica, książęcą nazwana, je zawierają.

Przeczytawszy ten kronologiczny rys, pójdź dopiero, Antosiu, do téj starej świątyni. Jakkolwiek przez samo skrócenie mało zajmujący i wiele do żądania zostawia, będzie on ci już niejako wstępem do szerszych, historycznych poszukiwań, a dawną Ś. Laurentego katedrę, ten stary i niezbyt dla oka powabny gmach, oświetli, ożywi, zajmującym ci uczyni.

Kościoł Ś. Laurentego jest jeden z najdawniejszych. Zafundowała go jakaś pani, szczególniejszéj od Ś. Laurentego doznawszy łaski. Lecz

(1) *Roscoe*, który wydał cztery tomy o życiu Leona X, wylicza następujące: Wiktoryą z domu *Colonna*, margrabinę *Pesciera*, w któréj się kochał Michał-Anioł, i Weronikę księżnę *Corregio*, obie poetki, obie odznaczyły się także wzorowemi obyczajami. Inne jako Konstancya z *Aratos*, Julja z *Aragonu*, Laura *Terracina*, *Gambara*, *Stampa* i Laura *Bottifera*, przezwana Safo, należały do tych co zwano w owych czasach *Cortegiane*. Ob. t. 3 str. 240—242.

(2) Opis wspaniałych, i prawdziwie zadziwiających maskarad i uczt, za Laurentego *Wspaniałego* i Leona X wyprawianych, do których układu, najsławniejszych używano artystów, znajdziesz we włoskiém dziele *Dandola* pod tytułem: *Firenze sino alla caduta della republica* str. 286.

roku téj fundacyi nikt niewie. Wiedzą tylko iż stał naówczas za miastem, a w 1390 r. poświęcony Ś. Ambrożego ręką, przez długie lata tegoż świętego nosił imie. W dziesiątém zaś stuleciu, został katedrą florencką, aż do 1423 gdzie całkiem spłonął.

Jan *Medicis* dopiero, ojciec obu *Medyceuszów* linii, odbudować go swym kosztem kazał, a następcy jego za swą własność, za swą metropolę go uważając, upiękniali, wzbogacali.

Postrzega się tam trzech epok téj dynastyi całkiem odmienny charakter: sama fara, zakład Jana za którego czasów kunszta siłą i prostotą wyłącznie się odznaczały, z wierzchu bez ozdób, bez facyaty, dość przypomina jakąś gospodarską budowę, coś do stodoły podobnego. Wewnątrz na pierwszy rzut oka, niezmierną swą przestrzenią tylko zadziwia.

Drugą epokę należącą do najświetniejszych kunsztu dziejów, tę co *medycejskim* wiekiem przezwano, znajdujemy w kaplicy znanéj pod nazwiskiem nowéj, albo Michała-Anioła zakrystyi. On albowiem był tak co do budowy jako i do snycerskich jéj ozdób, jedynym jéj twórcą.

Trzecią, z czasów drugiéj linii Medyceuszów, i kiedy już kunszta ku upadkowi wielkim szły krokiem, a usiłowano bogactwem ją zastąpić, poznajemy w tak nazwanéj kaplicy książęcéj.

Kościół dwoma rzędami wspaniałych wielkością i materyałem kolumn, na trzy podzielony nawy, ma 22 pobocznych kaplic. Te mniéj więcéj pięknością ołtarzy i obrazów mogłyby się zalecać, gdyby czasu ręka nie była je znacznie już zatarła.

Nad głównemi drzwiami herb Medyceuszów, piękna Michała Anioła rzeźba, oznacza świątyni główne przeznaczenie. Na kopule postrzega się wizerunek Ś. Anny, która do tegoż należała domu. (1).

Przed wielkim ołtarzem, wyryte na kamieniu Kozmusa, *ojca ojczyzny* imie, wskazuje miejsce gdzie szacownego obywatela tego spoczywają zwłoki. Na lewo w staréj zakrystyi, ozdobnéj kilku starożytnemi a godnemi uwagi zabytkami, znajduje się grobowiec rodziców jego, Jana fundatora téj katedry, i jego małżonki z domu *Buerri*. Pod tym sarkofagiem jest mała piwniczka, gdzie po zabalsamowaniu ciał, składano téj rodziny serca.

W jednéj z pobocznych kaplic, Laurenty wspaniały wzniósł dla Piotra ojca swego z porfiru i spiżu pomnik, daleko większy i piękniejszy niż pamięć, którą uwiecznia.

(1) Ma się rozumieć, że tu o innéj S. Annie, a nie o matce Najświętszéj Panny mowa.

Te i kilka jeszcze drobniejszych szczegółów obejrzawszy, życzę ci pośpieszyć do zakrystyi nowéj, czyli Michała *Buonarottego*, gdzie nietylko historyczne Florencyi wspomnienia, lecz i daleko bardziéj jeszcze, kunsztowny jéj objawa się duch; jest to, w swéj całości uważany, z najpiękniejszych czasów, najwspanialszy ich pomnik.

Kaplica ta niewiem czemu zakrystyą przezwana, Leona X pomysłem, Klemensa VII pieniędzmi, Michał Anioła genjuszem się utworzyła. Miała ona początkowo być daleko większą, i całéj *Medyceuszów* familji łączyć w sobie groby. Lecz gdy za Klemensa VII starsza linia już była wygasła, a młodszéj (nie odgadując zapewne jéj przyszłości) do rodziny nie liczono, Michał Anioł, na cztery z razu pomniki ją przeznaczając, skończył na dwóch dla najmłodszych z téj rodziny członków.

Buonarotti miał zamiar, jak o tém do przyjaciół pisał (1), poświęcić ją pamięci dwóch ostatnich Laurentych, to jest *wspaniałego* i wnuka jego księcia Urbino, i dla dwóch Juljanów, z których starszy brat *wspaniałego* w spisku *Pazzich* zginął, drugi najmłodszym był z synów jego. Lecz później plan się ten zmienił. Z czterech téj ośmiokątnéj kaplicy wklęsłości, środkowa ołtarzem jest zajęta, na przeciwnéj opiéra się niesokończony Matki Boskiéj posąg, a dwie poboczne framugi, dwóch młodych Medyceuszów obejmują pomniki. U stóp pierwszego dwie kolosalne figury oznaczają dzień i noc, pod drugim podobnież, przedświt i pomrok przedstawiają. Te leżące figury, z głównym u szczytu posągiem, tworzą tylko ozdobę architektonicznego trójkąta każdego z tych pomników, lecz każda z nich wzorowym jest rzeźby przedmiotem.

Wszystko tam, tak architektura jak posągi, tak ołtarzowe kandelabry jak drobniejsze jeszcze ozdoby, jest dziełem jednego pojęcia, jednéj ręki jednego dłuta; a ta harmonja, zanim jeszcze oko na szczegóły się zwróci, jakby wspaniała jakaś muzyka ogarnia duszę.

Po tém pierwszém wrażeniu, dwa jeszcze wrażenia silnie uderzają: Głębokie zamyślenie Laurentego, i sen kobiéty, noc przedstawiającéj.

Laurenty tak jest pełen życia i wyrazu, iż gdyby nie to głębokie zadumanie jego, możnaby się gniewać iż nie wita wchodzących. Przezwano go też *il Pensieroso*.

Noc, lubo w niewygodnéj pozycyi, tak smaczno śpi iż nieznając nawet wierszy jéj twórcy, któremi zaleca by jéj niebudzono, mimowolnie tak przez uszanowanie snu jéj, jak zamyślenia księcia, głosu wznieść tam nikt zrazu nieśmie.

(1) Ob. wyżej cytowane dzieło *Dandola; Firenze sino alla caduta della republica.*

Wiersze o których wspominam były odpowiedzią na te co Michał Anioł, razu jednego, znalazł pod swą nocą, ołówkiem skreślone. Wielbiciel téj nocy tak się wyraził;

La notte che tu vedi in si dolci atti
Dormire, fu da un angel scolpita
In questo sasso, e benche dorme ha vita;
Destela, se no'l credi, e parlerati.

(Noc którą widzisz w tak słodkiem uśpieniu, anielską była ręką z kamienia dobytą. A ponieważ śpi więc żyje. Obudź jeśli wątpisz a ona przemówi.)

Lecz to już było po śmierci Leona, w czasach dla Florencyi najsmutniéjszych. Michał Anioł wnet też w następujący odpisał sposób:

Gratto m'e il sonno, e pui l'esser di sasso
Mentre che'l danno e la vergogna dura;
Non veder, non sentir, m'è gran ventura:
Però non mi destar; deh' parla basso.

(Miły mi sen mój; milsza być kamieniem, póki ucisk i hańba panują. Nie widzieć, nie czuć, wielkiém mi jest szczęściem; nie budźże mię proszę i mów z cicha.)

Oba te posągi jak Laurentego tak Nocy, cudne są wyrazem i prawdą. Juljan mniéj mówiący. Dzień bardzo jest obudzony i energiczny w swem spojrzeniu. Stary pomrok je ma przymglone, a świtanie, w postaci kobiety, z tych dwóch grupp najmniéj wykończone, może nie dość delikatne i młode.

Mniéj jeszcze niż pomrok i świtanie wykończony jest Matki Boskiéj posąg, któréj większa część z bryły nie wyszła. Lecz gorzéj daleko niż to jéj niewykończenie rażą dwie obok niéj świętego Laurentego i Damiana statui. Zdaje się iż tam postawione dla porównania ich stylu drobiazgowego i nikczemnego, z szerokim i szlachetnym *Buonarottege* stylem.

Żałować tylko należy iż ta kunsztu świątynia uwieczniła pamięć dwóch ludzi, z których pierwszy Juljan, książe Nemours, między *Medyceuszami* najmniéj znakomitą grał rolę, a drugi Laurenty książe Urbinu, lepiéj byłoby żeby nie grał żadnéj. Ciceroni też miejscowi mówią najczęściéj, iż to są dwaj wnukowie Kozmusa *ojczyzny ojca*, i lepiéjby zapewne było. Wzrok ten pełen głębokiéj myśli, bardziéjby przystał Laurentemu *wspaniałemu*, niż wnukowi jego, który jeśli o czém w życiu pomyślał, to o niegodnych sposobach dogodzenia swym zmysłowym lub ambitnym żądzom. Widać oczywiście iż Michał-Anioł nie mogąc nic ze

swego wzoru wydobyć, omijając historyą, jedynie w tym utworze własnemu poruczył się natchnieniu.

Kaplica książęca innego zupełnie jest rodzaju; dla ocenienia jéj wartości trzebaby mieć z sobą jakiego jubilera, coby na złoto zredukował wszystkie jéj precjoza. Mnie zaś opowiadano ile tam jest ametystów, topazów, agatów i t. d. Lecz cała ta mozaika, dość w ogóle szara, nie ćmi nawet oka swym przepychem, a tém mniéj stroną artystyczną nęcić go może.

Kozmus I, zostawszy wielkim księciem toskańskim, chciał wystawić dla swego potomstwa grobowiec wspanialszy od wszystkich jakie widział, o jakich słyszał; chciał nim zaćmić sławę Michała-Anioła kaplicy, dla starszéj Medyceuszów linii przeznaczonéj, a przeczuwając iż pod kunsztownym względem nie będzie to rzeczą podobną, bogactwem usiłował brak geniuszu zastąpić. Gdy jednak te niezdały mu się odpowiadać swemu celowi, nowego szukając blasku, umyślił sprowadzić z Jerozolimy najświętszy z grobów, i w pośród swéj rodziny i swych bogactw go umieścić.

Lecz zbyt szerokie, zbyt zuchwałe na potęgę Kozmusa i następców jego marnie te wszystkie spełzły zamiary.

Kaplica książęca, jak i Michał-Anioła, dotychczas nieskończona, o tyle swą chybioną pretensyą gniewa znawców, ile tamta w nich uwielbienia obudza. Mieści ona w sobie sześć posągów, sześciu pierwszych toskańskich książąt; to jest trzech Kozmusów, dwóch Ferdynandów i Franciszka. Brakuje w niéj ostatniego z nich, Jana Gastona, który obojętny na wszystko, słusznie może być za cień tylko domu *Medyceuszów* uważanym.

Ta jest jednak korzyść dzieła tego rzędu, iż gdy do Michał-Anioła nikt dotknąć się nie śmie, i już na zawsze niedokończonym pozostanie, te powoli teraz kończą. Sufit już świeżemi pokrył się freskami; ołtarz z mozaiki florenckiéj, nad którym od lat dwudziestu, większa część rąk rządowéj fabryki pracuje, już się ma ku końcowi; lecz gdy ten niema być umieszczonym, aż się wszystkie książęce posągi, mocno już zczerniałe, na nowo odzłocą, mniemam iż jakiś jeszcze kawał do tego upłynie czasu. W odświeżeniu sufitu, uważano może sposób zachęty dla malarzy florenckich; w ołtarzu zużytkowanie mozajkowéj fabryki, któréj kosztowne a bezkorzystne utrzymanie, oddawna na rządzie ciąży (1). Do odzłocenia zaś kolosalnych posągów i licznych ozdób, ogromnie wiele

(1) Życzę ci ją zwiedzić, jako rzecz godną widzenia.

wyjdzie szacownego kruszcu, i ztąd wnosić można, że wielki książe nieprędko na taki zdobędzie się koszt.

Po kościele i kaplicach warto rzucić okiem na stary klasztor, a w nim zaraz pośpieszyć do sławnéj laurentyńskiéj biblioteki.

Tam znowu wspomnienie *Medyceuszów* i geniusz Michała-Anioła nas spotykają. Pierwsze bowiem tego bogatego zbioru rękopisma, były staraniem Kozmusa starego i brata jego Laurentego zgromadzone; a budowę z rozkazu Leona Xgo wzniósł *Buonarotti.*

Bibljoteka znacznie się wzbogaciła, gdy w 1808 umieszczono roku na jéj pułkach obutwiałe pargamina bibljotek, z pokasowanych wówczas klasztorów zabrane. Rzadko się też da widzieć tak dużo, jak dawnych w każdym języku manuskryptów, i w tak przykładnym utrzymanych porządku. Każda z ksiąg, o jakie najczęściéj pytają, ma swój osobny pulpit, do którego żelaznym łańcuchem jest utwierdzoną; a oprawa jéj, zapinka, pulpity i ławki tego przybytku, dziwne swą starożytnością, równie prawie są ciekawe, jak to, co się w księgach znajduje.

W pośród bibljoteki, na małym stoliczku, widać z pod szklannego pokrycia palec! Jest to palec *Galileusza.*

Nieuwłaczając bynajmniéj astronoma sławie, niemogłam ani się domyśleć ani się dowiedzieć, zkąd on się tam wziął, i co on tam robi?

W akademii weneckiéj, w gabinecie rzeźb, rękę *Canowy*, Wenecyi syna, pierwszego swéj epoki rzeźbiarza, zrozumiałam. Ale *Galileusz* ani był Florentczykiem ani literatem; a jeżeli bibljoteki podobnemi mają zdobić się relikwiami, dziwić się należy iż Florencya tyle sławnych posiadając zwłok, na jednym Galileusza poprzestała palcu.

XVI.

BOCZNA LINIA MEDYCEUSZÓW. — TRZECIE DOMU TEGO WYGNANIE. — LORENZINO.

Po śmierci Leona Xgo, zaczyna się nowy dla Florencyi period, który i Medycejskiéj dynastyi, możnaby słusznie antraktem nazwać.

Linija starsza już była skończoną, a lubo kardynał Juljusz (późniéj Klemens VII) do niéj się liczył, lubo papież Leon zwał go swym krewnym, za brata uważał i kochał, wiadomo jednak było, iż ojciec jego, młody Juljan, brat Laurentego Wspaniałego, zszedł bezżenny.

Prócz Juljusza, było jeszcze dwóch młodszych podobnego pochodzenia *Medyceuszów*: Hipolit i Alexander. Oba bez znanych rodziców, w Rzymie pod papiezką wzrastali pieczą, dalszych czekając od niego przeznaczeń.

Niespodziana śmierć Leona, tak w familii jak w Rzymie i Europie, wielkie zrobiła wrażenie.

Kardynał Juljusz, po śmierci Laurentego II, objąwszy z rozkazu Papieża Florencyi rządy, daléj je prowadził. W Rzymie zaś obrano na apostolski tron, dawnego nauczyciela Cesarza Karola Vgo, naówczas we Włoszech przemagającego.

Ten, pod nazwiskiem Adriana VIgo, zaczął zupełnie przeciwną od Leona Xgo iść drogą. O tyle w obyczajach srogi, ile tamten był wol-

nym, groził aż do przedmiotów kunsztu, swą rozciągnąć surowość. Artyści popadli w niełaskę. Rzymianie zaczęli się lękać o Laokoona, o swego Apollina belwederskiego, od których to arcydzieł, papież odwracając oczy, nazywał bałwochwalstwem cześć im niesioną, i niszczyć zamierzał. Sknerstwo jego także, jeszcze silniejszy obudzało po Medyceusza hojności żal. Mniemano, iż kardynał Juljusz, byłby wskrzesił jego panowanie; jakoż po krótkiéj próbie, gdy Adrjan VI skończył, Juljusz mimo nieprawości urodzenia (które było powinno stanąć mu na przeszkodzie), jednogłośnie następcą jego obrany.

Juljusz, czyli już teraz Klemens VII, posiadał istotnie wiele zalet, a jeszcze więcéj wad Leona. Kunszta odzyskały w nim protektora. On to ową sławną we Florencyi kaplicę, o któréj tak obszernie w ostatnim było rozdziale, poruczył *Buonarottego* wykonaniu. Familja znalazła w nim dumnego i troskliwego o swą świetność opiekuna; lecz religia, lecz moralność i obyczaje, już i tak mocno wstrząśnione i rozwolnione, na ostatni spadły zniewagi szczebel; a potęga Rzymu za Juljusza IIgo i Leona Xgo, do wysokiego doprowodzona stopnia, okrutny odebrała cios.

Klemens, zmuszony dla Rzymu opuścić Florencyą, posłał tam do rządzenia dwóch młodych imienników, o których wyż wspomnieliśmy, Hipolita i Alexandra, pod nadzorem kortońskiego kardynała *Passerini.* Kardynał człowiek niezręczny, twardy i obcy zwyczajom florenckim, wkrótce wszystkich zniechęcił, i na nowo zaczęto na medycejskie wyrzekać jarzmo.

Gdy tak we Florencyi za dawną wzdychano wolnością, Klemens VII, niezręczną polityką, wielką na Rzym ściągnął klęskę.

Obawiając się coraz bardziéj wzmagającéj się we Włoszech potęgi cesarza Karola Vgo, tajemne zawarł przeciw niemu z Francyą przymierze. Późniéj, po sławnéj pod Pawią bitwie, gdzie cesarz pojmał Franciszka Igo, i całkiem go zgniotł, Klemens wprawdzie cofać się z pierwszego kroku swego począł, i o zawieszenie broni prosić. Lecz już było zapóźno; cesarskie wojska uważając papieża za głównego nieprzyjaciela, zapalczywie do Rzymu wkroczyły. Miasto zostało zrabowane, posągi potłuczone, pomniki w gruz obrócone; ulice krwią i łzami broczą, a papież do twierdzy Ś. Anioła schroniony, ogromną summą wolność swą zaledwo okupić zdołał.

Wieść tych straszliwych wypadków, nowego we Florencyi, przeciwnikom *Medyceuszów* nadała hartu. Familja *Strozzi*, a na jéj czele, Filip mąż Klaryssy córki Piotra II, a siostry ostatniego Laurentego, przewodniczyć im zaczął. Sama nawet Klaryssa, nieuważając tych wszystkich nieprawych imienników za krewnych, przyczyniła się do ich zguby; a tak,

Medyceusze po raz trzeci zostali z Florencyi wygnani. Mała Katarzyna, lubo prawego i książęcego rodu, nie uszła nawet wyrokowi temu, a papież stał się przedmiotem tysiąca wierszy, paszkwilów, karykatur, do których najsławniejsi artyści swego nieodmawiali pędzla.

Było to nad wszystkie inne najboleśniejszą dla Klemensa boleścią.

Samą pałając przeciw swéj ojczyznie zemstą, dla dogodzenia jéj, poświęcił swą przeciw cesarzowi urazę. Nietylko zawarł z nim przymierze, lecz udawszy się do Bolonii, włoskim królem go tam koronował. Ta ceremonja tém jest pamiętniejszą, iż była już tego rodzaju w owych czasach ostatnią, i dopiero za dni naszych w Medyolanie się ponowiła, gdy Napoleon królem włoskim się ogłosiwszy, żelazną włożył na swe czoło koronę.

Florencya widząc tę ścisłość papieża z Rzymem, domyśliła się, iż drogo jéj przyjdzie swą chwilową opłacić wolność. Do obu wysłała kilku szanownych obywateli, dla zmiękczenia pierwszego, a otrzymania od drugiego przyrzeczenia pokoju i swobód.

Lecz papież odpowiedział, że florentczycy powinni jemu się poddać, całkiem spuszczając się na jego łaskę, a cesarz, że trzeba słuchać papieża i przywrócić *Medyceuszom* władzę.

Gdy z taką posłowie wrócili odpowiedzią, rzeczpospolita zaczęła się uzbrajać, na morderczy gotując się bój. Michał-Anioł *Buonarotti* rzucił pędzel, kielnię i dłóto, i wziął się do fortyfikowania najwyższych stolicy punktów, a jak we wszystkich rzeczach, tak i w téj okazał się celującym.

Tymczasem, niemieckie i hiszpańskie legje, połączone z papiezkiém wojskiem, posuwały się na Florencyą. Ta zaś, od wszystkich opuszczona, bo nawet odwiecznie z nią sprzymierzona Francya, pokój z cesarzem zawarłszy, niemogła już z nią trzymać, na własnych a tak szczupłych jedynie polegała siłach.

Wówczas to, wszyscy zwołani do ostatecznéj narady obywatele, jednogłośnie zawołali, iż lepiéj zginąć ze sławą, niż z hańbą się poddać. Jeden tylko obwód miasta, nazwany smoczym *(del dragone)*, za uległością wotował, a historya na wieczny zakał, przechowała imie jego.

Wówczas to także, gonfalonier *Capponi*, człowiek pełen światła, zrobił wniosek już nieraz wyśmiany, a który jednak miał swą ważną stronę, gdyż silnie działając na umyśle ludu, kładł zarazem tamę ambitnym szlachty widokom, jakie nieraz wpośród rewolucyi się rodzą.

Capponi bowiem, po długiéj w religijnym duchu przemowie, podał myśl obrania królem Florencyi Jezusa Chrystusa. Wniosek ten wielką

większością przyjęty, miał jednak dwadzieścia i dwie przeciwnych kresek, co dla wielu dziejopisarzy, nowym stało się żarcików przedmiotem.

Chrystus więc, jako jedyny ginącéj rzeczypospolitéj opiekun, uroczyście królem jéj obrany, imie jego na rządowym pałacu, i na chorągwiach zapisane (1); a pod tém godłem takie się cuda waleczności działy, iż tu już, jakie bądź w téj mierze zdania, dzielily pisarzy, w jeden uwielbienia odgłos w tym spotkały się punkcie. Wszyscy przyznają, iż Sparta chlubiłaby się podobnemi dziećmi, taką jak ich sławą.

Michał-Anioł nieopuszczał wałów. Z wierzchołka dzwonnicy kościoła San Miniato, strzegł swego dzieła, swych niezdobytych szańców; a gdy postrzegł iż nieprzyjacielskie działa, głównie w ten właśnie zmierzają punkt, artysty serce ozwało się w strategika piersi; zląkł się o piękne téj świątyni ozdoby. Następnego dnia cały kościół znalazł się okryty wełnianemi materacami, w których kule więzły żadnéj nieprzynosząc architekturze szkody.

Tak blizko roku, 13,000 florentczyków, przeciw trzy razy przemagającéj cesarskiéj sile walczyło. Należy to do najpiękniejszych narodu tego dziejów; lecz to był już ostatni bohaterskiéj sławy jego odgłos, ostatni rzeczypospolitéj jęk.

Po tylu nadaremnych usiłowaniach, papież domyślił się, iż złotem łatwiéj niż żelazem do Florencyi trafi. Czego niezdołała urągająca cesarska potęga, podstępna dokonała zdrada. Florencya acz wycieńczona, miała jeszcze zasoby, nietraciła nadziei; gdy *Malatesta*, jeden z dowódców jéj zbrojnéj siły, dał się przekupić.

Po ostatniéj walnéj bitwie, republikanie zdradzeni, trupem pokrywszy swéj sławy i upadku pole, ujrzeli się bez ratunku. Dnia 12 sierpnia 1530 roku, rząd niewidząc innego środka, zaczął kapitulować. Cesarz wspólnie z papieżem przyrzekli amnestyą, swobody i wolności, dając jednak za naczelnika nowemu rządowi Alexandra *Medyceusza*.

Lecz, prócz tego ostatniego warunku, wszystkie inne przyrzeczenia, żadnego nieotrzymały skutku.

Zanim jeszcze Alexander do Florencyi przybył, zaczęto poszukiwania *Medyceuszów* nieprzyjaciół, a głowy ich natychmiast zaczęły spadać. Po przyjeździe zaś nowego pana, jeszcze poszło gorzéj.

Papież który nigdy nie mając rodzeństwa, zwał go jednak swym synowcem, zdawał się jeszcze żwawszą niż stryjowską kochać go miłością. Otrzymał dla niego rękę Małgorzaty córki cesarza Karola V (wprawdzie

(1). „*Jesus Christus, rex fiorentini populi s. p. decreto electus.*“ Tak jest zapisany w archiwach, i taki był tego Florencyi króla urzędowy tytuł.

podobnegoż jak on sam rodu), zrobił go najprzód księciem na mieście Parmie; następnie obaliwszy do reszty pozór nawet dawnych rzeczypospolitéj ustaw, ogłosił go dożą, czyli księciem florenckim.

Alexander tak gruntownie widząc swą ustaloną władzę, rozpoczął najszkaradniejszych nieprawości pasmo.

Dla zatarcia śladów swego niecnego rodu, własną kazał struć matkę. Krewny jego Hipolit, z którym pierwszą spędził młodość, nienawistnym stał mu się wrogiem. Tyle łącząc uprzejmych zalet, ile ich Alexandrowi brakło, znakomity literat i ogólnie ceniony, jako starszy z pomiędzy tych ubocznych *Medyceuszów*, większe do Florencyi mógłby rościć prawa. Papież usuwając Hipolita od Florencyi rządów, mianował go kardynałem. Ten jednak mimowolny kardynał, chciał się udać do cesarza Karola V, by do jego zaciągnąć się szeregów, gdy Alexander, przelękniony żeby mu u cesarza nie zaszkodził, otruć go także rozkazał.

Już tak więcéj lat sześciu, Florencya pod najokropniejszém stękała jarzmem, żadna w niéj choćby najznakomitsza rodzina nie będąc od hańbiących rozwięzłego księcia ścigań wolną, żadna piękna kobieta od napaści jego, gdy w gronie swawolnéj otaczającéj go młodzieży, znalazł się człowiek mały, blady, słabowity, bardziéj niewieścich niż męzkich rysów.

Był to także *Medyceusz*, ulubionego w ich rodzinie Laurentego imienia; lecz dla swych zdrobniałych kształtów, Lorenzino przezwany.

Lorenzino wiódł swe pochodzenie od najstarszego Laurentego, od brata *ojczyzny ojca*. Lecz gdy ta druga linja na dwie jeszcze rozeszła się gałęzie, a on do młodszéj z tych dwóch należał, Alexander żadnéj nie mogąc mieć o pretensye jego do rządów obawy, całkowite w nim pokładał zaufanie.

Zaufanie to jeszcze bardziéj charakterem młodego *Medyceusza* usprawiedliwiać się zdawało. Niegdyś historyi i literaturze oddany (w któréj wielce wówczas cenioną komedyą, pod tytułem Aridosio, pewną zrobił sobie sławę), teraz wesół i pusty, Lorenzino samą żył roskoszą, w zabawach i swawolach jedynie dni trawił. Niektórzy tylko postrzegali, iż pośród szumu hucznéj biesiady, nieraz się głęboko zamyślił; iż nieraz niosąc pełen do ust kielich, jakieś tajemne spełniał toasta. Lecz nikt nieznał ani jakichbądź związków, ani przyjaciół jego. Lorenzino, ze wszystkiemi dobrze a z nikim ściśle ni otwarcie, jedynie z księciem Alexandrem żył w poufałości, i jego wzajemnie był poufnikiem.

Dnia jednego, gdy książe się przed nim uskarżał iż pewna dama surowym oporem na jego odpowiada zaloty, co go mocno niecierpliwiło, Lorenzino zaczął go wyśmiewać, utrzymując iż gdyby się w to wdał, zarazby inaczéj rzeczy poszły, gdyż, jak dowodził, na świecie trzeba tylko

zręczności. Upoważniony od Alexandra, zaczął istotnie w jéj przesiadywać domu, a w kilka dni potém doniósł, iż starania jego uwieńczone zostały.

Wiadoma osoba przyrzekła, jak mówił, o północy przyjść do jego pałacu, gdzie będzie na księcia czekała, kładąc tylko warunek największéj tajemnicy.

Dnia 6 stycznia 1537 r., Alexander po wesołéj wieczerzy, pożegnawszy towarzystwo, przebrał się, twarz pokrył maską, i tylnemi z pałacu swego wykradł się drzwiami. Ludzie jego zwyczajni podobnych wycieczek, nieraz do kilku dób się przeciągających, udali jak zwykle że go niepoznali.

Lorenzino już go u progów swych czekał, lecz doniósł mu że jeszcze nikogo niema. Wprowadził go do swéj sypialni, i namówił żeby zdjąwszy odzienie, i jakiś rodzaj zbroi, którą przez ostrożność zwykle pod niém nosił, spoczął na łóżku, czekając szczęścia chwili; a on Lorenzino miał tymczasem u bramy wyglądać pożądanego przedmiotu, téj damy, którą sam miał wprowadzić, wysławszy dla większéj tajemnicy wszystkich z domu ludzi.

Cała służba istotnie wydaloną była; okienice i drzwi ściśle pozamykane; pałac był całkiem cichy, ciemny i głuchy. Lorenzino, na drugim jego końcu, jednemu tylko pozostać kazał służącemu. Był to silny i wysoki chłop, nazwiskiem *Scorucucolo*.

Scorucucolo, teraz przywołany i do ciemnéj obok sypialni wprowadzony komnaty, dostał w rękę ostry sztylet, i rozkaz wszelkiej na każde zawołanie gotowości.

Lorenzino z cicha do sypialni wróciwszy, znalazł księcia na pół uśpionego, i natychmiast szpadą łono mu przeszył.

Alexander mimo to powstał, a pasując się ze swym mordercą, tak go mocno w palec ukąsił, iż ten z bólu słabnąć począł, i byłby może omdlony na miejscu pozostał, a książe znalazł ratunku środek, gdyby przywołany *Scorucucolo* niebył go dokończył.

Tak to *Medyceusze* nietylko tyranów, ale i Brutusów w swém liczyli imieniu.

Lorenzino, oddawna pieszcząc w duszy swój zamiar, nikogo wcale nie przypuścił do niego. Sam *Scorucucolo*, jedyny jego wspólnik i wykonawca, niewiedział komu śmierć zadał. Pan jego istotnie zagasił był w pokoju światło; a gdy słońce tę morderczą oświetliło scenę, gdy biedny zbrodniarz poznawszy ofiarę, przerażony swém dziełem, pobiegł do rządzących osób wykryć je, siebie i pana swego oskarżyć, Lorenzino już daleko na bolońskiéj gonił drodze.

Ministrowie Alexandra *Scorucucolę* przytrzymali, a przed wyjawieniem śmierci księcia, wzięli rzecz na rozwagę.

W pałacu nie dziwiono się jego nieobecności. Mniemano, iż się tajemna przedłużyła swawola, i podług raz na zawsze wydanych, w podobnych zdarzeniach rozkazów, nieposzukiwano go wcale.

Rząd tymczasem, po krótkim namyśle, posłał po młodego Kozmusa, osierociałego jedynaka, wojownika Jana, z drugiéj *Medyceuszów* linii, a ogłaszając ludowi śmierć Alexandra, przedstawił mu zarazem następcę jego.

Taką koleją skończył się brudny nieprawych *Medyceuszów* ustęp, (gdyż i papież Klemens VII, już był swe panowanie dokonał), a zaczęła się od Kozmusa młodsza lecz prawa ich linia. Owdowiała Małgorzata, niedawszy Alexandrowi potomstwa, zaślubiła późniéj księcia Farnezy.

Nikt się niedowiedział, czy Lorenzino Alexandra śmiercią, pragnął jedynie ojczyznę swą od krzyczącéj oswobodzić tyranii, czyli łączył w tém, jakieś dla siebie widoki; nikt niewytłómaczył, czemu dokonawszy swego zamiaru, nad którym jak się zdaje długo przemyślał, saméj sobie opuszczając Florencyą, tajemnie z niéj wyjechał.

Przybywszy do Bolonii, następnie do Wenecyi, gdzie znaczniejsze Florencyi domy, po ostatnim *Medyceuszów* powrocie, przed zemstą ich się chroniły, rozpoczął wprawdzie kroki, mogące mieć dobro i wolność ojczyzny na celu; lecz wkrótce się dowiedział, że te były już niewczesne.

Niebawnie potém, przekonawszy się iż panujący krewny jego Kozmus, ma go w podejrzeniu, do Konstantynopola się udał. Wróciwszy jednak do Wenecyi, napisał stylem pięknym i wzniosłym, rodzaj usprawiedliwienia swego; co go wszakże od zbójeckiéj nie ochroniło ręki.

Po jedenastu leciech krycia się i tułactwa, dnia 26 lutego 1548 roku, napadnięty w Wenecyi przez dwóch florentczyków, z rozkazu toskańskiego posła zaczajonych na niego, podobnąż zszedł śmiercią, jaką Aleksandra zgładził.

XVII.

MŁODSZA MEDYCEUSZÓW LINIA. — BIANKA. — KONIEC MEDYCEJSKIÉJ DYNASTYI.

Kozmus, młodości swéj, niedoświadczeniu, i nadziejom jakie one w ministrach Alexandra zrodziły, jedynie wywyższenie swe był winien.

Zaledwo siedm lat liczył, kiedy straciwszy ojca, pod skrzydłami matki, w domowém wychował się zaciszu. Teraz, w ośmnastym roku, do rządów wezwany, można było słusznie wnioskować, iż swém imieniem będzie tylko obce pokrywał panowanie; iż na wzór poprzednika, oddając się wieku swego uciechom, trudy książęcego zawodu, zostawi tym co go do nich powołali.

Lecz te wszystkie rachuby całkiem zawiedzione zostały.

Historya owszem mało przedstawia charakterów tak zupełnych, tak samodzielnych, jaki się zaraz po ogarnięciu władzy w Kozmusie objawił; żałować tylko należy, iż łącząc do tych nieba darów najsromotniejszą przewrotność, używał ich na dopięcie zamiarów dumą natchnionych, a niegodnych szlachetnego umysłu, często nawet sumieniem potępianych.

Kozmus bez starań i wiedzy ogłoszony w 1537 r. Alexandra następcą, z tytułem jaki on posiadał, to jest doży czyli księcia Florencyi, wojną a jeszcze bardziéj intrygą osiągł późniéj w 1555 r. dostojności księ-

cia na Siennie; w końcu w 1569 podobnemiż sposoby otrzymał to do czego wszystkie jego dążenia i podejścia zmierzały. Papież Pius V, dał mu bullę na wielkie księstwo toskańskie, i pod tymże tytułem koronował go w Rzymie 5 Marca 1570 r.

Acz długo jeszcze potém, Niemcy i Hiszpanja na ten nowy i przedtem nieznany tytuł, przystać wzbraniały się, Kozmus jednak za pierwszego wielkiego Toskanji księcia uważany, został w historyj nazwany *pierwszym*, co czyni iż mając prócz tego kilka wspólnych rysów z Kozmusem starym, *ojczyzny ojcem*, i istotnie między Medyceuszami *pierwszym*, nieraz z nim zamieszany bywa.

Oba wprawdzie byli swoich linji głową, oba wspierali nauki i kunszta; a Kozmus I tém hojniéj mógł swą medycejską wspaniałość rozwijać, iż wziąwszy z obu linij spadek, ogromne posiadał bogactwa. Florencya też wiele mu swych ozdób winna, Piza kawalerów S. Stefana zakład, pałac ich i kościół.

Lecz jeśli są podobieństwa, liczniejsze jeszcze są różniące tych dwóch *Medyceuszów* znamiona. —

Jak pierwszy miał zawsze na celu godność i ogólne współrodaków dobro, tak drugi do poddaństwa usiłował ich tylko nagiąć. Pierwszy mimo swéj do wspaniałych gmachów skłonności, gdy zakładał dotąd istniejący dla swéj rodziny pałac (zwany teraz pałacem Riccardi), z przedstawionych sobie planów, z umysłu wybrał najskromniejszy. Drugi, kupił od zubożałych potomków *Pitti*, książęcy ich zamek, podejrzliwy i niespokojny, krytym korytarzem połączył go z rządowym pałacem, i powiedział, iż dopiero uzna się księciem, gdy swych przodków opuści gniazdo.

Kozmus stary, z arystokracyą tylko dumny, żadnego nie biorąc tytułu, pod skromną kupca powierzchownością, domowemi cnotami przykładem był swym ziomkom, publicznemi górował nad niemi.

Kozmus I przeciwnie, z możniejszemi podły, u siebie pychą nadęty, postrachem rządził; a w domowém pożyciu stał się wieku nawet swego zgorszeniem.

Po niespodzianym Alexandra zgonie, schronieni przez ciąg panowania jego, do Bolonji i Wenecyi zkompromitowani Florentczycy, pod dowództwem Filippa *Strozzi* podniósłszy wolności chorągiew, poszli na Florencyą. Kozmus ich zgromiwszy, naczelników śmiercią karać rozkazał. Pojmany *Strozzi*, mąż Klaryssy *Medicis*, w ostre wtrącony więzienie, torturą męczony, sam swój przyspieszył koniec. Prócz tego, na czterechset nieobecnych obywateli, Kozmus wyrok śmierci rzucił, i od tego to zaczęło się młodego księcia panowanie.

W dwudziestym roku, poślubił Eleonorę z Toledu, wice-króla neapolitańskiego córkę. Ta go licznem obdarzyła potomstwem; lecz mu się to na nieszczęście obróciło. Dzieci jego, jakby ojcowskie nosiły na sobie grzechy, same niecnoty przykładem, prawie wszystkie morderczą zeszły śmiercią.

Jeden z synów jego Jan, poróżniwszy się na polowaniu z bratem o sarnę, którą każdy chciał zdobyć, z ręki jego zginął. Matka ich Eleonora, upadła do nóg ojca prosząc za winowajcą, lecz Kozmus odrzekł, iż niechce nowego w swéj rodzinie Kaina, i sam nożem go przeszył. Nieszczęśliwa matka niezdołała podwójnego znieść ciosu, a Florencya, po wesołym swych książąt, na polowanie wyjeździe, trzy ujrzała wracające trumny. Niektórzy mniemają że i Eleonora z ręki rozgniewanego męża śmierć odebrała.

Przedtém jeszcze, najstarsza ich córka Marya, zdybana w miłosnéj schadzce z młodym *Malatestą* z Rimini, paziem ojca swego, otrutą z rozkazu jego została. *Malatesta* do więzienia wrzucony, w kilkanaście lat potém się wymknął; lecz w chwili gdy dosięgał wyspy Kandyi, gdzie ojciec jego wielki sprawując urząd byłby go ocalił, pod zbójeckim upadł sztyletem.

Piękna i z literackiego znana usposobienia Izabella, młodsza córka Kozmusa, i jak mówią, zbytecznie od niego kochana, została zaślubioną *Orsiniemu*, księciu Bracciano. Lecz ten przekonawszy się o jéj płochości, zawiózł ją na wieś i udusił.

Z trzech pozostałych synów, najstarszy Franciszek, który po ojcu panował, dziwném zdarzeniem, jak to poniżéj opowiem, został struty; najmłodszy, Piotr, zabił swą żonę, księżniczkę hiszpańską, a w Hiszpanji, którą mimo to nad Florencyą przekładał, na rospuście i intrygach przeciw braciom resztę dni strawił.

Słowem, z tak licznego domu został tylko jeden Ferdynand, kardynał. Ten lubo niekiedy o śmierć brata posądzany, jednak, jak się zdaje niewinny, został powołany do przedłużenia swéj linii.

Lecz zanim jeszcze do Ferdynanda dojdziem, trzeba pierwéj o Franciszku, który go poprzedził, opowiedzieć.

Ojciec ich, przedwcześnie zużyty kłopotami i roskoszami życia, nękany chorobą i domowemi zgryzoty, a do tego niespokojny o los następstwa swego, umyślił za życia synowi zapewnić nie wszędzie jeszcze uznaną toskańską koronę.

Ożeniwszy Franciszka z austryacką księżniczką, powołał go do regencyi, a sam pozostając przy najwyższéj władzy, ciężar tylko podrzę-

dnych interesów na regenta zrzuciwszy, całkiem się miłośnym oddał rozrywkom.

Zakochał się najprzód w młodéj osobie z wysokiego rodu *Albizzi*. Po ścisłych związkach wydawszy ją za mąż, drugie podobnież zawarł związki z Kamillą *Marcelli*. Lecz tę, na przełożenie papieża Piusa Vgo, dla którego miał uległości powody, sekretnie zaślubił. (1)

Franciszek z wielu miar do ojca podobny, i z téj go niebawnie zaczął naśladować strony. Niedbały o żonę, po licznych przeniewierstwach, głośny usnuł z piękną Bianką *Capello* romans. A lubo Kozmus złém na to patrzał okiem, lubo lękał się, a poznawszy Biankę przewidywał na czém się skończy, niemógł jednak napominać syna, z siebie podawszy mu przykład.

Bianka *Capello*, była wysokiego rodu wenecyanka. Piękna nad wyraz, śmiała i zręczna, tyle się swém awanturniczém wsławiła życiem, iż dom gdzie w smutném wygnaniu i ubóstwie kryć się musiała, za nim z niego w książęce wstąpiła progi, między ciekawościami Florencyi dotąd pokazują.

Najwiarogodniejsi dziejopisarze tak to opowiadają życie.

W 1563 roku, Piotr *Buonaventuri*, młody i ładny Florentczyk, przybył do Wenecyi dla szukania losu, i umieścił się przypadkiem u znajomego kupca, naprzeciw dumnego *Capellich* pałacu. Niebawnie usłyszał iż ten pałac sławną w swych murach kryje piękność. Naturalną zdjęty ciekawością, wszelkich użył do zobaczenia jéj sposobów; lecz długi czas wszystkie nadaremne były. Bianka tak ostro w domu ojca tzymana, iż nie tylko wyjść jéj nie wolno było, lecz nawet w oknach na kanał wychodzących się okazywać; szczęściem iż te pałace miewają zwykle także od tyłu na małe uliczki okna; Bianka też wieczorami w nich szukała nieco rozrywki i chłodu.

Piotr *Buonaventuri* to wykrył. Co wieczór szedł patrzeć w te szczęśliwe okna; wkrótce spostrzegł że z nich na niego także patrzą. W pięknych oczach wzrok łatwo słowa zastąpi. Wspólnie się też zrozumiano; lecz gdy ta wzroku wymowa, najpiękniejsza i pewno żadną inną nie zrównana późniéj, gdy ta mówię się zużyła, zapragniono dokładniejszéj.

Bianka matki nie miała. Wiedziała o niepodobieństwie wprowadzenia pod jakimbądź pozorem do pałacu ojca obcego mężczyzny; zdecydowała się więc, przy zmroku, krytemi drzwiczkami zejść na dół. W uli-

(1) Poprzednik Piusa Vgo, Pius IV, nosił także *Medyceusza* nazwisko, i jako imiennika wielce wspierał Kozmusa I, chcąc się do toskańskiego łączyć szczepu. Lecz nigdy niemógł jasno rodu swego wywieść, i nigdy też między *Medyceuszów* mieszczonym nie bywa.

cy pełno ciekawych i niebezpieczeństwa. Mieszkanie Piotra tuż naprzeciw, bezpieczniejsze przedstawiało schronienie.

Drzwi, któremi Bianka się wymykała, wewnątrz tylko miały zamek. Bianka je zostawiła przetwarte, a wpośród nocy wracając do siebie, zamykała je dopiero.

Lecz razu jednego, drzwi te dłużéj niż zwykle przetwarte czekały. Piekarski chłopiec, roznosząc nad rankiem chleb po domach, mimo idąc je zatrząsnął. Powrót Bianki stał się niepodobnym, tajemnica jéj musiała się wykryć.

Wykrycie tajemnicy było wyrokiem śmierci jeśli nie obójga, przynajmniéj kochanka Bianki. Oboje to doskonale zawczasu wiedzieli. W godzinę już ich w Wenecyi nie było.

Stary i dumny *Capello*, za późno uwiadomiony, daremnie na wszystkie rozesłał strony. Córkę publicznie wyklął; a dla dokonania zemsty, obiecał 2,000 dukatów, kto pojmie lub śmierć zbiegłym kochankom zada.

Po całym kraju pełno rozbiegło się zbójców. Wszędzie robiono opis rysów i wdzięków pięknéj Bianki, która zaślubiwszy Buonawenturę, razem z nim na dnie sianem naładowanéj łódki, z Wenecyi do Florencyi przybyła; a tam na przedmieściu, w małym matki jego domku, jak najcichsze w ubóstwie i pracy wiodła życie.

We Florencyi, wspólnie z ojcem, panował naówczas Franciszek I. Bardziéj jeszcze ponury, bardziéj podejrzliwy niż Kozmus; prócz spowiednika i małéj faworytów liczby, nikt do niego niemiał przystępu, tak dalece iż zostawszy regentem, własnych nawet braci od siebie usunął.

Wiadomo iż przy młodych książętach, głównem dworzan zajęciem, bywa zwykle wynajdowanie ładnych kobiet. Dworzanie Franciszka tém bardziéj ubiegali się o to, iż ta jedynie zostawała im do skąpych łask jego droga, iż w tém spoczywała nadzieja rozjaśnienia czoła ponurego księcia.

Gdy we Florencyi o niczém niebyło mowy jak o ucieczce Bianki, jeden z dworzan, spostrzegłszy ile się książe tym wypadkiem zajmuje, najżwawszych przyłożył starań do wykrycia miejsca jéj pobytu; wykrył i swemu panu doniósł.

Od téj chwili regent, jedyną zajęty myślą, co ranek, co wieczór, pod oknem wenecyanki się przechadzał. Lecz cóż z tego! Bianka, albo się niepokazała wcale, lub gęstym zasłonioną welonem, można ją było czasem tylko za spuszczoną spostrzedz żaluzyą.

Książe się niecierpliwił: zajęcie jego, to zajęcie tak już do miłości podobne, iż jeśli nie samą miłością, najlepszym do niéj może się zwać wstępem, codziennie wzrastało. Lecz gdy przeciwność, co je podniecała,

zbyt się w miarę chęci księcia i dworzanina przedłużać zaczęła, gdy pierwszy zaczął w gniew swą obracać namiętność, a drugi z nadziei wpadł w obawę swéj przyszłości, oba uznali nowych środków potrzebę.

Dworzanin miał szczęściem żonę: żona dała radę.

Następnego ranka, przyszła do Bianki nie młoda i poważna jakaś kobieta; zaczęła jéj opowiadać jak wielka jedna pani, dowiedziawszy się o jéj smutném położeniu, radaby ją poznać by jéj przyjść w pomoc.

Bianka zdziwiona tém poselstwem, przelękła się i podziękowała odmownie.

Na drugi dzień przyszło od téj wielkiéj pani zaproszenie na objad.

Bianka odpowiedziała że niema w co się ubrać.

Wielka pani kazała jéj oświadczyć że wszystko u niéj się znajdzie czego tylko żądać będzie mogła. Bianka po długiéj z mężem naradzie, przyjęła ofiarę.

Ta wielka pani, była żoną dworzanina. Bianka podług przyrzeczenia, znalazła u niéj najwykwintniejszych strojów obfity wybór. Gdy Wenecyanka w nie się ubrała, gdy intrygantka ujrzała ją tak piękną iż sama zdumiała, zaczęła przekładać iż niepodobna w jéj położeniu bez protekcyi księcia się obejść; że inaczéj zemsta ojca, prędzéj czy późniéj, ją dosięgnie.

Na to nadszedł regent.

Bianka strwożona, dwóch słów wyrzec nie zdołała; lecz książe tak się okazał uniżony, skromny, żadnéj nie wymagający wdzięczności, iż najdzikszе dziecie byłoby się łatwo przyswoiło.

Ośmielona Bianka, najczuléj za przyrzeczoną podziękowała opiekę; nazajutrz przedstawiła księciu swego męża; trzeciego dnia książe ofiarował im pałac, godniejszy *Capellich* rodu, niż *Buonaventurego* matki dworek, i stał się pierwszym ich przyjacielem, codziennym domownikiem.

Zaszczyt ten Piotrowi zawrócił głowę. Jako przyjaciel regenta, uprzejmie wszędzie witany, zaczął być z panami zuchwały i hardy. Bianka, takoż stopniowo się wznosząc, książęcych poczęła nabierać tonów. Prawa żona Franciszka we łzach tonęła.

Lecz ta żona, acz zapomniana i poniewierana, miała nad sercem księcia prawa jakich Bianka przeważyć nie mogła — była matką.— Bianka niechcąc w tém jéj ustąpić, udała iż także wkrótce nią zostanie; jakoż powiła niebawnie syna, którego nazwano Antonijo *Medicis*.

Po tym wypadku, Wenecjankę już zupełnie jako panującą we Florencyi uważano. Mówią iż księżna spotkawszy ją raz na moście, z urągającą miną, chciała ją w rzekę kazać wrzucić. Nie wrzuciła jednak, ale sama się zagryzła i umarła z rospaczy; z czego dziejopisarze bardzo się naśmiewają, bo historyą zwykle piszą mężczyzni.

Po śmierci księżnéj, napomniany przez brata swego, kardynała Ferdynanda, Franciszek, wyjechał z Florencyi, i napisał do Bianki żeby się także z niéj wydaliła. Lecz to już niebyła ta trwożliwa Bianka, co u damy dworskiéj nieśmiała oczu podnieść. Odważna teraz i przebiegła, zamiast wypełnienia ostrego rozkazu, zaczęła się przymilać i podchodzić spowiednika księcia.

W przeciągu dwóch miesięcy, Piotr Buonaventuri, znaleziony na ulicy, kilka razy sztyletem pchnięty, a spowiednik sekretnym ślubem Biankę z Franciszkiem łączył.

W rok potém, rzeczpospolita wenecka, kasując przekleństwo starego *Capellego*, solennie jedynaczkę jego, swą własną ogłosiła córką. Franciszek ją przed całym światem żoną nazwał, a Wenecya wspaniałém poselstwem uroczystość wstąpienia na toskański tron uświetniła. Uczty z tego dawane powodu, kosztowały trzykroć sto tysięcy dukatów.

Jednak podstęp Bianki przysposobionego dziecka się wykrył. Ona sama, nie lękając się już żadnéj rywalki, i gdy po tamtéj został prawy syn, Filip, pierwszeństwo do następstwa mający, wyznała mężowi, iż od ubogiéj kobiety kupiła owego mniemanego *Medyceusza*. Lecz w parę lat Filip umarł. Franciszek miał tylko dwie córki. Gdyby Bianka i nadal bezpłodną pozostała, kardynał Ferdynand po bracie by nastąpił. Bianka, która go niecierpiała (zwłaszcza od chwili kiedy po śmierci jéj poprzedniczki, doradził bratu zerwanie wszelkich z nią stosunków), myśli téj znieść nie mogła. Świeży nadto miała przykład jak książęta toskańscy obchodzą się z pozostałemi swych poprzedników wdowami. Mąż jéj bowiem, po śmierci ojca, Kamillę *Martelli*, powtórną jak mówiliśmy żonę jego, zniewagą pokrywszy, do klasztoru na zawsze zamknąć kazał. Bianka podobnego mogła się lękać losu, gdy jakaś słabość nową w niéj obudziła nadzieję, a księcia napełniła radością.

Lecz wkrótce, i nadzieja i radość zniknąć musiały. Księżna do zdrowia wróciła; a kardynał przelękniony o swą przyszłość, przybiegł do Florencyi, bliżéj podobnych dozorować wypadków.

Bianka nie mile tém przybyciem zdziwiona, domyśliła się od razu powodu jego. Mimo to udała iż chce być pośredniczką między bracią zgody i dobrych już nadal stosunków; a bynajmniéj nie wydalając kardynała, pochlebiając mu owszem, z radością mu wkrótce udzieliła nowéj swéj nadziei powód.

Franciszek uszczęśliwiony, całemu dworowi tę pożądaną doniósł wiadomość. Księżna coraz bardziéj czuła się cierpiącą, a kardynał winszował i czekał.

Przyszła chwila rozwiązania: księżna wpośród nocy, zaczęła bolesne wydawać jęki. Przywołani w takich razach ministrowie, w poblizkiéj sali czekali do wejścia rozkazu, a kardynał natychmiast zbudzony, wziął brewiarz i do pałacu przybiegł.

Bianka usłyszawszy kroki brata, posłała prosząc żeby się usunął, gdyż tak się czuje słabą, iż musi po swego spowiednika posłać.

Kardynał jéj odrzec kazał, iż w drugim będąc pokoju, spowiedzi bynajmniéj nieprzeszkodzi; a w tak ważnych, mówił, dla kraju razach, każdemu wypada robić co do niego należy. Księżna niech swoje robi, a ja swoje, i znów poważnym chodząc krokiem, przykładnie na brewiarzu modlić się począł.

Jednak gdy usłyszał nadchodzącego mnicha, przerwał swą modlitwę. Poleciwszy mu bratowę i serdecznie go przyciskając do łona, uczuł jakieś obce pod habitem ciałko; za drugiém jeszcze czulszém przyciśnięciem, niemowlęcy pisk z pod niego się ozwał. Kardynał radośnie wówczas zawołał, że bratowa nowym już obdarzyła Toskanją księciem; a wyciągnąwszy z pod habitu mnicha pięknego chłopczynę, zaniósł go ministrom z podobnemiż radosnemi okrzyki przedstawić.

Bianka z łóżka swego wszystko to słysząc, ze wstydu i złości, o mało naprawdę nie umarła; i można się domyśleć, jakie w sercu dla kardynała zachowała uczucie.

Po niejakim jednak czasie, wszystko zdawało się niepamięcią pokryte. Najlepsze stosunki, najczulsza przyjaźń w rodzinie panowały; do tego stopnia, że gdy razu jednego kardynał powiedział o swém do jakiéjś potrawy upodobaniu, księżna zaprosiła go do książęcéj willi, *Poggio a Cajano* zwanéj, na śniadanie, przyrzekając sama tę ulubioną potrawę po swojemu zaprawić.

Ferdynand z wdzięcznością zaproszenie przyjął, i na oznaczony dzień i godzinę przybył. Lecz gdy zastawiono śniadanie, czy to w skutek jakiego przeczucia, czy z domysłu lub ostrzeżenia, owego z ręki bratowéj przysmaku skosztować wzbraniał się. Obrażony tą niegrzecznością, więcéj niż niegrzecznością, bo potwarczém podejrzeniem, Franciszek chcąc pocieszyć zażaloną żonę, wziął go sobie obficie na talerz, i smacznie zajadać począł.

Bianka zbladła i słupem stanęła.

Potrawa była zatrutą.

Wyrwać mężowi talerz, było wyznaniem zbrodni, wyrokiem własnéj śmierci. Zostawić mu go, też same w skutkach niosło następstwa. Śmierć Franciszka takoż zbrodni byłaby dowodem.

Księżna po krótkim namyśle, drugie tyle co książe wzięła sobie tejże potrawy, i we dwadzieścia cztery godzin po nim umarła.

W taki sposób, dnia 19 października 1587 roku, skończyło się trzynastoletnie Franciszka Igo panowanie. Taką to śmiercią, z najukochańszéj ręki, trzeci syn, a piąte Kozmusa Igo dziecko, zbrodniczą zeszło śmiercią.

Epoka ta albowiem, tak się między morderczemi nawet wiekami odznaczała, iż *Sismondi*, najsumienniejszy z dziejopisarzy, wylicza w pierwszych ośmnastu miesiącach panowania Franciszka, sto ośmdziesiąt sześć kryminałów.

W skróconych historyach, panowanie to ustępem Bianki, zwykle bywa tylko znane. Możnaby, zda mi się jednak nadmienić, iż jak zabójstwami tak i uciemiężeniem ludu nacechowane było. Franciszek odwdzięczając się, za przyznany mu w końcu przez Austryą i Hiszpanją wielki książęcy tytuł, ogromne dostarczał summy synowi Karola Vgo. Lecz, jeżeli handel i rolnictwo cierpiały, nauki i kunszta niemogły zapomnieć, iż pod *medycejską* żyły opieką. Franciszek wierny rodu swego powołaniu, na wszystkiém skąpiąc, hojnie na obrazy, budowy i posągi sypał. On to w 1580 roku, założył tę pyszną galeryą, dotąd pierwszą Florencyi ozdobą, ozdobą jéj i sławą, a którą najczęściéj ojcu jego przypisują. Za jego także panowania w 1582 r., powstała akademja, *della Crusca* zwana.

Po Franciszku nastąpił kardynał Ferdynand.

Niektórzy, lecz według wszelkiego podobieństwa, mylnie go obwiniają o śmierć braterstwa, oczyszczając z niego Bianki sławę. Postępowanie jego, owszém tak za życia jak i po ich śmierci, przeciwnie zdaje się twierdzić. Kardynał tak się mało zawiścią rządził, iż niecierpiąc Bianki, i mając do tego dość ważne powody, nieodebrał Antoniemu (owemu kupionemu jéj dziecku) ani nazwiska ani familijnych dóbr. Antoni, aż do śmierci, nazwiska i majątku *Medyceuszów* używał. Ferdynand go tylko kawalerem maltańskim mianować kazał, dla zapobieżenia jego małżeństwu i rozkrzewieniu tego dziwnego imienia swego szczepu.

Jak w tém, tak i w innych okolicznościach, Ferdynand Iszy całkiem odmiennym od poprzednika swego postępował torem. A lubo niezawsze całkowitą odznaczał się prawością, lubo czasem hołdował swéj epoce, i przypominał swéj matki hiszpański ród, jednak panowanie jego, do najlepszych jest policzone.

Prócz osobistéj uprzejmości i innych główniejszych zalet, prócz protekcyi jaką handel i rolnictwo odzyskały, panowanie to, pamiętném jest świetnemi dla Florencyi związkami.

Ferdynand ostatni z Kozmusa Igo linii, zrzucił kardynalski kapelusz, dla pojęcia za małżonkę Krystyny księżniczki lotaryngskiéj, siostrzenicy w drugim stopniu Katarzyny *Medicis*. Tak się złączywszy z Francyą, wielki później wywarł wpływ na Henryku IV, którego głównie do przyjęcia katolickiéj wiary nakłonił.

Związek ten z Francyą jeszcze się ścisnął przez małżeństwo Maryi, pozostałéj córki Franciszka I, z tymże Henrykiem IV. Ślub ich dotąd we Florencyi pamiętny, z wielką tam odbył się okazałością. Lecz Marya nieodpowiedziała Ferdynanda widokom. Płocha, a dla familii i pierwszéj swéj ojczyzny nie życzliwa, w Toskanji jak i we Francyi niecierpianą była.

Równie małą przyniosło korzyść wywyższenie Leona XI na tron apostolski. *Medyceusz* ten, z młodszéj ich imienia gałęzi (z téj co Lorenzino) za staraniem Ferdynanda a pomocą Francyi i Hiszpanji, papieżem obrany w kilka tygodni potém umarł.

Ferdynand wsławił się także, liczne przeciw muzułmanom obracając flotty, a zmieniwszy plan głębokiéj swéj polityki, zamiast z Francyą, chcąc się ściśléj z Austryą połączyć, ożenił starszego syna swego z arcyksiężniczką Maryą Magdaleną.

Niebawnie potém, ogólnie żałowany, skończył swe 22letnie panowanie.

Za jego czasów słynął *Galileusz*.

Jacek *Perri* i Juljusz *Caccini*, wówczas także utworzyli operę. Pierwszy był twórcą recitatiwy. Muzyka pod protekcyą Ferdynanda ogromny we Florencyi zrobiła postęp.

Z ośmiorga Ferdynanda dzieci, najstarszy pod imieniem Kozmusa II, czwartym został wielkim księciem toskańskim. Równie jak ojciec o dobro kraju gorliwy, nie posiadał ani w połowie zdolności jego. Okoliczności za to daleko mu bardziéj sprzyjały. Kilkakrotnie ponawiający się za ostatniego panowania nieurodzaj i głód, w największą zmieniły się obfitość. Liczna znów *Medyceuszów* familja rzadkiéj zgody dawała przykład; a wielki książe jako prawowierny jéj członek, hojnie wspierał talenta, znakomitych ludzi do koło siebie gromadził, i przyjaźnią zaszczycał. Umarł na początku 1621 r. dożywszy zaledwo lat 32. Zostawił dzieci pięcioro.

Najstarszy z nich, Ferdynand II, miał lat jedenaście gdy pod regencyą matki i babki zaczął swe panowanie. W siedm lat potém, ogarnąwszy rządy, znalazł wprawdzie pokój w kraju, lecz skarb w najgorszym stanie.

Regentki, jeszcze przedtém, zaręczyły młodego księcia z Wiktoryą, ostatnią z domu *Roweréw*, urbińskich książąt. Było to w celu połączenia tego księstwa z Toskanją. Lecz Ferdynand II nie umiał praw swych utrzymać. Księztwo urbińskie przeszło w papiezkie ręce, a Wiktorya, ostrego i ponurego charakteru, zatruła mu swobodę domowego życia.

Za jego to panowania, 1630 r. grasowała ta pamiętna we Florencyi zaraza, co 7,000 zabrała jéj ludności. Ferdynand najszlachetniejszém poświęceniem, osobiście porządku dozierał, sam chorych do lazaretu rozsyłał. Niepamiętają też, żeby który z toskańskich książąt, był tyle co on kochanym. A jednak panowanie jego do najnieszczęśliwszych należy.

Rolnictwo i handel upadać zaczęły; bezrząd sprowadził nowych podatków potrzebę; a ile dla własnéj rodziny i dla ludu, wielki książe najlepszego serca codzień dawał dowody, tyle słabość kobiecą ręką wykształconego umysłu, smutne dla obu przyniosła skutki.

Do najsmutniejszych należy wychowanie syna, które aż do lat szesnastu zostawił żonie, a który wszystkie jéj przejął wady. Miał go nadzieję potém przerobić, lecz już było za późno. Ożenił go w tymże celu z piękną i dowcipną Małgorzatą, księżniczką Orleańską, synowicą Ludwika XIV, lecz ta i męża i kraj jego wkrótce zniecierpiała.

Ferdynand II, z wielu miar nieszczęśliwy, miał jeszcze i tę boleść, iż ujrzał swą familją, niegdyś liczną i zgodną, teraz raptownie zmniejszającą się i skłóconą. Bracia jego, po długich między sobą sporach, bezpotomnie poschodzili; a syn, na którym cała domu spoczywała nadzieja, ciasnéj głowy a dumnego charakteru, od żony i narodu równie niecierpiany, bynajmniéj życzeniom ojca odpowiedzieć niemógł.

Miał wprawdzie Ferdynand drugiego jeszcze syna, imieniem Franciszek-Marya, którym go w ośmnaście lat po pierwszym obdarzyła żona. Lecz ten zostawszy kardynałem, udał się do Rzymu, a Kozmus w 1670 r. po ojcu nastąpił.

Kozmus III żył długo, bo w 81 zszedł roku, a więcéj niż półwiekowe panowanie jego (panował bowiem lat 53), między najdziwniejsze i najsmutniejsze dla dynastyi i kraju policzone być winno.

Kozmus był szóstym i przedostatnim *Medyceuszem*, noszącym wielkoksiążęcy tytuł; lecz srogą losu wyrocznią był skazany patrzeć na podział własnego kraju. Utrzymawszy go w pokoju, przekazując go synowi i córce, był świadkiem jak bez pośrednictwa jego, inni samowładnie nim rozrządzili, a nieczekając nawet śmierci ojca, po dzieciach już poniekąd ogarniali spadek.

Widzieć obcych i samowolnych spadkobierców własnych dzieci, nie często się zdarza; i to jest co może być słusznie nazwaném samego siebie przeżyć. Kozmus III był jednak tak niecierpiany, iż to nawet nieszczęście serc ku niemu nie zwróciło.

Wielka księżna pierwszy i głośny dawała tego przykład.

Za poprzedniego jeszcze panowania, prosiła już o unieważnienie związku, na który jak twierdziła, nigdy dobrowolnego me dała zezwolenia. Ferdynand II, pojmując jéj wstręt do męża, którego sam niemógł kochać, wydalił go na niejaki czas do obcych dworów. Ale i to niepomogło. Za powrotem Kozmusa, kłótnia na nowo się wszczęła. Były w niéj jednak przestanki; a w tych zgody chwilach, Małgorzata powiła najprzód syna, Ferdynanda, potém córkę Annę, nareście drugiego syna, Janem Gastonem nazwanego.

Lecz czego poprzedniczka jéj piękna Bianka, tak gorliwie pragnęła, i dla czego tylu dopuściła się fortelów, do tego stopnia gniewało piękną Małgorzatę, iż równych a może gorszych jeszcze dopuszczała się, jak mówią figlów, do pozbycia się swéj macierzyńskiéj godności i szczęścia, dla zerwania tych nowych z nienawidzianym mężem węzłów.

Mimo to, po trzykroć zostawszy matką, jak tylko Gastonowi dała życie, usunęła się całkiem do willi *Poggio a Cajano*, niechcąc już o żadném słyszeć więcéj zbliżeniu. Późniéj, po długich ze swym stryjem, Ludwikiem XIV, negocyacyach, odjechała do Francyi, gdzie w klasztorze *Montmartre* przyrzekała spokojnie dni dokończyć.

To wydalenie Małgorzaty Orleańskiéj, nie położyło jednak głośnym kłótniom końca. Z jednéj strony zazdrośny Kozmus otaczał ją szpiegami, i coraz nowe Ludwikowi XIV przedstawiał skargi; z drugiéj, wielka księżna, niesyta świata i zabaw, bynajmniéj klauzurowéj nie poddawała się regule. Owszem, jak największe znajdując upodobanie w dokuczaniu mężowi, napisała do niego iż chciała w tym celu zapisać się djabłu, lecz myśl że późniéj w piekle z nim będzie się musiała spotkać, jedynie ją wstrzymała. (1)

Między innemi, czyniła mu skąpstwa zarzut; a gdy się raz rozeszła wieść o ciężkiéj jego chorobie, radośnie ją przyjęła, układając już plany swéj po śmierci męża regencyi.

Kozmus o tém uwiadomiony, wróciwszy do zdrowia, tak zmienił sposób życia, iż ją samą przeżył, a dla zbicia skąpstwa zarzutu, podwoił jeszcze dawną swą rozrzutność.

(1) Ob. *Simonde de Sismondi.* Républiques italiennes.

Lecz ta nie dosięgała utalentowanych ludzi, uczonych, ni artystów. Przeciwną owszem rodu swego skłonnością, niecierpiał nauk ani sztuk pięknych, a jeśli kiedy wsparł jakiego poetę, to dla otrzymania pochwalnej ody.

Rozrzutność ta, bez żadnego wyższego celu, przy upadającym handlu i rolnictwie, a coraz wzmagających się podatkach i nędzy, tém bardziéj przeciw niemu oburzała umysły. Jakby też skutkiem ciągłych złożyczeń, wszystko mu szło na opak; a najboleśniejszém mu było, iż z trójga dzieci, ani jednego nie mógł się doczekać wnuka.

Najstarszy z nich, Ferdynand, ożeniony z Wiolantą księżniczką bawarską, utraciwszy po niejakim czasie nadzieję potomstwa, udał się na karnawał do Wenecyi, i tam ciężko chorować począł.

Anna, za elektora Wilhelma wyszedłszy, także była bezdzietną. Ta we Florencyi niecierpiana, całkiem z charakteru podobna do babki i ojca, największą była jego faworytą. Ona to, w finansowych dla ojca widokach, ułożyła małżeństwo młodszego brata swego, Jana Gastona, z wdową po bracie elektora, saską księżną Neuburg.

Jan Gaston niecierpiał swéj siostry, i z jéj ręki nic dobrego spodziewać się nie mógł; lecz powolnego charakteru, uległ jéj jednak. Pojechał do Czech, do swéj narzeczonéj, i przekonał się, że ten nakazany związek, będzie dla niego nieszczęścia zadatkiem. Księżna Neuburg, nie młoda i monstrualnie otyła, konie tylko lubiła pieścić, gdy Gaston, człowiek towarzyski, innego pragnął zajęcia, innych rozrywek.

Wytrwawszy tak całą zimę, w smutnym zimnych Czech kącie, przy niemiłéj żonie, na wiosnę udał się do matki, do Paryża, gdzie go mile przyjęto; ale do Florencyi, przez obawę ojca i siostry, posunąć się nieśmiał.

Wrócił więc do Rejchsztadt, stolicy swéj małżonki; lecz dla zapomnienia okrutnego losu co go tam więzał, wdał się w złe towarzystwo, grę i rozpustę, a w niéj resztę już i tak wątłego stracił zdrowia.

Kozmus usłyszawszy o tém, przywołał go w końcu do siebie, ale już za późno. Gaston jak i starszy brat jego, oba nieszczęśliwi w domowém pożyciu i z żonami rozłączeni, oba smutni i chorzy, żadnéj nie dawali potomstwa nadziei.

Zatrwożony taką przyszłością Kozmus, zwrócił uwagę na brata swego, Franciszka-Maryą. Ten, człowiek już niemłody, od dwudziestu trzech lat był kardynałem, i lubił wesoło swych kardynalskich używać dostatków. Z największą z razu niechęcią odrzucił brata zamiary; w końcu jednak przez wzgląd na gasnące imie, zdecydował się zamienić kardynalski kapelusz na ślubną obrączkę, i tak w 1709 roku, mając już lat 48, poślubił Eleonorę Gonzagę, córkę na Guastalli i Simonecie księcia.

Lecz ta fatalność, co zdawała się za tego panowania *medycejski* dom ścigać, i tam się objawiła.

Księżniczka Eleonora, spojrzawszy na wiek i rozwiązłém życiem zoraną twarz ex-kardynała, taki powzięła do niego wstręt, iż mimo przełożeń spowiedniką swego, ani jednego dnia żyć z nim niechciała; a Franciszek-Marya, mniéj jeszcze tém dotknięty, niż żalem postradanych swych kardynalskich dostatków, zachorował, i 1711 r. umarł.

We dwa lata potém, Ferdynand, starszy wielkiego księcia syn, z umysłem ciężką chorobą osłabionym, także skończył, a Jan podobnąż groził śmiercią.

Kozmus niewiedząc co począć, zapisał najprzód wielkie księstwo ukochanéj swéj córce, Annie, która lubo od Gastona starsza, miała go wedle wszelkiego podobieństwa przeżyć. Lecz gdy ta już wdowa i dość podeszłego wieku, była także bezdzietną, a środek ten nierozwiązywał bynajmniéj dalszych kraju przeznaczeń, wielki książe zaczął przemyślać o zwróceniu mu dawnych republikańskich swobód.

Strawiwszy młode lata w zasadach największego despotyzmu, gdy tak na starość Kozmus III liberalnemi bawił się marzeniami, nowe wypadki raptownie im położyły koniec.

Dziwnym okoliczności zbiegiem, dwie razem w północnych Włoszech gasły panujące domy, Farnezów i Medyceuszów. Pretensye o ich spadek, długie mogły ściągnąć zamieszanie i wojny. Europa zwróciła na to uwagę; a Austrya, Francya, Holandya i Anglja, podawszy sobie rękę, arbitralnie rzecz rozsądzili.

W skutek tych poczwórnego związku układów, Anna została usuniętą, a Toskanja i Parma hiszpańskiemu infantowi przyznaną.

Traktat ten, ogłoszony w Londynie 1718 roku, najżwawsze sprawił w wielkim księciu oburzenie. Odpychając go, jako niecny i nieprawy, po wszystkich przeciw niemu protestował dworach, i odgrażał się zbrojną go odpierać ręką. Lecz nic niepomogło.

W pięć lat potém, 1723 roku, gdy ośmdziesiątletni Kozmus umarł, połączone potencye zadecydowały, iż niewarto biednemu Gastonowi nowéj czynić krzywdy, i jakby rodzajem dożywocia, zostawiły mu dziedziczne jego państwo.

Gaston długiém nieszczęściem i chorobą przyciśniony, nie tylko z obojętnością, lecz prawie z niechęcią do rządów przystąpił. W pierwszych jednak krokach, okazał się dobrym i przychylnym ludowi.

Wyrzekłszy się zbytków i przepychów ojca, i na mniejszych przestając dochodach, zniósł część podatków. Zakazał także tortur i kar inkwizycyjnych; a wspierany radą swéj bratowéj, Wiolanty księżniczki

bawarskiéj, ostro zaczął z czterma spierać się potencyami, własne utrzymując prawa.

Lecz kiedy go naród kochać poczynał i żałować téj dynastyi, którą niedawno przeklinał, Wiolanta umarła; wielki książe już się niepodnosząc z łóżka, otoczony swawolną młodzieżą, usiłującą wszelkiemi sposoby rozerwać smutne jego myśli, całą władzę kamerdynerowi swemu zostawił, niczém już troszczyć się niechcąc.

Podczas tych kamerdynerskich rządów, Toskanija w swych portach i twierdzach ujrzała załogi hiszpańskie, a w 1731 r. Infant don Karlos do Florencyi przybył.

Gaston, który niegdyś słyszeć o nim niechciał, podpisawszy teraz traktat z Filipem V, uznający Infanta sukcessorem, uprzejmie go przyjął.

Nie ustaliło to albowiem ostatecznie Toskanji losu; a nadspodziewanie długie panowanie konającego Gastona, jeszcze jedną miało ujrzeć zmianę.

Don Karlos, zapewniwszy się o spadku toskańskim, udał się do Parmy, po wygasłym Farnezów domu objąć księztwo; a z tamtąd na Neapol poszedł.

Los poszczęścił broni jego, lecz zarazem przyszłość Toskanji zmienił.

Też same potencye, co dla politycznéj równowagi domowi hiszpańskich Burbonów były ją przeznaczyły, znalazły teraz właściwém oddać ją w austryackie ręce. W skutek układów Francyi, Austryi, Hiszpanji i Neapolu, 1736 roku, mąż Maryi Teressy, Franciszek IIIci, ustąpił Stanisławowi Leszczyńskiemu swą Lotaryngją (która po śmierci króla polskiego do Francyi miała być wcieloną), a w zamian dostał medycejski spadek.

Taką koleją zaczęła się w Toskanji austryacka dynastya, a Jan Gaston, któremu i żyć i umrzeć równém zdawało się niepodobieństwem, jeszcze raz nowego musiał uznać sukcessora.

Załogi niemieckie zastąpiły wkrótce hiszpańskie wojska, i wielkiemu księciu, jakby przez ironją, wierności przysięgę złożyły. Lecz już miara niedoli tego męczennika, co zdawał się za całego rodu swego grzechy na téj ziemi pokutować, była spełnioną. Niebawnie potém, 1735 r. Jan Gaston zgasł nareście, z tak już osłabioną głową, iż kilka razy począwszy pisać testament, w celu rozrządzenia bogatą domu swego ruchomością, i zapewnienia praw siostry, nigdy go dokończyć niemógł.

Elektorowa Anna, zaraz po śmierci ojca w klasztorze się zamknęła, i w sześć dopiero lat po bracie umarła.

Na niéj się skończyła panujących *Medyceuszów* linia, i ta dynastya na obywatelskich zaszczepiona cnotach, zamiłowaniem kunsztów i świetnemi wzniesiona zaletami, pychą i rozwięzłością upadła.

Kozmus I, zakładając dla swego potomstwa pośmiertną kaplicę, dziwném przeczuciem sześć framug kazał w niéj zrobić. Jeden też Jan Gaston, za życia i po śmierci zawsze biedny, jakby już do panujących nienależący książąt, miejsca w niéj nieznalazł.

Sismondi, mówi o jednéj gałęzi domu tego, od początku XIV wieku w królestwie neapolitańskiém osiadłéj, z któréj książęta *Ottajano* pochodzą. W Toskanji także są rolnicy i mieszczanie tegoż nazwiska, lecz niewiadomo czy tegoż domu.

XVIII.

O SZTUKACH PLASTYCZNYCH. — MIKOŁAJ Z PIZY. — CIMABUE. — GIOTTO. — UCELLO. — MASACCIO. — GHIRLANDAJO. — MALARSTWO I RZEŹBA. — CINQUECENTISTI. — LEONARDO DA VINCI. — SZKOŁY MALARSKIE I ICH MISTRZOWIE.

Po tém raptownem przebieżeniu *medycejskich* czasów, które ci Florencyą nieco oświetlą, zostanie ci, Antosiu, druga jeszcze, równie sucha, lecz jak mi się zdaje, wdzięczniejsza praca. To jest poznanie się z dziejami sztuk pięknych.

Kto kunsztowną zwiedza Italją bez usposobienia, zamiłowania, lub przynajmniéj historycznéj jéj znajomości, najpowabniejszéj części jéj nie pozna, największéj w téj podróży, pozbawi się roskoszy.

Włochy, to wielkie świata muzeum, stają się wówczas prawie tem dla niego, co dla głuchego pięknie przedstawiona opera. Zostają mu jeszcze dekoracya, sala, światło i ludzie. Wszystko, prócz muzyki i uczuć jakie ona wznieca.

Niejeden zapewne, najlepszym obdarzony słuchem, nigdy się niedomyślił, co tam jakiś w najciemniejszym kącie parteru oparty jegomość doznaje, słuchając Don Juana lub Semiramidy, lubo nietylko życie Mozarta i Rossyniego, ale teoryą ich sztuki na pamięć umie; gdy tamten,

może o nich ani słyszał. Prawda: lecz niemniéj także jest prawdą, iż gdy ospała częstokroć natura sama się w nas nie ozwie, nauka ją nieraz obudzi, a choćby już niezrodziła artysty, otworzy wszakże umysł nieznanym przedtém roskoszom. Bo i znawca ma ich bez miary!

Kto sam niedoznał, trudno je zrozumie, lecz raz uczuwszy ten rozgrzewający promień w duszy, co ją podnosi, objaśnia, upaja, o jakże się przestaje żałować długich chwil nudnéj poświęconych nauce! Jaki słódki owoc suchéj na pozór gałązki (1).

W naszym kraju, pod bladém północy słońcem, gdzie ani niebo, ani zbieg krajowych wypadków, nigdy niesprzyjały kunsztom, nauka podobna, bez prawdziwego bodźca, ani możności zastosowania jéj, może dla wielu być całkiem jałową.

Lecz jak tylko, Antosiu, Alpy za sobą zostawisz, a tém bardziéj gdy bramy Florencyi przekroczysz, uczujesz natychmiast brak jéj niemile; uznasz, iż to jest klucz bez którego niewarto do Włoch się puszczać, że to jest dykcyonarz, bez którego najpiękniejsze rozdziały tego dzieła całkiem niezrozumiałemi zostają. Gdy zaś te moje karty mają być, jak mówisz, przeznaczone do uprzyjemnienia cokolwiek twéj podróży, i ty, i ja sama nieprzebaczyłabym sobie, gdybym wiedząc o tém, kilku przynajmniéj słów z tego dykcyonarza ci niepowiedziała.

Pamiętaj jednak, proszę, iż przed podróżą włoską, niewarto ich czytać. Jakkolwiek będę się starała być treściwą, i na same najszczytniejsze tylko punkta zwracać twą uwagę, lękałabym się w braku wzorów i miejscowości, stać ci się całkiem nieznośną. Jak każdy dykcyonarz co w kącie leży, póki do zrozumienia jakiego dzieła nieprzypomniemy o nim, tak i tego nie tykaj rozdziału, aż się Włochy przed tobą otworzą.

Pierwotną, a przynajmniéj najdawniejszą jaką znamy, ojczyzną sztuk plastycznych, był najprzód Egipt, gdzie one wszakże nigdy z dzieciństwa nie wyszły, następnie Grecya i Etrurya.

(1) Znakomity znawca *Bayle*, znany w literaturze pod nazwiskiem *Stendahla*, lubo nie był malarzem, tak w swém o malarstwie dziele do czytelnika przemawia:

Chèr ami inconnu, et que j'appelle chèr parceque tu es inconnu, livre toi aux arts avec confiance. L'étude la plus seche en apparence, va te porter, dans l'abyme de tes peines, une consolation puissante.

Peu à peu le lecteur distinguera les ecoles, il reconnaîtra les maîtres. Ses connaissances augmentent; il a de nouveaux plaisirs. Il n'aurait jamais cru, que penser fit sentier, ni moi non plus: et je fus bien surpris quand étudiant la peinture uniquement par ennui, je trouvais qu'elle portait un baume sur des chagrins cruels.

Hist. de la peinture en Italie. T. 1 p. 152.

Sztukami *plastycznemi* zwano niegdyś wyłącznie te, co jak architektura i rzeźba, mogłyby się także zwać *dotykalnemi*. Później, gdy malarstwo przyprowadzono do takiego doskonałości stopnia, iż dla oka się stało dotykalném, wcielono je do wydziału sztuk plastycznych.

Lecz ta malarstwa doskonałość, nieprędko po rzeźbie powstała. Grecya najsławniejszemi snycerzami od dawna już słynęła, Rzym najpyszniejszych ozdób zbierał w niéj dla siebie skarby, kiedy jeszcze malarstwo bez ruchu, bez życia, w niemowlęcém spało spowiciu. *Apollodor*, *Zeuxis* i *Appeles*, przesłali nam wprawdzie swe imiona; lecz dzieła, którym tę winni sławę, uległy srogości czasu. Marmur zaś i spiż, silniejszy stawiając mu opór, dochowały nam ówczesne arcydzieła rzeźby, mało uszkodzone, i z których rzetelniejszy o ich twórcach sąd ustalić można.

Tym arcydziełom, późniejsze, nie wyrównały nigdy: mimo wszelkich usiłowań, rzeźba w Rzymie, jako obca, tylko z Grecyi przyniesiona kwitła roślina. Rzym uczniów swych posyłał do Grecyi, a wzajemnie z tamtąd do siebie sprowadzał artystów, którzy mu posągi robili (1).

Etrurya, (teraźniejsza Toskanja) przeciwnie, jeśli nie w biegłości, w epoce przynajmniéj zrodzenia téj sztuki, niechce ustąpić Grecyi pierwszeństwa; wielu starożytności badaczy, jako to Winkelman (2), nieraz już ją nazwali jak malarstwa tak rzeźby kolebką, i najpierwszą Rzymu mistrzynią, o co się w naukowym świecie zacięte toczyły spory.

Co do malarstwa, nikt jéj berła niezaprzeczy. Piza i Florencya, obie w Etruryi obrębie, przewodniczyły pierwszym krokom tego całkiem włoskiego potomka; a tym, co rzeźby ród z Grecyi wywodzą, Piza odpowiada imieniem swego Mikołaja, najdawniejszego ze snycerzy włoskich (3), Florencya najpierwszego z nich wymienia: Michała-Anioła Buonarotti, pod jéj zrodzonego słońcem.

Rzym, obok Panteonu, wzniósł Ś. Piotra kopułę; ta mu na zawsze zapewniła dawną jego w architekturze sławę; i na téj przestaje (4).

(1) Ob. w Winkelmana historyi kunsztów, rozdziały pod tytułem: *D'ou vient l'erreur de ceux qui admetent un style romain particulier*? T. II. p. 123 i *Refutation du préjugé qui admet un style particulier romain*. T. II. p. 125.

(2) Ob. historyą kunsztu u starożytnych p. Winkelmana.

(3) *Niccolo Pisano*, słynął w połowie trzynastego wieku, umarł 1275 roku.

(4) L'art chez les Grecs survecut à leur liberté; il suivit les vainqueurs à Rome, mais là il n'y produisit pas de nouveaux fruits. Il est vrai que les romains étaient devenus le peuple-roi; mais en fait d'arts, ils restérent barbares, et quoiqu'ils eussent pris quelques leçons des Etrusques, leurs consuls ou leurs généraux victorieux, aimaient mieux orner leurs triomphes et leurs palais, des tresors conquis sur les ennemis.

Widzisz więc, iż włoska sztuka malarstwa i rzeźby, w Toskanji wykwitła, i dla tego najwłaściwiéj we Florencyi o niéj mówić. Ztamtąd na Rzym i Lombardyą się rozkrzewiła, na południową część półwyspu słabsze rzuciwszy gałęzie.

Etruskie starożytne wazy, urny i posągi, najdawniejszych sięgają czasów; późniéj należy architektury klassyfikować wzory; najmłodsze zaś z tego rodzeństwa, malarstwo, poczyna dopiero swą erę po naszéj chrześcjańskiéj erze.

Chrześcjanizm okrutny zadał rzeźbie cios, tak, iż długi czas patrząc na swe obalone bogi, podnieść się niemogła. Architektura, co im stawiała świątynie, także się wstrząsła i zmieniła nieco swą postać i rysy; lecz malarstwo wówczas dopiero nabrało prawdziwego życia, i nieraz już je nazwano chrześcjaństwa dzieckiem.

Tuż za wiarą co poobalała bałwochwalcze bożyszcza, świątynie ich w gruz rozsypała, rozlał się na Włochy barbarzyńskich hord potok. Ten połamał i do reszty zniszczył starożytności zabytki; a Włochy, to obcą pustoszone wojną, to własną szarpani zawiścią, ciągle ze zbroją na piersiach i mieczem w ręku, przez więcéj lat tysiąca, zapominają o kielni, o dłócie o pęzlu.

Lecz jak tylko ta estetyczna ziemia z krwi osychać poczyna, jak tylko ożywniejszém odetchnęła powietrzem, natychmiast nowym kunsztu zaczyna pokrywać się kwiatem.

Do Grecyi wprawdzie jeszcze po te nowe powraca plony. Najdawniejsze z téj epoki dzieła, są ręki z Grecyi sprowadzonych artystów, czyli raczéj ze wschodu, bo już dawnéj Grecyi niebyło.

Wówczas to powstała wenecka Ś. Marka fara, ozdobiona mozaikami z tłem złotém. Ztąd zaraza bizantyńskiego gustu, którego ślady często we Włoszech tu i owdzie dotychczas napotykać się dają.

Dopiero w trzynastym wieku, Włochy zaczynają w samych sobie szukać ducha, własnemu ulegać natchnieniu. Rzym z pod gruzów i z pod ziemi wydobywa powoli reszty dawnych artystycznych skarbów. Piza słucha głosu Mikołaja swego, który wskazuje, iż w nich należy wzorów szukać, a odrzuciwszy bizantyńskie prawidła, śmiałą ręką nową otwiera w swéj sztuce drogę. Wsławia się grobowcem S. Dominika w Bolonji, kościołem Ś. Trójcy we Florencyi: bo jak wszyscy z téj

que des productions des artistes de leur pays. Ce fut d'abord la Sicile qu'ils dépouillèrent puis vint le tour de la Macedoine, de la Grèce, de la Syrie et de l'Egipte.

Schlegel. (Leçons sur l'histoire et la theorie des beaux arts. Traduction de Couturier p. 162 i 163.)

epoki artyści, łącząc w sobie rozmaitych kunsztów zdolności, był zarazem architektą i rzeźbiarzem.

Niebawnie po Mikołaju z Pizy, Florentczyk *Cimabue*, podobnéjże w malarstwie nabiera sławy.

Lubo przed Mikołajem z Pizy i Cimabuem, możnaby wynaleść jakieś artystyczne we Włoszech imiona, jednak ich, jako nowych szkół ojców, za najpierwszych zwykle uważają (1).

Mikołaj zostawił w architekturze i rzeźbie dwóch biegłych synów: Jana i Andrzeja, także nazwany z Pizy. Ze szkoły Jana, wyszło dwóch artystów, Angolo i Angostino, w Siennie urodzonych, którzy do toskańskich także sław się liczą. Andrzej zaś był mistrzem sławniejszych od siebie florentczyków: *Donatela* i *Ghiberta*. Piza po Andrzeju, dała jeszcze Toskanji znakomitego rzeźbiarza *Balduccego*.

Cimabue, nie tyle liczy słynnych malarstwem uczniów. Przechodząc się raz w okolicy Florencyi, spostrzegł przy bydle chłopaka, rózgą na piasku jakieś rysującego figury. Przypatrzywszy się im, wziął go do siebie, i to jest ten sławny *Giotto*, o którym ci, mówiąc o dzwonnicy florenckiéj, napomknęłam (2).

Giotto jak i *Cimabue*, był zarazem architektem i malarzem, lecz w obu sztukach nauczyciela swego wyścignął. Dłóto mu także nie było obce, a w tym zawodzie za Mikołaja z Pizy szedł śladem. Poświęcał się prócz tego literaturze, historyi, robił mozaiki i portrety. Żył w przyjaźni z *Dantem* i *Petrarką*. Pierwszego nam portret zostawił.

Sława *Giotta*, na wszystkie strony Włoch wkrótce się rozeszła; zaledwo mógł wystarczyć licznym obstalunkom. Dzieła też jego dotąd wszędzie widzieć można. *Cimabuego* mniéj; dość wszakże dla ocenienia postępów późniejszych malarzy.

Oba, jak się z daty domyślasz, świętym przedmiotom talent swój wyłącznie poświęcali. Oba przedstawiali Matkę Boską i świętych, prostych, długich, cienkich, i zawsze podobnych do siebie. W ostatnich, wprawdzie, obrazach *Giotta*, jakaś już giętkość spostrzegać się daje; ręce i nogi mniéj suche, mniej spiczaste. Wszystko to jednak dla nas, zepsutych Leonardem i Rafaelem, wydaje się szkaradne; patrząc na te XIII wieku arcydzieła, ciągle pamiętać trzeba, iż każda rzecz musi mieć początek, iż bez nich niemielibyśmy dzisiejszych.

(1) W malarstwie mieli *Giunta* z Pizy, *Guida* ze Sienny, Andrzeja *Taffi* i *Buffamalco*.

(2) Familja jego zwała się *Bonone*, a on miał imie Ambroży. To w pieszczeniu włoskim robi Ambrogiotto, z czego w skróceniu zrobiło się *Giotto*.

Giotto umarł 1336 roku, a lubo licznych zostawił naśladowców, sztuka malarska po nim, przez około lat stu, nic znakomitego nie wydała.

Dopiéro w początkach XV wieku, Paweł *Uccelo* (1), oddaje się nauce perspektywy, a *Masaccio* nowe i wielkie w malarstwie czyni postępy. Lubo figury jego dość jeszcze niezgrabne, jednak wyraz ich i rozmaitość w układzie, koloryt i cienie, wszystko zdaje się większą jeszcze niż stuletnią kłaść przestrzeń między nim a *Giottem;* po *Masacciu*, Dominik *Ghirlandajo*, dodał niejakiéj szlachetności wyraz, i jeszcze o jeden krok posunął swą sztukę.

Artyści ówcześni byli genialnemi ludźmi; każdy z nich był poetą i twórcą sztuki, jaką sobie obrał do tłomaczenia poezyi swéj duszy. Każdy w niéj, jak *Giotto*, kilka na zawołanie znajdował do tego głosów. Dziś utworzył obraz, jutro posąg, pojutrze wystawił katedrę, wieżę, lub bramę.

Po *Masacciu* młodo zeszłym, i *Ghirlandaju*, wieszczy a kapryśny kunsztów geniusz zwrócił się raptownie ku architekturze i rzeźbie. *Donatello, Ghiberti, Verocchio, Bruneleschi*, i wielu innych, rzucili pęzel dla dłuta. Wówczas to i kopuła katedry florenckiéj się wznosić poczęła, i sławne jéj chrzcielnicy drzwi się ulały; wówczas ta znakomitych talentów ojczyzna, zdobiąc się marmurem i brązem, zapisała na nich świetne swych dzieci imiona.

Lubo rzeźba miała ze starożytności pozostałe wzory, jakich malarstwu całkiem brakło, te wzory odmienny zupełnie nosząc charakter, niemogły w odrodzeniu sztuki za dostateczną jéj służyć skazówkę. Dość porównać z tych dwóch epok dzieła, by pojąć jak odmienny je natchnął duch, by uznać, iż XV wieku rzeźbiarze, nie byli naśladowcami, lecz istotnemi twórcami swéj sztuki.

Główny greckich posągów wyraz, jest szlachetność do srogości, lub tylko do dumy zbliżona. Charakter mieszkańców Olimpu, niemógł być inny. Postrzeżesz go w postaci Apolina belwederskiego, a nawet na ustach Wenery medycejskiéj, która lubo dość mało mówiące ma rysy, i więcéj dla swych kształtów niż dla wyrazu podziwiana, wydaje się jednak bardziéj rozgniewaną, iż ją tak nieprzyzwoicie na publiczny wystawiono widok, niż rumieniąca się swéj nagości.

(1) Przezwano go *uccello* (ptaszek) gdyż tak lubił ptaszki iż w każdym je swym obrazie mieścił. Masaccio zaś istotnie się nazywa Tommasso *Guidi*—z czego odrzuciwszy pierwszą imienia sylabę zrobiło się *Maso*. Następnie koledzy widząc go bardzo zaniedbanego i pokrytego farbami, dali mu imie *Masaccio*.

Gdy grecy wszystkich swych bożków, we wszystkich postaciach, po tysiąc razy w marmurze wykuli, zaczęli robić posągi dla zwycięzców gier olimpijskich. Zmuszeni już wtenczas ująć tym śmiertelnym dumy, nieprzyzwoitéj istotom poziomym, zastąpili ją siły nadmiarem.

Starożytni słabości nie znali, nierozumieli; rezygnacyi, téj całkiem chrześcjańskiéj cnoty, niezdołaliby pojąć. W nich boleść była zawsze walką, upadek rozpaczą. Pierwszéj przykład znajdziesz na twarzy sławnego Nioby posągu we Florencyi; drugiego, w każdym muszkule umierającego gladyatora w Kapitolu. Spojrzawszy nań niemożna wątpić, iż przed chwilą jeszcze był zwycięzcą, o śmierć niedba, hańby tylko upadku swego znieść niemogąc. Zwieszoną ma głowę, lecz bardziéj ją ugiął pod uczuciem, iż mu już zemsta niepodobną, niż przed zbliżającą się śmiercią.

Połączywszy te starożytnych zalety, każdy uzna niepodobieństwo znalezienia w nich wzoru dla Boga zgiętego pod ciężarem krzyża swego; dla Chrystusa zelżonego w cierniowéj koronie, z wyrazem mówiącym: „Niech się spełni, Ojcze mój, twa wola święta!"

W Laokona grupie, znajduje się wprawdzie wielkiéj boleści wyraz. Lecz Laokoon broni się, odpycha jadowitego węża; a Chrystus ani walczy ani odpycha ręki co go znieważa, tylko jéj przebacza. Cierpienie Laokoona całkiem jest fizyczne, a tém samém zupełnie innego rodzaju niż Chrystusa. Znów więc rospacz Nioby, gdy patrzy na swe ginące pod strzałami Latony dzieci, połączona z największém przeciw takiéj zawiści oburzeniem, zupełnie jest odmienną od tkliwéj rospaczy Maryi u stóp krzyża syna, bezwładnie pod okrutnym upadającéj ciosem.

Ztąd wynika, iż starożytną rzeźbę, bardziéj można za rywalkę niż za mistrzynię teraźniejszéj uważać, i niestety! niepodobna téj rywalce wyższości odmówić! Styl jéj szeroki, szlachetny, wyraz spokojnéj dumy i siły, mógłby wzniecić mniemanie, iż homerycznych czasów ludzie obcemi byli wszystkim drobiazgowym i nikczemnym teraźniejszego społeczeństwa uczuciom. Młodsza zaś jéj siostra, wielu innemi celująca zaletami, nigdy téj olympijskiéj powłoki dziełom swoim nadać nie zdołała.

Malarstwo nie miało wzorów, ale też i żadnéj niebespiecznéj współzałotnicy. Z wielu innych względów także zawód jego mniéj był trudny. Każdy mu przedmiot dobry, choćby mniéj nawet wzniosłego rodzaju, jak to późniéj flamandzka szkoła dowiodła. W niém i dziewiętnastego wieku mundur, czasem się nieźle wydać może, mianowicie od czasu co się w północnych spoetyzował śniegach (w 1812 r.). W rzeźbie zaś, taki mundur jest szkaradnym, nieznośnym. Liczne najbieglej-

szych rąk próby, dostatecznie to dowiodły (1). Rzeźba musi koniecznie idealnego trzymać się świata; przedstawiając naturę, nieba sięgać musi, lub abdykować sztuki swéj własność, urok jéj i dzielność.

Z tego względu malarstwo, między plastycznemi sztukami w ostatnim umieszczono rzędzie; i może dla tego, ci ludzie, z duszą o trzy razy od naszéj szerszą i silniejszą, pogardzili tém, co im się łatwiejszém zdawało; z największemi chcąc się mierzyć trudami, odrzucili malarstwo dla architektury i rzeźby.

Nie śmiéj się z tego wyrażenia, Antosiu, że oni o trzy razy szerszą od nas mieli duszę. Wspomnij iż u nas te kunszta, których oni po kilka posiadali, w taki w nich celując sposób iż zostały wzorami dla następnych wieków, teraz rozgałęzione, podzielone, dla każdego ułamku całego od nas wymagają życia. Dziś malarz portretów, nieśmie się tknąć historyi, ani peizażów; ten co robi popiersia, nie potrafiłby zrobić posągu; a architekt, gzymsu wykonać nie umie inaczéj jak na papierze. Wówczas każdy narysował i sam wykonał plan jaki w duchu swym pojął; a tak szerokie pojęcie sztuki, tak genialne wykonanie, zupełnie odmienny nadaje charakter, zupełnie inne otrzymuje skutki.

Piętnastego wieku, to jest wieku odrodzenia, artyści, o których właśnie mówiemy, tak wysoko stanęli, iż we Włoszech osobnym przydomkiem *cinquecentisti* ich nazywają. Gdy w sklepie, między wielu jednostajnego rodzaju przedmiotami, niektóre o cztery razy wyżéj od innych cenią, dają ci za przyczynę że są z piętnastego wieku.

»Questo e vero *cinquecento*, mówią."

Wszystko, w owych czasach, sprzyjało temu kunsztownemu popędowi. Rząd był większéj nabrał stałości i siły; uśmierzone fakcye, dawały obywatelom nadmiar czasu, w zaburzeniach krajowych przedtém trawiony. Handel tworzył bogaczów, sprowadzał więcéj złota niż ówczesne potrzeby zużyć go mogły; kunsztowne płody, głównym były przepychu przedmiotem, a wkrótce nawet stały się politycznych widoków sprężyną.

Jak teraz gazeciarzy, tak wówczas zaczęto artystów używać; jak dziś, w niektórych krajach drukiem, tak w XV i XVI wieku, pęzlem i dłutem do dalszych celów przysposabiano umysły.

Obrazy były pełne portretów. Za starszych naprzykład *Medyceuszów*, trzéj królowie w Betlehem, zawsze byli medycejskiego rodu. Takim

(1) Ob. posąg Napoleona na kolumnie placu Vendome w Paryżu. Dla czcicieli bohatera, może być on miłą pamiątką, lecz pod względem sztuki uważany, jest niczém. Jakaż może być sztuka w oddaniu buta, surduta, kapelusza? jak można ją w tych przedmiotach podziwiać? Trzeba na to chyba być krawcem lub szewcem. Dla artysty, zostały tam tylko rysy między kapeluszem a kołnierzem ukryte.

sposobem nawykano we Florencyi widzieć ich z koroną na czole, uważać ich za królów; a część ludności oddająca się sztukom, podsycana ich pieniędzmi, zapominała w swych pracowniach, ile ich ojcowie i bracia, na huczniejszych sławy polach, krwi przeleli.

W pośród tego zadziwiającego zbiegowiska genjuszów, z których tu ledwo kilka najgłówniejszych wymieniłam, trzy gwiazdy jaśniejsze jeszcze od innych, na tém artystyczném zaświeciły niebie. Leonardo *da Vinci*, Michał-Anioł *Buonarotti*, i Rafael *Sanzio* z Urbinu, tworzą tę konstelacyą, jakiéj ani przed, ani po nich, już nie ujrzano nigdy.

Pierwszy otworzył, ostatni zamknął tę świetną epokę, w połowie piętnastego wieku zrodzoną, skończoną w połowie następnego; a Michał-Anioł, nietylko środek jéj imieniem swém zapełnił, ale przeżywszy Rafaela, długo jeszcze po nim swą sławą świat zdumiewał.

Imie to, wspólnie z imieniem Danta, którego było odgłosem, tak dotąd hucznie brzmi w artystycznych Włoszech, iż niepodobna z nim się rozminąć; i też parę już razy z nim spotkaliśmy się. Czeka ono nas jeszcze pod sklepieniem Watykanu, gdzie je jakby w apoteozie ujrzemy. Tam takoż i Rafael, złotemi litery, swoje obok niego zapisał; i tam jako w prawdziwéj ich sławy ojczyznie o nich mówić wypadnie.

Zastanawiając się zaś nad malarstwem i stopniowym téj sztuki we Włoszech postępem, niepodobna lekce pominąć Leonarda da *Vinci*. On to pierwszy z niéj zrzuciwszy prawie niemowlęce jeszcze spowicia, uchwyciwszy ją gdy jeszcze nieśmiałym, dziecinnym, postępowała krokiem, od razu na najwyższym doskonałości postawił szczycie. I jako znakomity malarz, i jako wzór tych genialnych ludzi, których typ już zdaje się zatracony, Leonard godzien osobistego, że tak powiem, poznania.

Urodzony w 1442 roku nad Arna brzegami, w dworku zwanym *Vinci*, w braku innego, od tego dworku wziął swe nazwisko. Wiadomo jednak iż był synem notaryusza rzeczypospolitéj florenckiéj, zwanego Ser *Pierro* i bardzo od ojca kochanym.

Leonard, od najmłodszych lat, zwracał na siebie uwagę tak pięknością i dziecinną gracyą, jak niezwyczajnemi zdolnościami. Prócz trzech sztuk plastycznych, celował w poezyi, matematyce, anatomji, muzyce, chemji, tańcu, mechanice, i najsławniejszym swych czasów był hydraulikiem.

Młodość jego we Florencyi zeszła: nie powiem za innemi, że *Verrochio* był jego nauczycielem, bo tacy ludzie własnéj duszy jedynie są uczniami. Mówią też iż pierwsza głowa, jaką mu *Verrochio* do kopiowania zadał, tak daleko przewyższała mistrza wzór, iż stary *Verrochio* zachorował z zazdrości.

Lecz w Medyolanie to dopiero Leonard całe swe i rozmaite rozwinął zdolności.

Zawołany tam przed Ludwika *Sforzę*, maurem przezwanego (który na wzór Medyceuszów, kunsztowną dworu swego sławą, liczne a nieprzyjazne sobie chciał zagłuszyć głosy), przybył właśnie, gdy ubiegano się o muzykalną na lirze nagrodę.

Leonard nie tracąc czasu, tworzy własnego wynalazku instrument, i w kształcie liry sam go ze srebra ulewa. Nietylko grą, ale wierszem przy tém towarzyszeniu, na rozmaite podane sobie przedmioty improwizowanym, dwór cały zachwyca, i otrzymuje nagrodę.

Mianowany natychmiast uczt dworskich mistrzem, oraz malarzem i rzeźbiarzem jego książęcéj mości a razem głównym architektem, inżynjerem i hydraulikiem medjolańskiego kraju, układa maskarady, widowiska i bale, kolosalny księcia tworzy posąg, maluje dwóch jego kochanek portrety, zakłada szkoły malarstwa i anatomji, na nowych oparte zasadach, w architekturze przepisuje prawidła, a co lepsza nad wszystko, sprowadza wodę do wszystkich Medyolanu zakątków, rzekę Addę spławną, a całą Lombardyą do dziś dnia najżyzniejszym robi krajem.

Łatwo się domyśleć, iż pośród tak rozlicznych zajęć, mało mu na malarstwo zostawało czasu. I też z siedmnastoletniego w Medyolanie pobytu, jedno tylko duże dzieło w tym utworzył rodzaju; prawda że ogromne, kolosalne, tak co do wymiarów, jak i bardziéj jeszcze co do wartości swojéj.

Mówię o wieczerzy Pańskiéj, całą ścianę zakrystyi księży dominikanów medyolańskich pokrywającéj.

Sławny ten obraz, pełen duszy i wzniosłego wyrazu, więcéj już teraz jest znany z mnogich kopji i rycin, niż z oryginału, koleją smutnych wypadków, mocno uszkodzonego. (1)

Malowany na ścianie, w miejscu wilgotném, już się w niektórych miejscach osypywał, gdy podczas francuzkiéj wojny 1796 r., rewolucyjne wojsko założyło tam swe koszary. Żołnierze, jak mówią, dla zabawy kamieniami ciskali w apostołów głowy. Naczelny wódz, Bonaparte, dowiedziawszy się o tém świętokradztwie, położył mu koniec. Zostawszy cesarzem, rozkazał z mozaiki, która jak wiadomo czasu się nie lęka, zrobić znikającego obrazu kopję. Przedsiewzięcie było trudne, zuchwałe. Znalazł się jednak i na to dość śmiały artysta; a poświęciwszy

(1) Jedna z tych kopji, była niezbyt dawno 24,000 franków zapłaconą! z tąd można o wartości oryginału wnioskować.

mozolnéj pracy dziesięć lat życia, właśnie ją miał kończyć, gdy cesarski kolos runął, a praca bez nagrody została. (1)

Więcéj jeszcze mozołu sam oryginał Leonardowi kosztował. Ten kapryśny geniusz o niestałość skarżony, z powodu iż tylu się chwytał przedmiotów, żadnemu wyłącznie niechcąc się poświęcić, gdy co jednak przedsięwziął wytrwałością zadziwiał. Wówczas już o świecie, nawet o życia potrzebach, zapomniał całkiem.

Malując wieczerzę Pańską, od świtu do nocy ze sztalugi nie schodził. Każdą głowę na osobnéj najprzód rysował tekturze, szukając w naturze szczegółowych wzorów, a w duszy swéj świętości wyrazu. (Kartony te późniéj po cenie drogich klejnotów płacone, po większéj części w Anglji się oparły).

Już cały obraz był gotów, a Judasz jeszcze niemiał głowy. Przeor Dominikanów, nie pojmując dla czego artysta z nią się ociąga, zaczął wyrzekać że tak długo bez zakrystyi obchodzić się musi. Leonard zniecierpliwiony, dał mu za przyczynę, iż dotąd nadaremnie szukał w naturze tak szkaradnych rysów i podłego wyrazu, jak na Judasza przystało; lecz właśnie, dodał, znalazłem ją w téj chwili, i już niebawnie robotę ukończę.

W parę dni potém, zakrystya od malarskiego rynsztunku uwolnioną została; lecz przeor w Judasza twarzy, poznał swe własne rysy.

Tym sposobem przeor do potomności przeszedł. Nie bardzo jednak tém uszczęśliwiony, zaniósł do księcia skargę. Książe mu zakazał tykać się obrazu; a gdy dominikan jeszcze się kłaniał: »Naucz się, bracie, powiedział mu książe, iż jeśli dobrze jest możniejszym się kłaniać, lepiéj jeszcze umysłową także szanując wyższość, nigdy jéj nie obrażać, bo często źle na tém wyjść można. (2)

Ukończywszy swe malarskie arcydzieła, Leonard z *Vinci* zabierał się ze spiżu odlewać kolosalny Ludwika maura posąg, którego gipsowy model dawno już był gotów, gdy wojenny huk wstrząsł murami pracowni jego.

(1) Kopja ta wykonana w mozaice przez *Rafaelego*, została późniéj nabytą przez cesarza Franciszka, lecz zapomniana dotąd, z paki nawet nie wyjęta leżała. Teraz dopiero gazety donoszą, że cesarz Ferdynand chce ją umieścić w Wiedniu, w kościele minorystów, gdzie bywają kazania włoskie.

(2) Podobnież kardynał *Biaggio* mistrz ceremonji papieża Pawła III, obraził razu jednego Michała-Anioła. Michał-Anioł tego mu niezapomniał: a we wszystkiém idąc za Dantem, co na dnie piekła swych nieprzyjaciół mieścił, malując sąd ostateczny, w piekle także mistrza ceremonji zrobił portret. Biaggio w rospaczy, npadł do nóg papieża, wołając zemsty. Lecz papież z najzimniejszą krwią mu odrzekł: „że Bóg mu tylko w niebie i na ziemi ndzielił władzy, ale do piekieł mięszać mu się nie pozwolił, a zatém i jego z nich wydobyć nie może."

Była to wojna z Ludwikiem XII, francuzkim królem; nieszczęśliwa dla medyolańskiego księcia walka!

W smutném widząc się położeniu, Sforza, smutniejszy jeszcze przewidując koniec, obdarzył czém mógł Leonarda, i od obowiązków uwolnił.

Wkrótce potém, książe przez marszałka La Tremouille pojmany, w twierdzy Loches zamknięty został; a genialny artysta dostał się najprzód do Cezarego *Borgia*, księcia Valentinois, na głównego inżynjera wojsk jego; niebawnie zaś potém, wrócił do Florencyi, gdzie się głównie malarstwu oddał.

Lecz tam znalazł Buonarottego: Michał-Anioł dopiero 26 lat liczył, i ogólną zwracał na swe zdolności jak i na swe dzieła uwagę. Gonfalonier *Soderrini*, obu razem chciał użyć artystów, i w głównéj starego pałacu sali, dwa razem zaczęły się obrazy. Lecz staremu *Vinci*, niepodobało się to młode współzawodnictwo.

Leonard pojechał do Rzymu, gdzie Leon X Watykan kunstzownemi zaścielał płodami. Ale i tam taż sama co we Florencyi, młoda i codzień wyższa sława, zaskoczyła mu drogę.

Zniechęcony Florencyą i Rzymem, wrócił do Medyolanu.

Franciszek I następca Ludwika XII, idąc po zwycięztwie pod Marignan traktować z Leonem X, tam go poznał. Leonard mu zrobił jakiegoś lwa, który sztuczną mechaniką, sam przeciw króla postąpiwszy, otworzył łono, i wyrzucił pod stopy jego, mnóstwo świeżych i wonnych lilji.

Król wracając do Paryża, zabrał z sobą artystę. Probował także obraz wieczerzy pańskiéj z całą zabrać zakrystyi ścianą; ale królewskie chęci bezskuteczne zostały. Obraz naruszony, nowe poniosł blizny, i na miejscu pozostał; a artysta opuściwszy włoskie niebo, niezdołał w sobie żadnego znaleść natchnienia. Francya mu winna tylko kilku kanałów plany; pęzla zaś lub dłuta, niewiadomo czy się tknął nawet.

Umarł w okolicy Amboise, w jednym z pałaców królewskich, 2 maja 1518 r. Franciszek I rzewnie śmierć jego płakał.

Obok tylu innych, w literaturze zostawił także bogactwa. Rękopisma jego długo rozproszone, w 13 późniéj zebrane tomach, zawierają całkowitą teoryą fizyki, hydrauliki, anatomji i malarstwa, w których późniejsi pełną czerpali garścią; a szkoły malarskie, tak lombardzka jak florencka, ojcem go swym głoszą. (1)

Nie trzeba jednak ztąd wnosić iż on pierwszy je zakładał. Od dawna już Włochy pełne były kunsztownych szkół. Najdawniejszą, grek

(1) Pismo jego szczególnie miało wyglądać. Litery bowiem stawiał na opak, i pisał z prawej na lewą stronę, jak na wschodzie piszą.

jakiś w Wenecyi około 1200 roku założył. Rzym jak Florencya, i inne półwyspu pomniejsze miasta, osobnemi się szczyciły. Lecz te wszystkie szkoły, bez samodzielności ni właściwego charakteru, najprzód starożytnych, później jedna drugą naśladując, czyli raczéj podrzeźniając, od Leonarda dopiero zaczęły własnym odznaczać się kolorytem.

Takich szkół samodzielne noszących rysy, było głównych cztery: florencka, rzymska, wenecka i lombardzka. Niektórzy liczą jeszcze dwie dodatkowe później zrodzone: bolońską i neapolitańską.

Florencka najbogatsza w artystów, a co do sztuki najwyżéj stojąca, odznaczała się dokładnością rysunku. Leonard z *Vinci*, nadał jéj jakiś dumającego wyrazu urok. Andrea *del Sarto*, *Sasso Ferate* i *Fra Bartolomeo*, obok szlachetności, rozleli nań jeszcze czułości powłokę, którą *Carlo Dolce* aż do zbytku posunął.

W rzymskiéj, namiętne i silne uczucia bardziéj panują. Nikt niedorównał *Perruginowi*, gdy przedstawia boleść Maryi u grobu syna, lub uczniowi jego sławnemu *Rafaelowi*, gdy w dziewiczych jéj wdziękach, matczynéj miłości całkiem niebiański nadaje wyraz. *Perrugino* i *Rafael Sanzio*, są też rzymskiéj szkoły meteorami, jak ich uczniowie główną ich ozdobą.

Lombardzka, pod Leonardem wykształcona, swą niezrównaną gracyą najbardziéj jednak winna sławnemu *Corregio*.

W weneckiéj można dostrzedz wschodnie jéj pochodzenie. Paweł z Werony *(Paulo Veronese)* zachował żywy, oniemal jaskrawy jéj koloryt. Tycyan wydoskonalił cieniowania ciała sztuką.

Gdy między temi szkołami przyszło do współzawodnictwa i do wzajemnéj krytyki, florencka słusznie zarzucała rzymskiéj do przesady skłonność, a weneckiéj brak dokładności w rysunku. Wenecka za to wyśmiewała florencką, iż kupieckiego pochodzenia nosi cechę; że skąpi swym madonom na suknie i draperye. Prawda istotnie, że madony florenckie obok weneckich, daleko fałdziściéj ubranych, nieco ubogo wyglądają.

Bolońska, lubo w artystów obfita, lecz już powstała gdy inne upadły i gdy malarstwo inny przybrało podział, o naśladownictwo obwinianą bywa.

Neapolitańska ze wszystkich najuboższa, szczyci się imieniem *Salvatora Rosy* i kilku innemi. Mimo to jednak, dla braku samodzielności, między szkoły czasem liczoną nie bywa; co nieprzeszkadza iż w Neapolu bynajmniéj na to upokorzenie przystać nie chcą. Owszem, mają przekonanie, że im się pierwszeństwo należy, i swą szkołę przed wszystkiemi mieszczą.

Ogólniéj zaś wzięte malarstwo we Włoszech, na trzy zwykle dzielą peryody, podług zmian jakim uległo najprzód w górę, potém ku upadkowi idąc.

Pierwsza od *Cimabuego* poczynając, mieści w sobie *Giotta*, *Masaccia* i ich uczniów lub naśladowców, i za piękny ustęp uważaną być może.

Druga, najświetniejsza, od Leonarda z *Vinci*, do Rafaela *Sanzio* z *Urbino* i Michała-Anioła (to jest od połowy XV do połowy XVI wieku), do najwyższego stopnia doskonałości doprowadza sztukę. Lecz każda rzecz co do szczytu dojdzie, długo się na nim utrzymać nie może.

Artyści jeden nad drugiego wznieść się usiłując, z energji wpadli w przesadę; z natury zrobili jéj karykaturę; z prawdy rodzaj wymuszonego kugiarstwa. Nie tylko postać figur, wyraz twarzy, ale nawet draperya i fałdka, nie miała już prostoty właśnie do piękności koniecznie potrzebnéj; a malarstwo, jak nieco późniéj i rzeźba, w najgorszy obie wpadły rodzaj.

Dopiero ku końcowi XVI wieku, rodzina *Carraccich*, stryj Ludwik i dwóch synowców, Annibal i August, wszyscy trzéj znakomici bolońscy malarze, podnieśli tę upadającą sztukę, i znów na dobrą zwrócili ją drogę.

Od nich to trzeci liczą malarstwa peryod.

Ale wówczas, cztery wielkie szkoły o których mówiliśmy, były już swą samodzielność straciły. Namnożyło się ich bez liku; każda prawie mieścina miała swoją; a w téj ilości przy upadającym sztuki genjuszu, zatarły się dawnych szkół znamienujące barwy. Odrodzone zaś na nowo malarstwo, nowy całkiem przybrało podział.

Rodzina *Carraccich* wkrótce znalazła rywala w *Amerigi* z *Caravaggio*. Ten uważając w *Carraccich* jeszcze zanadto przesady, chciał koniecznie saméj trzymać się natury.

Wówczas powstały dwie nowe szkoły: naśladowcy *Carraccich* zwani byli eklektykami, uczniowie *Caravaggio*, naturalistami.

Do pierwszéj z tych szkół, liczą sławnego *Guido Reniego*, *Albana* i *Dominikina* (wszyscy bolończycy), *Lanfranca*, *Schidone*, Piotra z *Cortony* i kilku innych.

Caravaggia najsławniejszy uczeń był *Guercino*.

Naturaliści znaleźli późniéj przeciwnika w *Arpinie* który chciał być idealistą; z czego w przeciwną wpadając ostateczność, zrodził się w siedmnastém stuleciu najnikczemniejszy ze wszystkich rodzajów, pod nazwiskiem *bambocciatów*.

XIX.

MUZEUM.—BENVENUTO CELLINI.—POWÓDŹ.—MUZYKA.—EX-KRÓLOWIE.

Bawiło mię i zajmowało w tych kunsztownych marudząc poszukiwaniach, sprawdzając i porównywając pisarzy, co ranek zwiedzać medycejską galeryą, gdzie znajdowałam zdań ich dowody, lub zaprzeczenie.

Tam za trzecim lub czwartym razem, każdéj szkoły charakter z łatwością się poznaje, jak i pęzel każdego prawie malarza.

Wielką znajdowałam także przyjemność, odczytawszy życie którego z tych znakomitych ludzi, z tych artystów, jakich tylko wiek odrodzenia widział, przypatrując się ich rysom. Medycejski zbiór, ma bowiem dwie sale samemi sławnych malarzy zapełnione portretami, najczęściéj przez nich samych malowanemi.

Prócz obrazów i portretów malarzy, cała górna część pierwszéj galeryi, mieści rozmaitych królów i rycerzy wizerunki, między któremi znajdziesz Jana Sobieskiego, Jana Zamojskiego i kilku innych bohaterów polskich.

Pod obrazami, rzeźby od najdawniejszych do najpóźniejszych czasów, i posągi cesarzów rzymskich. Daléj brązy, tak starożytne jak i późniéj

sze, a między niemi oryginał sławnego Merkurego, dzieło Jana z Bolonji, którego kopją na gościnnym dworze w Warszawie codzień widujesz.

Jeszcze daléj, w rozmaitych salach, gabinetach i gabinecikach, zbiór rycin starożytnych, medali, egipskich mumji, i innych niezliczonych ciekawości, między któremi, należy mieścić ryciny na srebrze *Nielles* zwane. Słowem, jest to kunsztowny labirynt, w którym umysł jak zamkniętego kwiatu pączek, do ciepłéj szklarni wniesiony, raptownie się rozwija, coraz bardziéj czując dla siebie téj atmosfery potrzebę. Tam wzrok jakby nowém oświetlony słońcem, nowych nabiera własności; uczy się patrzeć na kunsztowne Włochy; tę estetyczną krainę w jéj estetycznych poznawać promieniach, przesiękać i upajać niemi odrętwiałą czasem widza duszę.

Medycejska galerya, ze zbiorem pałacu Pitti połączona, najwspanialsza w całym świecie, zdaje się na wstępie Włoch umyślnie w tym celu dla wyższego usposobienia podróżujących umieszczoną. A Florencya wraz z każdym co ją zwiedza, wiele wybaczyć winna téj dumnéj rodzinie co ją podobną uposażyła pamiątką.

Jeszcze ci tu powtarzam przyjazną radę, Antosiu, iż jeśli przebędziesz Alpy w tém leniwém usposobieniu duszy, co to łatwych tylko pragnie uciech, z Genui udaj się prosto do uroczego Neapolu. Lecz jeśli znajdziesz dość w sobie siły do otwarcia innego jeszcze raju podwoi, dość energji, by kilku dniami suchéj nauki, okupić tysiące nieznanych rozkoszy, o Antosiu! niecofaj się przed niemi! pójdź do Florencyi — Florencya będzie ci i do Rzymu dobrym wstępem, dobrym przewodnikiem, nie tylko pod względem jego kunsztownéj strony, ale bardziéj tem jeszcze, iż umysł raz tą ogarnięty poetyczną atmosferą, rozkołysany jéj obłędem, bardziéj do wszelkich innych gotów poezyi, szerzéj je ogarnia, inaczéj je czuje!

Częste zwiedzanie muzeum, tem więcéj miało dla mnie powabu, iż mi długie jego bez końca galerye, obok nauki i rozrywki, za najmilszą także służyły przechadzkę. Poznawszy ogrody i niektóre z okolic Florencyi, pośród opadłego drzew liścia, różami zawsze i stale ozdobnych, gdy się późnéj jesieni zaczęły słoty, tam zarazem dla umysłu i ciała szukałam ruchu.

Po parogodzinnym przeglądzie, całkiem już zmęczona, siadałam najczęściéj w tak nazwanéj trybunie.

Jest to okrągły salonik z kopułą, perłową kąchą wyłożoną, ze światłem z téjże kopuły spływającém; jest to raczéj świątynia, gdzie zgromadzono główne medycejskiego zbioru arcydzieła, posągi i obrazy, z którychby każdy na osobną zasługiwał świątynię.

Tam w środku, Wenus medycejska, miedzy starożytnym faunem, Gladyatorem i Scytą, mściwy nóż ostrzącym, odwraca z gracyą od widzów głowę. Tam w pięciu Rafaela oryginałach, poznaje się różnica trzech rodzajów jego, gdy najprzód mistrza swego *Perrugina* naśladować tylko usiłował, następnie własnemu, a w końcu niebiańskiemu uległ natchnieniu. Tam i *Leonarda da Vinci*, *Michał-Anioła*, *Tycyana*, *Dominikina* i wielu innych, znajdują się prześliczne dzieła.

Często także w sali Nioby, gdzie ta nieszczęśliwa matka chce bronić, a bronić nie może, i patrzy na swe ginące dzieci, w pośród tych mówię starożytnych posągów, kształtami i wyrazem równie zdumiewających, szukałam spoczynku.

Czasem też méj kobiecéj hołdując naturze, kończyłam na gabinecie klejnotów. Jest to zbiór kosztownych z drogich kamieni, pereł i złota, gracików i cacek. W szklannych szafach, na rozmaitych mniejszych i większych pułeczkach, z taką poustawiane kokieteryą, iż możnaby się mniemać w wykwintnéj elegantki budoarze; mają i one wszakże swą kunsztowną stronę.

Starożytne lub na ich wzór kształcone czarki, puhary, lampy, trójnogi, zachwycają swą wysmukłą zgrabnością, złotnicze zaś z czasów odrodzenia wyroby, przekonywają, iż w tym dziwnym wieku, złotnicy nawet, byli artystami.

Naczelnik ich, sławny Benwenuto Cellini, często obwiniany bywa, iż kunszt do wyrobu zniżył, iż dla podobania się magnatom, rzeźbę do kredensowych skarlił wymiarów i potrzeb.

Patrząc na jego Perseusza, co tak pięknie portyk *dei lanzi* na placu Granduca zdobi, na popiersie Kozmusa I w Medycejskiém muzeum, i ja mu za złe miałam, że mogąc taki utworzyć posąg, robił wazy, półmiski, tace (które wprawdzie już teraz jako kunsztu przedmioty w skarbcu starego pałacu, za wyłącznem tylko pozwoleniem pokazują ciekawym).

Ale Benwenuto, jakby w odpowiedzi na te poniekąd słuszne zarzuty, zostawił swe pamiętniki; a kto je przeczyta, pewno mu tych bagatelnych nie policzy występków.

Te pamiętniki, tak w swym rodzaju dziwne, jak i całe awanturnicze życie jego, jak charakter i usposobienie autora, równie się zalecają zajmującemi opisy, jak tém, iż są wieku swego wiernem odbiciem.

Jak w *Dancie* i Dekameronie *Boccacia* poprzednich czasów, tak w pamiętnikach Celliniego, XVI wieku doskonale można uchwycić gorący i krwawy koloryt.

Ku końcowi Października, niebo florenckie całkiem szare, częste a ulewne deszcze, każdego przy kominku wstrzymywały. Najulubieńsze miej-

sce pięknego florenckiego świata, sławne Cascina (1), zupełnie były puste; świetne ekwipaże się pochowały; nie ręczyłabym nawet czy które z tych włoskich dam, co to dzień między miłością i spowiednikiem, wieczór i noc między spacerem i operą dzielą, nie wzięła z rozpaczy jakiéj książki w rękę.

Ja także przy moim kominku, czytałam Celliniego naiwne wyznania: czytałam jak ojciec jego, fletrowersista, chciał go do tego instrumentu zmusić; jaką on antypatyę do fletrowersu cierpiał, tak dalece, iż razu jednego żeby na tę piszczałkę więcéj nie patrzeć, ani jéj słyszeć, uciekł do Pizy. Tam trafił do jakiegoś złotnika, za czeladnika przystał, i taką koleją Benwenuto został złotnikiem.

Daléj opisuje, jak zachorowawszy, do ojca powrócił; a przez wdzięczność za czułe jego starania, raz mu prześlicznie na fletrowersie zagrał. Lecz wkrótce potém, mając już lat 17, poróżnił się z jednym ze swych kolegów, zabił go, i uciekł z Florencyi do Rzymu.

Było to właśnie gdy papież, Klemens VII, do twierdzy Świętego Anioła przed nieprzyjacielem schroniony, twarde znosił w niéj oblężenie.

Benwenuto *Cellini*, trzymając z papieżem, tyle codziennie własną ręką słał trupa, iż co wieczór musiał brać za to od Ojca Śgo rozgrzeszenie, gdyżby inaczéj spokojnego snu niemiał.

Nieco późniéj, *Cellini* spotyka na ulicy jakąś nienawistną sobie figurę. Chwyta garść błota by w twarz jéj cisnąć. Ale w błocie *znalazł się* kamień, a ten *przypadkiem* ugodziwszy w czaszkę, na miejscu obala przeciwnika.

Cellini, po całym wypadku, ucieka do Neapolu; lecz wróciwszy do Rzymu, zanosi papieżowi trzy prześlicznéj roboty medale. Papież się nad ich pięknością unosi, i wszystko mu zapomina.

Opisuje potém swe spotkanie ze złotnikiem Pompeo zwanym. Ten szkaradny człowiek, mówi, niecierpiąc mię, oddawna na me godził życie. Teraz gdyśmy się na ulicy w pośród licznego zgromadzenia napotkali, i widziałem że mi chce jakąś wyrządzić niegrzeczność, a może obelgę, podniosłem rękę by go w twarz uderzyć; ale on z przelęknienia odwrócił głowę, tak, że nóż mój pod ucho mu trafił. Dwa razy go

(1) Tak się zowie piękny wielkiego księcia park, z gospodarskim w środku zakładem, u samych Florencyi bram, gdzie cały świat na najpiękniejsze wysadziwszy się ekwipaże, codzień się przejeżdża. Wracając, pojazdy na dziedzińcu książęcego folwarku stają; tam nie wysiadając, wszyscy się witają, rozmawiają, i do swych loż na operę wzajemnie zapraszają, gdzie dalszy ciąg rozmowy się toczy — i to jest główna i codzienna florenckich pań rozrywka. Balów bywa tam wprawdzie bez miary, ale tylko u cudzoziemców.

tylko pchnąłem, gdyż za pierwszym już był bez duszy. Nie miałem wcale zabicia go zamiaru, dodaje, ale jak to mówią, nikt za swą rękę ręczyć nie może i t. d.

Później udał się do Francyi, lecz nie kontent z przyjęcia Franciszka I, tajemnie dwór jego opuścił. Franciszek zdziwiony, dopomniał się o złotnika swego; ale Benwenuto za powrotem do Rzymu, oskarżony przed Pawłem III o skradzenie klejnotow poprzednika jego Klemensa VII, w srogiém osadzony więzieniu, smutne dni pędził.

Opis ucieczki z więzienia, powrotu na dwór Franciszka I, powtórnéj z Francyi ucieczki, pobytu na dworze Kozmusa I, odlania posągu Perseusza, wszystko przeplatane wypadkami, jeśli nie zbrodnią, to podstępem, przewrotnością i hańbą nacechowanemi, a opowiadane z taką prostotą, jakby najnaturalniejsze rzeczy, wszystkie te, mówię, opisy tém samém zajmują, iż malując ówczesne obyczaje i zasady jakiemi się prowadzono, obszerne stręczą do uwag pole.

Gdy tak do późnego wieczora *Cellinim* się bawiłam (którego dom przed kilku dniami pokazywano mi na jednéj z ulic Florencyi), a deszcz ciągle w okna ćwiczył, zadzwoniłam by się dowiedzieć przyczyny niezwykłego jakiegoś, a coraz wzmagającego się szelestu. Powiedziano mi że to Arno deszczem nadęte, tak szumnie fale swe toczy.

Ucieszyłam się iż codzień patrząc na ospałe Arno, choć raz go ujrzę żwawém, szumném, swawolném.

W nocy (było to z 2 na 3 listopada), szum się zwiększył, jakby bałwanów morskich; hałas ten był przeraźliwym. Znów zadzwoniłam; ale już dzwonka a jeszcze mniéj głosu, w mojém nadbrzeżném mieszkaniu słychać nie było. Z pierwszém świtaniem pobiegłam do okna, i ujrzałam Arno, to Arno co zwykle o kilkanaście sążni niżéj od nadbrzeża na dnie błotnistego koryta się wlokło, teraz już parapet coraz wyżéj przeskakujące. Był to potok ogromny, groźny, straszliwy, a co chwila szerszy, wyższy i straszliwszy.

Pamiętna karpackiéj powodzi, znałam się z rodzajem téj okropnéj klęski, wiedziałam jak żwawo w takich razach postępować należy; nie tracąc więc czasu, posłałam po pojazd. Zanim go sprowadzić zdołano, już całe nadbrzeże wodą pokryte było, już dolne mieszkania zalane, a mojego piętra, do którego 20 było schodów, ośm także już zalanych. W pojeździe, acz wysokim, pełno było wody, a konie po piersi jéj mając, niechciały postępować daléj.

Ucieczka była już bardzo trudną, za jedną jeszcze chwilę stawała się oczywiście niepodobną. Niebespieczeństwo coraz groźniejsze. Potok w swym szalonym pędzie, toczył między tysiącem innych szczątków, drzwi,

ganki, okna. Któż mógł ręczyć, iż wkrótce całych domów częściowo nie potoczy, a przynajmniéj nie obali?

Z wyższych piątr jedni także o ucieczce myśleć poczęli, niestety za późno! inni na dach się przenosić. Puszczono wieść iż Piza zniszczona, iż Arno połowę jéj poniosło. Trwoga i rospacz do najwyższego dochodziła stopnia.

Po krótkim namyśle, postanowiłam z pojazdu, póki jeszcze czas, korzystać, a po okrutnéj przeprawie, w odleglejszéj od rzeki stronie, znalazłam przyjazne i miłe schronienie.

Wszyscy się unosili nad zuchwałą méj ucieczki odwagą. Te dwa wyrazy: odwaga i ucieczka, pierwszy raz wówczas podobno spotkały się z sobą.

Arno jeszcze do wieczora wzrastało, i niesłychane porobiło szkody. Nadbrzeże na którém mieszkałam, zwane tam *Lungo l'Arno*, jak i cała zalana część miasta, była najmodniejsza i najpiękniejszemi zapełniona magazynami. Zanim postrzeżono niebespieczeństwo, ratunek już był niepodobnym. Co do strat, kupcy i właściciele domostw największe ponieśli. Jednak prócz małych z przedmieścia domostw, powódź ta żadnéj nie naruszyła kamienicy. Mieszkańcy piątr wyższych, co nieznaleźli jak ja *odwagi* do ucieczki, doznali tylko największéj trwogi i głodu. We dwa dni dopiero uorganizowano jakąś *wodną usługę*, co na łódkach dostarczała biednym tym wyspiarzom żywności. Przedtém kto czém mógł dzielił się z sąsiadem. Lecz że kuchnie dolne były zalane, a górne należały do przybyłych cudzoziemców, którzy nie zwykli spiżarni zaopatrywać, niedostatek w najokrutniejszy sposób czuć się dawał i pomnażał trwogę.

Gdy trzeciego dnia wróciłam do domu, woda na brzegach była już tylko po sobie ogromną ilość mułu zostawiła. I konie i ludzie po piersi w nim grzęzli, tak że powrót mój, jeśli mniéj niebespieczny, równie był przecie trudnym jak ucieczka.

Arno jednak rozhukane i wzdęte, niechciało wejść w dawne swe koryto. Pełno zabrawszy ogrodów, niosło jeszcze całe pomarańczowe drzewa, owocem pokryte, i krzewy róż z pączkami i kwiatem; a w pośród tych róż i pomarańczy, widać było to sprzęty domowe, to konie, bydło i kilku ich właścicieli zapewne przy ratowaniu utopionych; to trumny z cmentarzów wydobyte, ciała zmarłych w pośmiertnym stroju, lub już tylko ich części, głowy, ręce, nogi, jako i szczątki złocistych herbowych tarczy, z trumien pozrywanych, lub wyblakłych z ich wiek szkarłatów. Wszystko to razem tańcowało po tych rozhukanych falach, znikając w ich głębi, i znów wznosząc się nad niemi.

Był to widok szczególny, przeraźliwy, smutny i do głębokiego pobudzający dumania.

Wreście i czas był po temu: lubo żywności już nam nie brakło, i woda do koła już nie oblegała, szaniec z mułu w jéj miejscu, wszelką między nadbrzeżem a resztą miasta przecinał komunikacyą; a niebo zawsze szare, i czasem spadające acz mniéj ulewne deszcze, bynajmniéj nie ręczyły iż drugiéj nie ujrzymy powodzi.

Z połowę Anglików na zimę przybyłych opuściło Florencyą. Ja zaś niechcąc nadużywać przyjaznéj gościnności, jakiéj w pierwszym doznałam wypadku, zamówiłam sobie na drugi, kilka pokoi w hotelu w wyższéj części miasta położonym; a do nowéj ucieczki gotowa, z częścią upakowanych rzeczy, od rana do nocy, a często i wpośród nocy wyglądałam oknem, ciągle słuchając wzmagającego się lub słabnącego szumu i hałasu zawsze zburzonéj wody.

Tak to Arno, jakby przez zemstę iż mu przyznać nie chciałam tylu głoszonych wdzięków, bystrości i życia, w ciągłéj niespokojności i trwodze około tygodnia mię wytrzymało, ciągle przedstawiając obrazy, które mi późniéj w bezsennych nocach jak gorączkowe przedstawiały się mary. Gdy się tylko do snu zabierałam, gdy tylko zmrużyłam oczy, zaraz widziałam przed sobą, te ciała bez głów, te głowy bez ciał, skaczące po jego szalonych bałwanach; a gdym do okna pobiegła, w każdéj niesionéj wodą belce zdało mi się widzieć trumnę, w każdéj chuście bielący się szkielet, w każdym niewyraźnym szczątku, jakąś cmentarzową zdobycz.

Po opadnięciu wody, i gdy się zabrano do oczyszczania brzegów z mułu, jeszcze mię też same ścigały widma. Muł ten bowiem pełen był rozmaitych przedmiotów; między niemi części trupie z resztą pośmiertnego odzienia, lub nagie kości, czaszki i t. d. co chwila wyciągano, oglądano i ciskano do wody; a ta na nowo je porwawszy, znowu igrała z niemi.

Wiedziałam, prócz tego, iż podobnyż muł, z takiemiż zdobyczami, piwnice i wszystkie dolne mego domu mieszkania, zalega, i wyznaję, iż myśl tego sąsiadowania, bynajmniéj różowego na marzenia moje nie rzucała odblasku.

Wpośród tych wszystkich wrażeń, rzeczą godną także uwagi była Florentczyków niewypowiedziana opieszałość, niepojęte lenistwo, ospałość! Nie mówię już o téj nieczynności, którą tak drogo opłacili, gdy widząc wzrastającą wodę, żaden z kupców nie pomyślał o przeniesieniu swych składów na wyższe piętra, bo tę składano na nieznajomość po-

dobnéj klęski, jakiéj od naddziadów we Florencyi nie pamiętano (1), na przestrach i osłupienie. Lecz później gdy osłupienie minęło, gdy przystąpiono do ratowania rzeczy które jeszcze wyratować można było, i już nie z rozhukaną i straszliwą rzeką, ale z osiadłym mułem miano do czynienia, cóż za powolność! jaka zleniwiała natura! każdy Czech lub Niemiec, ze swém znaném *langsam*, wydał by się między teraźniejszemi Toskanami najżwawszą, najenergiczniejszą istotą.

Patrząc na ten rodzaj otrętwiałości, z jakim każdy robotnik, odrzuciwszy jakby przez sen jedną łopatkę mułu, cały kwadrans potém, czasem pół godziny, sparty na niéj odpoczywał, ocierał się z potu, rozmawiał lub przeciągał się i ziewał, pomyślałam sobie, że bez twierdzenia historyi, niemożnaby wątpić iż w Toskanji nowe ludy dawne zagłuszyły pokolenia, iż tu ani jednego niemasz potomka z tych burzliwych Gwelfów, co to za najmniejszą urazę biegli do broni, z tych republikanów, co broniąc się przeciw książęcego Medyceuszów despotyzmu, oddawszy się pod opiekę Syna Bożego, cudów waleczności dawali przykłady. Mogło się raczéj zdawać iż to są jacyś cmentarza mieszkańcy, powodzią chwilowo tylko zbudzeni, lecz w letargowym pozostali stanie.

Wielki książe osobiście o stratach obywateli rad był się przekonać, i doglądał robót postępu; widząc jak one żółwim idą krokiem, w miejsce najemników, przysłał całe bataljony żołnierzy, a ci pod wojskowém zwierzchnictwem żwawiéj niby wzięli się do pracy. Lecz żeby i o téj dać wyobrażenie, powiem iż w sześć tygodni po wód opadnięciu, niemogłam jeszcze przyjąć nikogo, całą sień mając piwniczym zarzuconą mułem, a gospodyni moja, handlująca rossyjskiemi towary, jeszcze suszyła swą herbatę, skóry i ordzewiałą broń, niemogąc sklepu do nowego przyprowadzić porządku.

W Paryżu, w sześć tygodni po powodzi, jużby tylko w romansach szukano historycznych jéj opisów.

Towarzystwo dzielniejsze okazało w téj klęsce współczucie, i żwawiéj się zabrało do składek, loteryi, koncertów, balów i widowisk. Trzeba wprawdzie wspomnieć, iż ospały robotnik, nie miał do swéj pracy tych bodźców, jakie zwykle w układzie towarzyskich widowisk i koncertów energii dodają. Gdyby jemu znana była salonowa próżność, gdyby w nim podobne grały sprężyny, pewnoby i on się obudził i niepoziewał sparty na łopatce.

Wreście, jeżeli Florenckie towarzystwo po większéj części z cudzoziemców złożone, (bo Włoszki w ogólności obcych nie lubią i mało się

(1) W 1557 roku, o podobnéj pisano powodzi.

łączą z niemi), jeżeli bale, na których nawet naszego mazurka doskonale tańcują, nic mi nie przedstawiły nowego, i patrząc tak na towarzystwa obrót, jak i na bale, zawołałam nieraz: — „ach to tak jak u nas;" słuchając koncertów i oper amatorskich, niepodobna mi było zapomnieć, że u nas nie takie!

Włochy się uskarżają, że im Europa zabiera artystów, że kraje w złoto obfite, talenta ich zakupują. Każdy handluje czém posiada. Lecz jeśli Włochy tracą tym sposobem swych celniejszych artystów, jakże artystyczny duch wszędzie rozlany, stokrotnie zastępuje wyłączny i niczem nietowarzyszony na scenie talent.

W operze lub koncercie, miło jest zapewne słyszeć, dobrze odśpiewaną aryę; ale jakże inaczéj wyda się taż sama opera, tenże sam koncert, gdy drugie i trzecie głosy, jako też chóry i orkiestra, nie mechanicznie tylko wyuczone, pilnują swej nóty, lecz z całém sztuki pojęciem, z natchnieniem, i w duchu autora są wykonane.

We Włoszech, Neapol był niegdyś kolebką muzyki, i dotąd, za jéj uważany ojczyznę. We Florencyi jednak, jak i w innych włoskich miastach, chóry do oper między rzemieślnikami w dzień reprezentacyi zbierają, co nieprzeszkadza ich doskonałéj harmonii; dowodzi to jak uczucie muzyki głęboko w tych gminnych i ospałych wkorzenione jest duszach!

A cóż powiedzieć o wyższém towarzystwie!

Gdy w kilka dni po powodzi, ogłoszono na prędce między salonowemi paniami ułożony koncert, słusznie można było wnosić, iż to będzie dosłownie, to co się zowie *koncert amatorski*; że kilka, jedna po drugiéj, wyjdzie z kajetem w ręku dam, drżącym głosem zacznie jakąś tam aryę, któréj jak kanarek, każdéj z osobna wyuczyła się nóty, a skończy w oklaskach słuchaczy, szczęśliwa jeśli się jéj uda, nie więcéj jak dwa lub trzy razy tylko zfałszować.

Ale gdzież tam! tu ani żaden głos nie zadrżał, ani się o dokładność mógł troszczyć. Każdy z tych salonowych śpiewaków, pewny swych tonów, uczuciem natchniony, oddaniem swéj aryi, tak w ogólnym jéj duchu jak i w jéj szczegółowych ozdobach jedynie zajęty, z równém uczuciem towarzyszony, nieoglądał się za oklaskami, ani do końca śpieszył, wydając się w swém śpiewie, namiętnéj swéj duszy jedynie dogadzać; a ja, com w życiu podobnego nie słyszała amatorskiego koncertu, niemogłam się dość wydziwić doskonałéj téj muzyce, i miłych mych z niéj wrażeń.

Po koncercie nastąpiły widowiska. Słuchając komedyi i wodewilów francuzkich, z samych złożonych cudzoziemców, jeszcze raz zawołałam:

—„to tak jak u nas!" Ale gdy ogłoszono operę, i to *Lukrecyą Borgia*, roześmiałam się tylko z tego amatorskiego zuchwalstwa.

Porywać się na sztukę, tak co do muzyki jak i do gry trudną, iż rzadko która trupa, jako tako oddać ją zdoła, zdawało mi się nierozsądkiem, dobroczynnym tylko usprawiedliwionym celem.

Tymczasem, wykonanie jéj przeszło wszelkie oczekiwanie, wszelkie pojęcie, nie tylko moje, ale wszystkich, tych nawet, co pamiętając wysoką miejsc cenę, do srogiéj wymagalności mniemali mieć prawo.

Widziałam tę operę, na wszystkich prawie celniejszych Europy scenach, lecz żadna nie dorównała, a wiele nie zbliżyły się, do stopnia doskonałości, z jaką ją wówczas włoska rodzina książąt Poniatowskich oddała.

Gra była taką, iż odjąwszy muzykę, sztuka ta jeszczeby pozostała wspaniałą tragedyą, a muzyka tak szczytnie we wszystkich swych częściach wykonaną, iż mistrzowska ta gra, zdawała się już zbytkiem. Trzeba do tego dodać stroje najsumienniéj historyczne, bogate i świeże, by pojąć téj reprezentacyi zachwycającą doskonałość.

Uproszono jéj powtórzenie. Mimo bardzo wysokiéj ceny, wszystkie loże zawczasu pozamawiano, miejsca przepełnione były, i to w *Pergoli*, jednéj z największych scenicznych sal włoskich. Zapał był niesłychany, wszystkie laurowe drzewa postradały swe liście, w wieńce dnia tego uplecione, a bogate Florencyi ogrody, na kolosalne bukiety, zaledwo dość kwiatów dostarczyć zdołały. Po każdym akcie, koszami je ze sceny zbierano. Po czém nastąpiły sonety, na scenę ciskane, i nam po lożach rozdawane. Sonet jest bowiem we Florencyi koniecznym, w każdéj nadzwyczajnéj okoliczności finałem.

Rzadką jest rzeczą i podziwu godną, widzieć całą rodzinę muzykalną i z tak znakomitém scenicznem usposobieniem, jak jest ta gałęź książęcego rodu naszego, na obcéj zazieleniała ziemi; tém dziwniejszy jest ten wrodzony talent, iż matka, lubo włoszka i z nizkiego rodu, niebyła jednak nigdy śpiewaczką ni aktorką; a ojciec, książe stolnik brat Stanisława Augusta, lubo miłował kunszta; i dla tego zapewne we Florencyi osiadł, nie był jednak artystą, ani muzykiem.

Książe Karol, starszy z braci, jest na czele instytutu filarmonicznego we Florencyi, który pod jego pieczą co tydzień koncerta *gratis* dla zaproszonéj publiczności daje, i artystów kształci; a książe Józef, wielce jest cenionym kompozytorem, i już nie jedną operą, scenę włoską wzbogacił.

Lecz ci dwaj bracia, z Włoszkami ożenieni, jak i dwie ich siostry, za Włochów wyszłe, polskie tylko noszą imie. Książe Karol, najstarszy

z rodziny, ma wprawdzie rysy i postać cechującą jeszcze pierwotny ród jego. Spotkawszy, możnaby go wziąść za Polaka. Lecz jak kraj, tak mowa i zwyczaje polskie, zupełnie mu obce; a reszta rodzeństwa téj zwodniczéj nie nosi nawet powierzchowności.

Tak to Florencya dała Polsce swych *Pazzich*, których imie na Pacow przerobione, i całkiem spolszczone, świeżo u nas w męzkiéj linii wygasło; a Polska nawzajem, ostatniego Poniatowskich udzieliła jéj szczepu. A lubo Pacowie swój florencki zachowali herb (lilją), a Poniatowscy, polski (ciołek), jednak ani jedni ani drudzy, prócz herbu, nic ze swéj pierwotnéj nie zachowali ojczyzny.

Lubo Rzym, jako wielkich i szczytnych ruin stolica, powinienby mieć pierwszeństwo w wyborze tych, którym ze świetnych tronów ruiny tylko pozostały, i nieraz też mieścił w swych dumnych murach te namaszczone a już bez koron czoła, Florencya jednak większą ich liczbę zwykle posiada.

Teraz gdy już wielu z tych losu ofiar, groby tylko tam swe złożyły, mieszkają jeszcze: Ludwik Bonaparte, były król holenderski, i młodszy brat jego, były król westfalski.

Pierwszy ciężką oddawna znękany chorobą i władzy nóg pozbawiony, zupełnie się od towarzystwa usunął; zanoszą go codziennie do karety, w któréj się na spacer tylko przejeżdża. Jedyny syn jego, w Ham, jak wiadomo, osadzony, a wdowa po zmarłym starszym synie, niedawno także umarła. (1)

Drugi za to, liczniejszą otoczony familją. Straciwszy przed kilką laty ogólnie żałowaną z wirtembergskiego domu żonę, wydał córkę za pana Anatola Demidow, niedawno przez papieża księciem Donato mianowanego.

Księztwo Demidow, wieś swą Donato, u samych bram Florencyi położoną, ślicznie upięknili; pałac pysznie przystroili, i świetne w nim dają bale.

Były król westfalski u siebie także raz w tygodniu przyjmuje.

Prócz księżnéj Matyldy Demidow (wdzięcznéj postaci ale całkiem würtembergskich rysów), ma on jeszcze dwóch synów, a z tych starszy, Napoleon, uderza nadzwyczajném do cesarza podobieństwem.

Do tych szczątków bonapartowskiéj dynastyi, do któréj możnaby dołączyć liczne Lucyana, księcia Canino, potomstwo, do podobnéjże Ponia-

(1) Od czasu gdy to pisane było, król Ludwik umarł, a syn jego z Ham się wymknął.

towskich rodziny, przybyła tam właśnie podczas mej bytności później jeszcze od nich z tronowych stopni spadła książęca także mitra.

Mówię o księżnéj Berry, przyrodnéj siostrze wielkiéj księżny toskańskiej, która zamierzając w Wenecyi ostatecznie się ulokować, przedtém część zimy we Florencyi spędzić przyjechała.

Dwór jéj bardzo skromny, składał się głównie z męża jéj, hrabiego Luccesi-Palli, i czworga z tego powtórnego małżeństwa dzieci.— Nie przeszkadzało to wszakże iż w domu siostry, jako udzielna uważana księżna, i jakby nigdy księżną Berry być nie przestała, i takież odbierała honory. Co jest zapewne rzeczą bardzo naturalną.

Lecz co mi się dziwniejszém wydało, to zapał kilku dawnych legitimistów, we Florencyi osiadłych. Na rozgłos przybycia *Matki ich króla Henryka V*, taka ich ogarnęła niepojęta radość, iż w najżwawszy ją okazywali sposób. Nadzieja jéj oglądania, ucałowania rąk jéj, pozbawiła kilku z nich snu i w tak gorączkowym trzymała ich stanie, iż dla jednego lękano się zupełnego obłąkania.

XX.

AKADEMJA. — PAMIĄTKI SŁAWNYCH LUDZI. — TERAŹNIEJSI ARTYŚCI. — IMPROWIZATORKI. — LITERATURA. — DROGA Z FLORENCYI DO RZYMU. — RZYM.

Ostatnie dni trzy miesięcznego we Florencyi pobytu mego, poświęcone były akademii sztuk pięknych i zwiedzaniu mieszkań i domów dawnych artystów, jako też sławniejszych pracowni tegoczesnych.

Akademja sztuk pięknych, posiada zbiór rzeźb i obrazów, ułożony w historyczny sposób, to jest podług epok sztuki, jéj wzrostu, upadku i odrodzenia.

Liczy aż do 300 uczniów. Między professorami, szczyci się imieniem sławnego sztycharza *Morghena*, zmarłego w 1833 roku. Sekretarzem jéj zaś jest poeta *Niccolini*, którego tragedja *Foskarini* otrzymała w 1827 r. medal złoty. P. *Niccolini* z innych także literackich prac ceniony, jedno z pierwszych, w tegoczesnéj literaturze włoskiéj. trzyma miejsce.

Akademja *della Crusca*, lubo także do uświetnienia Florencyi należy, mało ma czém ciekawego zająć badacza. Głównym jéj bowiem celem, jest piastowanie języka, przepisywanie mu form i praw, którym jednak mało kto się poddaje. Włoch *eufonji*, to jest śpiewu, harmonji, przed

wszystkiém po mowie pragnie, w stylu szuka, jéj wszystkie poświęca grammatykalne prawidła, wedle potrzeby dodając lub ujmując liter i sylab. Z tąd, biegle już potoczną rozumiejąc mowę, długi czas jeszcze autorów i poetów zrozumieć nie można.

Między domami sławnych ludzi, dom Michała-Anioła na ulicy *Ghibellina*, pierwsze jak mniemam każdego artysty zwróci kroki. Znajdzie tam jeszcze jego pęzle i farby, pierwsze jego w rzeźbie i malarstwie próby. Znajdzie prócz tego całe pasmo obrazów tego potężnego artysty, co przez trzy czwarte wieku berło sztuki silną dzierżył ręką, co pięciu papieżom i tyluż prawie innym monarchom, wedle natchnienia lub kaprysu, służył lub spierał się z niemi.

Tuż za bramami miasta, na wzgórzu, za królewską willą, *Poggio-imperiale* zwaną, wznosi się wieża, a przy niéj skromny domek, gdzie *Galileusz* smutnéj starości ostatnie dni spędził. Lecz już tam mało śladów jego znajdziesz.

Mniéj jeszcze w domku *Alfjerego*, gdzie on swe pamiętniki pisał, a w 1803 roku umarł.

Można we Florencyi jeszcze takoż wynaleść domy, lub tylko ich miejsca, *Jana z Bolonji*, *Machiavela*, *Celliniego* i kilku innych sław.

Za to, teraźniejszych artystów szukać nie potrzeba. Są ulice, gdzie za każdym krokiem, postrzega się dziedziniec założony bryłami marmuru, ułamkami pozaczynanych rzeźb, prób, lub starych wzorów. W głębi, drzwi najczęściéj do bramy podobne, otwierają rodzaj stodoły: są to rzeźbiarcze pracownie.

Rzeźbiarzy we Florencyi jest daleko więcéj niż architektów i malarzy; a jednak drugich i trzecich więcéj co do liczby niż co do sławy. W takiéj ilości mierność musi koniecznie przemagać.

Między rzeźbiarzami, od dawnych lat, najpierwsze trzyma miejsce *Bartolini*. Po nim najbardziéj jest ceniony *Pampaloni*, którego dłuta widzieliśmy w Warszawie nagrobek hrabiny Wincentowéj Krasińskiéj. Lecz najbardziéj odznaczający się samodzielnością swych nowych tworów, jest poczynający rzeźbiarz Duprès, Florenteczyk lubo francuzkiego nazwiska. Jeśli tak daléj postępować będzie, jak to jego Abel i Kain wróżyć pozwalają, to zagasi wszystkie tegoczesne rzeźbiarcze sławy. *Pozzi*, który przed kilką laty, parą posągami Kraków wzbogacił (nadgrobkami pp. Ankwicza i Sołtyka), i Warszawę wówczas zwiedził, wróciwszy z téj podróży, ogólnie żałowany, umarł.

Przebiegłszy znakomitszych artystów, chciało mi się jeszcze koniecznie usłyszeć jakiego improwizatora lub improwizatorkę. Florencya niegdyś niemi słynęła.

Wiadomo, że sławna *Corilla*, w kapitolu wieńczona, ta *Corilla* co dała Corinny pomysł, była Florencyanką. *Simonde de Sismondi* w świeżém swém o włoskiéj literaturze dziele, zaszczytnie wspomina, panią *Fantastici*, żonę złotnika. Mówi że jéj improwizacye, pełne bujnéj wyobraźni, pełne śmiałéj fantazyi, nazwisko jéj usprawiedliwiają. Lecz najbardziéj się unosi nad talentem pani *Mazzei*, ze znakomitego domu *Laudi* urodzonéj.

Elle surpasse — powiada — toutes les autres, par la fertilité de son imagination, la pureté et la facilité de son style, l'harmonie et la parfaite régularité de ses vers. La langue la plus harmonieuse, prend dans sa bouche de nouvelles beautés; on se sent transporté dans un nouvel univers poetique, et on s'étonne de voir les hommes parler ainsi la langue des dieux. Je l'ai vu caractériser dans de magnifiques octaves, le génie de *Dante*, de *Machiavel*, de *Galilée*; pleurer en rime tierce la gloire passée de Florence; improviser un fragment de tragedie sur un sujet tout neuf; remplir toujours sur les mêmes rimes, qui lui avaient été données, cinq sonnets, sur cinq sujets différens.... i t. d.

Wnosi z tąd, iż naród, w którym takie jeszcze pała natchnienie, nie spełnił swéj literackiéj karyery i wielką dla niego przeczuwa przyszłość.

Mimo to, poezya zdaje się, przeciwnie, zupełnie we Florencyi gasnąć. Może znów kiedy w nowym jakim odrodzi się *Dancie*, lecz podczas méj tam bytności, improwizatorów ulicznych, słyszeć tylko można było.

Jest to rodzaj żebraków czy szarlatanów, we Włoszech wyłącznie znanych. Ci, dziwacznie ustrojeni, z gitarą w ręku, jakieś tam plotą na ulicy rymy, częściéj cudze, czasem własne, tyle zapewne warte jak nagroda, jaką pomijając im kto rzuci. Jest to słowem jedna z industry włoskich.

O wyższego zaś rzędu improwizatorach, w rodzaju pani Fantastici lub Mazzei, niemogłam się dowiedzieć; a między poetami, wymieniam jedynie *Niccoliniego*. Ten zaś zbyt wiernym jest naśladowcą Alfierego, żeby mógł do rzetelnie wzniosłéj sławy mieć prawo.

Chciałam choćby jaki salon literacki widzieć. Wiedziałam, iż Florencya miewała niegdyś takie. Niedawno jeszcze wspominano o hrabinie Albano, wdowie po ostatnim Stuarcie, a tajemnéj późniéj Alfierego małżonce. Sama uczona i miła, gromadziła u siebie uczonych, i przyjemne dawała literackie wieczory. Lecz ostatnie to już podobno tam były.

Teraz Florencya na dwa dzieli się światy. Swiat artystyczny i świat tańcujący. Pierwszy nie wychodzi z pracowni mistrzów lub medycejskiego muzeum, drugi ciągle śpiewa i tańcuje. W żadnym o literaturę się nie

troszczą, i nie wysoko też ona stoi. Prócz urzędowéj a bardzo obojętnéj gazety, jedno tylko wychodzi peryodyczne pismo, i to staraniem francuza, *Vieusseux*, czytelnią francuzką utrzymującego.

Tak to, niepoznawszy improwizatorów ani poetów, na drugi dzień poczynającego się roku 1845, opuściłam tę kunsztów i kwiatów stolicę.

Z kunsztami w jéj pożegnałam się bramach, lecz kwiaty daleko mi jeszcze za nie odprowadzały. Długi czas bowiem jedzie się między dwoma różanemi płotami, a nad ich wonnemi kwiaty, złote pomarańczowego drzewa wyglądały owoce.

Nie trzeba jednak z tąd wnosić, żeby droga z Florencyj do Rzymu (bom do Rzymu pojechała), samemi była zasuta różami — bynajmniéj.

Mówią że ta, co przez *Arrezzo* i *Peruggi* prowadzi, więcéj widzięków przedstawia; ta zaś którą ja obrałam, może mieć tylko tę zaletę, iż swą posępną surowością, iż widokiem miast, mgłą świetnéj otoczonych przeszłości, w historyi słynnych, a teraz już tylko skielety dawnego przedstawiające bytu, doskonale przyspasabiają duszę do wielkich a także surowych Rzymu wrażeń.

Kraj w ogólności dziki i pusty zmusza, podług odległości karczem, całą dzielić podróż. Kto niemoże znieść nocnéj podróży; dla zdrowia, lub zbyt słynnych w Romanji rozbojów jéj się lęka, musi tam nocować gdzie jaki taki nocleg znaleść można.

Z téj przyczyny, przed południem wyjechawszy z Florencyi, za wielkiego dnia jeszcze przybywa się do *Poggi-bonsi*.

Tam jeszcze oko ma się czém rozerwać. Widoki nieszpetne, mieszkańcy, domy, rola, wszystko jeszcze europejską przypomina cywilizacyą.

Lecz zaraz za *Poggi-bonsi*, na wierzchołku stromej góry, postrzega się dawnéj *Volterry* skielet. Dumna niegdyś stolica jednéj z dwunastu republik Etruryi, teraz mała i biédna mieścina, zachowała jakąś cząstkę swych starożytnych murów, kilka wież i dzwonnic. Te mury, wieże, dzwonnice, dają z daleka wielkiego miasta złudzenie, gdy weń wjechawszy same się okazują ruiny i gruzy.

Volterra szczyci się jednym ze sławniejszych XVI wieku malarzy, Danielem *Riccinelli*, zwykle *Volteranem* zwanym. Teraz zaś alabastrowe roboty, główną sławę jéj stanowią, jako i dochód biednych jéj mieszkańców.

U stóp *Volterry*, zaczynają się znane zabójczemi wyziewy swemi bagna, *Maremmami* zwane, które daléj, brzegiem środziemnego ciągną się morza. Mieszkańce téj zatrutéj krainy, w czerwcu już z niéj uciekać muszą, by u sąsiednich wód szukać ratunku. Lecz i ten im nie wiele po-

maga. Własnością tego powietrza jest rozłożenie krwi: ta raz zepsuta trudno się naprawić daje. Mowią iż rzadko kto czterdziestu lat tam dożyje.

Jest to dla nas obcych pierwsze poznanie się z tą *malarją* włoską, którą się później, co chwila, w rozmaitych napotyka postaciach. Jest to okrutna dla téj błogiéj ziemi spuścizna dawnych jéj wulkanów, co już nie wybuchając, podziemnym teraz ogniem grunt rozbierają, szkodliwemi przesycając go żywioły.

Po smutnéj *Volterze*, *Sienna* dość nadobnie się wydaje. Lubo i jéj teraźniejszy byt dawnéj nie odpowiada dumie, miasto jednak świeżo i dobrze zabudowane, bez ruin, bez gruzów, odwodzi myśl od żałobnych wspomnień.

Sienna słynie pięknością swych kobiet, czystością wymowy, zwłokami Ś. Katarzyny i śliczną gotyckiego stylu katedrą.

W katedrze pokażą ci dużą zakrystyą, z pulpitami do koła, na których stare brewjarze i mszalniki ciekawe mają minjaturowe dużych liter ozdoby. Na ścianach ujrzysz pierwsze rafaelskiego pęzla próby. *Pinturiccio*, podjąwszy się tych fresków, wziął go, młodego jeszcze naówczas chłopca, do pomocy. Teraz nikt nie patrzy na *Pinturiccia* obrazy, szukając tylko rafaelskich głów, odznaczających się tą tęskną i omgloną czułością, co im uroczy nadaje wyraz.

Wpośród zakrystyi starożytna stoi rzeźba. Myślisz zapewne że przedstawia świętą rodzinę? — bynajmniéj — są to trzy gracye, młode i ładne kształtów pięknych i miękkich, jak je starożytni tylko robić umieli, w postaci i stroju sobie właściwym. Nie pytaj mnie co one tam robią, bobym ci wytłómaczyć nie potrafiła.

Niektórzy z *Sienny* zbaczają do *Certaldo*, sąsiedniéj tam *Boccacia* ojczyzny. Lubo już grób jego rozbity, zburzony, staraniem jednak uczonéj kobiety (pani *Lenzoni*), z grobu tego kamień, jako i inne sławnego autora pamiątki zebrane, troskliwie są zachowane w domku, na wzór dawnego *Boccacia* domu odbudowanym. Autor Dekamerona, chociaż się zrodził w Paryżu, niemniéj się uważał z *Certaldo*, tego gniazda rodziny swojéj. W nim ostatnie spędził dni i tamże je skończył.

Wróciwszy na drogę odwiecznéj stolicy, kraj coraz smutniejszy, coraz bardziéj opustoszały przedstawia widok. Zdaje się iż każdy w nim krok o sto mil od Europy nas oddala, o sto lat nas cofa od naszego industryalnego wieku.

Natura wnętrzną dręczona chorobą, wygląda jakby powstać dotąd nie mogła z pod tych wulkanów, co jéj niegdyś podarły łono. Wszędzie zastygłéj lawy potoki, zimne i szare zostawiły pasma, wszędzie widać

ślady kraterów lub późniejszych ziemi wstrząśnień; a na téj zburzonéj powierzchni, żadnéj uprawy, żadnéj nawet łąki ni bydła, nic coby cywilizacyą tchnęło.

Rzadko gdzie niegdzie rzucona wioska, zamiast ożywienia, pomnaża jeszcze wrażeń tych tęskność. Nędza, niechlujstwo nowy tam na nie rzucają cień, nowy smutek lub odrazy rodzaj.

Z pod ubogiego domostwa, które się z razu pustką wydaje, wybiegnie najczęściéj jakaś blada chorobliwa istota, kilku niby pokryta łachmanami. Ta wznosząc do pojazdu obumarły wzrok, chudą wyciągnie rękę, w imie Boże o wsparcie wołając. Tam ucho oswajać się poczyna z tym *mori di fame!* (umieram z głodu!), które późniéj brzmieć w nim już nie przestaje.

W karczmach jeszcze niedostatek, nędza. Biedni ludzie całkiem pozbawieni bydła, muszą się bez nabiału obchodzić! a równie biedny podróżny co jak ja po pierwszym objedzie zachorowawszy, już późniéj żadnego w usta wziąć nie może, widzi się nawet filiżanki herbaty pozbawiony, chyba z cytryną!

Prawie w połowie téj drogi przebywa się najwyższych Apenin łańcuch. Pomnąc na styczeń, widząc na szczytach gór śniegu płachty, lękałam się mrozu. Ale zima mile mię zawiodła. Wiosenne słońce ani na chwilę nie zbladło, a ja ani watowego odzienia, ani zamkniętych w karecie okien znieść nie mogłam.

Mimo tych ciepłych słońca promieni, co tak pięknie zwykle złocą naturę, nie wydała mi się ona powabniejszą. Apeniny tameczne, ani pysznych ani nawet wdzięcznych nie tworzą obrazów, tęsknota i smutek ciągle uciskają duszę.

Przebywszy góry, postrzega się na odłamku skały, groźną i ponurą twierdzę. Jest to *Radicofani*, ostatnie toskańskiego państwa miasto.

Dopiero około *Bolseny*, kraj się nieco rozwesela. *Bolsena* na spadku ładnéj uwieszona góry, w piękniejszém jeszcze przegląda się jeziorze. Po tych suchych i szarych widokach, błękit szerokiéj i przejrzystéj wody, jakby jakie *oazys*, wpośród pustyni wygląda. Lecz to jezioro jest jeszcze dawnego krateru paszczą. Mówią że w dni pogodne, widać na dnie jego szczątki miasta, które wulkan zapadając się pochłonął, a woda pokryła. W powietrzu także tego zmarłego wulkanu wyziewy czuć się dają. Ludność teraźniejszéj Bolseny, chora, nędzna, o trzy czwarte już się zmniejszyła; a to miasto niegdyś świetne, Sejana, godnego Tyberyusza ministra ojczyzna, teraz biedna, pełna żebraków mieścina, już tylko jeden pomnik z swéj dawnéj zachowała wspaniałości. Jest to starożytny grobowiec na dziedzińcu kościoła zapomniany.

Na drugim jeziora brzegu, napotyka się *Montefiascone*. Słynie ono swém winem, est-est nazwaném; a dla tych którzy mniejszą do zalet wina przykładają cenę, pamiętne się staje dziwném zdarzeniem, co sławę jego po świecie rozniosło.

Pewien szwajcar, wielki, jak się zdaje, bachusa czciciel, wybrawszy się do Włoch, wysyłał naprzód lokaja, by mu donosił gdzie najlepsze po drodze znajduje się wino. Przybywszy do Montefiascone, lokaj na drzwiach karczmy napisał: est-est (jest jest), i daléj pośpieszył, a pan jego tak zasmakował w ulubionym trunku, iż nieruszywszy daléj, tam w pośrzód niego dni zakończył.

Pochowany tamże, w kościele S. Flawjusza; a nadgrobek jego dotąd, wina swego sławę, mieszkańcy pokazują. Nosi on napis:

Est Est Est
Et propter nimium est
Dominus meus mortuus est.

Od tego czasu wino to wielce cenione zowie się: Est Est, jak to nieraz w znaczniejszych winiarniach można szyld jego na okiennicy czytać.

Wyjechawszy z *Montefiascone*, siarką przesycone powietrze, niemile objawia sąsiedztwo gorącego jeziora, *Bulicame* zwanego.

W końcu witamy *Witerbę*, a to schludne miasteczko, tém się powabniejsze w téj smutnéj podróży wydaje, iż blizki jéj zwiastuje koniec.

Ulice *Witerby* proste, bruk dobry, rynek otwartym portykiem okrążony, domy, ogrody, fontanny, wszystko mi się prześliczne wydało. Katedra posiada groby czterech papieży: Jana XXI, Alexandra IV, Adryana V i Klemensa IV, a Swięta Róża patronka miasta, ma swój kościołek wzniesiony w miejscu domu w którym się urodziła, a gdzie teraz ciało jéj spoczywa.

U bram *Witerby*, zaczyna się ta szeroka płaszczyzna, Agro Romano zwana, która się aż do stóp Rzymu rozciąga. Malarya wygnała wszystkich jéj mieszkańców; grunt jéj nieużyty, bo go bezkarnie tknąć niepodobna. Wyziewy jego febrę i śmierć sprowadzają. Jest to Arabja, zamiast piaskiem trawą pokryta; jest to dla oka jakby wielkie wiosennéj zieloności jezioro. Są tam jakieś małe wypukłości, lecz te w wielkiéj przestrzeni całkiem dla wzroku giną.

Ta nowa pustynia, wcale odmienny od poprzedniéj nosi wyraz. Tamta tchnie zburzeniem, a ta spokojem samym; tamta jakby udręczona, dręczy także oko i umysł; a ta swą ciszą, ciszy duszy trwogi, lub niesforne jéj żądze.

Gdzie niegdzie tylko pasmo przerwanych dawnego wodociągu arkad, to darniowe przecina morze, lub reszty gruzem sypiącego się nadgrobku na niéj się bielą. A te pyszne niegdyś ruiny, po których teraz kozy skaczą, te dawnéj próżności czy dumy zabytki, co nieznanych imion, zapomniane kryją popioły, jużby służyły jedynie do opowiadania czém jest duma ludzka i w co się obraca, gdyby strzegący bydła pasterze, zwykle na swe obracając je schronienia, nie dawali im jakiegoś użytku pozór.

Ci pasterze, w burym, na jedno ramie zarzuconym płaszczu, w spiczastym kapeluszu na gorączkowe spuszczonym oczy, z wyżółkłą cerą i czarnemi włosy, między ruinami i bydłem, na zielonéj trawie, pod szafirowém niebem i gorącém słońcem, przedziwnie malownicze tworzą obrazy.

Wielkie to bez wątpienia dla Rzymu nieszczęście ta malarya, co powoli ludność jego gasi, ta śmierć co go do koła oblega. Ale przed zastanowieniem się i rzeczy zgłębieniem, ta rozległa zielona i cicha przestrzeń, uroczyste sprawia w sercu wrażenie. Gdyby niebyła skutkiem tak szkodliwéj zarazy, powiedziałabym iż stolicy wspomnień, grobów i krzyża, nie godzi się mieć innego przedmurza. Ruch, zgiełk, wrzawa, najnieznośniejszą byłyby rzeczą; ćmiłyby wszystkie, a tak wspaniałe myśli, jakie tam każdego, mniemam, witają. Uczucie, to uczucie co się zdaje w téj chwili, pod skrzydła anioła pobożności chronić, pod jego tchnieniem rozwijać się i wznosić, struchlałoby, zziębło, zmarłoby na zawsze może, gdyby się potrąciło o tę codziennego życia obłoconą prozę.

Jak do innych miast przybywając, wzrok i ucho coraz nowym przedmiotem, nowym roztargnione odgłosem, wystarczyć im nie mogą, tak tu na jeden tylko zwrócone są punkt. Pierwszy odgłos jaki się słyszeć daje, jest modlitwy dzwon; pierwszy przedmiot jaki w końcu téj szerokiéj postrzega się płaszczyzny, jest kopuła Ś. Piotra!... A ta kopuła, co tak śmiale i wysoko w niebo krzyż swój podnosi, zdaje się razem z niém podnosić nie tylko wzrok ale i duszę, co ją pierwszy raz widzi i uwielbia.

Już się następnie i Tybru poznało nurty, i ozdobny a stary most, jego łączący brzegi; już się w rodzaj przedmieścia wjechało, wiejskiemi okrążonego willami, a zgiełku jeszcze się nienapotkało. Żaden pojazd nie przeciął drogi, żaden hałas nie przerwał głębokiego dumania jakie na samo to imie Rzym! już ogarnia duszę.

W końcu spostrzega się na lewo, ozdobną żelazną kratę ślicznéj willi Borghese, a wprost wzrok się opiera o wzniosłą szlachetnych kształtów bramę. Za nią plac ludu (Piazza del Popolo), przyjeżdżających z Florencyi do stolicy wprowadza.

Dość już widziałam bram, dość rozmaitych placów, lecz żaden mi nie sprawił podobnego zdumienia, jak ten nad pysznemi pyszny do Rzymu wjazd.

Prócz doskonałych wymiarów, co ten plac, w znacznéj jego przestrzeni, ani zbyt dużym ani zbyt małym dla oka czynią, wspaniały w środku obelisk z czterma u stóp lwami, z których paszczy cztery wytryskują fontanny, dwie po bokach okrzewione i posągami ozdobne góry (z których jedna prześlicznym jest dla publiczności spacerem), a na przeciw bramy dwa całkiem jednostajne kościoły z kopułami i kolumnadą od frontu, wszystko to razem rzadką tworzy całość.

Plac ten do wspaniałéj piękności inną jeszcze łączy zaletę. Jest on jakby wstępem, przedmową Rzymu. Obelisk jego nie darowany lecz zdobyty, nie od lat kilku lecz od kilkunastu wieków, swe poddaństwo temu dawnemu świata królowi pokornie zapisał, i odtąd je głosi. A gdy on tak przyzywa byłego Rzymu dumne wspomnienia, dwa kościoły strzegące jego wejścia, teraźniejszego Rzymu opowiadają sławę.

Te dwa kościoły, dzielą trzy długie, proste, w wachlarz rozchodzące się ulice. Środkowa jest sławne Corso. Milę włoską (których pięć na naszą milę liczą) ma długości, i najprostszą linią prowadzi na piękny plac wenecki; za nim zaś kolumna Trajana, dawne forum ze swemi świątyniami i zwycięzkiemi bramami, ruiny pałacu Cezarów i olbrzymi amfiteatr, Colosseum zwany, badacza czekają.

Z tamtąd pośpiesz, Antonio, na Capitol, zkąd przez most Ś. Anioła do Watykanu; a tak prawie jednym lotem główne pomniki dawnéj i obecnéj Ś. stolicy przebiegniesz, jedną myślą całą, że tak powiem, treść Rzymu ogarniesz.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS PRZEDMIOTÓW

W TOMIE PIERWSZYM.

stron.

ROZDZIAŁ I.

Alpy. — Pustynia. — Ś. Brunon. — Kartuzi 1

ROZDZIAŁ II.

Góra Biała i Różowa. — Genewa. — Leman i Rodan. — Roussean i Voltaire 12

ROZDZIAŁ III.

Fernéj. — Coppet. — Necker. — Pani Staël 25

ROZDZIAŁ IV.

Illuminacya Alp. — Sabaudya. — Góra Ś. Bernarda 38

ROZDZIAŁ V.

Simplon. — Cywilizacya w Alpach. — Mont Cenis. — Włochy. — Jak pisać o nich 51

ROZDZIAŁ VI.

Pjemont. — Turyn. — Silvio Pellico. — Alfieri. — Genua. — Krzysztof Colomb . 62

ROZDZIAŁ VII.

Apeniny. — Carrara i Massa. — Luka. — Arno 73

ROZDZIAŁ VIII.

Piza. — Lord Byron 81

ROZDZIAŁ IX.

Campo Santo. — Wieża pochyła. — Katedra. — Chrzcielnica. — Kościoły włoskie i obrządki. — Galileusz. — Typy 90

ROZDZIAŁ X.

Empoli. — Farynata Degli Uberti. — San Miniato. — Bonaparci. — Florencya. — Pałace. — Katedra. — Bractwo Miłosierdzia. — Groby polskie u Ś. Krzyża . . 102

ROZDZIAŁ XI.

Plac i pałac Granduca czyli pałac stary. — Jak trzeba na Florencyą patrzyć . . 111

ROZDZIAŁ XII.

Włochy po upadku cesarstwa rzymskiego. — Gwelfy i Gibelini. — Początek toskańskiego państwa. — Caroccio. — Bitwa Monte Aperto 117

ROZDZIAŁ XIII.

Dante. — Czarni i Biali. — Boska komedya 126

stron.

ROZDZIAŁ XIV.

Petrarka. — Bocaccio. — Atheński książe. — Początek domu Medicis. — Linia starsza. — Savanarola 139

ROZDZIAŁ XV.

Leon X. — Katedra Ś. Laurentego 150

ROZDZIAŁ XVI.

Boczna linia Medyceuszów. — Trzecie domu tego wygnanie. — Lorenzino 160

ROZDZIAŁ XVII.

Młodsza Medyceuszów linia. — Bianka. — Koniec Medycejskiéj Dynastyi 167

ROZDZIAŁ XVIII.

O skutkach plastycznych. — Mikołaj z Pizy. — Cimabue. — Giotto. — Uccllo. — Masaccio. — Ghirlandajo. — Malarstwo i rzeźba. — Cinquecentisti. — Leonardo da Vinci. — Szkoły malarskie i ich mistrzowie 182

ROZDZIAŁ XIX.

Muzeum. — Benvenuto Cellini. — Powódź. — Muzyka. — Ex-Królowie 196

ROZDZIAŁ XX.

Akademia. — Pamiątki sławnych ludzi. — Teraźniejsi artyści — Improwizatorki. — Literatura. — Droga z Florencyi do Rzymu. — Rzym 209

ALPY. — SABAUDYA. — PJEMONT. — GENUA. — PIZA. — FLORENCYA.

ZNACZNIEJSZE POMYŁKI DRUKU.

Stron.	2	wiersz	28,	zamiast:	Lessner	czytaj:	Lesueur.
—	21	—	13,	—	przeciwników	—	poprzedników.
—	36	—	28,	—	Simonde de Simondi	—	Simonde de Sismondi.
—	43	—	34,	—	Mausienne	—	Maurienne.
—	56	—	15,	—	Sanslebourg	—	Lanslebourg.
—	127	—	1,	—	Genucńczyk	—	Genewczyk.
—	183	—	1,	—	Milkołaj z Pizy	—	Mikołaj z Pizy.

Jo B.M. 7

Geneva 14

14 Roma, Vatican

25 [illegible]

35 [illegible]

62 Turin

66 Geneva

81 Pisa

95 Byron

93 [illegible]

126 [illegible]

129 [illegible]

138 Pabl. Bonaparte

BOOKKEEPER 2006
0010005892
Książka
po dezynfekcji